



CARNIVIA

# ROZGRZESZENIE

JONATHAN HOLT





JONATHAN HOLT

CARNIVIA

# ROZGRZESZENIE

przełożył Piotr W. Cholewa



Nie toczymy bowiem walki przeciw krwi i ciału, lecz przeciw Zwierzchnościom, przeciw Władzom, przeciw rządcom świata tych ciemności, przeciw pierwiastkom duchowym zła na wyżynach niebieskich.

List do Efezjan 6,12, Biblia Tysiąclecia

Bowiem to spowiedź, a nie kapłan, przynosi nam rozgrzeszenie.

Oscar Wilde

## Prolog

Kandydat czekał w ciemności.

Usłyszał trzy głośne stuknięcia, kiedy dwaj ludzie po obu stronach zapukali do ciężkich drzwi.

- Kto idzie? - padło pytanie.

Usłyszał odpowiedź, udzieloną bez wahania; słowa rytuału zgodnym chórem popłynęły z ust jego towarzyszy.

Kierowany ich dłońmi na swych ramionach, przekroczył próg i wszedł do pomieszczenia. Niczego nie widział, wyczuwał jednak, że jest przestronne i chłodne. Czuł zapach płonących świec i zapach środka czyszczącego, którym przetarto kamienie pod jego bosymi stopami.

- Bracie, wysuń teraz lewą stopę, a piętę prawej ustaw we wgłębieniu lewej - nakazał spokojny, rzeczowy głos kogoś przed nim.

Wypełnił polecenie. Instrukcję powtórzono jeszcze dwukrotnie, zanim głos nakazał:

- A teraz złącz pięty.

Kandydat zachował nieruchomą twarz - wiedział, że obecni uważnie go obserwują. Jednak w głębi duszy czuł euforię. Polecenie, by wykonał trzeci krok, oznaczało, że osiągnął najwyższy poziom tego, co zwykle określali jako Kunszt. Wszystkie związane z tym tak zwane sekrety będą mu teraz ujawnione.

Ale - co najważniejsze - zyska absolutne zaufanie milczących obserwatorów, zebranych teraz w kręgu wokół niego. Może ich prosić o każdą przysługę, a jeśli tylko będzie to w ich mocy, spełnią prośbę.

Nareszcie był bezpieczny.

Niewiele brakowało. Zdarzały mu się już chwile, kiedy miał wrażenie, że patrzy w otchłań przerażenia i grozy. Teraz wreszcie zdobył coś na wymianę z tymi, którzy go ścigali.

Stał pokornie, kiedy wokół ramienia i barku owinięto mu powróż, szorstki i kłujący.

- Kandydat jest gotów, Czcigodny, i czeka na twoją wolę i chęć - oznajmił jeden z towarzyszy, kiedy skończyli.

- Niech uklęknie na nagich kolanach - polecił Czcigodny Mistrz.

Kandydat uklękł. Kolana miał obnażone, ponieważ luźne bawełniane spodnie - jedyny element odzieży, jaki miał na sobie - podwinęto wcześniej aż po uda. Na podłodze leżała poduszka, a kiedy już zajął na niej pozycję, wyciągnął rękę, by chwycić blat ciężkiego dębowego stołu, o którym wiedział, że także tu będzie.

- Jak tu przybyłeś, kandydacie? - zapytał Mistrz.

- Przybyłem ani nagi, ani ubrany, ani bosy ani obuty, pozbawiony wszelkich pieniędzy, środków-, minerałów, z zawiązanymi oczami i ręką przyjaciela doprowadzony do drzwi - odpowiedział,

- Czy pragniesz przyjąć na siebie święty obowiązek i złożyć przysięgę?

- Pragnę gorąco złożyć przysięgę.
- Cofnij ręce i ucałuj księgę. A potem przysięgnij, pod okiem Wielkiego Architekta i nas wszystkich tu zebranych.

Gdy kandydat wypowiadał surowe słowa przysięgi, miał wrażenie, że przez maleńką szparkę w przesłaniającej mu oczy antycznej masce - „kapturze”, w tym sekretnym żargonie, który tak kochali - dostrzega płomyk niedalekiej świecy. Za kilka chwil, jak wiedział, zapytają go, czego najbardziej pragnie. „Więcej światła”, odpowie na to, a wtedy

Mistrz naciśnie małą dźwignię w kapturze, odskoczą obszyte aksamitem osłony oczu i ujrzy przed sobą fotel z siedzącym ludzkim szkieletem - stare, przebarwione kości oświetlone płomieniami świec tuzina srebrnych kandelabrow. Dramatyczny element rytuału, symbolicznie przypominający konsekwencje zdrady braci.

Zdrada... Dla kandydata to pojęcie nie miało żadnego znaczenia. Każdy dba tylko o siebie. Nic więcej się nie liczy. Ale na jedną chwilę wypowiedane słowa - słowa szczegółowo opisujące karę za taką zbrodnię - nabrały sensu. Zająknął się mimowolnie.

W długiej chwili milczenia, jakie zapadło po złożeniu deklaracji, kandydat przesunął się niespokojnie na poduszce. Musi uważać, by więcej nie popełniać takich błędów. Jeśli jednak obecni coś zauważyli, nie pokazali tego po sobie. Nie wydali żadnego dźwięku. Przez chwilę zastanawiał się, ilu ich tu jest, tak naprawdę. Ale skoro już zdecydowali się na inicjację Trzeciego Stopnia, dlaczego mieliby nie zaprosić na nią pełnego zgromadzenia?

Uspokoił się z trudem.

Coś ostrego ukłuło go w prawą pierś.

- Bracie... - odezwał się Mistrz. - Kiedy wszedłeś tutaj po raz pierwszy, przyjęto cię ostrzem cyrkla dotykającym twej prawej piersi, czego znaczenie ci wyjaśniono. Kiedy wszedłeś po raz drugi, przyjęto cię kątem węgielnicy, co także ci wyjaśniono. Teraz przyjmuję cię obydwoma ostrzami cyrkla.

Ostry przedmiot odsunął się od jego piersi, a potem ukłuł znowu, piętnaście centymetrów na lewo. Wydawał się ostrzejszy i cięższy niż przy wcześniejszych okazjach. Musi pamiętać, by później o to zapytać, kiedy spotkają się przy drinku, jak zawsze po inicjacjach. Najbardziej na świecie, jak się przekonał, lubili dyskutować o szczegółach swoich ceremonii i o ich znaczeniu.

- Jak w piersi mieszczą się najważniejsze organy człowieka, tak i najważniejsze zasady naszego związku, dyskrecja i honor, zawarte są między tymi dwoma punktami.

Ostrze znów się cofnęło. Kandydat się przygotował. Wiedział, że teraz ostrze cyrkla ukłuje skórę tak mocno, by popłynęła krew. Wtedy rytuał będzie już prawie zakończony.

Na pewno się nie spodziewał długiego i prostego ostrza noża, które nagle wbiło mu się między żebra. Próbował odetchnąć i upadł na plecy, ale czujne ręce podtrzymały go i ustawiły pionowo. Sięgnął dłonią do piersi i wyczuł rękojeść; klinga tkwiła głęboko w ciele. Czuł, że skóra spływa już krwią, tryskającą rytmicznie z rany. Usiłował sięgnąć do głowy, zerwać z niej kaptur, ale ręce już go nie słuchały.

A potem, ku swemu przerażeniu, zorientował się, że krew przestała tryskać, i wiedział, że serce już nie bije.

## Jeden

Zapowiadał się kolejny piękny dzień. Chociaż nie było jeszcze dziewiątej, słońce świeciło jasno na czystym niebie z ledwie kilkoma kłębkami chmur, uwieczonymi nad Dolomitami na północy. Motorówka *carabinieri* podskoczyła na fali i Kat Tapo poczuła na twarzy przyjemny chłód wodnego pyłu. Otworzyła mocniej przepustnicę.

Podporucznik Bagnasco na rufie pisnęła zaskoczona, kiedy zimna morska woda ochlapała jej twarz. Niepewnie przesunęła się do przodu, do stosunkowo bezpiecznego kokpitu. Poza tym, że mokra, wydawała się - zdaniem Kat - lekko zielonkawa. Wyglądała tak, zanim jeszcze zbliżyły się do Bocca di Lido, wąskiego korytarza czy „ust” w linii ławic i wysepek, oddzielających spokojną lagunę od bardziej wzburzonych wód Adriatyku.

- Jak długo jest pani w Wenecji, *sottotenente*? - spytała, przekrzykując warkot silnika.
- Miesiąc - odparła posłusznie kobieta, choć zdawało się, że nawet mówienie przychodzi jej z trudem.
- I wciąż dostaje pani morskiej choroby? Nawet kiedy woda jest tak spokojna jak teraz?

Bagnasco nie odpowiedziała. To nie fale były przyczyną jej mdłości, ale te bezsensownie ostre zakręty, jakie wykonywała przełożona, wymijając i wyprzedzając łodzie płynące w obie strony torem wodnym do San Marco. Wiedziała jednak, że nie warto tłumaczyć tego *capitano*.

Tapo najwyraźniej świetnie się bawiła, mogąc włączyć niebieskie błyskające światło i łamiąc ograniczenia prędkości. Tak było od samego początku, odkąd zostawiły pomost na Rio dei Greci, obok komendy karabinierów w Campo San Zaccaria: Kat wskoczyła do motorówki pewnie jak gondolier i uruchomiła silnik, kiedy Bagnasco wciąż ostrożnie zsuwała się po stopniach.

Łódź skręciła ostro w prawo, mijając sztuczną wyspę na środku *bocca*. Powstała niedawno jako część MOSE, systemu gigantycznych podwodnych wrót, które - jeśli wierzyć politykom - miały chronić miasto przed zalaniem. Jak wielu weneccjan, Kat była sceptyczna. Jak dotąd czternaście osób związanych z konsorcjum budowlanym, w tym burmistrz Wenecji, zostało aresztowanych pod zarzutem korupcji, a sam projekt miał już wieloletnie opóźnienie i o miliardy przekroczył budżet.

Już poza *bocca* łódź skręcała dalej, aż popłynęła równoległe do piaszczystego brzegu Lido. Kat przy sterze obserwowała plażę. Choć były zaledwie kilka kilometrów od Wenecji, w tych ostatnich dniach sierpnia senne Lido wciąż sprawiało Wrażenie kąpieliska z innego stulecia. Tutaj znajdowało się Nicelli, małe lotnisko, na którym Mussolini witał Hitlera we Włoszech, obecnie wykorzystywane tylko przez helikoptery i awionetki bogaczy. Tutaj wznosiło się wielkie kino z epoki faszystów, zbudowane, by gloryfikować ukochany festiwal filmowy włoskiego dyktatora - Kat zauważyła grupki ludzi przed

wejściem, choć naprawdę nie miała pojęcia, czemu ktoś chciałby marnować na film tak piękny ranek. Tutaj stały na piasku nieskończone rzędy plażowych leżaków, ustawionych ciasno jak groby na cmentarzu, a na nich ciała we wszelkich odcieniach, od bladych jak czerwie po brązowe jak gąsienice. Tutaj także wyrastała fasada Hotel des Bains z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, kiedyś najszlachetniejszego w Wenecji, gdzie swego czasu Winston Churchill rozpoczynał każdy dzień od wyjścia nad morze w szlafroku i z cygarem i namalowania kolejnej akwareli. Hotel był obecnie zamknięty i przerabiany na apartamentowiec - kolejna ofiara globalnej recesji. Jego niegdyś ekskluzywną plażę zastawiono leżakami. Hotelowe *capanne della spiaggia*, edwardiańskie pasiaste namioty kąpielowe, między którymi Visconti kręcił końcowe sceny *Śmierci w Wenecji*, nadal stały w głębi plaży, choć obecnie tylko milioner mógłby wynająć na sezon jeden z nich.

*Śmierć w Wenecji...* Jakby na wezwanie, Kat zauważyła ustawiony dyskretnie na brzegu biały namiot, trochę tylko większy od *capanne*. Niebieska taśma otaczała spory teren wokół niego, od jednego falochronu do drugiego. W tej właśnie chwili postać w białym kombinezonie - kompletnym, z kapturem i goglami - wyprostowała się, przeciągnęła i znowu przykucnęła.

- Nasza ekipa z laboratorium - stwierdziła Kat.

Skierowała motorówkę do pobliskiego pomostu i zwolniła gwałtownie. Wiedziała, że doktor Hapaldi nie byłby zachwycony, gdyby kil-water zakłócił jego delikatne badania.

\* \* \*

Minęło niecałe pół godziny od telefonu generała Saita.

- Jak bardzo jest pani zajęta, kapitanie? - zapytał bez wstępów.

- Pułkownik Piola i ja pracujemy nad końcowymi raportami ze sprawy Murano - odparła ostrożnie.

- Myślę, że zajmie nam to jeszcze dwa, może trzy dni.

Nudna robota i prawdopodobnie bezcelowa. Od kilku miesięcy tanie barwione szkło z Chin pojawiało się w sklepach dla turystów na słynącej z produkcji szkła wyspie Murano. Fałszywe nalepki „Made in Venice” zwiększały jego cenę czterokrotnie. Rajd karabinierów na składy w Mestre ujawnił ponad pięćdziesiąt tysięcy sztuk szklanych produktów oraz pół miliona nalepek czekających na kolejne partie towaru. Nie warto nawet wspominać, że rodziny szklarskie, handlujące importowanym szkłem, tłumaczyły się „pomyłką administracyjną”.

- W porządku. Rozmawiałem z pułkownikiem Piolą i chętnie sam zamknę tę sprawę. Prawdę mówiąc, to prokurator zaproponował właśnie panią. Ale pułkownik i ja zgadzamy się, że jest pani gotowa, by samodzielnie poprowadzić trudne śledztwo.

- Mogę spytać, czego dotyczy, panie generale? - spytała, starając się nie zdradzać podniecenia.

- Chodzi o zabójstwo - odparł krótko Saito. To było zaskakujące: na wczesnych etapach śledztwa takie określenia poprzedzano zwykle takimi określeniami jak „prawdopodobne” czy „możliwe”. - Później omówimy budżet i zaangażowane siły, ale wyraźnie widać, że będzie to sprawa złożona i o szerokim zasięgu. Tymczasem przydzielam pani jako asystentkę *sottotenente* Bagnasco. Ma świetne rekomendacje, ale jest nowa w zespole, więc proszę mnie informować, jak sobie radzi, dobrze?

- Oczywiście, panie generale. - Kat zastanowiła się, czy wypada jej podziękować. - I dziękuję. Jestem wdzięczna za zaufanie.

Milczał przez chwilę.

- Wątpię, czy będzie mi pani wdzięczna, *capitano* - powiedział wreszcie Saito i rozłączył się, zanim zdążyła o cokolwiek zapytać.

\* \* \*

Dobiła do pomostu i wyłączyła silnik. Większość młodszych oficerów wyskoczyłaby pewnie, żeby zawiązać cumę, ale Bagnasco wciąż czuła nudności. Trochę doszła do siebie, kiedy stanęła na stałym lądzie.

Zdawało się, że wszyscy plażowicze unieśli głowy, by obserwować dwie kobiety idące w stronę



niebieskiej taśmy. Kat przyzwyczaiła się do takich spojrzeń - kobiety wśród *carabinieri* wciąż spotykało się rzadko. Jednak dziwnie się czuła w pełni ubrana, w dodatku w mundur, wśród tyłu obnażonych ciał. Słońce i morderstwo - nic dziwnego, że dziś rano nikt na plaży nawet nie próbował czytać.

Przy taśmie zatrzymały się, by włożyć mikrofibrowe kombinezony, rękawiczki i maski, które nie dopuszczają, by ich włosy czy DNA skaziły miejsce zbrodni. Przy taśmach pełnili straż trzej umundurowani karabinierzy. Kat rozpoznała jednego z nich - *maresciallo* z posterunku na Lido od strony laguny, przy Riviera San Nicoló. Skinęła mu na powitanie, schyliła się i przeszła pod taśmą do namiotu techników. Wewnątrz panował przeraźliwy upał. W gorącym słońcu, pod plastikową powłoką namiotu i w kombinezonie, natychmiast zatęskniła za lekką bryzą wiejącą od strony morza. Poczowała ściekającą po plecach strużkę potu i z trudem zmusiła się do koncentracji.

Doktor Hapaldi, specjalista medycyny sądowej, zauważył ją i wstał, żeby odsłonić zwłoki. Ciało leżało na plecach, w połowie jeszcze w wodzie, na granicy zasięgu fal. Był to mężczyzna w średnim wieku, ubrany w zakrwawione bawełniane spodnie z nogawkami podwiniętymi powyżej kolan, jakby brodził w morzu. Powyżej pasa był nagi, tylko ramię miał owinięte jakimś powrozem. Ktoś poderżnął mu gardło, od jednego obojczyka do drugiego - głowa przechyliła się i spoczywała na uchu, więc rana otwierała się obscenicznie: Kat widziała przeciętą rurę przełyku, żebrowaną jak wąż odkurzacza i częściowo wypełnioną niesionym przez fale piaskiem. Ale choć widok był szokujący, jednak jej uwagę zwróciło coś, co zakrywało twarz trupa: pod mokrą grzywą siwych włosów miał dziwną maskę ze skóry i materiału, podobną do przedwojennych gogli motocyklowych, tyle że z metalowymi miseczkami w miejscu, gdzie powinny być szkła.

Obok, na płachcie białej folii, leżał zapiaszczony przedmiot wielkości piłki tenisowej. Hapaldi właśnie go badał, z sondą dentystyczną w dłoni.

- Co to za maska? - spytała Kat głosem stłumionym przez jej własną.

- Nazywa się kaptur - odparł Hapaldi. Normalnie nieczuły na obrazy i zapachy śmierci, dzisiaj sprawiał wrażenie niemal oszołomionego; nie wiedziała, czy to z powodu upału, czy stanu zwłok. - Rodzaj opaski na oczy. Proszę...

Wyciągnął rękę i nacisnął małą dźwignię nad osłonami oczu, które odskoczyły natychmiast. Z tyłu Bagnasco aż podskoczyła, gdy spojrzały na nich jasnoszare oczy zabitego.

- Kto go znalazł?

- Chyba młodszy z tamtej dwójki. - Hapaldi wskazał głową poza taśmę.

Przystojny dwudziestoparoletni chłopak rozmawiał z miejscowym *carabiniere*. Też był blady. Obok stał starszy mężczyzna i opiekuńczo obejmował młodszego za ramię. Pod pachą drugiej ręki trzymał niedużego psa, jakąś odmianę jamnika. Wyglądają na parę, uznała Kat. Nic zaskakującego: Lido od dawna znane było jako jedno z najbardziej przyjaznych gejom miejsc w Wenecji.

- Spacerował z psem. I to pies znalazł to i przyniósł swojemu panu. - Hapaldi wskazał zapiaszczony przedmiot.

Wciąż nie zdołała poznać, co to takiego.

- Co to? - spytała.

Hapaldi przykucnął i czubkiem sondy rozwinął dziwny obiekt.

- Prawdopodobnie język ofiary - wyjaśnił spokojnie. - Został wyrwany, zapewne obcęgami.

Kat usłyszała, że ktoś się krztusi. Obejrzała się i zobaczyła, że jakaś ciecz wypływa z obu stron chirurgicznej maski Bagnasco. Podporucznik zerwała ją z twarzy, zgięła się w pół i zwymiotowała do morza.

- Musi pani dać doktorowi próbkę DNA - oświadczyła Kat, kiedy było po wszystkim. - Dla eliminacji.

- Nie ma potrzeby - mruknął zrezygnowany Hapaldi. Wskazał leżące na mokrym piasku resztki śniadania Bagnasco. - Wezmę wymaz z tego, póki świeże.

- Przepraszam... - szepnęła kobieta. - Ja tylko...
- Gorąco tutaj. Proszę wyjść i odetchnąć świeżym powietrzem - poleciła jej Kat.

Kiedy tamta wyszła, Kat zwróciła się do doktora.

- Przepraszam za to. Myślę, że to jej pierwsze zwłoki. - Wskazała na ciało. - Można uznać, że zabito go gdzie indziej i dostarczono tutaj łodzią. - To tłumaczyło, czemu spodnie były pokrwawione, ale piasek nie. - I że język specjalnie umieszczono obok. Ale kiedy już mieli go w łodzi, czemu po prostu nie wyrzucili za burtę na głębokiej wodzie, żeby się pozbyć dowodów? Po co wyrzucać go na plaży, gdzie ktoś musiał go znaleźć?

- Z powodu przysięgi - odparł cicho Hapaldi.
- Przysięgi?

Lekarz otarł rękawem pot z czoła.

- Uroczyście ślubuję i przysięgam - wyrecytował posępnym tonem

- bez żadnych dwuznaczności, zastrzeżeń czy wykrętów jakichkolwiek, pod karą następującą: niech przetną mi szyję i wyrwą język z korzeniami, a moje ciało pogrzebią w szorstkich piaskach przy niskiej wodzie, gdzie przypływ i odpływ sięga po dwakroć na dobę, jeśli słowo złamię, by nie wyjawiać nigdy żadnej rzeczy z tych, które mi powierzono do chwili obecnej i które zostaną mi powierzone w przyszłości. - Spojrzał na Kat i widziała, że jest niespokojny. - Nie wiem, kim był ten człowiek, *capitano*, ale mógłbym się założyć, że był też masonem.

## Dwa

Daniele Barbo wszedł na balkon Pałacu Dożów. W dole, na placu Świętego Marka, tysiąc zamaskowanych twarzy zwróciło się ku niemu wyczekująco. Wiedział, że o wiele więcej obserwuje go teraz na komputerach i tabletach na całym świecie. Nigdy jeszcze w historii Carnivii jej twórca nie występował publicznie, a tym bardziej nie przemawiał. Od dwóch dni, odkąd ogłosił swój zamiar zwrócenia się bezpośrednio do użytkowników portalu, blogosfera pełna była spekulacji na temat przyczyn.

Wielu uważało, że Daniele ogłosi wreszcie sprzedaż Carnivii. Zarówno Google, jak i Facebook nie czyniły tajemnicy ze swojego zamiaru jej zakupu. Analitycy szacowali cenę na poziomie około pół miliarda dolarów; wskazywali, że chociaż w tej chwili Carnivia nie zamieszcza żadnych reklam, brak wpływów z tej działalności był raczej wynikiem idiosynkrazji jej założyciela niż wewnętrznej niemożności komercjalizacji. Zresztą same algorytmy szyfrujące warte byłyby niewielką fortunę dla przemysłu obronnego.

Inni uważali, że Daniele poinformuje o ograniczeniu tego, co uczyniło Carnivię tym, czym jest: anonimowości. Każda z zamaskowanych postaci na placu w dole była awatarem, sieciową reprezentacją indywidualnych użytkowników; ich prawdziwe tożsamości i lokalizacje znane były wyłącznie im samym. Co jednak wyjątkowe, anonimowość działała tylko w jedną stronę: sama Carnivia mogła uzyskać dostęp do wszelkich danych z list kontaktów użytkownika, pozwalając mu na interakcje z facebookowymi znajomymi, kolegami z klasy czy z pracy, tak by nie widzieli, z kim rozmawiają. Trudno się dziwić, że budziło to kontrowersje. Nie tak dawno czternastoletnia dziewczynka popełniła samobójstwo, gdyż dręczył ją gang anonimowych prześladowców. W podobnych sytuacjach większość serwisów przekazywała organom ścigania dane pozwalające na identyfikację złoczyńców. Jedynie Carnivia uparcie utrzymywała, że nawet właściciel portalu - Daniele Barbo - nie ma do tych informacji dostępu.

Spoglądając z balkonu - który był dokładną symulacją balkonu w prawdziwym Pałacu Dożów, aż do najdrobniejszych szczegółów kruszących się kamieni - Daniele się wahał. Zaplanował treść tego, co chce powiedzieć, ale nie zastanowił się, jak zacząć. Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że zwyczajowo należy poprzedzić mowę jakimś pozdrowieniem. Ale jakim? „Moi współcarnivianie” nie brzmiało dobrze. Z drugiej strony „Hej” wydawało się zbyt swobodne.

Takie właśnie problemy, jak wiedział, były przyczyną, że wielu określało go jako osobnika społecznie dysfunkcyjnego.

Cisza trwała.

*Hello world*, powiedział wreszcie.

Fala rozbawienia rozlała się wśród słuchaczy, przekazywana przez tweety, emotikony i szmery, jak nazywano wewnętrzną komunikację Carnivii. Dla tych, co znali się na rzeczy, Daniele wygłosił właśnie błyskotliwy żart. Program „Hello World” był dla hakerów sposobem ukazania swojej koncepcji na fragmencie kodu. Używając tych słów, Daniele nie tylko przypominał słuchaczom, że wszystko wokół

nich jest jego dziełem, ale też przyznawał, że są dostatecznie wyrafinowani, by docenić takie nawiązania.

Stojąc na balkonie, Daniele dostrzegał niektóre pojawiające się wokół reakcje. Westchnął. Nie planował niczego takiego, oczywiście. Ale przynajmniej zaczął. Najtrudniejsze miał już za sobą.

*Jak wielu z was zdaje sobie sprawę, ten portal powstał jako model matematyczny, który miał mi pomóc zrozumieć pewne aspekty złożoności obliczeniowej. Ale przez lata rozrósł się w coś, czego nie przewidywałem, mówił.*

W rzeczywistości siedział przed komputerem i raczej pisał na klawiaturze, niż mówił, ale jedną z wielu niezwykłych rzeczy w Carnivii było to, że takie rozróżnienia straciły znaczenie. Szmerzy ucichły, gdy słuchacze skupili się na jego słowach.

*Carnivia stała się społecznością.*

Dziesięć lat temu, kiedy zbudował ten portal, niewielu dostrzegało sens wprowadzania tak dopracowanych protokołów szyfrowania. W końcu chyba sam internet jest już dostatecznie anonimowy? Jednak narastający ostatnio niepokój o prywatność danych i sieciową inwigilację oznaczał, że Carnivia nie była już przystanią hakerów, fanów kryptografii i kryptoanarchistów. Portal miał obecnie trzy miliony użytkowników, a liczba ta rosła z każdym dniem.

*Ochrona tej społeczności, jej swobody, spokoju, bezpieczeństwa od działań rządów i ustawodawców, zajmowała mi coraz więcej czasu. Prawdę mówiąc, zbyt wiele. Prawie dziesięć lat nie wykonałem żadnej użytecznej pracy. W rezultacie uznałem, że ciężar prowadzenia Carnivi powinien zostać przekazany wam, użytkownikom. To wy zdecydujecie, na przykład, jaka jest właściwa proporcja między waszą prywatnością a odpowiedzialnością. Wy zdecydujecie, co można uznać za akceptowalne zachowanie i co się stanie z użytkownikami, którzy naruszą tę normę. Postanowicie, czy należy inwestować w ten portal, a jeśli tak, jak należy wygenerować środki. Wy też ustalicie - to wasze najpilniejsze zadanie - w jaki sposób takie decyzje będą podejmowane. Musicie wybrać własny system zarządzania, stosując w tym celu taką procedurę, jaką uznacie za odpowiednią. Poczynając od dzisiaj, nie będę już brał udziału w tych dyskusjach.*

Spojrzał na zebrany tłum.

*Czy macie jakieś pytania?*

Zdawało się, że kilkuset ma. Z ogólnego gwaru wybrał jedno.

*Tak?*

*Ale ty, jako właściciel, zawsze będziesz miał ostatnie słowo, prawda?*

*Nie. Prawo własności do portalu, razem z serwerami, zostanie przeniesione na ciało, które wskażecie wy, użytkownicy Carnivii. Nie będę już miał do niej żadnych praw.*

*Ale dlaczego? Dlaczego to robisz?*

Chwilę trwało milczenie, kiedy Daniele usiłował jakoś sformułować odpowiedź.

*Ostatnio, oświadczył wreszcie, zainteresowało mnie tworzenie oprogramowania upraszczającego usadzanie gości na weselach.*

Znowu pojawiło się rozbawienie, ale tym razem mniej wyraźne. Żart Daniele nie był szczególnie śmieszny.

*Czy sam nadal będziesz korzystał z Carnivii?*

*Nie wiem. Ale z drugiej strony użytkownicy Carnivii zawsze byli anonimowi. Zakładając, że zechcecie utrzymać tę zasadę, nigdy się nie dowiecie, czy jestem na Carnivii, czy nie. Cokolwiek się stanie, nie będę już administratorem ani nie zachowam dla siebie żadnych specjalnych uprawnień.*

Publiczność wydawała się nawet bardziej oszołomiona przez tę końcową demonstrację szczerości zamiarów niż przez wszystko, co powiedział wcześniej. Zostanie administratorem Carnivii było przywilejem, o jakim większość mogła tylko marzyć. Zamilkły wszystkie tweety i szmerzy, z rzadka tylko jakiś wykrzyknik wzniósł się nad głowami tłumu i ginął w lekkiej bryzie, marszczącej wody Bacino di San Marco.

*Žyczę wam powodzenia,* dodał jeszcze i cofnął się. Zamykając drzwi balkonu, wyczuwał, że w dole budzi się gwar - słuchacze zaczęli debatować, co to wszystko znaczy.

W dawnej sali koncertowej rzeczywistego Palazzo Barbo, gdzie stały potężne serwery Carnivii, Daniele odsunął fotel od ekranu i odetchnął z ulgą. Na ścianie przed nim, przyklejona taśmą, wisiała krótka lista zadań. Wyciągnął rękę i jednym pociągnięciem długopisu skreślił pierwszy punkt.

*Opuścić Carnivię.*

Kiedy wrócił do komputera i wyłączył program, pojawiło się okienko:

*Jesteś pewien?*

Kliknął „Tak” i poczuł, że z ramion spada mu wielkie brzemie.

## Trzy

- Proszę przesłuchać świadka, który znalazł ciało - poleciła Kat. Stała obok Bagnasco, która płukała usta wodą z butelki. - Też posłucham, ale dla pani będzie to dobre ćwiczenie.

- Dziękuję. - Bagnasco wskazała namiot. - Za tamto... I przepraszam. To się więcej nie powtórzy. Trochę mi jeszcze było niedobrze po rejsie motorówką.

- Nie wracajmy do tego. Ale na przyszłość, lepiej uprzedzić i opuścić miejsce zbrodni, niż wymiotować na wszystko. Gotowa?

Podeszły do młodego człowieka. Bagnasco dobrze sobie radziła, uznała Kat - chłopak wyraźnie się rozluźnił. Podporucznik od czasu do czasu zwracała się do jego partnera, by włączyć go do rozmowy, a nawet pogłaskała psa, choć otrząsnęła się mimowolnie, kiedy spróbował wilgotnym, szorstkim językiem polizać jej palce. Okazało się, że młody człowiek jest aktorem i przyjechał do Wenecji na festiwal, a jego partner to reżyser, który szuka środków, by sfinansować swój następny film.

- Przywiozłem ze sobą gwiazdę - wtrącił starszy mężczyzna, ściskając młodszego za ramię.

Aktor spojrzał na niego z oddaniem i mówił dalej:

- Nie mogłem zasnąć. Dauphin też nie spał, więc pomyślałem, że wezmę go na spacer.

- Wziąłem tabletkę nasenną - oświadczył starszy mężczyzna. - Powiedziałem: David, może dać ci jedną? Ale ty nie lubisz tabletek.

Chłopak kiwnął głową.

- Źle się po nich czuję. W każdym razie, kiedy wracaliśmy, Dauphin znalazł ten... tę rzecz... i zobaczyłem, że leży tam ciało.

Otrząsnął się, a starszy mężczyzna poklepał go po ramieniu.

- Ciała nie było, kiedy pierwszy raz pan przechodził? - upewniła się Bagnasco, pisząc coś w notatniku. - Dopiero kiedy pan wracał?

- Tak myślę. Wie pani, było jeszcze prawie ciemno.

Kat zaczekała, aż Bagnasco skończy. Dopiero wtedy wtrąciła uprzejmie:

- Czy mogłabym prosić, żeby któryś z panów przyniósł z hotelu jakieś dowody tożsamości?

Tak jak liczyła, zareagował starszy z mężczyzn:

- Ja pójdę. Zresztą dla Dauphina i tak jest tu za gorąco.

Kiedy odszedł, Kat zwróciła się do młodszego.

- A teraz powie nam pan, co zdarzyło się w nocy?

Zamrugął.

- Nie rozumiem, o co pani chodzi.

- To był poranny spacer czy nocna impreza? - Bagnasco patrzyła na nią zaskoczona. - Niech pan posłucha: wiem, co się dzieje nocami w lesie koło Alberoni - ciągnęła Kat. - W porządku. Ale muszę się dowiedzieć, kiedy porzucono tutaj ciało.

Chłopak chyba się zawstydził.

- Powiedziałbym od razu, ale Milo słuchał... Pomyślałem, że jeśli wezmę psa, nigdy się nie dowie. Zresztą planowałem wyjść tylko na godzinę, może trochę więcej. Ale... byłem zajęty i nagle zdałem sobie sprawę, że już po czwartej. Poszedłem z powrotem i wtedy Dauphin znalazł język.

- Czyli było ciemno, kiedy przechodził pan tędy za pierwszym razem? To znaczy, że mógł pan przejść obok ciała?

Przytaknął.

- Dziękuję. Przygotuję pańskie zeznanie na piśmie, żeby pan podpisał.

Kiedy zostały same, Kat spojrzała na Bagnasco.

- Nic uczyli pani, że przesłuchujemy świadków pojedynczo?

*Sottotenente* była załamana.

- Tak, ale...

- Więc czemu nie?

- Chciałam... to znaczy...

- Chciała pani pokazać, że nie jest homofobem - domyśliła się Kat.

- No więc oto lekcja druga: proszę z tym skończyć.

\* \* \*

Podeszła do pilnujących terenu miejscowych karabinierów.

- Dzień dobry, chłopcy - przywitała ich uprzejmie. - Proszę, powiedzcie mi, że przesłuchaliście już wszystkich na plaży, bo liczyliście, że trafi się świadek.

Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia.

- No więc? - ponagliła.

- Rozmawialiśmy z ludźmi, którzy rozstawiają leżaki - odparł *maresciallo*, którego rozpoznała wcześniej. - I z kierowcą traktora, który o świcie sprząta plażę. I z robotnikami pracującymi w hotelu.

- I?

- I nikt niczego nie widział. Więcej: nikogo tu nie było. Ci od leżaków chorowali. Kierowca miał problemy z silnikiem traktora. A ci z budowy nie byli na tej zmianie, chociaż nie potrafili wskazać, kto był.

- A ci tutaj? - Wskazała plażowiczów. - Może ktoś zjawił się tu wcześniej?

- To sami turyści - wyjaśnił *maresciallo*. - Jeśli byli tu jacyś miejscowi, postanowili się zwinąć.

Dopiero teraz Kat zauważyła, jak wiele leżaków jest pustych. I z każdą chwilą zwalniało się więcej. Jak stado szpaków uciekających przed dalekim jastrzębiem, ludzie na plaży uznali, że lepiej zrezygnować z dnia na słońcu, niż zostać zamieszanym, choćby i bardzo luźno, w to, co tu się wydarzyło.

Westchnęła.

- Sprawdźcie hotelowe pokojówki, dobrze? I wróćcie wieczorem; może ktoś, kto wychodzi nocą na plażę, był tu też wczoraj.

Jednak wieczorem, jak podejrzewała, fala milczenia przetoczy się przez Lido i dotrze do samej Wenecji. Mimo to warto spróbować.

\* \* \*

Kiedy zespół techników zakończył pracę, Kat z Bagnasco popłynęły motorówką do sosnowego lasu na południowym końcu Lido. Teren - znany jako Alberoni albo po prostu „wydmy” - był nieoficjalną wenecką plażą nudystów albo też jedyną gejowską - linia demarkacyjna między nimi przesuwiała się tak płynnie jak same piaski.

Nie miały szczęścia. O tej porze las był prawie pusty. A widok dwóch umundurowanych karabinierów nawet tych nielicznych pozostałych skłonił do ucieczki w gęstwinę.

Głęboko wśród drzew Kat zauważyła plamę czerwieni: namiot. Poza oficjalnym kempingiem przy San Nicoló biwakowanie było nielegalne. Ale nie zdziwiła się, że znowu ktoś łamie przepisy.

Podeszła.

- Jest tam kto?! - zawołała.

Po chwili ktoś rozsunął zamek klapy i wyjrzała twarz pod siwiejącą czupryną.

- *Carabinieri* - poinformowała chyba niepotrzebnie. - Zechce pan wyjść na zewnątrz? - A kiedy

mężczyzna posłuchał, dodała szybko:

- Ale może najpierw pan coś na siebie włoży?

- A po co? - zapytał niechętnie.

Kat chciała już wyjaśnić, że dopuszcza się obrazy moralności, nie mówiąc o obrazie funkcjonariusza karabinierów, ale postanowiła rozegrać to inaczej.

- Tak się pan czuje swobodniej?

- Tak. O co chodzi?

- Niech będzie - ustąpiła. - Próbujemy ustalić, czy wcześniej rano krążyły tu jakieś łodzie.

Powiedzmy: około czwartej.

Mężczyzna się zastanowił.

- Tak się składa, że dziś o tej porze nie spałem. Widziałem taki wielki statek wycieczkowy, ale daleko od brzegu. I jeszcze *motoscafo*.

- Wodną taksówkę? Jest pan pewien?

- Raczej tak. To była któraś z tych staroświeckich motorówek, taka ładna i drewniana, z kokpitem i długim kadłubem.

- Jakaś flaga? Znaki na burcie?

- Nic nie zapamiętałem.

- Gdyby pan sobie jeszcze coś przypomniał, proszę zadzwonić. To jest mój numer. - Kat wręczyła mu wizytówkę. A potem spytała jeszcze: - Ten wycieczkowiec... W którą stronę płynął?

- Tam. - Mężczyzna wskazał północ.

Kat spojrzała. W kanale żeglugowym zobaczyła dwa, może trzy statki. Poza nimi morze aż po horyzont było puste.

Po raz pierwszy, odkąd dziś wyszła z za biurka, w pełni uświadomiła sobie wagę tej sprawy. Ktoś z zimną krwią zamordował człowieka, ale to nie wszystko. Porzucenie ciała na plaży miało być wiadomością dla wszystkich. Kimkolwiek byli zabójcy, najwyraźniej uważali, że mogą ją przekazać bezkarnie.

„...pod karą następującą: niech przetną mi szyję i wyrwą język z korzeniami, a moje ciało pogrzebią w szorstkich piaskach przy niskiej wodzie...”

Mimo upału dreszcz przebiegł jej po plecach.



## Cztery

Podporucznik Holly Boland odsunęła zatrzaski starego kufra ojca i otworzyła wieko. Wewnątrz, pod warstwą szarego papieru, kryło się jej dzieciństwo.

Pierwsze, co znalazła, to rysunek jej ukochanego *piazza* w Pizie - nie zapchanego Campo dei Miracoli, gdzie turyści tłoczyli się wokół Krzywej Wieży, ale o wiele mniejszy plac na końcu ulicy, przy której mieszkała jej rodzina; to tam ich włoscy sąsiedzi gawędzili podczas zakupów w sklepie na rogu, pili espresso oparci o cynkowany kontuar przy barze albo siedzieli na zaparkowanych vespach, jedli lody i flirtowali - zależnie od wieku i płci. Rysunek był podpisany: *BUON COMPLEANNO, PAPA!!! WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO, HOLLY!!!*

Zauważyła, że pomieszała włoski i angielski. Musiała to pisać, kiedy miała dwanaście-trzydzieści lat i dwa języki ciągle się jej myliły.

Pod rysunkiem znalazła przezroczystą kopertę ze szkolnym wypracowaniem na temat: „Jak to jest być córką amerykańskiego oficera we Włoszech?”. Pracę ilustrowała fotografia jej i braci na grillu w Camp Darby, cała trójka występowała w kostiumach kąpielowych. Już wtedy była tak samo chuda i żylasta jak jej bracia, ale po długich tygodniach spędzonych pod włoskim słońcem włosy miała od nich jaśniejsze. W tle po plaży biegła grupa marines w strojach treningowych i czapczkach.

„Hej!”, brzmiał podpis: *Jo amo la mia vita in Italia! Kocham swoje życie we Włoszech!*”.

Uśmiechnęła się, odłożyła kopertę i przeszła dalej. *Certificato di Eccellenza* ze Scuola Secondaria di Madonna dell'Acqua potwierdzał, że signorina Holly Boland przepłynęła osiemset metrów. Kolejna kartka życzeniowa, także własnej roboty, głosiła: „*Per il miglior papa del mondo! Dla najlepszego taty na świecie!*”. Kartka była datowana *19 marzo*, dzień świętego Józefa, kiedy włoskie dzieci ubierają się na zielono i pieką *frittelle* dla swoich ojców.

Nie pamiętała już, kiedy przestała dawać mu kartki w trzecią niedzielę czerwca, amerykański Dzień Ojca. Czy w ogóle zauważyła, że porzuca ojczyste tradycje dla tych przestrzeganych w kraju, w którym się wychowała? A on zauważył? A jeśli tak, czy był dumny, czy zatroskany? A może jedno i drugie po trochu?

Zafascynowana i w nostalgicznym nastroju, przekopywała się przez kolejne warstwy. Każdą kartkę, którą dla niego rysowała, każdą pracę domową, którą pokazywała mu z dumą, każde świadectwo i dyplom, każdą wysłaną do domu widokówkę - zachował wszystko. Jak większość oficerów, zawsze był gotów do szybkiej przeprowadzki, więc trzymał swoje skarby w skrzyniach, nie w szafach i szufladach. To, że tę skrzynię prawie całą poświęcił na pamiątki z jej dzieciństwa, wrzuciło ją do łez.

Głębiej znalazła jeszcze jedno zdjęcie, które jej zrobił: siedziała z tyłu na skuterze, uśmiechnięta jak kot, który dostał śmietankę; właśnie miał ją gdzieś zabrać przystojny chłopak w ciemnych okularach, z zębami błyszczącymi bielą na oliwkowej twarzy. Musiała mieć wtedy około piętnastu lat. Jej długie nogi podlotka kończyły się w najkrótszych dzinsowych szortach, jakie widziała w życiu.

- Ja ci idzie?

Holly obejrzała się: to matka weszła do garażu.

- Hej, mam. Popatrz, co znalazłam. - Pokazała jej fotografię. - Naprawdę tak się ubierałam? I naprawdę uważałaś, że to w porządku?

Matka uśmiechnęła się smętnie.

- Nie przypominam sobie, żebyś dawała nam jakiś wybór. Zawsze byłaś bardzo stanowcza. Ale włoscy chłopcy zawsze zachowywali się z szacunkiem.

- Może kiedy ty i tato byliście w pobliżu. Pamiętam jakieś bardzo uparte wędrujące dłonie. Aż dziw, że nie... - Urwała nagle.

Matka milczała. Holly nie zdradziła jej szczegółów zdarzeń, które skłoniły ją, by wziąć długi urlop i wyjechać z Camp Edelre koło Vicenzy. Amerykański pułkownik uwięził ją w jakiejś podziemnej instalacji wojskowej i torturował - tyle wiedziała. Ale jej matka przekonała się już, że lepiej córki nie naciskać i poczekać, aż będzie w nastroju do zwierzeń.

Holly wróciła do skrzyni, leszcze głębiej znalazła „formalny”, wyjściowy mundur ojca: zielona kurtka z czterema kieszeniami - kompletna, z insygniami i ozdobnym sznurem; brązowe spodnie z czarnymi lampasami i kapelusz, a obok niewielkie pudełko z medalami. Medalami raczej za osiągnięcia i pracowitość niż za walkę. Ojciec był świadomym oficerem, kochał swój kraj i wierzył w niego, ale nie był żadnym krwi wojownikiem.

Pod medalami leżała szarfa - taka do zakładania na szyję, podobnie jak stuła u księdza. Wyhaftowano na niej symbole: cyrkiel, węgielnicę i oko w trójkącie.

- Nie wiedziałam, że tato był masonem! - zawołała.

Matka wzięła szarfę i pokiwała głową.

- O tak. Należał do Odd Fellows, zanim jeszcze przenieśliśmy się do Europy. A kiedy zamieszkaliśmy w Camp Darby, dał się wybrać do pobliskiej łoży. Zawsze powtarzał, że robi to dla was, dla ciebie i twoich braci.

- Dla nas? Dlaczego?

- Uważał, że to dobry sposób, żeby poznać miejscowych. Ale prawdę mówiąc, uważam, że lubił towarzystwo mężczyzn w uniformach. Jakby w bazie miał ich za mało... To chyba jego przyjaciel, signor Boccardo, go wprowadził.

- Boccardo... - Holly pamiętała sąsiada o tym nazwisku, aptekarza, którego córka chodziła z nią do jednej klasy. - To ten, który potem zginął w wypadku samochodowym?

- Tak, to on. - Matka oddała jej szarfę. - Chcesz może ogolić tatę? Niedługo przyjdzie doktor Hammond.

- Jasne. Tylko tutaj skończę.

Matka zatrzymała się jeszcze przy drzwiach garażu, spoglądając na skrzynie i kufry pod ścianami.

- Dzięki, że się tym zajęłaś, Holly. Nie dotykałam niczego, odkąd wróciliśmy do domu. Nie mam pojęcia, które z tych wojskowych rzeczy są ważne, a które można spokojnie wyrzucić. - Milczała przez chwilę. - Chociaż teraz chyba nic już nie jest szczególnie ważne.

Kiedy zniknęła, Holly wróciła do zawartości kufra. Pod mundurem były kolejne kartki i fotografie, niektóre jeszcze z czasów przedpizańskich, kiedy rodzina wędrowała po całej Europie, co kilka lat przenosząc się z bazy do bazy. Wyjęła zdjęcie rodziców na tańcach - wydawali się młodzi i beztroscy. To pewnie z Niemiec, pomyślała. Tam się poznali.

Sięgnęła głębiej i palce trafiły na niewielkie zgrubienie pod płócienną wykładziną kufra. Tkanina była już stara i krucha, więc kiedy próbowała coś wymacać, rozerwała ją. Czubkami palców wyczuła brzegi kilku wsuniętych pod płótno kartek. Wyjęła je.

Na wierzchu zobaczyła wydrukowany wiersz - miała wrażenie, że rozpoznaje czcionkę starej i rozklekotanej IBM-owskiej elektrycznej maszyny do pisania ojca.

*Grody i Trony w obliczu czasu*

ważą za ledwie tyle,  
co wątłe kwiecie łąki i lasu,  
żyjące chwilę.

Ale jak z wiosną pąki nowemi  
tryska kwiat młody,  
tak z wyczerpanej, wzgardzonej Ziemi  
znów wstają Grody.

Wiosenny Narcyz w blasku urody  
snać nigdy się nie dowie,  
jakie jesienne zwarzyły chłody  
dawne listowie.

Nieświadom prawdy i pełen pychy,  
ufa bezpiecznie,  
że żywot jego, tak krótki, lichy,  
trwać będzie wiecznie.

Wiersz Kiplinga, jeden z jego ulubionych. Cała rodzina przewracała oczami, kiedy go recytował, ale nigdy go to nie powstrzymało.

Następna kartka zawierała kilka krótkich akapitów, napisanych na tej samej maszynie.

*Dot. Załączone memorandum*

*Niniejsze memorandum relacjonuje budzące niepokój fakty, o jakich poinformował mnie włoski cywil, brat Łoży Arystarcha w Pizie, dotyczące pozostałości tajnej sieci NATO o kryptonimie Gladio.*

*Jako że struktura dowodzenia Gladio została nagle zlikwidowana w 1990 roku, wraz z całą siatką, nie byłem pewien, komu powinienem zameldować o tych niepokojach. Przekazałem więc memorandum mojemu znajomemu, amerykańskiemu oficerowi wywiadu, o którym wiedziałem, że był wcześniej zaangażowany w neutralizację organizacji terrorystycznych, takich jak Czerwone Brygady, w nadziei że udostępni je osobom władnym podjąć odpowiednie działania.*

*Niniejszą kopię umieszczam tutaj dla bezpieczeństwa.*

*Major Edward R. Boland*

Samo memorandum składało się z trzech spiętych zszywaczem kartek. Miało stempel KOPIA, czerwonym tuszem. I tytuł:

*Ścisłe poufne*

Przeczytała pierwszą stronę.

*Od czasu publicznego ujawnienia operacji Gladio w październiku zeszłego roku osoby zaangażowane w nią ze strony NATO starały się jak najszybciej zwinąć całą siatkę i dokonać transferu środków operacyjnych z powrotem w ręce Sprzymierzonych. Jednakże niedawno uświadomiono mi, że niektórzy z dawnych agentów Gladio nie tylko przeciwstawiają się temu procesowi, ale mogą aktywnie się przegrupowywać, jako przykywkę wykorzystując bractwa masońskie.*

- Holly! - zawołała matka z domu.
- Już idę! - odpowiedziała.

Odwróciła kartkę, przejrzała tekst, a potem odłożyła dokument. Czyli ojciec był jakoś powiązany z niesławną operacją Gladio, jednym z najdziwniejszych i najbardziej kontrowersyjnych epizodów w powojennej historii Włoch. Dorastając, zdawała sobie sprawę, że nie o wszystkich aspektach swojej pracy może opowiadać, ale nie miała pojęcia, że zajmował się sprawami wywiadu.

Już w domu, skierowała się do pokoju, który był kiedyś jadalnią.

- Cześć, tato - powiedziała. - Nie zgadniesz: właśnie przeczytałam memorandum, które w swoim czasie napisałeś. I znalazłam swoje świadectwa ze szkoły w Pizie.

Ojciec patrzył na nią z łóżka; oczy miał ciemne i zatroskane. Przesunęła się na środek jego pola

widzenia.

- A ten obrazek Piazza Matverso obudził tyle wspomnień... Pamiętasz tę *gelaterię* na rogu? Mieli mandarynkowe lody, wciąż mogłabym przysiąc, że najlepsze, jakie w życiu jadłam.

Ciągle patrzył na nią nieruchomo.

- Teraz cię ogolę, dobrze? - Czekwała chwilę, ale kiedy nie zareagował, mówiła dalej. - Należę tylko ciepłej wody.

Zdrapywała brzytwą siwą szczecinę z jego policzków. Przypomniało jej to chwile, kiedy jako dziecko całowała go w kłujący policzek, gdy późno wracał do domu.

- Obróć się trochę w prawo... - Sięgnęła ręką i ogoliła drugą stronę twarzy. - I po wszystkim. Poradziliśmy sobie, prawda?

- Dobrze, że pani z nim rozmawia - odezwał się cichy głos za jej plecami. Obejrzała się - w drzwiach stał doktor Hammond. Był młody i przystojny, co zawsze ją trochę zaskakiwało - od kiedy to lekarze bywają niewiele starsi od niej, a do tego przystojni? Ale przecież opiekował się ojcem już od pięciu lat.

- Mam wrażenie, że gdybym nic nie mówiła, byłoby to lekceważące. Poza tym sam pan powiedział: jest szansa, że rozumie więcej, niż może pokazać.

- Minimalna szansa - poprawił ją. - Wprawdzie zdarzają się ofiary wylewów z zespołem zamknięcia, ale skany u pani ojca wykazują uszkodzenia naczyń prawej półkuli. Nawet gdyby po pierwszym ataku potrafił zrozumieć część tego, co się do niego mówi, prawdopodobnie teraz to niemożliwe.

- Mimo wszystko - odparła. Odwróciła się do ojca i starannie wytarła mu twarz ręcznikiem. - No, gotowe. Teraz doktor Hammond cię zbada, a potem wrócę i jeszcze sobie pogadamy. Zgoda?

Wyraz twarzy ojca się nic zmienił. Holly wstała.

- Zostawiam pana.

Hammond zabrał się do pracy, a Holly splukała pod kranem brzytwę. I wtedy coś jej przyszło do głowy. Poszukała matki i znalazła ją w kuchni.

- Ten sąsiad, o którym mówiłaś... signor Boccardo, ten, który zginął w wypadku. Kiedy to było, tak dokładnie? Mniej więcej w tym czasie, kiedy tato zachorował?

- Och... - Matka się skrzywiła. - Paskudna sprawa. Tak, to było niedługo przed chorobą ojca. On bardzo się tym zdenerwował, pamiętam. Lubił pana Boccarda.

Wróciwszy do garażu, raz jeszcze wyjęła memorandum i przejrzała, tym razem wolniej, szukając nazwiska, które wcześniej chyba zauważyła.

Tak, było.

*To pan Lupa Boccardo, mój sąsiad i przyjaciel, pierwszy zwrócił moją uwagę na napływ nowych członków do naszej łąży. Zapytał, czy ja, jako amerykański oficer, mógłbym mu wyjaśnić, czy jest choć trochę prawdy w tym, co twierdzą niektórzy z nich...*

Uderzyła ją nagle kolejna myśl, jeszcze straszniejsza. Przez otwarte drzwi garażu zobaczyła idącego do samochodu Hammonda.

- Doktorze! - zawołała. - Ma pan minutkę?

- Oczywiście, Holly.

Uśmiechał się przyjaźnie. Po raz pierwszy dotarło do niej, że pewnie mu się trochę podoba.

- Może mi pan odpowiedzieć na hipotetyczne pytanie? Czy jest możliwe... przynajmniej w teorii... wywołanie u kogoś wylewu?

- Hm... Jeśli dana osoba pije, pali albo ma wysokie ciśnienie...

- Nie chodzi mi o styl życia - przerwała. - Ale przypuśćmy, że u kogoś występują już te czynniki ryzyka. Czy jest jakaś substancja czy lek, która zwiększa prawdopodobieństwo wylewu?

Zastanowił się.

- Chyba warfaryna. Jest używana do zabijania szczurów, a czasem zapisuje się ją ludziom z problemami krzepliwości. Ale żaden lekarz nie poda warfaryny pacjentowi już zagrożonemu krwotokiem śródmózgowym.

- Ponieważ te czynniki ryzyka są wymienione w dokumentacji medycznej, tak?

- Właśnie. - Kiwnął głową.

Albo nie, pomyślała.

Albo może ktoś właśnie na podstawie dokumentacji medycznej danej osoby odkrył, co najpewniej może ją zabić. To było wręcz niewyobrażalne, ale kiedy już taka myśl przyszła jej do głowy, nie mogła się jej pozbyć. Ojciec i jego przyjaciel trafili na coś, co ojciec uznał za dostatecznie ważne, by zawiadomić swoich przełożonych. I wkrótce potem Boccardo nie żył, a ojciec dostał wylewu.

Ktoś postanowił uciszyć ich obu. A przyczynę tego trzymała teraz w ręku.

# Pięć

- Autopsję możemy przeprowadzić najwcześniej jutro - oświadczył przepaszającym tonem doktor Hapaldi, prowadząc obie kobiety do kostnicy. - Zeszłej nocy mieliśmy dwa zgony w szpitalu i one mają pierwszeństwo.

- Nie szkodzi - zapewniła go Kat. - Prawdę mówiąc, chcieliśmy porozmawiać z panem.
- Domyślałem się tego - odparł spokojnie patolog. - Wejdźmy tutaj.

Zabrał je do swojego gabinetu, zaraz obok kostnicy i prawie równie zimnego. Przez szklaną ścianę Kat widziała technika Spatza, jak pochyla się nad zwłokami z aparatem fotograficznym - robił zdjęcia twarzy zabitego. Zdjęcia, jak wiedziała, zostaną wprowadzone do Google Image Search w nadziei, że znajdzie się podobną osobę. Nie zastąpi to formalnej identyfikacji, ale da jakiś punkt zaczepienia.

Hapaldi wręczył Kat kartkę z faksu.

- Rozmawiałem już z Czcigodnym Mistrzem. To nazwiska członków naszej loży.
- Jak długo jest pan masonem? - spytała Kat, przeglądając listę.
- Prawie siedem lat. Wie pani, ludzie mają złe wyobrażenie o naszej organizacji. Większość naszych działań polega na dobroczynności. A od czasów Anselmi nie jest nawet tajna.

Kat kiwnęła głową. Uchwalone dekadę temu prawo Anselmi wymagało od każdej grupy czy klubu, by na żądanie przedstawiły listę swoich członków. W rezultacie efektywnie zdelegalizowało wszelkie tajne stowarzyszenia.

Dostrzegła znajome nazwisko, potem następne.

- Boże... - Westchnęła. - Znam go. 1 jego też...

Na liście było przynajmniej pół tuzina wyższych oficerów *carabinieri*. Zajrzała na następną kartkę. Pod „S” znalazła generała Saita, jej *generale di divisione* i człowieka, który przydzielił ją do tej sprawy.

Hapaldi skinął głową.

- To generał Saito mnie wprowadził. Popierał major Flavigni.

Kat odłożyła listę.

- Ale nie rozpoznaje pan naszej ofiary?

Patolog pokręcił głową.

- Czy w Wenecji są inne loże oprócz pańskiej?
- O żadnej nic mi nie wiadomo. - Zawahał się. - W każdym razie o oficjalnych.
- A są też nieoficjalne?
- Prawo Anselmi... było bardzo niepopularne wśród niektórych wolnomularzy. Czasami słyszy się o czarnych lożach, takich, które nie należą do Wielkiego Wschodu, czyli oficjalnej federacji masonskiej. Formalnie nie mają prawa nazwać siebie masonami, ale usprawiedliwiają to, twierdząc, że pozostają wierni wcześniejszym, bardziej rygorystycznym rytuałom. Na przykład ten fragment z wrywaniem języka: od dziesięcioleci nie jest elementem oficjalnej przysięgi.

- Więc to, co mu zrobiono, może sugerować, że faktycznie był członkiem czarnej loży?
- Przypuszczam, że to możliwe, owszem - przyznał z wahaniem.
- A jak powinnam się zabrać do poszukiwania takiej loży, o ile w ogóle taka w Wenecji istnieje?

Hapaldi pokręcił głową.

- Nie znam nikogo, kto miałby do czynienia z czymś takim.

Przez moment miała wrażenie, że dostrzega w jego oczach błysk strachu.

- Ale słyszał pan może jakieś plotki? - naciskała. - Pogłoski? Na tym etapie wszystko może się przydać.

Zdawało się, że podjął decyzję.

- Nie wiem, czy to istotne. Ale jest pewien bardzo bogaty człowiek, który kolekcjonuje rozmaite masońskie memorabilia. Słyszałem, że potrafi być dość... natarczywy.

Kat wydało się to raczej niewielkim występkiem. Ale podejrzewała, że Hapaldi miał inne powody, by wspomnieć o tym człowieku - takie, o których wolałby nie rozmawiać.

- A jego nazwisko?

- Tignelli. Hrabia Tignelli.

Kat uniosła brwi.

- Ten, który kupił La Grazię?

Hrabia Tignelli był postacią dobrze znaną w całym rejonie Veneto - Wenecji Euganejskiej. Tak jak sugerował tytuł, należał do starego rodu, bogatej rodziny producentów cenionej marki *prosecco*. Niedawno pod jego kierownictwem dzięki licznym śmiałym działaniom ta niegdyś stateczna firma zdołała zmienić się ze zwykłych producentów wina we wziętą markę modową, współzawodniczącą z takimi gigantami jak Benetton czy Armani. Obecnie można było kupić walizki Tignelli, okulary przeciwsłoneczne Tignelli albo wodę kolońską Tignelli; sama Kat miała kaszmirowy szal Tignelli, który nosiła każdej zimy. Tymczasem człowiek, który stał za tym sukcesem, stopniowo przesunął się z działów biznesowych na pierwsze strony gazet. Pytano go o opinie na każdy temat, od ostatniego skandalu korupcyjnego po słabości polityków w Rzymie - również dlatego, że te opinie, podobnie jak głośne nawoływania do reform, rzadko przedstawiał w złagodzonej formie. Nie tak dawno kupił od wiecznie szukającej gotówki rady miasta wysepkę Santa Maria della Grazia. Krążyły plotki, że sprzedaż kilku takich wysepek jest elementem umowy zawartej w związku z niemającym końca finansowym wsparciem rządu dla projektu MOSE. Podobno Tignelli wynegocjował znakomitą cenę.

- Dziękuję - powiedziała. Zanotowała w pamięci nazwisko, by wrócić do niego w przyszłości. Nie warto na tym etapie chodzić do Tignellego. Rozmowy z ludźmi tak wpływowymi zawsze są trudne, nawet jeśli ma się jakieś dowody. - A gdybym chciała dowiedzieć się czegoś o wolnomularzach ogólnie? Do kogo mogę się zwrócić?

- Podam pani nazwisko naszego archiwisty - odparł z wahaniem Hapaldi.

- Pani kapitan!

To był Spatz z kostnicy.

Przeszli do większego pomieszczenia. Monitor komputera Spatza ukazywał kilka obrazów z lokalnych gazet. Wszystkie przedstawiały tego samego mężczyznę w średnim wieku, w drogich garniturach. Pochyliła się, żeby przeczytać podpisy: „Signor Alessandro Cassandre na inauguracji nowego centrum sztuki w Mestre...”, „Alessandro Cassandre wręcza przedstawicielom domu dziecka czek na milion euro...”, „Alessandro Cassandre z małżonką podczas gali sponsorowanej przez BCdV..”, „Alessandro Cassandre”.

Obejrzała się na Hapaldiego.

- Nadal go pan nie poznaje?

Pokręcił głową. Sprawdziła na oficjalnej liście masonów, jaką od niego dostała - nie było na niej żadnego Cassandrego.

Wpisała w Google „BCdV bank prywatny” i kliknęła w pierwszy wynik.

*Witamy na stronie Banca Cattolica della Veneziana*

*Kim jesteśmy. Co robimy. Nasz zespół.*

Kliknęła w „Kim jesteśmy”.

*Banca Cattolica della Veneziana to czwarty najstarszy bank we Włoszech, jeden z garstki ocalałych jeszcze banków prywatnych. Oryginalnie był organizacją samopomocy i pożyczał pieniądze w sposób zgodny z zasadami religii. Obecnie, w imieniu licznych klientów prywatnych i instytucji, zarządza trzydziestoma miliardami euro.*

*W roku 1904 mniejszościowe udziały w banku zakupił l’Istituto per le Opere di Religione, formalizując związek istniejący ponad dwa stulecia.*

- IOR - powiedziała głośno. - Bank Watykański. Nasz człowiek ma bardzo poważne powiązania.

Kliknięcie w „Nasz zespół” przywołało fotografie najważniejszych pracowników. Pod każdym nazwiskiem umieszczono krótki opis specjalizacji danej osoby. Cassandre kierował działem „Wealth management i doradztwo podatkowe”.

Kat zerknęła na ciało, porównując twarz z fotografią na monitorze.

- Jak pani myśli? - zwróciła się do Bagnasco.

Odkąd weszły do kostnicy, podporucznik prawie się nie odzywała - pewnie chciała się ustrzec przed powtórzeniem porannej wpadki.

- Nie jestem pewna - odparła z wahaniem. - Wygląda chyba jakoś inaczej. Młodziej.

- Dlatego że jest martwy. I leżał w morskiej wodzie. Po kilku godzinach skóra się napina. To jak lifting twarzy, tyle że chwilowy. To stanowczo on, chociaż żona musi go formalnie zidentyfikować.

- Pojedziemy z nią porozmawiać?

Kat raz jeszcze przyjrzała się zabitemu. Teraz, kiedy umyty leżał na wznak, prawdopodobna przyczyna śmierci stała się oczywista - nie ta otwarta rana na szyi, ale niewielkie i czyste ukłucie obok lewego sutka. Ostrze ustawiono dokładnie nad sercem. No tak, przypomniała sobie: Cassandre klęczał wtedy, z obnażoną piersią i w tych specjalnych goglach. Zabójca nie musiał się spieszyć i precyzyjnie wybrał miejsce.

Ale i tak nie było żadnych dodatkowych ran, żadnych pchnięć dla pewności albo dla wyładowania złości zabójcy. To była zimna, precyzyjna śmierć zadana ręką eksperta.

Czyli profesjonalny zabójca. Martwy wolnomularz, nienależący do oficjalnej miejscowej loży, pozostawiony na pokaz na najbardziej zatłoczonej weneckiej plaży. A teraz katolicki bank... Sprawa miała wszelkie oznaki jednej z tych zagadek, które nigdy nie znajdują rozwiązania, o których ludzie rozmawiają potem przez lata, wzruszając ramionami i spoglądając znacząco. Kolejny przypadek pajęczej sieci wpływów i korupcji, która wciąż - mimo tak wielu skandali i czystek - dręczyła ten kraj.

I z jakiegoś powodu właśnie ona - najmniej doświadczona detektyw wśród karabinierów - dostała przydział do tego dochodzenia, a jako dodatek tę parodię asystentki. Po raz pierwszy zastanowiła się, czy nie było to umyślne.

- Nie - rzekła. - Idziemy do prokuratora i prosimy o nakaz.



## Sześć

Resztę dnia Holly spędziła w internecie, przypominając sobie szczegóły operacji Gladio. Była jeszcze dzieckiem, kiedy sprawa przyciągnęła publiczną uwagę, ale znała główne fakty.

W 1990 roku, uprzedzając działania zdeterminowanego prokuratora, włoski premier Giulio Andreotti wystąpił w parlamencie i ujawnił istnienie tajnej armii złożonej z włoskich cywilów, rekrutowanych, przeszkolonych i wyposażonych przez NATO; mieli oni działać jako paramilitarny ruch oporu w razie komunistycznej inwazji, ale też - gdyby trzeba było - w przypadku zwycięstwa komunistów w wyborach. Dzisiaj ten pomysł wydaje się całkiem wydumany, ale wiedziała, że w okresie zimnowojennej paranoi, kiedy Włoska Partia Komunistyczna rutynowo zbierała ponad trzydzieści pięć procent głosów, taki scenariusz uważano za całkiem realny.

Wściekłość, jaką wzbudziły rewelacje Andreottiego, nasiliła się jeszcze, kiedy w konsekwencji wyszło na jaw, że niektórym z „gladiatorów” - ich nazwa pochodzi od słowa *gladius*, oznaczającego krótki miecz używany przez rzymskich legionistów - bardzo było daleko do zdyscyplinowanej i czekającej na rozkaz armii, jaką opisywał premier. Zamiast tego wykorzystywali swoje szkolenie i dostarczane przez NATO materiały wybuchowe do siłowych interwencji we włoską politykę. Takie akcje było elementami skoordynowanej „strategii wzrostu napięcia”, mającej prowadzić - jak żywili nadzieję - do powszechnych żądań wzmocnienia środków bezpieczeństwa. Przez lata wiele okrutnych zbrodni burzliwych lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych - tak zwanych *anni di piombo*, „lat ołowiu” - okazało się dziełem „gladiatorów”. Jednak nawet dzisiaj, po czterech dekadach, wyroki zapadały rzadko.

Na podstawie tego, czego się dowiedziała z memorandum, doszła do wniosku, że rola jej ojca w tej sprawie była raczej incydentalna. Większa część praktycznych szkoleń „gladiatorów”, jak napisał, odbywała się w Capo Marrargiu, na dalekim zakątku Sardynii. Personel z Camp Darby dzielił się z nimi jedynie teoretyczną wiedzą w takich kwestiach jak bezpieczna łączność i taktyka. Ale i tak miała wrażenie, że za bezbarwnym, urzędowym tonem raportu dostrzega poczucie niepewności wobec tego, w czym rozkazano mu uczestniczyć.

*Nie do nas w Camp Darby należało kwestionowanie sposobu, w jaki rozwiązano siatkę - nie bardziej niż było naszą rolą wyrażanie opinii na temat uzbrajania tych, których ideologia była może żarliwie antykomunistyczna, ale ich praktyki, profesjonalizm i poczucie honoru często bardzo wyraźnie sprzeciwiały się zasadom armii amerykańskiej.*

Uświadomiła sobie, że jeśli chce znaleźć jakiegokolwiek bezpośrednie dowody związku memorandum z wylewem ojca, nie dokona tego z domu rodziców na Florydzie, ponad siedem tysięcy kilometrów od miejsca wydarzeń.

Mimo tego, co przydarzyło się jej w trakcie ostatniego pobytu we Włoszech, przyszedł czas, by

powróciła do kraju, który wciąż uważała za swój dom. Zalogowała się na stronie Delta Airlines i zarezerwowała lot.

Kiedy załatwiła tę sprawę, na panelu informacji zauważyła nową wiadomość: „Twórca Carnivii się wycofuje”. Lektura artykułu wzbudziła w niej mieszane uczucia. Należała do bardzo nielicznych osób, które mogły twierdzić, że dobrze znają Daniele Barba - miała z nim przelotny romans, który zakończył się po jej przeżyciach w kompleksie jaskiń pod Longare. Wątpiła, czy odnowią związek. Uważała go za człowieka fascynującego, był jednak zbyt trudnym partnerem i zbyt wrażliwym dla kogoś, kto sam tyle wycierpiał. I wprawdzie - jak wszyscy - zachwycała się tym obsesyjnym uporem, który pozwolił mu stworzyć dokładną trójwymiarową replikę Wenecji, jednak Carnivia zawsze wydawała się jej nieco przerażająca. Wiedziała, że jej wenecka przyjaciółka, Kat Tapo, nie zgadza się z tą opinią i wychwalane techniki szyfrowania Daniele uważa za współczesny odpowiednik masek, jakie jej przodkowie nosili, by uprawiać hazard, plotkować czy nawiązywać romanse. Jednak Holly miała bardziej purytańskie poglądy.

Była jednak ciekawa, co skłoniło Daniele do takiego kroku. Kliknęła w kilka linków i przekonała się, że spekulacji nie brakuje. Wielu określało zdarzenie jako najbardziej spektakularną abdykację od czasów, kiedy Dong Nyugen wycofał z sieci swoją grę *Flappy Bird*, gdwz otrzymywał nieprzyjemne komentarze na temat rozgrywki, chociaż w owym momencie była to jedna z najbardziej popularnych gier na świecie. Ogólnie wszyscy się zgadzali, że Barbo musiał przeżyć jakieś załamanie.

Sugestia, że istotnie interesuje go usadzenie gości na weselach, została oczywiście odrzucona jako dość dziwaczny żart.

Ale Holly dobrze wiedziała, że Daniele nie żartuje. Szukała dalej. W końcu trafiła na post wysłany przez młodego wykładowcę z Massachusetts Institute of Technology, zatytułowany:

Ja p\*\*\*lę - Daniele Barbo uważa, że potrafi rozwiązać  $P=NP$

$P=NP$ , jak tłumaczył, to jeden z najważniejszych problemów matematycznych ery komputerów, a także jeden z sześciu pozostałych do rozwiązania Problemów Milenijnych. W uproszczeniu chodziło o kwestię, czy istnieje algorytm pozwalający komputerowi znaleźć rozwiązania skomplikowanych problemów matematycznych tak szybko, jak szybko może je sprawdzić.

Wiedząc, że to proste wyjaśnienie może przekraczać wiedzę czytających, podał kilka przykładów z życia:

*Przypuśćmy, że chcemy odwiedzić Disney World, a wiemy, że do najpopularniejszych atrakcji są długie kolejki. Próbujemy więc opracować trasę, która ograniczy do minimum czas oczekiwania. W ramach jednodniowej wejściówki mamy prawo wstępu na 21 atrakcji - to oznacza 51 090942 1 71 709440 000 możliwych tras, sześć razy więcej niż przybliżona liczba ziarenek piasku na Ziemi.*

*Ale z drugiej strony, jeśli wygenerujemy dwie trasy i znamy szacowany czas oczekiwania w każdym miejscu, łatwo możemy sprawdzić, która z nich jest lepsza. Inaczej mówiąc, łatwo jest sprawdzić rozwiązanie. Dlaczego nie możemy stworzyć programu komputerowego, który z równą łatwością opracuje najlepszą trasę? W tej chwili potrafimy tylko generować rozwiązania jedno po drugim i porównywać je - nazywa się to czasem algorytmem typu brute force, co jest ładniejszą nazwą dla metody prób i błędów. Kiedy liczba możliwych rozwiązań jest tak wielka jak 21 silnia, jak w disneyowskim przykładzie powyżej, wykonanie programu potrwa dłużej niż ludzkie życie - nawet dla komputera.*

*Rozsadzanie gości to inny przykład tego samego problemu. Powiedzmy, że na wesele przyjdzie pięćdziesiąt par, a przy każdym stole może usiąść dziesięć osób. Jak rozsadzić te pary tak, by każdy siedział obok kogoś, kto nie jest jego/jej partnerem? Dodatkowo - skomplikujmy nieco sprawę - jak równocześnie dopilnować, by każda para ze strony pana młodego siedziała przy stole przynajmniej z jedną parą ze strony panny młodej? Przypuśćmy dalej, że pan młody zaprosił piętnastu kolegów ze swojej drużyny rugby, a ci zwykle się upijają i śpiewają nieprzyzwoite piosenki, jeśli tylko siedzą przy*

tych samych stołach... Ludzie zwykle znajdują akceptowalne rozwiązania takich problemów, ponieważ łatwo się przekonać, które jest poprawne. Czemu nie jest możliwe stworzenie algorytmu, który robiłby to za nas?

Algorytm to żadna magia - to tylko zbiór instrukcji przeprowadzenia obliczeń. Korzystaliśmy z algorytmu za każdym razem, kiedy w szkole mnożyliśmy pisemnie duże liczby. Ale w podanych wyżej przykładach nikt jeszcze nie znalazł algorytmu, który pozwoliłby komputerom uzyskać rozwiązanie w tym, co matematycy nazywają czasem wielomianowym, albo  $P$ -to znaczy w czasie, który nie jest bezsensownie długi.

Chodzi o to, że gdyby taki algorytm istniał, mógłby zrewolucjonizować realizację zadań, jakie zwykle zlecamy komputerom. Moglibyśmy wykorzystać maszyny do szukania odpowiedzi na wszystkie zagadki naszego istnienia, poczynając od tego, dlaczego fala załamuje się tam, gdzie się załamuje, po wpływ smug kondensacyjnych odrzutowców nad Nowym Jorkiem na prawdopodobieństwo deszczu w Londynie. Komputery mogłyby skanować wszystkie szczegóły naszych osobowości i odszukać tę jedyną osobę na świecie, mającą największe szanse, by być naszą pokrewną duszą. Zamiast sadzać nieskończenie wiele małą przy nieskończeniu wielu klawiaturach, by napisać dzieła Shakespeare'a, komputer generowałby sztuki pod każdym względem szekspirowskie - z wyjątkiem rzeczywistego autorstwa. Oznaczałoby to - w teorii - że Amazon mógłby pisać książki specjalnie dla nas, opierając się na ulubionych fragmentach i postaciach z prac innych autorów. Czy też, bardziej altruistycznie, jeśli marny pięćdziesięciu dawców nerki i pięćdziesięciu dializowanych, w ciągu kilku sekund dałoby się znaleźć najlepsze ich dopasowanie.

W rezultacie również - co ironiczne - szyfrowane serwisy, takie jak Carnivia czy PayPal, miałyby poważne kłopoty, gdyż hakerzy szybko by generowali klucze prywatne, od jakich zależy tamtejsze kodowanie.

Wielu ludzi uważa - co należy zaznaczyć - że świat, w którym  $P$  równe jest  $NP$ , byłby miejscem bardziej sterylnym i mniej interesującym; takim, w którym kreatywne przeskoki, intuicja i instynkt nie odgrywałyby praktycznie żadnej roli. Z tego właśnie powodu niektórzy wierzą, że  $P$  nie może być równe  $NP$  - że praktycznie dotarliśmy do granicy tego, co może dla nas zrobić matematyka, a więc i komputery.

Daniele Barbo nie jest powszechnie znany w świecie matematyków - nie jest Perelmanem ani Yau. Ale jego wczesna praca o dywergencji Kullbacka -Leiblera była zaskakująco oryginalna. Może trzeba kogoś takiego, kto myśli bardziej jak komputer niż jak ludzka istota, by pomóc komputerom wykonać kolejny krok w stronę myślenia.

Z drugiej strony, jego praca była opublikowana prawie dwadzieścia lat temu, a od tego czasu nie napisał niczego godnego uwagi. Trzeba było 357 lat, by Andrew Wiles znalazł dowód wielkiego twierdzenia Fermata, a ponad 100, by Perelman udowodnił hipotezę Poincarego. Problem  $P=NP$  został sformułowany w roku 1971 - i za samo jego postawienie Steve Cook dostał Medal Fiełdsa. Dlatego na razie nie obstawiałbym zbyt wysoko zdobycia przez Daniele Barba Nagrody Milenijnej.

Pod tekstem było czternaście komentarzy, w których piszący zgadzali się z autorem. Holly miała ochotę dodać jeszcze jeden, ale postanowiła zachować swoje przemyślenia dla siebie. Młody wykładowca z MIT znał się może na matematyce, ale nie znał Daniele Barba.

## Siedem

- Jeśli będziemy czekać, aż żona formalnie go zidentyfikuje, wszelkie potencjalne dowody w jego biurze z całą pewnością zostaną usunięte - tłumaczyła cierpliwie Kat. - Nakaz rewizji gabinetu już teraz to jedyny sposób, byśmy dostali to, co tam chował.

Prokurator Flavio Li Fonti zwrócił się do swojej zastępczyni, prawniczki Melissy Romano.

- Domyślam się, że ma pani coś do powiedzenia, *avocatessa*?

- Rzeczywiście mam - odparła rzeczowo. - Jak rozumiem, pani kapitan, nie ma pani prawdopodobnych uzasadnień, że takie dowody w ogóle istnieją. Rewizja to zwyczajne szukanie po omacku.

- Ten człowiek był bankierem, a jego śmierć łączy się z wolnomularzami - upierała się Kat. - Jego rany dowodzą, że nie zginął w awanturze domowej. Zatem przeszukanie gabinetu raczej wcześniej niż później to rozsądny środek ostrożności.

Rozmawiali w gabinecie Li Fontiego w Cittadella della Giustizia, Pałacu Sprawiedliwości, jednym z nielicznych szokująco nowoczesnych budynków w Wenecji. Oboje prokuratorzy byli już w sądzie i teraz nosili oficjalne togi i białe żaboty. Kat i Bagnasco usiadły naprzeciwko, po drugiej stronie biurka Li Fontiego.

- Nic nie sugeruje, że zginął w miejscu pracy. Bardziej logiczne byłoby przeszukanie najbliższej łoży masonskiej. - Li Fonti założył nogę na nogę.

- Nie ma go na liście członków oficjalnej weneckiej łoży.

- Przez to związek z masonerią wydaje się tym bardziej wątpliwy - zauważyła Melissa Romano. - Pani argument sam się obala, pani kapitan.

Kat z doświadczenia wiedziała, że te obiekcje, wypowiedziane tonem sugerującym, że tylko marnuje tu czas, w rzeczywistości wcale tego nie oznaczały. Dobrzy prokuratorzy nie dają sobą dyrygować, zwłaszcza jeśli chodzi o nietypowe decyzje. Raczej poddadzą całą argumentację testom niszczącym i dopiero wtedy coś postanowią.

A Flavio Li Fonti był bardzo dobrym prokuratorem. Dowód tego dało się zauważyć przez otwarte drzwi gabinetu: w poczekalni siedziało dwóch cywilnych ochroniarzy, bawiących się komórkami. Ciągąca się prawie osiem lat seria procesów, która unicestwiała rozległą sieć narkotykową 'Ndranghety, była spektakularnym sukcesem. Skazani mafiosi jeden po drugim stawali się *pentito* i obciążali innych w zamian za niższe wyroki. Ale 'Ndrangheta nie jest organizacją, która wybacza i zapomina. *Pentiti* mogli zniknąć i rozpocząć nowe życie za granicą, ale Li Fonti zapłacił wysoką cenę za swój sukces: był teraz ochraniający przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, nigdy nie spędzał w jednym miejscu więcej niż jednej nocy w tygodniu, nigdy nie jeździł tą samą trasą do biura ani do sądu. Kosztowało go to małżeństwo, ponieważ żona otrzymała nową tożsamość, tak jak *pentiti*, i wyjechała z kraju. Podobno dzieci widywał najwyżej pięć czy sześć razy w roku. Nie miał więcej niż czterdzieści lat, ale twarz

poorały mu zmarszczki, a w jego oczach zawsze można było dostrzec smutek.

- Oczywiście sytuacja byłaby inna, gdyby sugerowała pani, że zabójca mógł się z nim kontaktować przez biurowy komputer - powiedział z namysłem.

- Właśnie o to mi chodzi - zgodziła się szybko Kat, wdzięczna za wskazówkę. - Jako bankier na pewno pracował po godzinach. Jego życie osobiste i życie zawodowe musiały się zazębiać. W komputerze mogą się znaleźć informacje, które pomogą zidentyfikować zabójcę.

- Proszę mi coś wyjaśnić, pani kapitan - odezwała się Melissa Romano. - Mam wrażenie, że odrzuca pani najbardziej logiczne wytłumaczenie dla tego sposobu zabójstwa: że zdradził jakieś masońskie sekrety związane z ich rytuałami i że jego bracia masoni wymierzili mu stosowną karę. Dlaczego?

Kat zastanowiła się przez chwilę.

- Przypuszczam, że mnie samej trudno jest traktować poważnie wszystkie te bzdury o starożytnych rytuałach. Dlatego odruchowo wątpię, by ktokolwiek inny tak się nimi przejmował, żeby z tego powodu zabić. Poza tym mieliśmy już we Włoszech masońskie skandale, prawda? Banco Ambrosiano, P2. Roccella Ionica, Catanzaro... ta lista ciągnie się dalej. I praktycznie za każdym razem chodziło o władzę, korupcję i łapówki dla urzędników państwowych. Jestem przekonana, że śmierć Cassandrego miała być ostrzeżeniem dla innych masonów. Ale cokolwiek zdradził, podejrzewam, że miało to związek z wpływami i pieniędzmi, a nie jakimiś w półzapomnianymi rytuałami.

Li Fonti podjął decyzję.

- Zgoda. Dostanie pani nakaz przejęcia jego komputera i rejestrów telefonicznych. Ale nic więcej. Proszę wrócić za dwadzieścia minut po papiery.

- Dziękuję.

Kiedy dwie *carabiniere* wstały, Li Fonti zwrócił się do Bagnasco.

- Jak rozumiem, jest pani tu nowa, *sottotenente*?

- Tak - przyznała. - To mój pierwszy przydział w Wenecji.

Uśmiechnęła się, wdzięczna, że ją zauważył. Przystojny prokurator z tragiczną historią życia budził powszechne drżenie serc młodszych funkcjonariuszek.

- Niech pani się trzyma kapitan. - Skinął głową na Kat. - Może się pani wiele nauczyć.

- Na pewno - zgodziła się Bagnasco, choć tonem lekkiego powątpiewania.

\* \* \*

Już na zewnątrz, Kat spojrzała na podporucznik.

- Pamięta pani, jak nasz nudysta zeznał, że widział statek wycieczkowy płynący na północ? To znaczy, że zmierzał do Wenecji, nie odpływał. Jest szansa, że wciąż stoi zacumowany przy terminalu.

Jak większości weneccjan, Kat nie podobało się, że te ogromne pływające drapacze chmur mogą wpływać do samego serca miasta, przez Bacino di San Marco i wzdłuż Canale della Giudecca. Wielu twierdziło, że ich potężne *moto ondoso*, fala wzbudzana wielkimi śrubami, niszczy historyczne budynki. Nawet przy własnym biurku w Campo San Zaccaria Kat czuła niekiedy wibracje, kiedy przepływały te behemoty. Kampania za ograniczeniem ich wielkości i liczby toczyła się od lat, ale dolary turystów były zbyt ważne, by zakazać takich wizyt.

- Każdemu statkowi, który płynie do Wenecji albo wypływa z portu, portowy system nawigacyjny nadaje identyfikator, LOCODE - mówiła dalej. - Jeśli ta druga łódź, którą widział, rzeczywiście była wodną taksówką, mógł ją zarejestrować radar pokładowy. Niewielka szansa, ale jednak... Niech pani poprosi kapitanów wszystkich zacumowanych w terminalu statków o kopie raportów radaru.

- Oczywiście. - Bagnasco kiwnęła głową.

Kiedy zniknęła, Kat zawróciła i weszła z powrotem do budynku. Tym razem drzwi gabinetu Li Fontiego były zamknięte. Zapukała. Ochroniarze spojrzeli na nią bez zainteresowania i wrócili do swoich telefonów.

- Wejść - odezwał się Li Fonti.

Uniósł głowę znad biurka, kiedy zamknęła za sobą drzwi.

- Tak myślałem, że to będzie pani.

Zdjęła kurtkę.

- Co pani robi, kapitan Tapo? - zapytał, unosząc brew.

Rozpięła bluzkę.

- Rozbieram się.

- To zauważyłem. Ale dlaczego?

- Żeby zrobić to, co obiecałam, że zrobię, jeśli załatwi mi pan własne dochodzenie w sprawie zabójstwa.

- Muszę przyznać, że nie byłem pewien, czy można to uznać za umowę prawnie wiążącą. - Patrzył, jak zdejmuje z siebie ubranie.

- Ponieważ obietnica została złożona w okolicznościach, które można uznać za ograniczające swobodę decyzji.

- Chcesz powiedzieć, że mnie wtedy pieprzyłeś?

- Muszę też zaznaczyć, że nie było niczego niewłaściwego w decyzji, by wyznaczyć panią do prowadzenia tej sprawy. Generał Saito z całym przekonaniem twierdzi, że jest pani odpowiednią osobą.

- Mimo to oferta jest ważna. - Zsunęła spódnicę.

Podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku.

- W takim razie wygląda na to, że mam teraz ważną konferencję.

- Nawiasem mówiąc, miałaś rację - oświadczyła, zbliżając się do niego. - W tym, co mówiłeś wcześniej. Gdybyśmy zaczęli szukać dowodów bez uzasadnionych powodów, stalibyśmy się państwem policyjnym. - Podniosła ręce i rozpięła włosy; potrząsnęła głową i czarna fala opadły jej na ramiona. - Ale musiałam spróbować.

- I miałaś rację - przyznał. - Gdybyś czekała na formalną identyfikację, jego gabinet zostałby wyczyszczony, zanimbyś tam dotarła.

- I tak może być.

- Przynajmniej nakaz zbadania komputera pozwoli ci tam wejść. Sądzę, że przy okazji zadasz wszystkie istotne pytania? Ta sprawa śmierdzi bardziej niż woda za tym oknem. - Sięgnął po karabinierski kapelusz i nasadził jej na głowę. - Przy okazji, sądzę, że tego nie powinnaś zdejmować.

- Zgoda. - Pchnęła go na biuro. - A teraz już przestań gadać, dobrze?

# Osiem

Daniele przejrzał załączniki, jakie przesłał mu Max.

*Która część?*

*Dowolna. Ten tekst o P=NP. Albo to, co piszą na Huffington Post, że miałeś jakieś załamanie.*

*Nic mi o tym nie wiadomo,* odpowiedział ostrożnie Daniele.

Z boku ekranu następne trzy awatary wyskoczyły w chat roomie, zarezerwowanym do wyłącznego użytku magów. Byli to administratorzy Carnivii: Erie, Anneka, Zara i Max.

Byli prawdopodobnie jego najstarszymi przyjaciółmi. Zara pomagała mu nawet przy opracowaniu kodu Carnivii, kiedy ta była jeszcze opensource'owym, zbiorowym projektem. W prawdziwym życiu spotkał Zarę tylko raz; odkrył wtedy, że jest całkowicie głucha i prawie niema - jej mowa była niezrozumiałym bełkotem. W sieci wydawała się najbardziej błyskotliwa i elokwentna z nich wszystkich. Maxa widział parę razy na konferencjach w Stanach; okazał się otyły i rozpaczliwie nieśmiały, z brzuchem opiętym starą koszulką Nirvany. Anneki i Erica jeszcze nigdy nie widział w realnym świecie. Czasami zastanawiał się, jakie ułomności ukrywają ich pewne siebie sieciowe wcielenia. Podejrzywał, że teraz już nigdy się nie dowie.

To Max pełnił zwykle funkcję rzecznika. Ale dzisiaj wydawał się nietypowo niespójny.

*Nie mogę uwierzyć! Po prostu, kurwa, nie mogę uwierzyć.*

*W co uwierzyć?* - spytał Daniele.

*Że nas, kurwa, ZDRADZIŁEŚ!*

*Nie rozumiem,* odparł zdziwiony Daniele.

*Maxowi chodzi chyba o to,* wtrąciła Zara, *że twoje wystąpienie bardzo nas zaskoczyło. Nie mieliśmy pojęcia, co planujesz.*

*Oczywiście. Nie uprzedzałem was.*

**NIE WYDAJE CI SIĘ, ŻE WINIEN NAM BYŁEŚ PRZYNAJMNIEJ TĘ PIEPRZONĄ GRZECZNOŚĆ?**

To znowu Max.

Daniele nie zrozumiał.

*Dlaczego?*

*Jeśli chcesz oddać Carnivię komukolwiek,* napisał Erie, *czy choć przez moment pomyślałeś, że to powinniśmy być my?*

Daniele zastanowił się i spróbował sobie przypomnieć.

*Nie, nie pomyślałem.*

*On nie pyta, czy dosłownie rozważyłeś, czy nie, tę kwestię, Daniele,* wyjaśniła Zara. *Chodzi mu o to, że według nas powinieneś.*

*Ponieważ???*

**PONIEWAŻ TYRAMY ZA CIEBIE W TYM GÓWNIE! DLATEGO,** ryknął Max.

*Daniele, nie jestem pewna, czy zdajesz sobie sprawę, ile czasu zajmuje bycie magiem Carnivii. Trzeba załatwiać sprawy zapomnianych haseł. Rozstrzygać spory. Pacyfikować trolli. Odpowiadać na skargi...*

*Są skargi? Nie wiedział o tym.*

*Oczywiście, że są, burknął Erie.*

*Łatamy też luki w twoim kodzie, wtrącił znowu Max. O tym też pewnie nie wiedziałaś, co? Te miejsca, gdzie kod wielkiego Daniele Barba jest piękny, ale może odrobinę niepraktyczny. Jak ta funkcja pozwalająca wysyłać anonimowe wiadomości na telefony. Śliczny i elegancki skrypt. Wyłączyliśmy go, kiedy nauczycielka dostała groźby gwałtu od całej klasy.*

*Jeśli od całej klasy, czemu zwyczajnie wszystkich nie ukarała? - zdziwił się Daniele.*

*Chodzi o to, że sprzątam, rzeki Max. Czasami nie śpimy po parę dni. Nigdy nie prosiliśmy o nic w zamian. Ale zawsze zakładaliśmy, że JEŚLI Carnivia zmieni się w portal komercyjny, dostaniemy swoją działkę.*

*Nie zmienia się w portal komyjny.*

*Daj spokój. Kiedy przejdzie na własność użytkowników, jak długo przetrwa, zanim ją sprzedadzą? Już teraz doradcy sugerują inwestorom, żeby założyli sobie konta. To nic nie kosztuje, a może im przynieść fortunę, kiedy wykupi cię Google. Od twojego wystąpienia przybyło nam pół miliona użytkowników.*

*Więc czemu TY nie staniesz do wyborów? - napisał Daniele. Jesteś administratorem. Kto lepiej od ciebie może kierować Carnivią? Wtedy mógłbyś wprowadzić zabezpieczenia, żeby mieć pewność, że pozostanie niezależna.*

*Czyli poprzecz mnie? Mam oficjalne wsparcie Daniele Barba?*

*Daniele się zastanowił.*

*Przykro mi, Max. Po prostu nie chcę się w to wszystko mieszać.*

*Pieprz się.*

*Przykro mi, że tak to odbierasz.*

*Nie, wcale ci nie jest przykro. Dla ciebie nie ma sprawy, kiedy tak sobie siedzisz w weneckim pałacu swojego ojca. A kiedy ja wyjrzę przez okno, widzę obozowisko przyczep kempingowych.*

*Nie zdawałem sobie sprawy, że tak ci zależy na pieniądzach, napisał ze smutkiem Daniele. Myślałem, że wszyscy wierzymy w to samo.*

*Ja też, Daniele Barbo. Ja też.*

Daniele wylogował się. Wiedział, że przez resztę dnia niczego już nie zrobi. Umysł miał zamglony - nie tylko przez tę kłótnię z magami, ale z powodu tego, co napisał ten profesor z MIT. Ten człowiek wiedział, o czym mówi, i jego szczerą oceną szans na rozwiązanie problemu  $P=NP$  trochę Daniele załamała.

To nie znaczy, że nie doceniał trudności. Najświetniejsze umysły świata, ludzie, wobec których dokonano wszystkie osiągnięcia Daniele wydawały się drobnostkami, poświęcili lata na rozwiązanie zagadki  $P=NP$ . Większość uznała, że to niemożliwe. On jednak czuł, że ciągnie go do niej mimo wszystko.

To prawda, co napisał ten wykładowca: wielu naukowców uważało, że świat, w którym  $P$  równe jest  $NP$ , utraci część swojej cudowności. Będzie to świat, w którym takie przełomowe odbycia jak  $E=mc^2$  Einsteina czy prawo powszechnego ciężenia Newtona będą powstawać nie wskutek błysku natchnienia, jaki zdarza się raz na pokolenie, ale dzięki komputerom, cierpliwie skanującym najdalsze zakamarki matematycznych notacji, przegryzających liczby i przesiewających uzyskany potop danych niczym sonda łowiąca w głębokim kosmosie.

Ale w takim świecie, jak wierzył Daniele, znajdzie się miejsce także dla niego. Wiedział, że ludzie uważają go za dziwaczego: jego zniekształcona twarz, pozostałość po porwaniu w dzieciństwie, kiedy przestępcy obcięli mu nos i uszy, by skłonić rodziców do zapłacenia okupu, była po temu dostateczną przyczyną. Ale ci ludzie zapewne nie byli świadomi, że oni sami są dla niego równie niepojęci. Być może w świecie, gdzie  $P=NP$ , świecie pozbawionym dwuznaczności, zniknie wreszcie ten lęk, który go dręczył, kiedy starał się zgłębić emocje innych.



Westchnął i sięgnął po leżącą obok monitora kartkę. Był to list od jego opiekuna, Iana Gillroya; żądał, by Daniele opuścił Palazzo Barbo z powodu konieczności przeprowadzenia remontu. Elementy murów na najniższym poziomie były regularnie zalewane przez weneckie przypływy, a dodatkową erozję powodowało przeciekające szambo. Daniele nie był zaskoczony: na dole cuchnęło ściekami i kruszącym się kamieniem. Widział wilgoć pełznącą w górę po ścianach, a wiele podtrzymujących wyższe poziomy kamiennych filarów było miękkich w dotyku.

Według ocen inżynierów budowlanych, jak twierdził opiekun w liście, uznano, że jedynym rozwiązaniem jest odcięcie całego pałacu na linii wody, hydrauliczne podniesienie go o kilka metrów i zbudowanie nowych fundamentów. Operacja będzie kosztować miliony i potrwa lata. W tym czasie *palazzo* nie będzie się nadawał do zamieszkania.

Gdyby Daniele sprzedał Carnivię za najwyższą oferowaną cenę, mógłby zapłacić za to drobnymi. Ale i tak musiałby się wyprowadzić na czas remontu.

Upuścił list na podłogę. Zamierzał jak najdłużej ignorować jego treść.

## Dziewięć

Banca Cattolica della Veneziana mieścił się w pięknym sąsiedztwie Palazzo Dolfin-Manin, na wschód od mostu Rialto. Jeśli miał to być bank stosunkowo niewielki, jak sugerowała strona internetowa, z pewnością trudno było to odgadnąć, widząc przepych, jaki go otaczał. Ogromny hol wejściowy zdobiły ekstrawaganckie osiemnastowieczne murale, a popiersia weneckich arystokratów z wyższością spoglądały ze ściennych wnęk.

Kat pokazała zaskoczonej recepcjonistce nakaz i zażądała, żeby zaprowadzić ją prosto do gabinetu Alessandra Cassandrego.

- Nie ma go - oświadczyła recepcjonistka. - Zwykle nie przychodzi do pracy o tej porze. Gabinet będzie zamknięty...

- Więc proszę wezwać szefa ochrony, żeby otworzył.

Wskazała na zespół czterech karabinierów - jeden uzbrojony w taran - których ze sobą przyprowadziła, by pokazać, że jest gotowa na wszystko.

- Ale niech pani go poprosi, żeby się pospieszył. Tutejsze stare drzwi wydają się dość cenne i wolałabym ich nie rozbijać, póki nie będzie to absolutnie konieczne. Macie pięć minut.

Gabinet Cassandrego, kiedy wpuszczono ją tam dokładnie cztery i pół minuty później, okazał się wyposażony właśnie tak elegancko, jak należałoby oczekiwać od biura na pierwszym piętrze *palazzo* nad Canal Grande. Co ważniejsze, na blacie służącego za biurko ozdobnego starego *scrivania*, stał otwarty laptop. Dotknęła klawiatury, by sprawdzić, czy może pozostawiono go w stanie uśpienia, ale tak daleko jej szczęście nie sięgało - został jak należy wyłączony.

Jedna z fotografii na blacie przedstawiała Cassandrego odbierającego medal z rąk poprzedniego papieża. Podniosła ją i przeczytała podpis: „Przyznanie Krzyża Honorowego Pro Ecclesia et Pontifice sig. Alessandro Cassandre, wrzesień 1997”. Zdjęcie umieszczono bardziej z przodu i centralnie niż fotografię kobiety w średnim wieku i kosztownej sukni, zapewne żony.

Nakaz, jak się z radością przekonała, upoważniał ją do przejęcia „sprzętu komputerowego”, a nie tylko laptopa, więc mogła legalnie przeszukać gabinet Cassandrego, by sprawdzić, czy coś jeszcze odpowiada temu opisowi. W górnej szufladzie biurka znalazła osiem identycznych pendrive'ów, co uznała za dość niezwykle. Jeszcze więcej ich było w kopercie, inna zaś mieściła sztony o wysokich nominałach, pochodzące z Casino di Venezia. Pendrive'y schowała do foliowego woreczka na dowody, a sztony zostawiła na miejscu.

W następnej szufladzie znalazła dwa pudełka wizytówek. Jedne podawały adres banku i stanowisko Cassandrego jako starszego partnera. Drugi komplet, który wydawał się świeżo wydrukowany, zawierał słowa:

**Alessandro Cassandre**

**Wielka Loża Weneckiego Obrządku  
De la Fidelite**

A pod spodem symbol, który mgliście kojarzyła: krzyż wewnątrz kręgu, jakby nitki krzyżujące się w celowniku teleskopowym snajpera.



Wyglądało to trochę jak masońska wizytówka: pierwszy dowód, że naprawdę był masonem. Wsunęła kilka sztuk do następnego woreczka.

- Mogę spytać, czego pani szuka?

Obejrzała się. Ochroniarz, który otworzył im gabinet Cassandrego, odszedł, by poszukać jakiejś wyższej władzy. Mężczyzna, który siedł teraz pospiesznie w jej stronę, zapinając drogą marynarkę, był pewnie efektem tych poszukiwań.

- Jestem Hugo Speicher, prezes tego banku. Potrzebuje pani jakiejś pomocy?

Zaskakujące, ale nie rozżłościł się ani nie zaczął jej grozić, jak zapewne zareagowałoby wielu ludzi, gdyby odkryli, że karabinierzy przeszukują biuro ich partnera. Z drugiej strony, pomyślała Kat, prezes banku z pewnością nie jest głupi. Wie, że nie warto dyskutować z kimś, kto ma nakaz prokuratorski. Ale jeśli będzie współpracował, może dowie się, o co chodzi.

- Kiedy ostatnio widział pan signora Cassandrego? - spytała. Otworzyła trzecią szufladę i metodycznie sprawdzała zawartość.

- Trzy dni temu, wieczorem. Przed ostatnim spotkaniem zarządu. Dlaczego pani pyta? Ma jakieś kłopoty?

- Na Lido znaleziono ciało odpowiadające jego rysopisowi.

Uniosła głowę, by obserwować reakcję Speichera.

- Boże wielki... - Wydawał się szczerze zaszokowany. - I sądzicie, że ta śmierć ma związek z bankiem?

- Za wcześniej, by to ocenić. Ale proszę mi wyjaśnić, czym konkretnie zajmował się tutaj signor Cassandre?

- No więc... - Speicher zmarszczył czoło. - Trochę trudno to wytłumaczyć laikowi. Zasadniczo zajmował się złożonymi mechanizmami finansowymi, służącymi kompensacji ryzyka. A także doradztwem podatkowym dla osób prywatnych o wysokiej wartości netto, dla instytucji dobroczynnych i tak dalej. Ale był u progu emerytury. Większość jego normalnej pracy już dawno przejął młodszy personel.

- Ile miał lat? - spytała zdziwiona Kat. Mężczyzna w kostnicy nie mógł mieć wiele ponad pięćdziesiąt.

- Pięćdziesiąt cztery, o ile sobie przypominam. Ale poza bankowością miał też inne zainteresowania.

Czy się jej zdawało, czy rzeczywiście usłyszała w tonie prezesa leciutki ton niesmaku?

- Wydaje się, że państwa recepcjonistka dobrze zna jego rozkład dnia - zauważyła.

- Ma dobrą pamięć - odparł obojętnie. - Na pani miejscu nie doszukiwałbym się w tym zbyt wiele.

Przypomniała sobie nazwisko, które podał jej Hapaldi, jako potencjalnego członka czarnej loży masońskiej. Postanowiła spróbować.

- Czy signor Cassandre nadal prowadził rachunki Tignello? - spytała.

Speicher się zawahał.

- Jeśli pani nakaz nie obejmuje konkretnie takiej informacji, nie mogę potwierdzić żadnych informacji na temat klientów signora Cassandrego.

Zauważyła, że jednak nie zaprzeczył.

- Doskonale rozumiem.

\* \* \*

Po powrocie do Campo San Zaccaria zabrała spakowanego laptopa i pendrive'y do Giuseppe Mallego, informatyka i komputerowca w sztabie karabinierów. Dawno temu, kiedy budynek był klasztorem, poddasze mieściło sypialnie nowicjuszek. Na ścianie pozostał nawet fresk przedstawiający Zwiastowanie. W tej chwili pomieszczenie wypełniła plątanina sprzętu komputerowego. Kable i złącza wisiały na kołkach, które dawniej podtrzymywały kornety i szkaplerze, a półki przeznaczone na habity mieściły stosy twardych dysków.

- W teorii szukamy kogoś, kto mógłby mieć powód, żeby zamordować właściciela tego sprzętu - wyjaśniła mu. - Ale praktycznie chcę się o nim dowiedzieć jak najwięcej. Jego prezes bardzo gładko zdystansował właśnie swój bank od tego, czym gość się zajmował. Chciałabym wiedzieć dlaczego.

- Jakiś pomysł, od czego powinienem zacząć?

- Jak zrozumiałam, pracował dla fundacji dobroczynnych i osób prywatnych z wysokimi przychodami, potrzebujących porady podatkowej. Co wydało mi się dość dziwnym połączeniem.

Zastanowił się.

- Nie jestem ekspertem, ale mnie to wygląda na pranie pieniędzy.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Organizacje dobroczynne zbierają datki w gotówce. To pierwszy etap prania brudnych pieniędzy: trzeba mieć jakieś legalne źródło, skąd oficjalnie pochodzą.

- Czy takie pranie brudnych pieniędzy może obejmować kasyna? - spytała, pamiętając sztony w szufladzie.

Przytaknął.

- Bierze pani gotówkę do kasyna, kupuje sztony, a po kilku zagraniach wraca do kasjera, żeby je wymienić na pieniądze. Tylko że tym razem prosi pani nie o gotówkę, ale o elektroniczny przelew na konto. Dla kogoś, kto śledzi drogę tych pieniędzy, będzie to wyglądało, jakby wygrała je pani w kasynie.

- A te pendrive'y?

- Zobaczymy. - Wziął jeden z nich i wsunął do gniazda USB w podłączonym do komputera czytniku. - Na razie wykonuję tylko obraz, żeby nie uszkodzić zawartości - wyjaśnił. - Ach...

- Co to? - Patrzyła, jak jego palce śmigają po klawiszach.

Odwrócił ekran w jej stronę i zobaczyła rząd liczb.

- To pieniądze. Elektroniczne pieniądze. Łatwe do transferu, niemożliwe to wyśledzenia.

- Ile?

Znowu stuknął w klawiaturę.

- Kurs wymiany bitcoinów jest w tej chwili dość płynny. Ale według dzisiejszych danych, tylko na tym penie jest odpowiednik ćwierć miliona euro.

\* \* \*

Tymczasem Bagnasco przyniosła wydruki danych z radarów statków wycieczkowych i zajęła się identyfikacją jednostek wpływających do Wenecji lub z niej wypływających. Znalazła tylko jedną bez LOCODE: albo miała uszkodzony transponder, albo była za mała, żeby przyznano jej kod, albo załoga świadomie wyłączyła sprzęt, by uniknąć rozpoznania.

Łódź była zarejestrowana dwukrotnie, w odstępie kilkunastu minut; przesuwała się z południa na północ wzdłuż adriatyckiego brzegu Lido krótko po trzeciej nad ranem. Trzeci namiar, pół godziny wcześniej, uchwycił tę samą łódź wewnątrz laguny; płynęła na południe w stronę Bocca di Malamocco, położonego bardziej na południe przejścia na otwarty Adriatyk.

Inaczej mówiąc, pomyślała Kat, wyruszyła z punktu na południe od Wenecji, ale na północ od Malamocco.

Sprawdziła mapę: w tym rejonie leżało z pół tuzina małych wysepek. Większość z nich opustoszała już dawno - dawne garnizony wojskowe, szpitale zakaźne, kolonie trędowatych... Jedną z nielicznych wciąż zamieszkałych była La Grazia, należąca do hrabiego Birina Tignellego.

To za mało, by dostać nakaz rewizji, o wiele za mało. Ale przynajmniej zdobyła rozsądny pretekst, żeby zapytać Tignellego, czy może czegoś nie widział.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj musiała zorganizować sztab operacji, zebrać większy zespół karabinierów, wysłać do innych służb prośby o informacje. Musiała też spotkać się z żoną Cassandrego i przygotować identyfikację zwłok. W przeciwieństwie do niektórych oficerów Kat nie sprawiało to żadnych problemów. Czuła satysfakcję, że nawet wobec tak gwałtownych emocji potrafi zachować chłodny profesjonalizm. To była jedna z przesłanek, które przekonywały ją, że dobrze wybrała drogę kariery. Mimo to jednak musiała się chwilę zastanowić, jak najlepiej załatwić tę sprawę. W tym wypadku, uznała, musi się postarać wywrzeć nacisk nie tylko na żonę, ale też na lekarza sądowego. Podejrzała, że może jeszcze potrzebować więcej informacji o masońskim bractwie Hapaldiego.

\* \* \*

- Mogę o coś spytać? - odezwała się Bagnasco, kiedy w barze na rogu zamówiły *tramezzini* z tuńczykiem. I nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: - Ma pani do mnie jakieś uwagi?

- Uwagi? - zdziwiła się Kat.

- Wiem, że popełniłam kilka błędów. I naprawdę chcę się poprawić. Myślę, że najlepszym sposobem jest ciągła ocena. Bardzo się cieszę, że moim opiekunem jest kobieta. Jestem bardzo ambitna i uważam, że prokurator miał rację: mogę się wiele nauczyć od pani jako wzorcowego oficera. Chodzi mi o to, jak awansować wśród karabinierów, będąc kobietą.

Kat machnęła lekceważąco ręką.

- Świetnie pani sobie radzi. Proszę się nie przejmować.

Nie wiedziała, co odpowiadać ludziom, którzy przedstawiali się jako ambitni. Człowiek dostawał awans, bo był dobry, a nie dlatego, że opowiadał wszystkim, jak mu na tym zależy.

- Ale gdyby pani miała wystawić ocenę, od jednego do pięciu - nalegała Bagnasco. - Dobrze jest mieć coś takiego. Wtedy wiedziałabym, czy się poprawiam, czy nie.

Kat westchnęła.

- Wyjaśnijmy sobie jedno. To pani pracuje dla mnie, nie na odwrót. A ta praca, jaką obie wykonujemy, polega na wykryciu, kto wbił denatowi nóż w serce, poderżnął mu gardło i wyrwał język. Jeśli coś pani zrobi nie tak jak trzeba, powiem pani. Ale nie mani czasu ani energii, żeby codziennie oceniać pani postępy. Fakt, że obie jesteśmy kobietami, prawdę mówiąc, nie ma dla mnie znaczenia.

Chociaż asystent mężczyzna byłby pewnie mniej wymagający niż Bagnasco. A może wszyscy młodzi oficerowie używają teraz takiego korporacyjnego żargonu? Ta myśl sprawiła, że Kat poczuła się stara i cyniczna.

Przypomniała sobie, co wcześniej mówił Hapaldi. „Proszę nie być dla niej zbyt surowa - powiedział cicho, kiedy Bagnasco znalazła się poza zasięgiem słuchu. - Nie jest pierwszym oficerem, który zwymiotował na miejscu zbrodni”. I spojrział na nią znacząco. Musiał wiedzieć, że kiedyś Kat zrobiła to samo. Trafili wtedy na równie makabryczne morderstwo: ciało zabitego rybaka w Tzucono do betonowego pojemnika, gdzie trzymał złowione kraby - i one go pożerały. Aldo Piola splukał wtedy wymiociny, zanim zjawiała się ekipa techniczna. Pewnie później wspomniał o tym Hapaldiemu.

Nawet Flavio powiedział coś podobnego o Bagnasco, kiedy Kat wychodziła już z jego biura.

- Bądź dla niej łagodna - poprosił. - I tak ma ciężko, będąc twoim numerem dwa.

- Czemu? Aż takim jestem potworem? - spytała, ale on tylko się roześmiał.

Zerknęła na podporucznik, która teraz sprawiała wrażenie załamanej.

- Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak ostro. Ale popełniłam zbyt wiele błędów, by komukolwiek służyć za wzór. Najlepsza rada, jakiej mogę pani udzielić, jest następująca: należy skupić się na pracy. Aha: i nie sypiać ze starszymi oficerami.
- To znaczy tak jak pani z pułkownikiem Piolą?  
Czyli ludzie wciąż jeszcze o tym mówili...
- Jak ja z pułkownikiem Piolą, tak.
- Czy to prawda, że dla pani porzucił żonę? I że pani odesłała go do niej, bo się pani znudził?  
Kat była pewna, że asystent mężczyzna nigdy by nie zadawał tak osobistych pytań. Stłumiła jednak irytację.
- O ile mi wiadomo, pułkownik i jego żona zdecydowali się na separację i teraz są w trakcie rozwodu. Nie rozmawiamy o tych sprawach. Obecnie nasze kontakty są ściśle profesjonalne.
- Czy to kłopotliwe? Bo przecież często blisko współpracujecie.
- Nie - rzuciła gniewnie. - Prawdę mówiąc, o wiele łatwiejsze niż plotkowanie niczym dwie stare baby. - Wyjęła dziesięć euro i rzuciła banknot na ladę. - Idziemy. Praca czeka.

## Dziesięć

Na szczęście Bagnasco okazała się sprawna w wypełnianiu założeń budżetowych, przewidywanych godzin nadliczbowych, protokołów uzyskania dowodów i wszelkich innych formularzy, które sprawiały, że splątana biurokracja karabinierów ze zgrzytem ruszała do działania - o wiele lepiej jej to szło niż badanie miejsca przestępstwa czy przesłuchiwanie świadków. Kat zostawiła ją z tym wszystkim, a sama pojechała, by wieści o śmierci Cassandrego przekazać jego żonie.

Signora Cassandre okazała się kobietą bardziej elegancką, niż sugerowała fotografia na biurku jej męża. Choć była zszokowana, prezentowała nienaganne maniery. W pewnym momencie jednak chwyciła Kat za ramię i spytała, co się stanie z jej mieszkaniem. Było to dość niezwykle pytanie w takiej chwili, więc Kat chciała wiedzieć, o co chodzi.

- O kredyty - szepnęła zdenerwowana signora Cassandre. - Musiałam je podpisywać. Ale tłumaczyłam mi, że to tylko na krótki czas...

Kat notowała w pamięci, żeby ktoś sprawdził osobiste konta bankowe Cassandrego. Jeśli rzeczywiście zajmował się praniem pieniędzy, to gdzie trafiały zyski? Jego styl życia, jak wnioskowała z eleganckiego apartamentu, w dodatku ulokowanego w jednej z najmodniejszych części San Marco, był wystawny, ale chyba nie bardziej, niż można się spodziewać po partnerze w weneckim banku. A przecież były jeszcze te pieniądze na pendrive'ach. Jeśli nie należały do Cassandrego, to do kogo? Do klienta?

Odprowadziła signorę Cassandre do kostnicy, żeby zidentyfikowała męża. Pod głową denata Hapaldi umieścił drewniane klocki, a zwiniętą ściereczką zakrył otwartą ranę na szyi. I tak jednak wyrwanie języka spowodowało opuchliznę i groteskowe odkształcenie ust i policzków. Signora Cassandre przyjrzała się dokładnie, po czym spokojnym głosem potwierdziła, że to istotnie jej mąż.

Nie wolno nie doceniać opanowania ludzi z tej klasy, uznała Kat.

W przeciwieństwie do kobiety Hapaldi wydawał się mocno zdenerwowany.

\* \* \*

Będąc z powrotem w Campo San Zaccaria, Kat sprawdziła, czego dokonała Bagnasco i musiała niechętnie przyznać, że jest pod wrażeniem. Zauważyła jednak jeden poważny błąd.

- Prosiłam o ośmiu oficerów i dwudziestu *carabinieri*. Taki jest standard dla zabójstw. A pani wypisała trzech oficerów i ośmiu *carabinieri*.

Bagnasco przytaknęła.

- W przydziałach powiedzieli, że tylko tyłu mają do dyspozycji.

Kat poszła z tym prosto do generała Saita.

- Sam pan mówił, że to będzie rozległe i skomplikowane dochodzenie - przypomniała mu. -

Prawdopodobnie będziemy musieli skorzystać z ekspertów finansowych z Guardia di Finanza. A z powodu związku z masonami ludzie mogą niechętnie z nami rozmawiać. Dlatego potrzebujemy więcej ludzi niż zwykle, nie mniej.

Saito uniósł dłoń, by ją powstrzymać.

- Jest sierpień, pani kapitan. Gdyby pani nie zauważyła, wszyscy wyjechali. Ale skoro wspomniała pani o wolnomularzach... Chcę panią ostrzec przed wyciąganiem pochopnych wniosków. O ile się orientuję, na razie brakuje bezpośrednich dowodów na to, że masoni mają związek z zabójstwem naszej ofiary.

- Prawdopodobnie nie jest pan świadom ostatnich naszych odkryć, panie generale. - Opowiedziała krótko o znalezionych w gabinecie Cassandrego wizytówkach i o pendrive'ach pełnych elektronicznych pieniędzy. - Moja hipoteza robocza jest taka, że był zamieszany w przestępstwa finansowe i w efekcie mógł oszukać lub w jakiś sposób zdradzić innych wolnomularzy. Dlatego zabili go w sposób opisany w ich przysiędze.

- Czy kiedy go znaleziono, miał zegarek?

- Nie - przyznała, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

- A więc hipotezą o wiele bardziej prawdopodobną, pani kapitan, jest ta, że poszedł nocą popływać i ktoś go napadł - oświadczył chłodno generał.

- Ubrany do masońskiego rytuału? - zapytała zdumiona.

Wzruszył ramionami.

- To pani pierwsze samodzielne śledztwo. Mówię tylko, żeby nie dała się pani ponieść.

- Oczywiście, panie generale. Czy mam rację, sądząc, że pan także jest masonem?

Twarz Saita niczego nie zdradzała.

- A jaki to ma związek?

- Tylko ten, że w takich okolicznościach chcemy być odbierani jako całkowicie obiektywni.

Niektórzy mogą uznać, że staramy się odsunąć podejrzenia od masonów, by nikt nie zwrócił uwagi na liczbę *carabinieri* w szeregach wolnomularzy. - Mówiła tonem całkowicie neutralnym, tak jak on.

- Tak się stanie tylko wtedy, kiedy sami skierujemy uwagę opinii publicznej na tę sprawę. I właśnie o to mi chodzi, pani kapitan. Forsowanie bardziej... melodramatycznej interpretacji, niż uzasadniają zebrane dowody, może się okazać kontrproduktywne. Może wręcz być odebrane jako próba niedoświadczonego oficera wzbudzenia sensacji wokół dochodzenia, a w efekcie zwrócenia na siebie uwagi. Czy wyrażam się jasno?

- Dziękuję za ostrzeżenie, panie generale. Będę o nim pamiętać. Złagodniał.

- Proszę posłuchać... Kierując takim dochodzeniem, praktycznie pełni pani obowiązki majora.

Niech pani poprowadzi je jak należy, a może być pani pewna awansu. Ale też musi pani zrozumieć, co w tym kontekście oznacza dobrze poprowadzić dochodzenie.

- Zidentyfikować sprawcę i doprowadzić do skazania - odparła. - To jasne.

- Zawsze do tego zmierzamy, pani kapitan. Ale w tym wypadku występuje też inny, równie ważny aspekt. - Uniósł brwi. - Mówię o podtrzymaniu publicznego zaufania do karabinierów. Dokładnie i ostrożnie prowadzone dochodzenie, odpowiednie do wszystkich okoliczności... Tego właśnie teraz nam trzeba.

\* \* \*

Wciąż wrzała ze złości, idąc na dół. Saito otwarcie kazał jej się nie wychylać i pomachał jej perspektywą awansu, jeśli będzie posłuszna. Ale równocześnie krył swój tyłek, wyznaczając na prowadzącą śledztwo oficer, która wyraźnie nie należała do masonów. Jeśli zabójcy Cassandrego mieli nadzieję wywołać przerażenie, to im się udało.

Czekała na nią zdenerwowana Bagnasco.

- O co chodzi? - spytała Kat.

- Była pani ostatnio w żeńskiej szatni?

Kat westchnęła.

- Nie. I prawdę mówiąc, niespecjalnie mam teraz czas na takie bzdury. Co to jest tym razem? Ktoś postanowi! nam uświadomić, że jesteśmy lesbijkami? Albo dziwkami? Czy może lesbijskimi dziwkami?



Odkąd wstąpiła do służby, jej szafka regularnie bywała pokryta graffiti, prawdę mówiąc, niezbyt wyszukany.

- Niedawno pytała mnie pani o rady doświadczonej oficer. Oto jedna z nich: benzyna do zapalniczek zwykle czyści wszystko bez problemów.

- Wiem - zapewniła niecierpliwie podporucznik. - Też mi się to zdarza i na ogół nie zwracam uwagi. Ale myślę, że to powinna pani zobaczyć.

Kat poszła za nią do szatni. Tam, wymalowany sprayem na drzwiach szafki, zobaczyła krzyż w kole - ten sam symbol, jaki widziała na masońskich wizytówkach Alessandra Cassandrego.

- Co to znaczy? - spytała Bagnasco.

- To ostrzeżenie - wyjaśniła Kat. - Obserwują nas. I bardzo dobrze, bo my też ich obserwujemy.

\* \* \*

Tego dnia spotkała się jeszcze z archiwistą, którego nazwisko podał jej Hapaldi. Okazało się, że pracuje w najstarszej części kompleksu szpitalnego, kilkaset metrów od kostnicy. Wspięła się wąskimi schodami na pierwsze piętro i trafiła do długiego, dobrze oświetlonego pomieszczenia biblioteki pod pięknie zdobionym sklepieniem. Nie spodziewała się czegoś takiego, ale przez lata wielokrotnie się przekonywała, że Wenecja pełna jest takich ukrytych skarbów, zbyt licznych, by wymieniać je w przewodnikach i w konsekwencji niemal zapomnianych.

Jakiś mężczyzna stał pochylony nad gablotami wystawowymi.

- Signor Calergi?! - zawołała.

Mężczyzna odwrócił się i wtedy Kat zdziwiła się po raz drugi: nosił koloratkę.

- Właściwie to monsinior. Pani kapitan Tapo? Doktor Hapaldi uprzedził mnie, że pani się zjawi. Jak rozumiem, chce pani dowiedzieć się czegoś o wolnomularstwie?

- To prawda. - Nie była pewna, co jeszcze mówił księdzu Hapaldi.

- Znaleźliśmy ciało z poderżniętym gardłem i wyrwanym językiem.

Było porzucone na plaży, żeby zmyły je fale... Jak rozumiem, ma to jakiś związek z masońską przysięgą.

- Niektóre masońskie rytuały wspominają o takim scenariuszu, istotnie - potwierdził. - Ale nigdy nie słyszałem, by ktoś go zrealizował.

- Nasz denat nosił też dziwną maskę. Doktor Hapaldi nazwał ją kapturem. I sznur obwiązany wokół ramienia.

Monsinior Calergi pokiwał głową.

- To masońskie symbole związane z inicjacją brata na kolejny stopień wtajemniczenia, inaczej mówiąc, na wyższy poziom w organizacji. Kaptur reprezentuje mistyczną ciemność i ignorancję wprowadzanego. Mam tutaj kilka takich, z rozmaitych włoskich loży.

Zajrzała do wskazanej gabloty. Wewnątrz znajdowały się maski podobne do tej, którą miał na twarzy Cassandre, także z osłonami na oczy i dźwigniami, które je otwierały i zamykały.

- Dlaczego „kaptur”? To przecież okrycie całej głowy...

- To jedno ze znaczeń. Ale również zasłona na oczy.

- A ten sznur?

- Powróż symbolizuje tajemne powiązania łączące masonów. Wierzą oni, że pierwszym ich obowiązkiem jest zawsze pomoc bratu, niezależnie od okoliczności.

- Proszę wybaczyć to pytanie, ojcze, ale czy pan sam jest wolnomularzem?

- Interesuję się Kunsztem w sensie akademickim - odparł. - Ale stanowisko Watykanu jest takie, że nie można być równocześnie masonem i praktykującym katolikiem. Szanuję ten zakaz, oczywiście. Ale wolnomularstwo w Wenecji to element długiej i często szlachetnej tradycji. - Szerokim gestem wskazał pomieszczenie, w którym się znajdowali. - Na przykład to wszystko zbudowali poprzednicy ruchu wolnomularzy.

- Tę bibliotekę? Czy szpital?

~ Jedno i drugie. W trzynastym wieku była tu Scuola Grande di San Marco, jedna z pierwszych wielkich konfraterni w Wenecji. W owym czasie w mieście działało kilkanaście podobnych organizacji. Wolni mularze byli jedną z nich: coś w rodzaju cechu czy gildii wędrownych kamieniarzy, którzy podróżowali z kraju do kraju i budowali europejskie katedry. Ich symbole: trójkąt, zwornik i pion, przedstawiały sekret)' ich rzemiosła, których strzegli przed obcymi.

Szli wzdłuż rzędu gąbłot; Calergi wskazał kamienne tablice i Kat zobaczyła, że są rzeźbione w symbole, o których mówił.

- Potem, w osiemnastym wieku - podjął - pierwsi ludzie nauki znaleźli w tych niemal zapomnianych sekretach kamieniarzy coś w rodzaju alegorii własnych racjonalistycznych przekonań. Dla nich masoni Kunszt reprezentował wszystko, czym nie był Kościół: braterstwo równych sobie, w którym ludzie słuchali swego bliźniego, a nie dyktatu autokratycznego hierarchy; postępek i rozum zamiast średniowiecznych przesądów i konserwatyizmu; wzajemna pomoc i wspólny dobrobyt zamiast ofiar i walki. No i oczywiście absolutna lojalność wobec współbraci. Pod koniec osiemnastego wieku wolnomularstwo było w Wenecji czymś tak powszechnym, że masonskie symbole rzeźbiono otwarcie na bramach kościołów. Jeszcze dzisiaj można je znaleźć. Istniało realne zagrożenie, że masoni przejmą Kościół katolicki od wewnątrz.

- Co to znaczy: od wewnątrz?

Ojciec Calergi ściągnął wargi.

- Od samego początku wolnomularze byli nie tylko sekretnym stowarzyszeniem, ale stowarzyszeniem mającym sekrety. A najbardziej fundamentalnym z nich był ten, że Kościół nie ma monopolu na prawdę. W swoich rytuałach zastępowali Biblię Księgą Świętych Praw. Ich przysięgi odwoływały się do Wielkiego Architekta Wszechświata. Nie negowali istnienia Boga wprost, byli jednak otwarci na herezję, że boskość ma wiele masek, a katolickie bóstwo jest tylko jedną z nich.

- A od odrzucenia autorytetu Kościoła tylko niewielki krok dzielił ich od zakwestionowania autorytetu państwa?

- Otóż to - zgodził się. - Na przykład grupa masonów była odpowiedzialna za oddanie Wenecji bez jednego wystrzału ich współbratu

Napoleonowi Bonaparte. W następnym stuleciu odgałęzienie masonów, karbonariuszy, oskarżono o próbę obalenia rządu i przejęcia władzy dla siebie.

- Czyli wolnomularstwo od dawna łączy się z korupcją...

- Zgadza się. Pod wieloma względami masoni przypominali arystokratyczną wersję mafii i podążali podobną ścieżką. To, co zaczęło się jako sieć organizacji pomocy wzajemnej, których przetrwanie zależało od zachowania tajemnicy, stopniowo zaczęło przyciągać przestępców. W ostatnim stuleciu było to szczególnie widoczne, choćby w przypadku tak zwanych czarnych łóż, takich jak P2.

- P2... To Propaganda Due, tak?

Pamiętała, że Piola opowiedział jej trochę o skandalu P2, więc była ciekawa opinii archiwisty.

Pokiwał głową.

- Czarna loża, która działała mniej więcej od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego. Miała w szeregach ponad dwustu członków rządu, wyższych urzędników, dowódców wojskowych, dziennikarzy i biznesmenów. Wielki Mistrz uciekł za granicę i został *in absentia* oskarżony o spisek przeciwko państwu. Jednak w rzeczywistości nikt nie wie, jakie były cele i plany P2, nawet dzisiaj.

Wyjęła wizytówkę, jedną z tych, które znalazła w biurku Cassandrego.

- Czy według ojca wygląda to na wizytówkę oficjalnej loży?

Ojciec Calergi obejrzał ją dokładnie, wyraźnie zaskoczony. Pokręcił głową.

- „De la Fidelite” to historyczna wenecka loża, od dawna już nieistniejąca. Musieli przywołać tę

nazwę, by nadać sobie pozór autentyczności. „Trzeci stopień” to opis statusu Cassandrego: oznacza pełnoprawnego masona, członka wewnętrznego kręgu. Takie wizytówki były kiedyś ważnym elementem masońskich akcesoriów. Wystarczyło wręczyć ją Odźwiernemu, strzegącemu drzwi, by wykazać swoje dobre zamiary. Ale ten symbol na dole nie jest masoński, w każdym razie nie jest charakterystyczny dla masonów. Mam wrażenie, że gdzieś już taki widziałem, ale nie mogę sobie przypomnieć gdzie. Parę lat temu został zakazany: zaczęły go stosować jakieś nieprzyjemne prawicowe zbiry dla własnych celów. Czasem określa się go jako „krzyż Odyna”, ale dawno temu znany był jako *carita* i stanowił symbol jednej z najstarszych weneckich *scuole grandi*. Jest wyryty z boku Akademii, zajmującej ich dawną siedzibę.

- Ale czemu współczesna loża miałaby uznać za swój emblemat historyczny wenecki symbol? Ojciec Calergi był wyraźnie zatroskany.

- Nie wiem. Ale że symbol ten ma obecnie konotacje polityczne, to z pewnością niepokojący fakt.

I znowu wydało się jej, że kiedy archiwista odwracał się do swoich książek i gablot, dostrzegła w jego oczach cień lęku. Miała też wrażenie, że nie mówi jej wszystkiego. Ostrzeżenie, jakie pozostawiono na piaskach Lido, okazało się bardzo skuteczne.

## Jedenaście

- Bramka będzie otwarta za dwadzieścia minut - poinformował steward przy punkcie odprawy bagażu. Podał Holly jej paszport i kartę pokładową. - Życzymy miłego lotu do Włoch, pani podporucznik.

Holly skinęła głową. Kiedy poprzednim razem leciała w mundurze, urzędnik dodał szczere podziękowanie „za wszystko, co robicie, żeby Ameryka była bezpieczna”. Był to czas tak zwanego Przypływu, kiedy panował większy optymizm co do wojny z terrorem. Od długiego i powolnego wycofywania się z Afganistanu - porażki, słabo tylko udającej zwycięstwo - zwykli cywile nie wspierali wojska tak chętnie. A może to rewelacje takich ludzi jak Bradley Manning czy Edward Snowden powoli zmieniły dawne przekonania.

Z drugiej strony żołnierze w służbie czynnej nadal mieli prawo do darmowego korzystania z saloniku pierwszej klasy. Holly znalazła sobie miejsce wśród stukających na laptopach biznesmenów i raz jeszcze wyjęła memorandum ojca. Już kilka razy bardzo dokładnie przeczytała trzy kartki maszynopisu z podwójnym odstępem, sprawdzając w Google każde odwołanie. Niekiedy było to trudne - ojciec pisał dla ludzi obeznanych z mglistymi kryptonimami, wojskowymi skrótami i dawno już rozwiązanymi zarządami, o których wspominał w tekście. %ło też jasne, że wystąpienie Andreottiego, kiedy ujawnił włoskiemu parlamentowi istnienie siatki Gladio, całkowicie zaskoczyło wywiad wojskowy NATO. Ojciec opisywał stan bliski paniki, kiedy starali się zwinąć całą organizację, zanim dotrą do niej media. Ale Holly wracała stale do innego fragmentu memorandum:

*To pan Luca Boccardo, mój sąsiad i przyjaciel, pierwszy zwrócił moją uwagę na napływ nowych członków do naszej łąy. Zapytał, czy ja, jako amerykański oficer, mógłbym mu wyjaśnić, czy jest choć trochę prawdy w tym, co twierdzą niektórzy z nich: że byli członkami tajnej wojskowej organizacji mającej ratować Włochy przed lewicowym zagrożeniem i że po zdradzie premiera Andreottiego polecono im przegrupować się w ten sposób i oczekiwać dalszych instrukcji.*

*Znam signora Boccardo i wiem, że jest człowiekiem solidnym, nieskorym do wyciągania pochopnych wniosków. Postanowiłem więc ustalić, czy to, o czym mówił, jest prawdą. Z kolei nowi członkowie łąy natychmiast rozpoznali we mnie człowieka, który był zaangażowany w operację Gladio i - ku mojej konsternacji - rozmawiali ze mną otwarcie o tym, co nazywali krypzysem.*

„Krypzyś”, jak wiedziała, to określenie używane w kręgach wywiadu na wszystko, co pozwala danej osobie się ukryć, od munduru polowego snajpera po legendę agenta w terenie.

*Plan ten, jak twierdzili, został zasugerowany na najwyższym poziomie, całkiem możliwe, że przez samego Cezara. Odniosłem wrażenie, że to raczej nieoficjalne przezwisko niż kryptonim NATO, ponieważ imię to ani razu nie pojawiło się w żadnym z raportów, jakie ostatnio przechodziły przez moje ręce.*

*Ci ludzie, bez żadnych wyjątków, wyrażali się o dowództwie NATO jedynie z pogardą. Jak*

*twierdzili, NATO porzuciło ich, kiedy tylko osiągnęło swoje cele, pozostawiając przy tym Włochy w stanie politycznego chaosu, z niesprawnym rządem i głęboko zakorzenioną korupcją.*

- Pasażerowie lotu Delta Airlines sto sześćdziesiąt dziewięć do Wenecji proszeni są o przejście do bramki osiemnastej.

Metaliczny głos spikera wyrwał Holly z zadumy. Zamrugła. Przez ponad pół godziny wpatrywała się w słowa ojca.

Podjął najprostsze środki ostrożności i ukrył kopię memorandum. Przyszło jej do głowy, że powinna zrobić to samo.

Podeszła do stanowiska informacji.

- Macie tu kopiarke? I jakieś koperty?

- Oczywiście. - Asystentka wskazała centrum biznesowe z boku holu.

Podeszła do maszyny i zrobiła dwie kopie. Zauważyła też, że sprzęt jest nowy i oferuje rozmaite opcje, od wydruku dokumentów po wysyłanie skanów na Facebooka. Wcisnęła na ekranie klawisz MENU i wybrała „E-mail”.

## Dwanaście

Kolejny dzień także wstał jasny i gorący. Już o ósmej rano Kat czuła na twarzy słoneczny żar i była wdzięczna, że choć na kilka godzin może uciec przed duchotą i smrodem Wenecji. Pomyślała o jednym ze swoich ulubionych weneckich powiedzonek: *D'istad, anca i stronsi gaegia* - „Latem nawet gównu pływa”. Sens był taki, że w otoczeniu miernot nawet całkiem mierna osoba może błyszczeć, ale zawierało też całkiem dosłowną prawdę: o tej porze roku, nad każdym kanałem i *rio* unosił się lekki odór ciepłego szamba.

Nie miała żadnego pretekstu, by włączyć niebieskie migające światło, więc spokojnie sterowała służbową motorówką. Ale też sama była w refleksyjnym nastroju. Masoni, katolickie banki, pranie pieniędzy... a jeśli ojciec Calergi miał rację, to również polityka. Zdawało się, że we Włoszech wszędzie działają jakieś ukryte siły, a macki korupcji sięgają tak daleko w głąb zwykłego życia, że stały się praktycznie niewidzialne - to znaczy dopóki nie ścisnęły lekko i zwykłe życie nie rozpadało się na kawałki. Nic dziwnego, że ludzie nie próbowali nawet walczyć z tymi siłami, tylko przymykali oko albo wyciągali rękę po swoją działkę. Ale kto właściwie jest korumpowany w tej sprawie? I kto lub co, poza nieszczęsnym Cassandrem, jest celem?

Potrzebowała dwudziestu minut, żeby dotrzeć do la Grazia, wyspy kupionej przez Tignellego. Z bliska widziała, że rosną tam piękne zagajniki tamaryszków i sosen, są też winnice i zadbane, otoczony murem ogród. Wszystko prezentowało się nieskazitelnie. Nowo wzniesiony granitowy mur chronił przed pływami, a dębowy pomost zdobiły mosiężne balustrady. Najwyraźniej pieniądze nie stanowiły dla właściciela problemu. Za długim i nachylnym trawnikiem wznosił się dawny klasztor, od którego wyspa wzięła nazwę. Kiedyś był praktycznie ruiną, ale nowy właściciel dużo zainwestował w odbudowę. Gotyckie marmurowe okna wychodziły na miasto - pod każdym względem prócz nazwy był to wenecki pałac.

Przywiązała cumę do wielkiego mosiężnego pierścienia trzymanego w paszczy przez rzeźbionego lwa, jednego z kilku siedzących na pomoście. Obok niej stał smukły dwudziestopięciometrowy jacht, zabawka milionera, przy którym łódź karabinierów wydawała się mała jak ponton. Jeszcze dalej stała zacumowana elegancka motorówka, jakiej mógłby używać do przewożenia gości luksusowy hotel, kto nie był weneccjaninem i nie zauważał subtelnych różnic, mógłby ją wziąć za wodną taksówkę.

Kiedy znalazła się na lądzie, spomiędzy drzew wyszedł jej na spotkanie krępy mężczyzna w białej koszuli i ciemnym krawacie. Zwinięty przewód biegł spod jego kołnierzyka do ucha.

- W czym mogę pomóc? - zapytał grzecznie.
- Chciałam porozmawiać z hrabią Tignellim odparła równie uprzejmie.

Na tę wyprawę zdecydowała się włożyć wyjściowy mundur karabinierów. Wprawdzie oficerowie śledczy zwykle ubierali się po cywilnemu, ale uznała, że oficjalny wygląd na pewno nie zaszkodzi.

- Wolno spytać, czego ma dotyczyć rozmowa?

- Dochodzenia w sprawie zabójstwa.

Twarz mężczyzny nawet nic drgnęła.

- Proszę chwilę poczekać.

Wrócił po kilku minutach.

- Hrabia przeprasza, ale w tej chwili jest zajęty i nie może przyjąć pani w domu. Natomiast z przyjemnością porozmawia z panią przy *peschiera*. Mój kolega wskaże pani drogę.

Skinął na innego, równie potężnie zbudowanego ochroniarza, który poprowadził ją idealnie gładką ścieżką. Wszędzie widziała zraszacze, nawet na lotnisku helikoptera, który dostrzegła za drzewami. Wokół krzątała się niewielka armia ogrodników, którzy przycinali, wycinali i pielili. Jeden z nich starannie strzygi trawę wokół posągu atlety ze złocistą laską.

- Cesarz Napoleon - wyjaśnił ochroniarz, widząc, że się przygląda.

- Nie przyjął tego konkretnego posągu, gdyż uznał go za zbyt mu schlebiający. Po klęsce Napoleona pod Waterloo książę Wellington wystawił posąg w swojej rezydencji w Londynie na pamiątkę największego z przeciwników, z jakimi mierzył się w bitwie. Pięć lat temu hrabia Tignelli zakupił rzeźbę do swojej kolekcji.

Mężczyzna wyrecytował wszystko, jakby wiele razy powtarzał już tę anegdotę różnym gościom.

Przypomniała sobie, że archiwista wspominał o związkach Napoleona z wolnomularstwem.

- Jaka to kolekcja? - spytała.

- Hrabia Tignelli posiada jedne z największych zbiorów napoleońskich memorabiliów, jakie znajdują się w rękach prywatnych. - Ochroniarz ruchem głowy wskazał jej kierunek. - Proszę tedy.

Przy brzegu dużego basenu wrzynającego się w wody laguny dwaj ludzie prowadzili ożywioną rozmowę. Wyższy wyglądał na robotnika. Niższy wydawał mu polecenia, szerokimi gestami wskazując basen. Miał koło pięćdziesiątki, krępa budowę i rzadkie włosy zaczesane do przodu na skroniach. Kiedy się odwrócił, Kat zrozumiała, że jest nawet niższy, niż się wydawał - jeździeckie buty, które tutaj, na środku laguny, nosił chyba tylko na pokaz, miały podwyższone obcasy i dodawały mu kilka centymetrów. Zastanowiła się, czy właśnie dlatego postawił tę pochlebną statuetkę znanego z niskiego wzrostu Napoleona.

- Czego pani chce, pani kapitan? - zwrócił się do niej hrabia Tignelli. Był tak bezpośredni, jak wcześniej obaj ochroniarze uprzejmi.

Postanowiła odpowiedzieć tak samo szczerze.

- Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa, które popełniono przedwczoraj w nocy. Ciało mężczyzny, zidentyfikowanego jako Alessandro Cassandre, znaleziono wczoraj rano na Lido.

- A czemu pani sądzi, że mogę pomóc?

- Po pierwsze, ciało prawie na pewno przewieziono łodzią z miejsca niedaleko stąd. Być może pan lub ktoś z personelu coś zauważył.

- A po drugie? - zapytał, nie starając się odpowiedzieć na to pierwsze.

- Po drugie, zabójstwo ma prawdopodobnie związek z wolnomularstwem. Jak rozumiem, interesuje to pana?

Tignelli wzruszył ramionami.

- Kolekcjonuję pamiątki po wyzwolicielu Wenecji, Napoleonie Bonaparte. Tak się składa, że wspierał ruch wolnomularzy. Czyli owszem, można powiedzieć, że mnie to interesuje, w pewnym sensie.

- Wyzwoliciel Wenecji?

Dla weneccjanina było to coś takiego, jak nazwanie Hitlera wyzwolicielem Polski. Nawet dzisiaj dziedzictwo Napoleona budziło tak wielkie spory, że ludy miejskie muzeum otrzymało jego posąg, przed wystawieniem urządzono mu pokazowy proces.

Tignelli przytaknął: szybkie, niemal wojskowe skinienie głową.

- W okresie kiedy przybył Napoleon, Wenecja grzęzła w dekadencji i korupcji. Podobnie jak dzisiaj, choć z innych powodów. Jako oficer karabinierów, z pewnością przyzna mi pani rację. Ale na

tym kończy się moje zainteresowanie masonami.

- Czyli nie zna pan signora Cassandrego?

Hrabia machnął ręką.

- Poznaję wielu ludzi. Naprawdę trudno mi powiedzieć, czy któryś z nich nosi takie nazwisko.

- Czy ma pan konto w Banca Cattolica della Veneziana?

Zastanowił się nagle, jakby dopiero teraz skojarzył fakty.

- Och, oczywiście. Pracuje tam signor Cassandre, z którym załatwiałem parę spraw.

- To właśnie on został zamordowany. - Obserwowała go uważnie.

Wyraz jego twarzy się nie zmienił.

- To straszne. Muszę polecić sekretarzowi, żeby wysłał kwiaty jego rodzinie.

- Znał go pan na stopie towarzyskiej?

- Naprawdę nie pamiętam. Zuane! - zawołał. - Jak ci idzie?

- Prawie skończyłem - odpowiedział robotnik z wyraźnym buraneskim akcentem.

- Może to panią zaciekawi jako rodaczkę wenecką. - Tignelli wskazał rząd basenów. - Udało mi

się przywrócić oryginalny stan tej tu hodowli ryb. Niełatwe zadanie, biorąc pod uwagę, że każdy z tych basenów wyłożony jest ponad dwoma tysiącami starych cegieł. Nasze badania wykazały, że przetrwały w całości przez ponad osiemset lat, by wreszcie paść ofiarą zniszczeń powodowanych przez statki wycieczkowe. To kwestia ostatnich trzydziestu lat. Połowę musiałem wymienić.

Mężczyzna nazywany Zuane otworzył śluzy. Do basenu wlał się strumień srebra - woda odbijająca promienie słońca, ale w wodzie Kat widziała dodatkowe srebrne błyski: setki uwolnionych ze zbiornika węgorzy.

- Kiedy był tu klasztor, zakonnice co tydzień jadły węgorze - oświadczył Tignelli swobodnym tonem. - Ale sama hodowla sięga czasów rzymskich. Wie pani, że Rzymianie trzymali ulubione węgorze jako zwierzęta domowe? A ściśle rzecz biorąc, mureny. Dekorowali je klejnotami, organizowali walki, karmili pechowymi niewolnikami, by zwiększyć drapieżność. *Bosati* to jedna z rzeczy, które najbardziej podobały się Napoleonowi w Wenecji. Zabrał do Francji przepis na potrawkę z węgorza i uparł się, by kucharze nauczyli się ją przygotowywać na sposób włoski.

Krzyknął do Zuanego, który sięgnął do srebrzystej kaskady i zręcznie wyrzucił na brzeg dwa węgorze. Kiedy leżały ogłuszone, szybko wyjął z kieszeni wytartą plastikową torbę, jak rękawiczkę wciągnął ją na dłoń, chwycił węgorze i odwrócił torbę na lewą stronę, by je uwięzić we wnętrzu.

- To dla pani, kapitan Tapo - rzekł Tignelli i skinął na Zuanego trzymającego torbę. - Drobną rekompensata za niepotrzebną wyprawę. Teraz może pani przygotować *bisato in umido* i wypić za cesarza. Ale niech pani zawiąże torbę na supeł, węgorze to śliskie stworzenia.

- Dziękuję. - Wzięła od Zuanego torbę. - Choć osobiście wolę węgorze gotowane *su l'ara*, z liściem laurowym. A jeśli chodzi o to, żeby nie uciekły, nie musi pan uczyć weneckanki, jak sobie radzić z węgorzem, choćby i bardzo śliskim.

Zastanowiła się, skąd Tignelli znał jej nazwisko, choć się nie przedstawiła, i skąd wiedział, że jest rodowitą wenecką, ani czemu nie przejął się jej pytaniami, całkiem jakby z góry wiedział, że chce go odwiedzić... To być może było jeszcze bardziej śliską kwestią.



## Trzynaście

Holly wyszła z kontroli celnej na weneckim lotnisku i skręciła w prawo, w stronę stanowisk wypożyczalni samochodów. Ostatnia budka, dyskretnie wciśnięta w róg, miała niewielką tabliczkę z napisem „Witamy społeczność Vicenzy”.

Za pierwszym razem, kiedy tu przyleciała, na tabliczce było wypisane słowo SETAF - ale nawet ten niezbyt oczywisty skrót South European Task Force został teraz uznany za niedostatecznie nijaki jak na potrzeby jej pracodawców.

Poza tym za biurkiem nie znalazła nikogo. Zgodnie z instrukcjami, przyklejonymi taśmą do ściany, podniosła słuchawkę telefonu. Kiedy ktoś się odezwał, podała swoje nazwisko i numer identyfikacyjny.

- Właśnie odjechał pani transport, podporuczniku - poinformował głos w słuchawce. - Musi pani godzinę zaczekać.

W bufecie kupiła *macchiato* i egzemplarz „Il Giornale”. Ameryka znowu trafiła na pierwszą stronę. Europie mocno dopiekło to, co ujawnił Edward Snowden: że USA przechwytuje dane z największych firm internetowych i wykorzystuje je, by szpiegować resztę świata - taka ingerencja w sprawy własnych obywateli byłaby złamaniem amerykańskiej konstytucji. Na dodatek kilka takich splitterów umieszczono na włoskiej ziemi, co pogarszało sytuację, przynajmniej z punktu widzenia włoskiego rządu. Trzy najbardziej obciążone internetowe kable podmorskie - SEAMEWE3, SEAMEWE4 i FLAG Europe-Asia - miały punkt styku z lądem na Sycylii, gdzie przypadkiem znajdował się też system amerykańskich instalacji sygnałowych. Ponad dwa miliardy przejętych wiadomości, jak twierdziła gazeta, przekazano do analizy do brytyjsko-amerykańskiej bazy na Cyprze.

- Przepraszam bardzo... - odezwał się jakiś głos tuż obok.

Podniosła głowę. Mężczyzna siedzący obok niej przy barze wskazał jej mundur.

- Trudno nie zauważyć, że jest tu bardzo wielu amerykańskich żołnierzy...

Miał brytyjski akcent... Turysta, sądząc po walizce na kółkach, który przyleciał na weekend w Wenecji.

- Trochę nas się tu kręci, rzeczywiście.

- A wolno spytać ilu?

- Tutaj, w Veneto? Około pięciu tysięcy. Dziesięć, jeśli doliczyć rodziny.

Wydawał się zaskoczony.

- Po co aż tylu?

- Nie tak dawno kawałek stąd biegła żelazna kurtyna. - Skinęła na wschód, w stronę laguny. - Gdyby Rosjanie spróbowali inwazji, ktoś musiałby ich powstrzymać.

- No jasne. Ale zimna wojna skończyła się dwadzieścia lat temu. Jak to się stało, że nadal tu

jesteście?

Otworzyła już usta, żeby odpowiedzieć, ale je zamknęła. Rzeczywiście jak? Odpowiedzi pojawiały się jej w głowie, ale nie należały do takich, które chciałyby powtarzać głośno: bo uznaliśmy, że możemy siłą narzucić reszcie świata naszą politykę zagraniczną. Bo zamieniliśmy przeciwnika za Uralem na przeciwnika za Bosforem, prawie bez żadnej przerwy. Bo gdzieś po drodze przestaliśmy być optymistycznym i młodym supermocarstwem z dawnych czasów, a staliśmy się tym zmęczonym, paranoicznym olbrzymem, jakim jesteśmy dzisiaj.

- Zawsze gdzieś są jakieś złe typy - odpowiedziała niezbyt pewnie. - Myślę, że oszczędzamy na paliwie, jeśli już jesteśmy w okolicy.

Jakaś kobieta wyszła z hali bagażowej, chowając swojego iPhone'a.

- Załatwione - poinformowała mężczyznę. - Możemy iść?

Ten wstał i uprzejmie skinął Holly głową.

- Miło się z panią rozmawiało.

Kiedy wyszli, odetchnęła powoli. Przyszło jej do głowy, że po raz pierwszy w życiu nie stanęła odruchowo w obronie swojej ojczyzny.

Była żołnierzem. Co więcej, dzieckiem żołnierza. Wychowywała się w Camp Darby. Lojalność nie była dla niej świadomą decyzją, ale raczej składnikiem powietrza, którym oddychała.

A jednak tylko ktoś z armii mógł postanowić, żeby uciszyć jej ojca.

Im dłużej o tym myślała - a w czasie lotu nie myślała właściwie o niczym innym - tym większej nabierała pewności. Tylko ktoś z wewnątrz miałby dostęp do danych medycznych ojca. I tylko ktoś z wewnątrz mógłby widzieć jego memorandum.

A zatem punktem wyjścia będzie dla niej ustalenie, komu to memorandum oddał.

*Przekazałem więc memorandum mojemu znajomemu, amerykańskiemu oficerowi wywiadu, o którym wiedziałem, że był wcześniej zaangażowany w neutralizację organizacji terrorystycznych, takich jak Czerwone Brygady, w nadziei że udostępni je osobom władnym podjąć odpowiednie działania.*

Wyprostowała się nagle. Sięgnęła po telefon i wybrała numer. Natychmiast połączyła się z pocztą głosową.

- Daniele, tu Holly - powiedziała. - Muszę z tobą porozmawiać. Oddzwon, dobrze?

Dla pewności wysłała też SMS.

Odczekała dwadzieścia minut, by sprawdzić, czy odpowie. Potem wybrała inny numer. Tym razem połączyła się od razu.

- Holly - odezwał się ciepło znajomy głos; mówił po angielsku, ale zaraz przeszedł na włoski: - *Come stai? Così sei tomata in Italia?*

- Świetnie - odparła z wahaniem. - Właśnie wróciłam. Możemy się spotkać?

\* \* \*

Kilka kilometrów dalej, w sali koncertowej Ca' Barbo, Daniele patrzył na ekran telefonu, który wyświetlił najpierw imię dzwoniącej: Holly, potem informację o poczcie głosowej i wreszcie tekst SMS-a:

*Holly Boland.*

*Holly Boland zostawiła wiadomość w poczcie głosowej.*

*Wiadomość od Holly Boland.*

Spojrzał na listę zadań, wciąż przyklejoną taśmą do ściany, i zatrzymał wzrok na drugiej linii.

*Skończyć z Holly.*

Raz tylko przespał się z chudą, jasnowłosą Amerykanką, ale nawiedzała go w snach tygodniami. Zdarzało się, że snuł szaleńcze fantazje domowego ciepła, w których żyli razem jak zwyczajna para. Ale potem widział swoją twarz w lustrze - obrzydliwie ścięty nos, płaski jak ryj świni, białe zabliźnione odrosty w miejscach, gdzie powinny być uszy: podwójne dziedzictwo porwania sprzed lat -i czuł do

siebie obrzydzenie. Nie do swojego wyglądu, ale do słabości, przez którą nie mógł się pogodzić z tym, że to domowe ciepło nie jest dla niego. Nie wiedział, jakie motywy kierowały Holly, gdy szła z nim do łóżka - a w bardziej posępnych momentach podejrzewał, że pchnął ją do tego jego opiekun. Nie miał jednak wątpliwości, że dla niej znaczyło to coś innego niż dla niego.

Sięgnął po ołówek i wykreślił drugi element listy. A potem nagle odsunął fotel i wstał.

## Czternaście

W drodze powrotnej z La Grazii Kat zadzwoniła do Flavia z motorówki.

- Nie mam nowych tropów, ale zdobyłam parę węgorzy. Może wpadniesz wieczorem?

Odpowiedziało jej milczenie.

- Albo spotkajmy się w hotelu - dodała szybko, przeklinając własną głupotę. Flavio nie powinien spędzać w tym samym miejscu więcej niż jednej nocy w tygodniu, a ostatnio był u niej w domu ledwie parę dni temu.

Kilka razy już próbował ją ostrzec, że nie powinna zbyt się angażować, że w jego życiu nie ma miejsca na stałe relacje, jednak ona się nie przejmowała. Jeśli te ukradkowe spotkania w pokojach hotelowych albo w jego gabinecie miały być ceną za związek z nim, to skłonna była ją zapłacić.

Okazało się jednak, że nie dlatego się waha.

- Pani kapitan, myślę, że powinna pani zjawić się tutaj jak najszybciej - oznajmił oficjalnym tonem.

- Nastąpiły pewne istotne wydarzenia.

Co przypuszczalnie miało oznaczać, że po pierwsze, nie jest sam, a po drugie, sprawa stała się jeszcze bardziej mętna. Czyżby Tignelli zaczął sprawiać kłopoty?

Skręciła na lewą burtę, w stronę Santa Croce i Pałacu Sprawiedliwości.

\* \* \*

Oprócz Flavia, w jego gabinecie zastała jeszcze dwóch ludzi. Jednym był Benito Marcello, prokurator, z którym już wcześniej pracowała: młody, inteligentny, nienagannie ubrany, a także - jak wiedziała - absolutnie tchórzliwy, jeśli chodzi o podejmowanie decyzji, które nie służą jego karierze. Drugim był niski, siwowłosy mężczyzna, którego nie знаła.

- To pułkownik Grimaldo - przedstawił go Flavio. - Prokuratora Marcella już pani zna. Uznaliśmy, że lepiej będzie powiadomić panią od razu.

- O czym?

Odpowiedział Grimaldo.

- Prowadzenie śledztwa, nad którym pani obecnie pracuje, zostało przekazane AISI.

- Wywiadowi? - zdumiała się. - Dlaczego?

- Może mieć wpływ na równoległe prowadzoną operację wydziału walki z terroryzmem. Tylko tyle mogę powiedzieć.

Marcello z poczuciem własnej ważności postukał piórem o biurko.

- Przekaze pani pułkownikowi i jego grupie wszystkie zebrane dotąd materiały. Dotyczy to zapisów, wyników badań laboratoryjnych oraz dowodów w postaci fizycznej, takich jak laptop signora Cassandrego. Jego ciało przeniesiono już do szpitala w Mediolanie, gdzie zostanie przeprowadzona autopsja. Generał Saito jest powiadomiony.

- Walka z terroryzmem? - powtórzyła wolno. - Nie rozumiem. Wszelkie informacje, jakie dotąd zebraliśmy, sugerują, że Cassandre był zamieszany w przestępstwa finansowe.

- Może więc - odparł gładko Marcello - tajne służby zachowały się jak należy, pani kapitan, i

zdołały zachować swoje zaangażowanie, a więc i całą operację, w tajemnicy.

Zrozumiała, co sugeruje.

- Był informatorem?

Pułkownik Grinialdo spojrział na prokuratora z irytacją.

- Wszystkie szczegóły naszych kontaktów z signorem Cassandrem pozostają objęte operacyjną klauzulą tajności. Choć interesuje mnie, pani kapitan, co skłania panią do podejrzeń, że zajmował się działalnością przestępczą.

- Podczas przeszukania gabinetu przejęliśmy duże sumy pieniędzy w formie elektronicznej.

Znaleźliśmy także sztony z kasyna, wszystkie o wysokich nominałach.

- No cóż, postaramy się jak najlepiej zbadać odkryte przez panią poszlaki - zapewnił Grinialdo. - I jesteśmy wdzięczni za pani pracę.

- Wstał i spojrział na Marcella. - *Avvocato*, możemy porozmawiać w pańskim gabinecie?

Kiedy wyszli, Kat zwróciła się do Flavia.

- Terroryzm? Poważnie?

Wzruszył ramionami.

- Cassandre figurował w bazie AISI jako informator. Marcello pokazał mi jego rejestr.

- Ale tam musi być jakiś finansowy przekręt - zastanowiła się głośno. - I co z Tignellim?

Podejrzewam, że jest w to jakoś zamieszany, ale z całą pewnością trzymałby się z dala od terrorystów.

Dopiero do niej docierało, że została odsunięta od swojej pierwszej sprawy zabójstwa - tak niedbale, jakby ktoś strząsnął pyłek z ubrania. Niedowierzenie szybko zmieniało się w gniew.

- Założę się, że te pieprzone dupki z AISI wszystko pokręcili, jak zwykle. Albo starają się jakoś zamieść tę sprawę pod dywan.

- Dlaczego tak myślisz o Tignellim? - Flavio jak zwykle od razu przeszedł do rzeczy.

Opowiedziała mu o swojej wizycie na La Grazii.

- Jestem pewna, że dobrze wiedział, po co przyplłynęłam - zakończyła. - Trochę zmieniał temat na te węgorze, ale to jasne, że był ostrzeżony. W dodatku był jak dotąd jedyną osobą, która nie wydawała się przestraszona tym, co spotkało Cassandrego.

- To są te węgorze, jak rozumiem? - Wskazał torbę przy drzwiach. Od czasu do czasu coś wewnątrz rzucało się gwałtownie, kiedy węgorze sprawdzały granice swego więzienia.

Przytaknęła.

- Możesz mnie dzisiaj odwiedzić?

- Nie mogę prosić ochrony, żeby przez całą noc czekała przed twoim domem - odparł spokojnie. -

Raz wystarczy.

- No to może na godzinę czy dwie - zaproponowała ostrożnie.

- Niech będzie - ustąpił. - Będę o ósmej.

A kiedy szła już do drzwi, dodał jeszcze:

- Kat... Przykro mi z powodu tego dochodzenia. Ale będą inne. Wyraźnie zaimponowałaś Grimaldowi tym, jak wiele zdążyłaś odkryć w ciągu dwóch dni. Od razu zauważyłem.

- Dzięki - rzuciła.

Nie próbowała mu tłumaczyć, że - według niej - nie tyle Grimaldowi zaimponowała, ile go wystraszyła.

# Piętnaście

- Dziękuję, że zgodził się pan na spotkanie - powiedziała Holly.

- Nie ma za co. Miło cię znowu zobaczyć. W dodatku, pozwolę sobie zauważyć, że wyglądasz o wiele lepiej, niż gdy ostatnio się widzieliśmy. - Ian Gilroy lustrował ją od stóp do głów. - Jesteś pewna, że chcesz wrócić do służby?

Gilroy miał siedemdziesiąt dwa lata i już dawno przeszedł w stan spoczynku, rezygnując ze stanowiska szefa weneckiej sekcji CIA. Dbał o zręczność umysłu, jak to określał, wykładając historię wojskowości w Camp Ederle, amerykańskiej bazie w pobliżu Vicenzy, gdzie stacjonowała Holly. Ale jej mentorem i powiernikiem został przede wszystkim dlatego, że znał jej ojca. Jednym z najwcześniejszych wspomnień Holly był grill w Camp Darby, kiedy miała osiem czy dziewięć lat. Postawiła wtedy stopy na butach Gilroya, a on przemaszerował z nią dookoła, jakby była generałem. Wszyscy oficerowie jej salutowali, a ona wykrzykiwała bezsensowne rozkazy, które udawali, że wypełniają.

- Musi pan uważać mnie za głupią - powiedziała, kręcąc głową. - Ja, analityk wywiadu, nigdy nie podejrzewałam, że ojciec jest częścią tego świata.

Siedzieli przed kawiarnią w Vicenzy, w cieniu wielkiej bazyliki Palladia. Gilroy wyciągnął nogi i przyjrzał się jej.

- Nigdy nie uważałem cię za głupią, Holly. Wręcz przeciwnie. Trzeba szczególnych zdolności, żeby zakwestionować wszystkie założenia, z jakimi dorastałaś. Twój ojciec był zbyt odpowiedzialny, żeby zdradzać rodzinie szczegóły tego, co robił. Ale może powiesz, co takiego odkryłaś?

Opowiedziała mu o memorandum i przekonaniu, że z tego powodu ktoś mógł próbować uciszyć ojca. Gilroy słuchał, kiwając czasem głową.

- A sam dokument? - zapytał, kiedy skończyła. - Gdzie jest teraz?

Wskazała plecak u stóp.

- Tutaj.

- Mogę zobaczyć?

Wyjęła i podała mu. Przez chwilę czytał w milczeniu; od czasu do czasu zaglądał na wcześniejszą stronę, żeby coś sprawdzić. Potem ułożył kartki na stole i spojrzął na nią.

- Już pan widział ten tekst - stwierdziła.

Przytaknął.

- Twój ojciec przekazał mi memorandum, gdy tylko powstało.

- Tak myślałam. Ale nigdy pan o tym nie wspomniał.

- Nie miałem pojęcia, że to istotne. - Zmarszczył brwi. - Chociaż właściwie poruszyłem raz z tobą ten temat. Starłem się mówić wymijająco, bo nie byłem pewien, ile ci wiadomo na temat profesjonalnych działań ojca. Moim zdaniem nie powinienem ci tego zdradzać, jeśli on uznał, że nie należy.

Uświadomiła sobie, że to prawda. Prawie przy pierwszym spotkaniu Gilroy powiedział, że jej ojciec dzielił się z nim wątpliwościami co do pewnych aspektów operacji Gladio. Ale nie skojarzyła faktów i nie domyśliła się, że ojciec należał do tego samego świata cieni co Gilroy.

Odezwał się, jakby czytał jej w myślach:

- NATO, wywiad wojskowy, CIA... podczas zimnej wojny wszyscy byliśmy elementami tej samej rozgrywki. Chociaż nie powstrzymało to NATO przed prowadzeniem własnych, często nieprzemyślanych akcji.

- Jak Gladio.

- Jak Gladio - zgodził się. - Twórcy tej operacji w NATO bardzo starali się trzymać od niej z daleka prawdziwych szpiegów. I sama wiesz, jakim chaosem się to zakończyło.

Wskazała memorandum ojca.

- Co pan z tym zrobił?

- Przekazałem moim przełożonym. - Smętnie wzruszył ramionami. - Co jeszcze mógłbym zrobić? Camp Darby był poza moim zasięgiem. Jak mówił twój ojciec, kiedy ujawniono Gladio, wszyscy wpadli w panikę. NATO weszło w tryb ograniczania strat. To, że niektórzy „gladiatorzy” poczuli się zdradzeni, nie było przecież niespodzianką, nie traktowano tego priorytetowo.

- Myśli pan, że to prawda, o czym pisał? Że ludzie z agencji wywiadowczych zachęcali ich do przegrupowania? Może nawet organizowali to przegrupowanie?

Wykonał bardzo włoski gest, zakołysał dłonią w przód i w tył, co miało oznaczać niedostępność pewnej wiedzy na ten temat. Było też przypomnieniem, że choć nie dorastał we Włoszech, tak jak ona, jednak mieszkał tu jeszcze przed jej narodzinami.

- Znowu nie byłbym wcale zaskoczony. W sztabie NATO byli oficerowie, którzy na tej operacji zbudowali całą karierę. I pewnie znaleźli się tacy, którym trudno było zrezygnować.

- A to, co pisał o panu... to znaczy zakładam, że o panu... też się zgadza? Ze był pan zaangażowany w rozpracowanie Czerwonych Brygad?

- Tak. - Zapatrzył się w przestrzeń. - Poświęciłem prawie dekadę, żeby znaleźć drogę do tej organizacji. Kiedy dzisiaj mówimy o terrorystach, to wobec Brigade Rossę są jak dzieci. Tamci byli sprawnie dowodzeni, sprawnie finansowani i absolutnie pozbawieni skrupułów. Na przykład schwytani nie życzyli sobie, by przed sądem reprezentował ich wyznaczony przez państwo adwokat, ponieważ ich zdaniem państwo jest tylko systemem imperialistycznych korporacji. I kiedy prawnik upierał się przy próbach obrony, likwidowali go.

- Hardcore'owe podejście.

- Istotnie. Ocmwiście, w końcu udało się nam postawić przywódców przed sądem. Ale czemu o to pytasz?

- Z powodu Daniele Barba - odparła krótko.

- Ach... - W zadumie pokiwał głową. - Znowu masz rację. W ten sposób poznałem ojca Daniele, Mattea. Po porwaniu chłopca nasz rząd zwrócił się do mnie o pomoc jako do miejscowego specjalisty od Czerwonych Brygad. Również dlatego, że matka Daniele była Amerykanką. I mimo tych niesprzyjających okoliczności zaprzyjaźniliśmy się z jego ojcem. Potem utrzymywaliśmy kontakt, a kiedy się okazało, że oprócz oszpecenia twarzy Daniele terroryści zrobili coś o wiele gorszego z jego umysłem, zaangażowałem się w plany Mattea, dotyczące przyszłości syna. Wciąż czuję się za niego odpowiedzialny, choć jak sama wiesz, Daniele nigdy nie pogodził się z tym, że jestem jego opiekunem.

- Odpowiedzialność? - spytała. - Czy poczucie winy?

Westchnął.

- Może po trochu jednego i drugiego. Powinniśmy dotrzeć do niego szybciej. Włoska operacja od samego początku była parodią. Ale sama wiesz, jak to wygląda w tym kraju.

Przez chwilę milczeli oboje, zastanawiając się nad własnymi problemami.

- No więc, co zamierzasz z tym zrobić? - zapytał w końcu, wskazując memorandum.

- Chcę odkryć, kto i dlaczego próbował zabić mojego ojca. To oznacza dotarcie do ludzi, którzy infiltrowali jego łóżę.

- To rozsądne? - spytał łagodnie. - Wciąż jeszcze dochodzisz do siebie po traumie. A jeśli nawet et jakimś cudem po tak długim czasie zostało coś jeszcze do odkrycia, ojcu już nie pomożesz.

- Wszystko jedno - odparła stanowczo. - Muszę to zrobić. Pomoże mi pan?

- Nie jestem pewien, czy wiesz, o co prosisz.

- Chyba wiem. - Stuknęła palcem w raport. - Jeśli tu jest prawda, to kiedy premier Andreotti poinformował parlament o operacji Gladio i niemal jednym tchem o jej przerwaniu, to kłamał. Ale implikacje są głębsze. Obecnie dobrze wiadomo, że dziesiątków zamachów bombowych i innych zbrodni w latach ołowiu dopuścili się agenci Gladio. Jeśli tata miał rację i operacja Gladio wciąż była kontynuowana, co jeszcze zrobili „gladiatorzy”, kiedy już teoretycznie zostali rozwiązani? Kiedy się rozwiązali? Czy w ogóle się rozwiązali?

- Wielu jest takich, nawet dzisiaj - oświadczył - którzy nie chcą, by stawiać takie pytania. A tym bardziej na nie odpowiadać.

- Będę na nich gotowa. I mam przewagę na starcie. - Znowu wskazała memorandum. - Według tego dowództwo Gladio mieściło się w odległym rejonie Sycylii, w Capo Marrargiu. Tam poszukam.

- Dlaczego sądzisz, że coś jeszcze znajdziesz po tylu latach?

- Gdzieś muszę zacząć. A tymczasem może zdołałby się pan dowiedzieć, kto jeszcze czytał ojca raport?

Wydawał się zmartwiony.

- Wolałbym nie wzniesać niepokoju, kiedy będziesz w terenie. To błąd w sztuce.

- Najlepszy sposób wywołania reakcji - zauważyła.

- Hm... - Zastanowił się. - Są jakieś kopie tego memorandum?

- Na lotnisku zrobiłam fotokopię, tuż przed odlotem. I skan wysłałam do siebie e-mailem.

- Dobrze - uznał, choć Holly odniosła wrażenie, że miałby ochotę głęboko westchnąć. - Zobaczę, co da się zrobić. Ale uważaj na siebie, dobrze?

- Oczywiście. - Wstała. - Lepiej już pójdę.

\* \* \*

Kiedy został sam, Ian Gilroy długo jeszcze siedział zamyślony. Raz jeszcze przeczytał memorandum, choć znał już jego treść - pamiętał ją, odkąd wiele lat temu dostał do rąk oryginał. Nie przypuszczał wtedy, że wróci, by prześladować go po tak długim czasie.

W końcu sięgnął po komórkę i wybrał numer. Od dawna znał go na pamięć, choć z powodów bezpieczeństwa nigdy nie zapisał na liście kontaktów.

- Trzeba coś załatwić - powiedział, kiedy uzyskał połączenie. - I to natychmiast.

Mówił niecałą minutę. Rozłączył się, wyjął z telefonu kartę SIM i przełamał ją na dwie części. A potem skinął na kelnera, żeby podał mu drugą kawę.



# Szesnaście

Węgorze leżały już w zlewku u Kat, czekając na przyrządzenie. Chwyciła pierwszego tak, jak zrobił to robotnik u Tignellego: owinęła rękę plastikową torbą i mocno złapała rybę tuż za głowę. Węgorz wił się mocno, wykręcając w przeciwnych stronach głowę i ogon, kiedy niosła go na blat.

Wcześniej przygotowała ostry nóż, deskę do krojenia i tasak. Zdecydowanym ruchem noża przybiła głowę ryby do deski, a potem tasakiem szybko odrąbała ją tuż powyżej skrzel. Długi ogon węgorza zaczął podskakiwać na blacie, chlapiąc krwią. Kat rzuciła go do miski wody z octem, powtórzyła cały proces z drugim węgorzem i wzięła się do czyszczenia.

Oskórowanie było dość proste dzięki sztuczce, jakiej nauczyła ją babcia. Założyła pod skrzel pętlę ze sznurka i zawiesiła obie ryby na klamce. Potem chwyciła skórę od strony odrąbanego końca i ściągnęła ją jak pończochę. Prawdziwy profesjonalista powiedziałby jej, żeby się nie przejmowała - za czasów dawno minionych węgorz gotowany *su l'ara* nie byłby nawet opłukany, ponieważ dla dmuchaczy szkła z Mu-rano, gdzie wymyślono to danie, świeża woda była zbyt cenna, by marnować ją na cokolwiek innego niż picie. Kat nie uważała się za tradycjonalistkę, ale nasypała na dno rondla zwyczajowe pięć garści liści laurowych. Węgorze szybko się upieką we własnym sosie, a liście nadadzą im aromat i ochronią je przed żarem.

Otworzyła butelkę białego wina, *ribolla gialla* z północnych gór; ostry kwaskowaty aromat rozbił intensywny smak ryby.

A potem wysłała SMS: *Jeśli się spóźnisz, zrobię z tobą to, co przed chwilą z węgorzami.*

Wiedziała jednak, że Flavio nigdy nie byłby tak nieuprzejmy, żeby spóźnić się na posiłek. I rzeczywiście, po chwili nadeszła odpowiedź: *Więc może lepiej mnie wpuść.*

Wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak przed domem zatrzymuje się samochód. Flavio wysiadł z tyłu i pochylił się, by powiedzieć coś kierowcy. Wiedziała, że wóz odjedzie tylko za róg - ochroniarze nigdy nie byli dalej niż o krótki bieg.

Woda na makaron już się gotowała, gdy na patelni przygotowała prosty sos z anchois, siekanej pietruszki i zmiękczonej na maśle cebuli. Wrzuciła do wrzątku kilka garści gryczanego *bigoli* i otworzyła drzwi, zanim zdążył zapukać.

Przyjemnie było pocałować go jak należy, inaczej niż podczas tych wykradzonych chwil w Pałacu Sprawiedliwości. Dobrze też być z nim sam na sam. Uważała, że ma dostatecznie grubą skórę, by nie przejmować się spojrzeniami ochroniarzy, kiedy wchodziła do jego gabinetu albo z niego wychodziła, ale i tak bez nich było przyjemniej.

Pocałunek był coraz mocniejszy; Flavio przesunął dłonią po biodrze Kat i chwycił za pośladek. Przyciągnął ją do siebie.

- Nie, nie - powiedziała stanowczo i odsunęła się. - Jedzenie.

- Jedzenie najpierw - poprawił ją z drapieżnym uśmiechem.

Usiedli przy jej małym stoliku, przyjaźnie splatając nogi. Jedli makaron, a pokój wypełniał się

intensywnym aromatem liści laurowych. Dopiero kiedy węgorze znalazły się na talerzach, zaczęli rozmawiać o sprawie.

- Wieczorem zajrzałam do kasyna - powiedziała. - Mam tam swój kontakt: kogoś, kto w przeszłości przekazywał mi ploteczki.

- I?

- Cassandre przychodził tam wiele miesięcy. Kupował sztony za gotówkę, potem robił parę drobnych zakładów, a następnie zabierał sztony do kasjera i prosił o czek. Pranie pieniędzy, inaczej mówiąc. Kasjerzy dostawali po parę sztonów jako napiwek, więc nie donosili na niego. Ale ostatnio, jak twierdzi mój kontakt, zaczął też grać na poważnie. Zdarzało się, że tracił przy stoliku dwadzieścia-trzydzieści tysięcy euro. Zwykle przegrywał, oczywiście, ale wygrywał dostatecznie często, by wracać.

Flavio uniósł brew.

- Jak na bankiera, wydaje się to zaskakująco głupie.

- Albo był zdesperowany. Ale jakiś tydzień temu przestał przychodzić.

- Z czego dedukujemy...

- Że albo szczęście zaczęło mu sprzyjać, albo nie był już zdesperowany. Albo zdał sobie sprawę, że zwraca na siebie uwagę.

Flavio wstał i przyniósł butelkę.

- Nawet jeśli Cassandre rzeczywiście prał brudne pieniądze, nie znaczy to jeszcze, że Grimaldo kłamał, mówiąc, że wykorzystują go w operacji wywiadowczej. Cassandre nie byłby pierwszym przestępcą w białym kołnierzyku, który dogadał się ze służbami.

- A co, jeśli prawda jest całkiem przeciwna do tego, co mówi Grimaldo? A jeśli sami biorą w tym udział? I AISI raczej próbuje ukryć tę sprawę, zamiast badać?

- Zaczyna to wszystko brzmieć jak „dietrologia” - powiedział, a jego uśmiech pozbawił to słowo obraźliwych podtekstów.

Dla licznych Włochów zawsze istniała jakaś ukryta prawda, leżąca *dietro*, czyli z tyłu, poza oficjalnymi wyjaśnieniami zdarzeń. „Dietrologia” była nieco lekceważącym określeniem sytuacji, gdy takie przekonania doprowadzano do przesady. Wprawdzie Flavio w swojej pracy spotkał się z wieloma niezwykłymi spiskami, jednak zawsze się starał, by nie budować zbyt skomplikowanych teorii przed zbadaniem prostych możliwości.

- Ojciec Calergi podkreślał, że masoni są lojalni przede wszystkim wobec innych masonów, niekoniecznie wobec prawa. A jeśli ci ludzie starają się chronić siebie nawzajem?

- Wtedy potrzebne będą dowody - odparł łagodnie. - Sprawy trafiają do sądów, ponieważ ktoś zmontował żelazne argumenty, a nie z powodu hipotetycznych spekulacji.

- Wiem. - Kiwnęła głową. - Dlatego kazałam Mallemu, naszemu informatykowi, raz jeszcze przyjrzeć się komputerowi Cassandrego.

Flavio się zdziwił.

- Myślałem, że przekazał laptopa razem z pozostałymi dowodami?

- Tak zrobił. Ale poprzednio wykonał kopię, „obraz”, jak to nazywa. Kiedy tamci zabrali laptopa, spytał, co ma zrobić z tą kopią. Kazałam mu ją zbadać.

- Nie miałas do tego prawa! Kat, cokolwiek tam znajdziesz, nie będzie przyjęte przez sąd. Całkiem straci znaczenie jako dowód.

- Nikomu nie musimy mówić, co znajdziemy. Ale coś w tym mocno śmierdzi i nie przychodzi mi do głowy żaden inny sposób wykrycia, co to takiego.

Milczał przez chwilę.

- A kiedy ten Maili ma się do ciebie odezwać?

- Powiedział, że wieczorem wyśle mi e-mail.

Flavio uniósł dłonie.

- W takim razie może lepiej sprawdź, co napisał.

Podeszła do laptopa i otworzyła program pocztowy. Post Mallego był na samej górze.

*Subject: To jest to, o co chodziło?*

*Mam tu dużo plików - nie jestem pewien, które są ważne, a które nie.*

*Sporo z tego to sprawy techniczne: arkusze kalkulacyjne, listy numerów, coś, co wygląda jak szczegóły rejestrów bankowych.*

*Dołączam jednak ten dokument, ponieważ Cassandre usunął go niedawno. A przynajmniej myślał, że usunął.*

Była to długa, ciągnąca się przez kilka stron lista nazwisk. Kat odkryła wśród nich dziesiątki miejscowych polityków, inni byli przemysłowcami lub biznesmenami. Wielu nosiło dodatkowe tytuły: generał, arcybiskup, książe, poseł, sędzia...

- Nie wygląda mi to na terroryzm. Bardziej jak lista braci masonów w jego czarnej łoży.

Flavio czytał jej przez ramię.

- Nie mamy na to dowodów.

Ale jego ton wskazywał, że zaczyna się przekonywać do jej opinii.

- Ojciec Calergi wspominał o skandalu P2. Pamiętasz, nazywali tę łożę „rządem w rządzie”. A jeśli tutaj mamy coś podobnego?

- No dobrze. Przypuśćmy, że to rzeczywiście członkowie tajnego stowarzyszenia. Ale to nie znaczy, że spiskują. Żaden prokurator nie mógłby rozpocząć dochodzenia tylko na podstawie listy nazwisk.

Mimo to przewijał ją dalej, od czasu do czasu kręcąc głową, gdy rozpoznawał kolejne.

- Więc czego potrzebujemy? Cokolwiek się stanie, nie mogę zrobić tego, co mi każe Grimaldo. Nie mogę zwyczajnie zapomnieć, że w ogóle zajmowałam się tą sprawą.

- Wiesz, Kat... - powiedział cicho. - Gdybym zdawał sobie sprawę, kiedy zaczynałem te procesy mafii, jak wiele życia mi to zabierze, to pewnie nigdy bym się do tego nie brał.

- Ale się wziąłeś. I nadal to robisz. Jesteś najbardziej nieustraszonym prokuratorem, jakiego znam.

~ Już nie. - Odwrócił się, by spojrzeć jej w oczy. - Do niedawna wydawało się, że nie mam alternatywy. W moim życiu istniała wyłącznie praca. Ale teraz sytuacja się zmieniła.

- A co się zmieniło? - spytała, choć właściwie domyślała się odpowiedzi.

- Ty - odparł z prostotą. - Ostatnio zacząłem się zastanawiać... Co by było, gdybyśmy wyjechali za granicę? Na przykład do Brukseli. Załatwiłabyś sobie przeniesienie do Interpolu, ja byłbym prokuratorem Trybunału Europejskiego. To by była biurowa praca, pewnie nudna, ale za to mieszkalibyśmy razem, moglibyśmy co rano zajrzeć do kawiarni, jak normalni ludzie co wieczór jeść razem kolację... Dzieliłbym życie z tobą, nie z moją ochroną. - Wskazał ekran. - Kat, jeśli rzeczywiście jest tu spisak, a my jakimś cudem dogrzebiemy się do samego dna, to wiesz przecież, że i tak nie tkniemy rzeczywistego problemu. Korupcja w tym kraju jest zbyt mocno zakorzeniona. Jesteśmy jak te gospodynie, które usiłują odgarnąć śnieg ze schodów, kiedy szaleje zamieć. Może rozwiązaniem jest wyjazd gdzieś, gdzie nie ma tyle śniegu.

Ani wody, pomyślała. Jak każdy weneccjanin, nie cierpiała tego, że turyści przejmują miasto na dziesięć miesięcy w roku, że nigdy nie wystarcza pieniędzy, żeby kanały nie śmierdziały, fundamenty się nie zapadały i mosty nie sypały. Ale w jej żyłach płynęła woda z laguny... Czy może z tego zrezygnować dla mężczyzny? Nawet takiego mężczyzny?

- Albo do Amsterdamu - dodał, jakby czytał jej w myślach. - Wiesz, w Amsterdamie też są kanały. Nazywają go nawet Wenecją Północy. Moglibyśmy pracować w Hadze.

- Założę się, że kanały w Amsterdamie nie cuchną tak jak te weneckie.

Zaskoczyła go.

- To chyba dobrze, prawda?

Była rozdarta. Nigdy jeszcze nie spotkała takiego mężczyzny - mężczyzny, którego mogła być pewna, którego szanowała i pożądała równocześnie, któremu mogła powiedzieć wszystko - albo nic. Był

człowiekiem o niezłomnych zasadach moralnych, który jednak nigdy jej nie krytykował i nie próbował zmienić w kogoś, kim nie była.

- Chociaż z drugiej strony - dodał - nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś nazwał Wenecję Amsterdamem Południa. Więc może jednak trochę przesadzają.

Pocałowała go w policzek. Lubiła tę szorstkość wieczornej szczeciny, kołnierzyk pachnący leciutko aromatem sal sądowych i gabinetów.

- Zgoda - powiedziała. - Ale zrobimy jedno i drugie. Rozwiążemy tę sprawę, jak najlepiej umiemy, a potem uciekniemy do Amsterdamu i będziemy udawać, że to Wenecja w zimny dzień. A teraz, na miłość boską, weź mnie do łóżka, zanim twoi ochroniarze zaczną się dobijać do drzwi.

\* \* \*

O wiele później owinięta w prześcieradło stanęła przy oknie i patrzyła, jak wsiada do samochodu. Jeśli się obejrzy, to mnie kocha, powiedziała sobie. I zaraz dodała: Nie zachowuj się jak uczennica. Spojrzał w górę i posłał jej całusa. Serce roz płynęło się jej w piersi. A więc do Amsterdamu, kochanie.

## Siedemnaście

Na drugim końcu świata, na lotnisku JFK, recepcjonistka saloniku pierwszej klasy maszyny Delta Airlines spojrzała na zbliżającego się mężczyznę. Wprawdzie miał na sobie garnitur i niósł neseser, jednak różnił się od innych pasażerów pierwszej klasy. Garnitur wyglądał na tani i zbyt szary, neseser był za duży i plastikowy. Choć uśmiechnęła się odruchowo, jej głos zabrzmiał minimalnie wyzywająco.

- Mogę pana prosić o kartę pokładową?

Nie pierwszy raz pasażer z ekonomicznej próbował się wśliznąć do saloniku.

Zamiast karty pokładowej mężczyzna położył przed nią identyfikator HP Business Services. Rzuciła okiem: *Steve Simmons, technik sieciowy.*

- Kopiarka zgłosiła błąd - wyjaśnił. - Przysłali mnie do naprawy.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - Nie wiedziałam, że jest jakiś problem.

- To automatyka - zapewnił ją. - Te nowe maszyny są tak inteligentne, że przysyłają nam e-mail, kiedy trzeba coś przy nich zrobić. Dobrze, że się same nie naprawiają, bo bym stracił pracę. - Stuknął w neseser i dziewczyna zrozumiała, że ma tam narzędzia. - To potrwa z pięć minut, potem będzie pani mnie miała z głowy.

Wyciągnęła rękę.

- Kopiarka stoi tam, w centrum biznesowym. Może zrobię panu kawę?

- Bardzo dziękuję, niczego mi nie trzeba - odparł grzecznie.

Obserwowała zza biurka, jak starannie rozwija na wykładzinie folię ochronną, żeby nie zabrudził jej jakiś rozsypany toner. Po chwili otworzył już maszynę i grzebał w jej wnętrzu.

Przy poprzedniej naprawie, kiedy zaniósła mechanikowi kawę, wyjaśnił jej, że współczesne kopiarki nie wykonują już fotokopii. To raczej skanery i drukarki: każdy umieszczony na szkle dokument był rejestrowany jako obraz cyfrowy, a potem albo drukowany, albo - ostatnio coraz częściej - wysyłany pocztą elektroniczną.

- To znaczy - dodał - że współczesne maszyny przechowują wszystko. Zdziwiłaby się pani, ilu ludzi nie ma o tym pojęcia, że kiedy zrobią fotokopię swojego gołego tyłka, żeby go wysłać e-mailem do jakiegoś chłopaka czy dziewczyny, obraz i adres jest zachowany w maszynie, dopóki ich nie usuniemy.

Nie wiedziała tego i od tego czasu nigdy już nie ufała fotokopiarkom jak dawniej.

Steve Simmons zadziwiająco szybko skończył robotę. I znowu była pełna podziwu dla staranności, z jaką wszystko sprzątnął. Nosił jednorazowe rękawiczki, ale i tak - kiedy już wszystko poskładał - wyjął ściereczkę i skrupulatnie wytarł szklaną płytę i obudowę.

- Wielkie dzięki, proszę pani - powiedział grzecznie i odszedł.

Pół godziny później, kiedy wyszła na przerwę, zobaczyła go znowu: stał w kolejce do odprawy lotu krajowego do Waszyngtonu. Pomyślała, że to bardzo drogie przedsięwzięcie: posłać mechanika samolotem aż z Waszyngtonu tylko po to, żeby naprawił fotokopiarkę. Ale ludzie, którzy podejmują takie decyzje, chyba wiedzą, co robią.

Kiedy wróciła z przerwy, nie potrafiłaby już powiedzieć, jak wyglądał.

## Osiemnaście

Haker czekał cierpliwie w kawiarence internetowej. Wieczorną demonstrację zaplanował w najdrobniejszych szczegółach. W tej chwili w Misracie - trzecim co do wielkości mieście w Libii - była druga w nocy, ale dla ostrożności lokal i tak był zamknięty. Nikt nie zobaczy, jak przychodzą komendant i mułła.

Czekał na odgłos silnika samochodu, ale przyszli pieszo; otworzyli tylne drzwi i bezgłośnie wśliznęli się do wnętrza. Haker, który miał na imię Tarik, zauważył, jak komendant zerka niespokojnie na czekającego Hasana, właściciela kawiarenki.

- Wszystko w porządku - uspokoił go. - Hasan robi herbatę i nas zostawi.

Komendant kiwnął głową. Miał na sobie starą kurtkę wojskową i turban prany już tyle razy, że nie dało się określić koloru - ten sam, który nosił od roku dwa tysiące jedenastego i wojny wyzwoleniczej. Mułła z kolei miał wełnianą *szasziję*, nakrycie głowy tunezyjskiego imama, choć - o ile haker wiedział - nie pochodził z tego kraju. Mówił po arabsku z silnym egipskim akcentem.

Czekali w milczeniu, gdy Hasan parzył mocną, lepłą czarną herbatę, przelewając ją z jednego naczynia do drugiego, by uzyskać *raghwę*, czyli pianę, która dowodziła, jak czyste są utensylia i sama woda. Potem, z uprzejmym *ma as-salama* wyszedł z lokalu.

Haker wrócił do komputera. Dwaj pozostali stanęli za jego plecami i sącząc herbatę, patrzyli na ekran. Monitor ukazywał coś, co wyglądało na tunel drogowy widziany przez obiektyw kamery nadzoru. Ruch był stosunkowo niewielki - zwykle wielkie ciężarówki, każda z ogonem trzech czy czterech samochodów osobowych, które na wąskiej drodze nie mogły wyprzedzać.

- Oczywiście, to tylko demonstracja - wyjaśnił haker. - Gdyby to była prawdziwa operacja, wybralibyśmy czas dużego natężenia ruchu.

- Na co patrzymy? - zapytał komendant. - Jaki to kraj?

- Tunnel du Frejus - wyjaśnił haker. - Biegnie pod górami między Włochami i Francją. Trzydzieści kilometrów... Nie jest najdłuższy, absolutnie nie, ale wystarczy.

Wpisał adres IP i na ekranie pojawiło się pytanie o nazwę użytkownika i hasło. Podał jakieś i zamiast menu pojawiła się lista liczb. Dla komendanta z jego ograniczoną wiedzą techniczną wyglądało to jak menu internetowego routera.

Haker zmienił niektóre ustawienia z „on” na „off”, Potem wpisał następny adres IP, wywołał kolejne menu i zaznaczył „Wyłącz”.

- Teraz czekamy - powiedział jakby do siebie.

- Jak długo? - Tym razem odezwał się mułła.

- Dziesięć minut. Może dwadzieścia.

- Dość czasu na drugą szklanę.

Komendant nalał wszystkim herbaty i przysunął pozostawioną przez Hasana miskę migdałów.

- Pod koniec tego roku - powiedział haker cichym, spokojnym głosem - do internetu będzie podłączone o wiele więcej różnych rzeczy niż tylko komputery. Do roku dwa tysiące dwudziestego na świecie będzie więcej tak zwanych inteligentnych urządzeń niż ludzi: około dwudziestu miliardów. Kamery nadzoru, światła na skrzyżowaniach, piekarniki, automatyczne niańki... nie wspominając nawet o automatycznych sieciach giełdowych, elektrowniach i systemach obronnych.

- Stuknął palcem w ekran. - Albo, jak w tym wypadku, turbinach wentylacyjnych.

Komendant i mułła słuchali z szacunkiem. Haker był pewnie o trzydzieści lat młodszy od każdego z nich, ale przebyli długą drogą, żeby wysłuchać, co ma dzisiaj do powiedzenia.

- Dzisiejsze komputery mają stosunkowo skomplikowane zabezpieczenia - ciągnął haker. - Firewalle i programy antywirusowe są bezustannie aktualizowane, kiedy tylko odkrywa się nowe luki. Ale internet rzeczy na ogół działa na najprostszym i najtańszym oprogramowaniu, jakie uda się znaleźć producentowi. Zwykle urządzenia nie wymagają nawet hasła albo są ustawione na jedną z domyślnych wartości fabrycznych. - Wskazał na monitor. - Na przykład turbiny wentylacyjne w tym tunelu wymagają wpisania użytkownika „admin” i hasła „hasło”. Gdyby nawet montujący je inżynierowie pomyśleli, że warto może to hasło zmienić, stosunkowo łatwo byłoby to obejść.

- I to właśnie zrobiłeś? - zapytał mułła. - Wyłączyłeś turbiny?

Haker kiwnął głową.

- I to wszystko? - Komendant nie potrafił ukryć rozczarowania.

Opowiedział już mulle, jak podczas libijskiej wojny wyzwolenczej żołnierze pułkownika Kaddafiego wyłączyli krajową sieć komórkową, by pozbawić rebeliantów środków łączności. Ktoś wtedy przyprowadził mu tego chudego dzieciaka. Twierdził, że może się włamać do sieci i przywrócić połączenia. Komendant uznał, że warto spróbować, więc kazał dzieciakowi działać.

W ciągu doby dzieciak nie tylko uruchomił sieć, ale tak coś pozmieniał, że nie musieli już płacić za połączenia.

Kazał przyprowadzić go do siebie. Młody haker wyglądał, jakby spodziewał się podziękowań, ale komendant myślał już o czymś innym.

- Co jeszcze możesz zrobić? - zapytał.

Tydzień później żołnierze Kaddafiego przyholowali na wysunięte pozycje dwie ruchome wyrzutnie rakiet i przygotowali się do ostrzeliwania rebeliantów. Po godzinie jedna z nich omyłkowo wystrzeliła pocisk, który zamiast w wyznaczonym celu, wybuchł nad drugą wyrzutnią. Chudy dzieciak włamał się do systemu prowadzenia ognia, zmienił współrzędne, a potem uruchomił protokół odpalenia.

Komendant nie wiedział nawet, że wyrzutnie podłączone są do internetu.

- Bo nie są, nie w zwykłym sensie - wyjaśnił dzieciak. - Ale producenci wbudowali łącze, więc wyrzutnia co jakiś czas przez satelitę wysyła dane serwisowe do ich warsztatów. Przy tego typu sprzęcie te dane nie trafiają nawet do człowieka; to maszyna rozmawia z maszyną za pośrednictwem sensorów i mikrokontrolerów, które komunikują się między sobą, korzystając z prostych, niedrogich sieci.

Dla komendanta jego słowa były niemal niezrozumiałe, ale z ulgą przyjął wycofanie wyrzutni z akcji.

- Przyjdź, jeśli wpadniesz na coś nowego.

Następny pomysł nie wymagał nawet hakowania. Chłopak wymyślił plan, który pozwalał miejscowym dzieciom używać telefonów komórkowych do zaznaczania na Google Earth pozycji reżimowych snajperów, co pozwalało bojownikom skuteczniej ich namierzać. Wymyślił, jak zwiększyć celność moździerzy, wykorzystując do tego kontrolery gier wideo. Kiedy Kaddafi wysłał przeciw nim czołgi, haker zbudował prosty zagłuszacz GPS, by przekonać czołgowe systemy nawigacyjne, że są w innej części miasta niż w rzeczywistości. Dowódcy dopiero po godzinie się zorientowali, co zaszło, ale tymczasem w ogólnym chaosie ich atak się załamał.

Po upadku reżimu wielu rebeliantów stworzyło nową administrację Libii. Inni trafili do armii albo

wrócili do swoich wiosek i farm. Jednak niektórzy walczyli dalej, choć już w innej wojnie.

Do nich właśnie należał komendant. Nie był pewien, czy naprawdę wierzy w dżihad, czy może po prostu wśród zbombardowanych ruin Misraty i Syrty odnalazł swoje powołanie. Wiedział, jak walczyć, a co ważniejsze, wiedział, jak dowodzić. Ludzie mu ufali.

Odszukał hakera i zapytał, jakie ma plany na przyszłość.

Haker wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia.

Ale starszy mężczyzna wiedział, co go motywowało.

- Tyran, który zabił twojego ojca, nie żyje - powiedział. - Ale wciąż żyją ci, którzy tak długo pomagali mu utrzymać się przy władzy. Prowadzimy dżihad na chwałę Allaha. Ale walczymy też, by zniszczyć potęgę Zachodu, bo wtedy kraje arabskie wreszcie uwolnią się od ich wpływów.

- Jak mogę pomóc? - zapytał haker.

- Nie wiem. Idź teraz i wymyśl jakiś plan. Ale niech to będzie coś wielkiego. Kiedy runęły bliźniacze wieże Nowego Jorku, *al-hamdu li-Allah*, zrodził się nasz ruch. Ale od tego czasu kąsamy ich jak pchły, kiedy powinniśmy ryczeć na nich jak lwy.

- Podaj mi cel - rzekł chłopak.

Komendant przyjrzał mu się, jakby niepewny, ile może zdradzić.

Potem wyjął mapę rejonu Morza Śródziemnego.

- Dziesięć lat temu - powiedział - Ameryka miała więcej żołnierzy w Niemczech niż we Włoszech. Wkrótce będzie odwrotnie. Wiesz czemu?

Haker pokręcił głową.

- Ze względu na nas. - Komendant przesunął palec wzdłuż brzegu w białego głęboko w Morze Śródziemne Półwyspu Apenińskiego. - Jeśli kontrolują Włochy, kontrolują północną Afrykę. - Wskazał Sigonellę na zachodnim brzegu Sycylii. - W tym miejscu będzie umiejscowiony Połączony System Obserwacji Naziemnych. Wysokościowe drony, warte łącznie dwa miliardy dolarów, zdolne do lotów trwających po parę dni bez przerwy, mają szpiegować całą Afrykę. Planują rozszerzyć zasięg działań tak, żeby objąć też Bliski Wschód.

- Chcemy zaatakować te bazy?

Komendant pokręcił głową.

- Chcemy usunąć te bazy. Jeśli zaatakujemy, Amerykanie tylko je umocnią. Ale bazy mają pewien słaby punkt.

- Jaki?

- W rzeczywistości są własnością Wioch.

Czekał, aż haker zrozumie następstwa tego faktu. Młody człowiek w zamyśleniu kiwał głową.

- Inaczej mówiąc - podjął komendant - jeśli Włochy zażądają ich usunięcia, to zgodnie z prawem Amerykanie muszą się wynieść. Ich drony przestaną nas szpiegować. A to będzie przełom dla naszych bojowników na tych terenach.

- A Włochy zechcą się pozbyć tych baz - dokończył haker - jeśli cena za bycie sprzymierzeńcem Ameryki okaże się zbyt wysoka. Jeśli coś się wydarzy... coś takiego jak upadek bliźniaczych wież, ale na włoskiej ziemi.

Komendant przytaknął.

- Otóż to. Mam kontakt z grupą naszych braci we Włoszech. Zebrali fundusze mające sfinansować takie uderzenie. Trzeba tylko, żeby ktoś stworzył odpowiedni plan.

Przez rok haker milczał. Potem komendant odebrał prośbę o pieniądze, żeby haker mógł wyjechać za granicę na jakieś specjalistyczne szkolenie. Zapłacił od razu z funduszy zebranych wśród zwolenników.

Sześć miesięcy później haker przesłał wreszcie wiadomość, że ma plan. Tego wieczoru obiecał go wyjaśnić poprzez - jak zapowiedział - demonstrację. Ale jak dotąd wyłączył tylko parę turbin w tunelu drogowym. Komendant liczył na coś lepszego.



Haker spojrzął na zegar na listwie narzędziowej komputera. Minęło dziesięć minut.

- Już niedługo - zapewnił cicho.

Na ekranie prawym pasem pędziła ciężarówka z naczepą. Kilka samochodów mknęło tuż za nią, nie mogąc się już doczekać czterech pasów jezdni i szansy na wyprzedzenie. I nagle jadący z przeciwka samochód skręcił ostro przez oba pasy i pognął wprost na ciężarówkę. Kierowca ciężarówki wcisnął hamulce i wóz się złożył: kabina przejechała po prawej ścianie tunelu, krzesząc snopy iskier, natomiast przyczepa sunęła do przodu i w bok, na sąsiedni pas. Tuż przed ciężarówką znajdowała się zatoczka awaryjna, a jej ostry betonowy narożnik gwałtownie zatrzymał kabinę w miejscu. Rozpęd jednak pchał tylny koniec przyczepy aż do uderzenia o przeciwną ścianę tunelu. Mknący z przeciwka minibus próbował wyhamować, ale zdołał tylko bokiem uderzyć o przyczepę. Samochody jadące za ciężarówką nie miały żadnych szans. Ekran rozjaśnił się bielą, kiedy wybuchały ogniem pojazdy po obu stronach ciężarówki, a po chwili płomienie ogarnęły już całą kraksę.

- Są tam zraszacze? Alarmy? - zapytał komendant.

- Były - odparł haker. - Ale też je wyłączyłem.

- A ten, od którego to się zaczęło? Ten kierowca z przeciwka? Ktoś z naszych braci, szukający męczeństwa? Zorganizowałeś to?

Haker pokręcił głową, choć cały czas obserwował wydarzenia na ekranie.

- Po prostu jakiś zmęczony biznesmen. Chciał się przespać, a trafił na tunel pełny tlenku węgla zamiast powietrza.

- To znaczy... - Komendant usiłował sobie wszystko poukładać.

- Ty to zrobiłeś? Zmieniając parę ustawień w internecie?

- Zgadza się. - Haker mówił cicho, ale w jego głosie dźwięczała pasja. - To jest ich słabość, ich miękkie podbrzusze. Wyobraźcie sobie dzień, kiedy cała ich tak zwana technologia zwróci się przeciwko nim. Nie tylko tunele drogowe, ale systemy kontroli lotów, elektrownie, kanalizacja, rafinerie ropy... wszystkie odmówią posłuszeństwa w tym samym czasie i w najbardziej niebezpieczny z możliwych sposobów. Ich komputery zmienią się w bomby zapalające, ich systemy transportu w broń zagłady. Ich systemy giełdowe zaczną kupować i sprzedawać całkiem losowo, rujnując gospodarkę. Ich bankomaty się opróżnią, plastikowe karty przestaną działać w galeriach handlowych i supermarketach. Ich szpitale, ich szlaki zaopatrzeniowe, wszystkie ulegną zniszczeniu w tej samej chwili. A w centrum tego, kiedy będą zajęci wszystkim, co się dzieje, spektakularny gest destrukcji, niemający sobie równych od jedenastego września. Skupi się na Włoszech, jak chciałeś. Ale jego skutki dadzą się odczuć daleko poza granicami Włoch. - Wskazał ekran. - Tego dnia, *Insha Allah*, nawet kilka płonących samochodów nie będzie miało znaczenia.

- To możliwe? - spytał komendant równie spokojnym głosem.

Boże, co ja zrobiłem, myślał. Co ja uwolniłem?

Haker przytaknął.

- Wiele elementów trzeba jeszcze zorganizować. I akcja będzie kosztowna. Ale możliwości, cała struktura, jest już na miejscu.

Komendant spojrzął na mułkę, który nie odzywał się od chwili katastrofy. On także nie odrywał wzroku od ekranu. Z tyłu, poza główną kolizją, inne samochody hamowały gwałtownie, a ich kierowcy wyskakiwali z poobijanych wozów, po czym zataczali się, chwytając dłońmi za gardła, i otwierali usta w niesłyszalnych krzykach.

- Ogień pochłoniął resztę dostępnego tlenu - wyjaśnił haker. - Tam już nie ma czym oddychać.

Z tyłu nadjeżdżały już wozy straży pożarnej, a niebieskie światła rozjaśniały ekran i przygasaly. Ale w żaden sposób nie mogły dotrzeć do centrum pożaru - zbyt wiele samochodów zagradzało im drogę. Po chwili ogień zniszczył też kamerę i ekran monitora zgasł.

Mułka spojrzął na obu mężczyzn. Oczy błyszczały mu z podniecenia.

- Chwała Allahowi - powiedział. - Czego potrzebujesz?

## Dziewiętnaście

Głęboko zamyślony Daniele Barbo szedł wzdłuż Fondamenta Zattere. Za Canale della Giudecca migotały w oddali światła San Giorgio Maggiore.

Jedynie nocą decydował się na takie spacerory, kiedy pustoszały wąskie *calli* Wenecji. Wprawdzie dzień był upalny, ale nocna bryza od strony laguny ostudziła mury budynków i temperatura wydawała się znośna.

Zresztą Daniele nie zwracał uwagi na temperaturę. Rozmyślał o naturze piękna.

Kiedy James Watson i Francis Crick postanowili odcyfrować strukturę DNA, byli przekonani, że rozpoznają ją, kiedy tylko zobaczą, ponieważ coś tak ważnego z pewnością musi być piękne. A kiedy pierwszy raz nakreślili słynną podwójną helisę, natychmiast zrozumieli, co to takiego.

Dla umysłu Daniele podobne piękno prezentowało może pół tuzina wzorów matematycznych, od podstawowego twierdzenia rachunku całkowego po wzór powszechnego ciężenia Newtona. Ironia polegała na tym, że do takich twierdzeń nie da się dotrzeć poprzez dedukcję, a tylko dzięki intuicji. Einstein sformułował swoje równanie  $E=mc^2$  na długo przed tym, nim potrafił je udowodnić. Newton dostrzegł grawitację w locie spadającego jabłka, zanim jeszcze dopracował niezbędną matematykę. Daniele nie mógł liczyć, że opracuje algorytm, który wykaże, że  $P=NP$ . Mógł tylko mieć nadzieję, że rozpozna go, kiedy się pojawi.

Będzie prosty i piękny. Tyle tylko wiedział.

Przymknął oczy i spróbował zobaczyć otaczający go świat tak, jakby był zbudowany z liczb. Ruch fal pluszczących o falochron - ten określały równania dynamiki płynów Naviera-Stokesa. Związek między Księżycem i pływami - ten był tak tajemniczy, że nawet Newton nie rozumiał go w pełni. Architektura kościoła po lewej stronie, Spirito Sancto, była czystą geometrią euklidesową: gotyckie łuki i witrażowe rozety skonstruowano tak, by wyrażały piękno, będące - jak wierzyli budowniczo - echem idealnej matematyki Boga. Jej proporcje opierały się na złotym podziale, matematycznym stosunku występującym wszędzie, od sosnowych szyszek po muszle ślimaków, od ziarna słonecznika po wir Galaktyki.

Skreślił na rogu Punta della Dogana, dawnego budynku inspekcji celnej. Przed nim niezwykła ośmioboczna struktura Santa Maria della Salute stała na straży ujścia Canal Grande. Wielka kopuła wyrastała na tle miasta niczym masywna królewska korona, a blask księżyca oszraniał ją srebrem. Niektórzy, jak wiedział, uważali, że jej konstrukcja inspirowana jest matematyką innego rodzaju: numerycznym mistycyzmem alchemii i dawnego hermetyzmu. Podobno alchemia doprowadziła Isaaca Newtona do obłądzenia i ostatnie lata życia spędził, zapisując notesy dziwnymi spekulacjami o transmutacji materii. Obsesją Leonarda da Vinci stała się starożytna zagadka kwadratury koła, a nawet Galileusz, arcyempiryk, dużą część swego życia poświęcił astrologii i tabelom gwiazdowym.

Poznasz, kiedy zobaczysz, obiecał sobie Daniele. Będzie piękny, będzie też realny.

Opróżnił swoje życie. Teraz musi spróbować opróżnić umysł.

## Dwadzieścia

Kiedy samolot skręcił nad Sardinia, Holly zobaczyła za oknem długie pasmo szarych i nagich gór. W dole, tam gdzie kończyły się szczyty, widziała półksiężyc białego piasku otoczony pasem białych hoteli. To musiało być Alghero - senna letniskowa miejscowość w najspokojniejszym zakątku wyspy. Nawet z tej wysokości mogła zauważyć czarne kropki na morzu, gdzie wiosłowali turyści.

Podniosła leżące na kolanach „Il Giornale”. Pierwszą stronę zdominował dziwny wypadek w tunelu Frejus. Ekipy techniczne wciąż nie zdołały oczyścić miejsca katastrofy: samochody były sprasowane w jedną masę razem z fragmentem stropu, który stopił się od żaru. Nie odnaleziono przynajmniej dwudziestu ludzi, w tym dwanaścioro dzieci, wracających minibusem ze szkolnej wycieczki. Nie była to największa katastrofa w historii: karambol w tunelu Gottharda w dwa tysiące pierwszym spowodował sto trzydzieści dziewięć ofiar, pożar pod Mont Blanc w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym zabił ponad czterdzieści osób, dwadzieścia osiem zginęło w dwa tysiące dwunastym w katastrofie tunelu koło Sierre. Ta jednak wydawała się najbardziej zagadkowa. Tunel Frejus był całkiem bezpieczny, zresztą po pożarze pod Mont Blanc wprowadzono w nim dodatkowe zabezpieczenia. Nie zanotowano żadnych awarii technicznych, choć badacze sprawdzali teorię, że nie uruchomił się system zraszaczy. Rzecznik zarządu tunelu oświadczył, że nie można wykluczyć żadnej możliwości, łącznie z błędem kierowcy.

Dyskusja o podsłuchach na podmorskich kablach internetowych powoli się wypalała, przeniesiona już na środkowe strony. Stany Zjednoczone proponowały, by teraz Włochy same zgodziły się na wznowienie tych procedur; miałyby być elementem nowej wspólnoty gromadzenia informacji, zwanej VIGILANCE. „VIGILANCE, co jest skrótem od Virtual Intelligence Gathering Alliance, Sojusz Gromadzenia Wirtualnych Danych Wywiadowczych, będzie najskuteczniejszym narzędziem antyterrorystycznym, jakim dysponuje Zachód, uwzględniającym jednak uprawnione zaniepokojenie, dotyczące ochrony prywatności i bezpieczeństwa danych”, jak oświadczył cytowany rzecznik Białego Domu. Rząd włoski odrzucił propozycję od razu - i trudno się dziwić, pomyślała Holly. Przecież żaden kraj po odkryciu, że był szpiegowany, nie zgodzi się na poddanie tym samym procedurom z własnej woli.

- Panie i panowie, zbliżamy się do lądowania w Alghero - oznajmiła przez głośniki stewardesa głosem tak mechanicznym, jakby to było nagranie. Potem nastąpiły zwykłe ostrzeżenia, by nie wstawać z miejsc, dopóki nie zgaśnie znak informujący o zapiętych pasach. Ostrzeżenia jak zwykle ignorowane przez wszystkich oprócz Holly. To także, uświadomiła sobie, jeden ze skutków wojskowego wychowania. Odruch, by dokładnie wykonywać rozkazy, został jej wpojony od dzieciństwa.

Gdzieś czytała, że wojskowe dzieci uznają reguły, gdy inni mają zasady; dlatego kiedy już wypadną z torów, czynią to w sposób spektakularny. Widziała zresztą takie rzeczy u swoich rówieśniczek. Mała księżniczka tatusia z bazy w college’u stawiała się puszczalską i najbardziej odjechaną dziewczyną w kampusie.

W przypadku Holly było odwrotnie. Czasami zastanawiała się, czy nie magazynuje swojego buntu w

oczekiwaniu na jakiś impuls, który go uwolni.

Czy to był ten impuls? Przypuśćmy, że znajdzie jakieś potwierdzenie, iż ojciec został świadomie uciszony z powodu tego, co odkrył na temat operacji Gladio... Co wtedy zrobi z tą wiedzą?

Westchnęła. Nie warto martwić się na zapas.

Kiedy wyszła z samolotu, zauważyła grupkę sześciu mężczyzn, którzy wydawali się znajomi - nie te konkretne osoby, ale typ. Krępi, mocno zbudowani, o szerokich klatkach piersiowych i wypukłych bicepsach ludzi, którzy zbyt wiele czasu spędzają na ćwiczeniach. Nie byli w mundurach, ale krótko ścięte włosy zdradzały ich natychmiast. I rzeczywiście, kiedy szli w stronę pawilonu, odruchowo zgrali krok, maszerując w defiladowym tempie. Można wyprowadzić człowieka z bazy, ale nie usunie się bazy z człowieka, pomyślała. Kiedy już wszyscy odebrali bagaże, większa część grupy ciągnęła za sobą torby golfowe. Starsi sierżanci, uznała, którzy przyjechali nad morze na przepustkę.

Wynajęła samochód od Sixta i podjechała do sklepu wspinaczkowego, który znalazła w internecie. Wszystko zamówiła wcześniej, ale została jeszcze, by pogadać chwilę z właścicielem, wytatuowanym młodym człowiekiem z dreadami. Z doświadczenia wiedziała, że dowie się od niego więcej niż z dowolnego przewodnika. I rzeczywiście, przez pół godziny opowiadał jej o najlepszych trasach wspinaczkowych wyspy. Potwierdził to, na co liczyła: jej cel znajdował się daleko od miejsc odwiedzanych przez rekreacyjnych wspinaczy.

Potem skierowała się wzdłuż wybrzeża na południe, do niewielkiej miejscowości Bosa. Wiedziała, że drogę zbudowano zaledwie dekadę temu, mniej więcej. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy w tym rejonie szkolili się ludzie z Gladio, dało się tam dotrzeć tylko łodzią. Nawet teraz była to chyba najbardziej malownicza trasa, jaką kiedykolwiek jechała. Z jednej strony poszarpane, nierówne zbocza wznosiły się niemal pionowo w jasne niebo, z drugiej opadały stromo ku migotliwemu morzu. Nie było żadnych budynków, farm ani pól, żadnych bocznych dróg do miasteczek czy wiosek. Minęło ją kilka autobusów jadących z przeciwka, ale poza tym droga wydawała się nierealnie spokojna; jedynym jej towarzystwem były grupki muflonów, dzikich brązowych owiec z ekstrawagancko zakręconymi rogami, skubiących trawę na pozornie niedostępnych stokach.

Jej duszę wypełniała miłość do tego nieba i tego morza. Czy ludzie w Stanach czują to samo na widok amerykańskich krajobrazów? Wyobrażała sobie, że tak. Ale jakiś fragment jej serca był teraz tak bardzo włoski, jak to tylko możliwe u kogoś, kto się tutaj nie urodził.

\* \* \*

W końcu dotarła do ogrodzenia z zardzewiałej siatki obok niewielkiej odnogi, więc zjechała na pobocze i zaparkowała za skałą, niewidoczna z drogi.

Kiedy wysiadła, odkryła, że wciąż jest bardzo gorąco i duszno. Odnoga była zaledwie ścieżką biegnącą zygzakiem po zboczu aż do morza, sześćdziesiąt metrów niżej. Jeżeli ustawiono przy niej jakichś strażników albo kamery nadzoru, niczego nie zauważyła.

Pięćdziesiąt metrów od ścieżki wbiła w grunt stalowy hak i wpięła w niego linę. Miała ze sobą prosty przyrząd zjazdowy, żeby spowolnić zejście, a także buty wspinaczkowe i nakolanniki. Wprawdzie armia amerykańska nalegała, by przy zjazdach używać rękawiczek i kasków, jednak Holly, jak większość prawdziwych wspinaczy, nie lubiła ich: rękawiczki zwiększały prawdopodobieństwo, że rolka wciągnie palce, a kask ograniczał pole widzenia w górze.

Pokonała niewielką przewieszkę i w dole pod sobą zobaczyła bazę. Nie było specjalnie na co patrzeć: kilka szarych betonowych budynków, tak brzydkich, że mogły być tylko wojskowe. Wszystko tam wyglądało na porzucone. Holly zjechała jeszcze trzydzieści metrów, nim stanęła na półce. Zaczekała chwilę, by mieć pewność, że w okolicy nikogo nie ma. Usatysfakcjonowana, zsunęła się z końcowych piętnastu metrów. Na drugim ogrodzeniu wisiała tablica ostrzegająca, że to strefa wojskowa, że wchodzenie na teren, fotografowanie i prowadzenie pomiarów kartograficznych jest zakazane zgodnie z włoskim prawem. Druga, nowsza i mniejsza, ostrzegała, że teren zagrożony jest osunięciem. Grafika

przedstawiająca warczącego psa nie wymagała dodatkowych wyjaśnień. Jednak w siatce zauważyła przerdzewiałe wyrwy, a na ziemi po obu stronach coś, co wyglądało na królicze nory. Nawet jeśli kiedyś były tu psy, to już dawno się wyniosły.

Jak wyczytała w sieci, włoska agencja wywiadu oficjalnie nadal wykorzystywała tę bazę jako punkt obserwacyjny. Ciekawe, co obserwują, zastanowiła się. Zresztą jeśli nawet, nie zauważyła żadnych przejawów ludzkiej obecności.

Podeszła do najbliższego budynku i zajrzała przez wybite okno. Wewnątrz stało ze dwadzieścia prycz. Ale materace i wszystko, co palne, spłonęło już dawno i na podłodze leżały tylko żelazne ramy i okopcone sprężyny.

Przeszła do następnego - okazał się bardziej obiecujący. Wewnątrz leżały stare papiery i butelki, jakby budynek porzucono w pośpiechu. Na środku leżało wypalone truchło stołu bilardowego.

Weszła do środka. Do stołu była umocowana niewielka metalowa plakietka: „Dla ludzi Gladio, z wyrazami podziwu, Giulio Andreotti”. A więc przynajmniej trafiła we właściwe miejsce. Zastanowiła się nad tym prezentem od premiera, który później ujawnił istnienie sieci. Aż dziw, że odchodzący „gladiatorzy” nie wyrwali tej plakietki. A może pozostawienie jej tutaj, na widoku, uznali za mocniejszy komentarz?

W pokoju na tyłach serce zabiło jej mocniej na widok niewielkiego sejfu. Ale w środku znalazła tylko zwęglone szczątki. Ekipa czyszcząca Gladio, jeśli to ona tu pracowała, była bardzo skrupulatna.

A może, pomyślała, sprzątanie nastąpiło później i zajmowały się nim włoskie służby bezpieczeństwa, kiedy już przekazano im bazę jako punkt obserwacyjny?

Sprawdziła inne budynki, ale wszędzie widziała to samo. W dawnej stołówce roztrzaskano nawet puste butelki po winie, a rozbite szkło chrzęściło pod nogami jak żwir.

A czego się spodziewałaś po tylu latach? Dokumentów?

Choć zdawała sobie sprawę, jak niewielkie są szanse, i tak była rozczarowana. Mimo wszystko miała nadzieję na coś, co będzie dowodem, że trop jeszcze całkiem nie ostygł.

Nagle usłyszała odgłos silnika. Wyszła na zewnątrz i zobaczyła zbliżający się wojskowy łązik.

Szlag...

Wycofała się szybko. Patrzyła przez okno, jak łązik zaparkował przed budynkami. Dwaj żołnierze we włoskich mundurach wysiedli i sięgnęli po papierosy, a potem palili oparci o burtę wozu.

I nagle jeden z nich ruszył prosto do budynku, w którym się ukrywała. Holly odsunęła się szybko i wstrzymała oddech. Po chwili jednak usłyszała plusk moczu o ścianę.

- Muszą go wystawić na tej pozycji - odezwał się nagle bardzo bliski głos. To żołnierz kontynuował rozmowę z towarzyszem.

Holly była tak blisko, że czuła ostry zapach moczu. Kiedy żołnierz skończył, obaj wrócili do samochodu i odjechali.

Rutynowy patrol, domyśliła się. Jeszcze jedno bezsensowne zadanie, w ciągu dnia pełnego bezsensownych zadań, wykonanie rozkazu wydanego przez jakiegoś przerażonego biurokratę ponad dziesięć lat temu i nigdy niecofniętego...

Nie chciało jej się wspinać z powrotem po linie, więc poszła wzdłuż szlaku; żar odbijał się od skał i popękanego asfaltu prosto w jej twarz. Wysoko na niebie sęp płowy wyfrunął zza szczytu góry i - na pozór nie ruszywszy nawet czubkiem skrzydła - spłynął w dół, by dokładniej się jej przyjrzeć.

Przystanęła, podziwiając dwuipółmetrową rozpiętość wspaniałych skrzydeł.

Przynajmniej cię zobaczyłam, pomyślała. Czyli ta wyprawa nie do końca poszła na marne.

Coś błysnęło na granicy pola widzenia - odbicie słońca w szybie samochodu, który zjechał z drogi, wijącej się po zboczu tej samej góry, tyle że wyżej niż ona. Wyteżając wzrok, poznała, że to land rover. Pewnie turyści, którzy zatrzymali się, by podziwiać widok. Czekala, aż znowu ruszą, zanim sama odjedzie. Jednak po dziesięciu minutach zrozumiała, że nic z tego. To znaczy, że zatrzymali się, żeby

zrobić zdjęcia. Albo...

Albo obserwowali ją i czekali, aż ruszy z miejsca. Gdyby nie przystanęła, by popatrzeć na tego sępa, nigdy by ich nie zauważyła.

Pojechała z powrotem do sklepu wspinaczkowego; od czasu do czasu sprawdzała, czy nie jest śledzona.

- Chyba wybrałam złą trasę - powiedziała właścicielowi, kiedy dotarła na miejsce. - Nie masz przypadkiem mapy instalacji wojskowych na Sardynii?

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Inaczej mówiąc, mapy miejsc, których nie wolno nam umieszczać na mapach?

- Właśnie.

Jak mapy morskie pokazywały rozmaite tory wodne, rafy i inne niebezpieczne miejsca, tak mapy gór powinny uprzedzać wspinaczy, które części gór są dla nich zakazane. Jeśli ktokolwiek miał taką mapę, to prawdopodobnie ten człowiek.

Zastanowił się.

- Tak się składa, że rzeczywiście mam.

Wyjął rulon grubego papieru i rozwinął, przyciskając w rogach kubkami. Na papierze wykreślona była mapa wyspy w dużej skali. Spore jej części zakreskowano na czerwono.

- Jeśli się martwisz o ZU, to słusznie. - powiedział. Wytatuowaną ręką wskazał region na południowym wschodzie. - Ten obszar, Quirra, to największy poligon do testowania broni w Europie. Poziom zachorowalności na białaczkę wśród okolicznej ludności sięga sześćdziesięciu pięciu procent. Pasterze mieli tyle zdeformowanych owiec, że nie mogli się utrzymać, więc się przenieśli w inne części wyspy.

ZU, jak zrozumią, oznaczało zubożony uran, materiał do produkcji pocisków, lekko radioaktywny i silnie trujący.

- Ale to nie jest jedyne zatrute miejsce na wyspie. - Stuknął w północno-wschodni róg. - Miała tam być europejska placówka badawcza jeziora Baratz. Ale znaleźli tyle niewybuchów, że trzeba było wycofać naukowców dla ich bezpieczeństwa. Chodzi o to, że włoski rząd bierze od producentów broni milion dolarów dziennie za prawo korzystania z tych gór. Pieniądze trafiają bezpośrednio do Rzymu. Kiedy nasze władze lokalne w ramach rekompensat uzyskały dziesięć milionów euro, uznano to za wielki sukces. Tymczasem to mniej niż dwutygodniowy przychód ludzi, którzy zarządzają tym miejscem.

Mówił spokojnie i rzeczowo, jakby dawno już wypalił się w nim gniew na tę rażącą niesprawiedliwość.

- Co z innymi bazami? - spytała, patrząc z boku na mapę.

- Do wyboru. Na południu mamy Decimomannu. Największe lotnisko we Włoszech, ale nie przyjmuje nawet jednego cywilnego samolotu. I Capo Taluda. - Wskazał palcem. - Tam testują biały fosfor. Cała ta wyspa to wielki plac zabaw dla wojska.

- A są bazy, które zlikwidowali albo zamknęli przez, powiedzmy, ostatnie piętnaście lat?

Pomyślał chwilę.

- Jest taka stara baza USA i NATO na wyspie La Maddalena. Zamknęli ją jakieś dziesięć lat temu.

- A teraz co się tam dzieje?

- Niewiele. Samą bazę przerobili na hotel, reszta wyspy to rezerwat ptaków. Chociaż słyszałem, że czasem urządzają tam jakieś wojskowe manewry.

- Jakie manewry?

- Kto wie? To daleko. Cokolwiek robią, pewnie w pobliżu nie ma nikogo, kto by ich widział.

Zastanowiła się.

- Coś do wspinania?

- Trochę. Głównie bouldering na nadbrzeżnych klifach. Ale przy całym tym zatruciu i w ogóle, po

co miałybyś tam płynąć?

Uśmiechnęła się.

- Może lubię ptaki...



## Dwadzieścia jeden

Kolejny dzień wstał nad Wenecją gorący i wilgotny. Kat płynęła *vaporetto* z dworca Santa Lucia razem z całą gromadą turystów, którzy na każdym przystanku jak pingwiny przesuwali się wolno po pokładzie, zamiast wejść do środka i zrobić miejsce. Nastroju nie poprawił jej artykuł na czwartej stronie „Il Gazzettino”, zatytułowany *Nocny pływak znaleziony martwy na plaży*. Według niepodpisanego reportera ciało „w goglach i częściowo rozebrane” znaleziono na plaży w Lido. Śledczy podejrzewają, jak twierdził dalej autor, że z powodu upału denat postanowił przespać się na plaży i padł ofiarą rabusiów. Zacytowano wypowiedź *avvocato* Marcella, zapewniającego, że Wenecja jest miejscem ogólnie całkiem dla turystów bezpiecznym, jeśli tylko „zachowają rozsądne środki ostrożności i postarają się unikać terenów o znacznej populacji wędrowniej”. Ale zanim jeszcze dotarła do tego cytatu, Kat rozpoznała rękę prokuratora, swobodnie zmieniającego historię.

Na następnej stronie jej uwagę zwrócił inny artykuł:

### **CESARSKI APARTAMENT NAPOLEONA UDOSTĘPNIONY**

*Po stu latach zapomnienia cesarskie apartamenty królewskiego pałacu, zamówionego przez cesarza Napoleona Bonaparte po upadku Republiki Weneckiej, w tym tygodniu znów otwierają swe podwoje, po remoncie wartym trzy miliony euro.*

*Odnowienie komnat wychodzących na plac św. Marka oznacza domknięcie ambitnego programu restauracji pałacu. Sponsorzy projektu, wśród których znalazła się też znana marka modowa Tignelli, uczczą tę okazję w poniedziałkowy wieczór wystawnym bankietem w cesarskiej sali balowej.*

W Campo San Zaccaria zespół operacyjny, tak sprawnie zorganizowany przez Bagnasco, został już równie sprawnie rozwiązany; ludziom przydzielono inne zadania. Kat odszukała pułkownika Piołę, wciąż zajętego papierami z poprzedniej sprawy.

- Jak ci idzie? - spytała.

Skrzywił się i przeciągnął, wdzięczny za pretekst, by choć na parę minut odłożyć dokumenty.

- Jak zwykle. Prawnik reprezentujący rodzinę producentów szkła zaproponował pomysłów wyjaśnienie, że sami zrobili to szkło i wysłali do Chin, zanim zdali sobie sprawę, że nie mogą go tam sprzedawać. I transport wrócił do Murano. Czyli to raczej nieudane przedsięwzięcie biznesowe, a nie próba oszukania turystów. I coś jeszcze: ekspert prokuratury twierdzi, że chińskie podróbki są prawdopodobnie lepszej jakości niż to, co normalnie produkuje rodzina. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby umorzyli tę sprawę. A co u ciebie?

Zawahała się. Dookoła siedzieli przy komputerach funkcjonariusze.

- Możemy pogadać gdzie indziej?

Wyszli do niedużego baru na Fondamenta de l’Osmarin. Oprócz kawy Aldo zamówił *cornetto*, croissanta posypanego cukrem pudrem. Zauważyła, że przybrał trochę na wadze. Zastanawiała się, czy dba o siebie teraz, kiedy rozstał się z żoną. Nie spytała. Ich życie osobiste było dla nich obojga tematem zakazanym.

- Chodzi o tę twoją sprawę z wolnomularstwem, jak rozumiem - powiedział, kiedy znaleźli spokojny kącik.

- Na tym polega problem: to już nie jest moja sprawa, przynajmniej oficjalnie.

Opowiedziała mu o interwencji Grimalda. o liście, jaką Malli znalazł w komputerze Cassandrego, i o masonskich wizytówkach z jego biurka.

- Mogę zobaczyć?

Podowała mu jedną z wizytówek.

- Widziałem już taki symbol - oświadczył.

- Gdzie?

- Pamiętasz tę sprawę Romów, którą prowadziłem parę lat temu?

Przytaknęła. To było krótko po jej wstąpieniu do karabinierów.

Wybuchła ogólnokrajowa panika w sprawie liczby przybywających do Włoch Cyganów; praca drukowała przerażające teksty o kieszonkowcach i porywanych na zamówienie białych dzieciach.

- Rada miasta w swej mądrości postanowiła, by wszystkich Romów umieścić w jednym miejscu, *campo nomadi* na Via Vallenari. Potem zaczęły krążyć jakieś bzdurne plotki, coś o włoskiej uczennicy, zawleczonej tam wbrew swojej woli... Nie wykryliśmy, kto to wymyślił. Ale rezultatem był tłum samozwańczych mścicieli, którzy otoczyli obóz, odcięli elektryczność i podpalili romskie przyczepy kempingowe. - Piola pokręcił głową. - Zginęły trzy osoby, w tym ciężko chora staruszka, której syn był akurat w fabryce na nocnej zmianie. Nikt nie został zatrzymany. Ale pamiętam, że widziałem ten symbol wymalowany sprayem na spalonych przyczepach.

- To potworne.

- Ale to nie wszystko. Symbol pojawił się znowu, kiedy parę lat temu ktoś pobił turystów gejów w Mestre. Ktoś wymalował go na ścianie, obok napisu *Morte ai colatoni*, śmierć pedałom.

- Ojciec Calergi mówił, że został zakazany, bo wykorzystywali go prawicowi ekstremiści. Ale powiedział też, że był to znak historycznego weneckiego bractwa.

- Może dlatego go wybrali - zasugerował. - Przez to podwójne znaczenie. Przyszło ci do głowy, że ci twoi masoni wcale nie muszą być masonami, a przynajmniej nie przede wszystkim? Ta ich loża mogła powstać dla jakiegoś konkretnego przestępczego celu, a używają wolnomularskich rytuałów i struktur, by to zamaskować. W końcu, czy jest lepsza przykrywka dla nielegalnej grupy przestępczej niż organizacja, która już działa w półmroku i gdzie absolutna lojalność wobec innych członków jest uważana za oczywistość?

Uświadomiła sobie, że to ma sens. Jak uczestnik balu w karnawale, Cassandre wszedł na scenę, nosząc maskę, a oni posłusznie patrzyli na maskę, nie na osobę. Nawet ci, którzy - jak generał Saito - chcieli zatuszować całą sprawę, żeby nie zaszkodziła masonom, myśleli o zewnętrznych oznakach zamiast o samym przestępstwie.

- Ojciec Calergi też coś takiego sugerował - przypomniała sobie.

- Powiedział, że nawet dzisiaj nikt właściwie nie wie, jakie były polityczne plany P2.

- A jakie są poglądy polityczne Tignellego?

- Myślę, że też prawicowe. Jego bohaterem jest Napoleon, wyobraź sobie. Nazwał go „wyzwolicielem Wenecji”. Sponsorował nawet restaurację apartamentów Napoleona.

- Może uważa siebie za jego politycznego spadkobiercę?

W zadumie pokiwała głową.

- Właściwie to tak powiedział. Oświadczył, że dzisiejsza Wenecja grzęźnie w korupcji i występku, jak za czasów Napoleona. Uważał, że jako oficer karabinierów przyznam mu rację.

- Jestem pewien, że wielu naszych kolegów też tak uważa.

Piola otarł wargi serwetką i skinął na Viliberta, właściciela baru, by podał rachunek. Viliberto jak zwykle machnął ręką, dając do zrozumienia, że to na koszt firmy. I jak zwykle Piola położył na ladzie

banknot o nominale pięciu euro - prawdopodobnie więcej, niż wyniósłby rachunek. Piola nie akceptował takich prezentów, choćby i drobnych; tym ją ujął, kiedy prowadzili swoje pierwsze wspólne śledztwo.

- Popytam - zdecydowała. - Ktoś będzie coś wiedział.

Wenecja może i była najpopularniejszym na świecie celem wakacyjnych podróży, ale była też wsią. Jeśli zabrać turystów, pozostawało zaledwie sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, których rodziny często żyły tu od pokoleń. Jak dotąd nie trafiła na Tignellego, ale na pewno zna go ktoś z jej kontaktów.

- Rozumiem, że nie zamierzasz wciągać w to nieoficjalne śledztwo siostrzenicy generała Saita?

Wytrzeszczyła oczy.

- Kogo?

- Porucznik Bagnasco. Siostrzenica Saita. - Zaśmiał się, widząc jej przerażoną minę. - Nie wiedziałaś? Powinnaś się czuć zaszczycona. Mógł ją przydzielić do każdego dochodzenia, ale wybrał twoje.

- Chciał mieć na mnie oko - powiedziała wolno Kat. - Nawet jeśli sam nie ma nic wspólnego z czarną lożą, nie chce skandalu, który mógłby zaszkodzić opinii karabinierów.

- A może chciał mieć na ciebie oko, bo wyglądało to na dużą sprawę, a ty wciąż jesteś stosunkowo mało doświadczona - zauważył łagodnie Piola. - Poza tym Bagnasco zapowiada się na bardzo dobrego oficera.

- Znasz ją? - spytała Kat.

Po raz kolejny była zaskoczona. Bagnasco mówiła, że jest w Wenecji dopiero od kilku tygodni.

Piola przytaknął.

- Pytała, czy mógłbym zostać jej opiekunem. Rozmawialiśmy kilka razy, to wszystko.

- Rozmawialiśmy? Przy kolacji, jak się domyślam?

- Przy kolacji, owszem. Dlaczego nie?

Bo ona cię wykorzystuje, pomyślała Kat ze smutkiem. Bo wie, że jesteś samotny, więc dostrzegła okazję, by awansować.

Bagnasco nie robi takiego błędu jak ona, nie prześpi się ze starszym oficerem, ale pozwoli temu oficerowi wierzyć, że miałaby ochotę.

Po wzroku Pioli poznała, że jego zdaniem jest zazdrosna; zrozumiała też, że mu się to dość podoba.

- Nie jestem zazdrosna - rzuciła gniewnie. - Po prostu uważam, że próbuje biegać, zanim nauczyła się chodzić.

- No tak - rzucił rozbawiony. - Znasz się na takich sprawach. Kiedy wychodzili, zauważyła, że odruchowo zerka na swoje odbicie w lustrze za barem. Włosy siwiały mu na skroniach, a twarz miała swojski, trochę pomarszczony wygląd, będący elementem jego uroku. Trudno zaprzeczyć, wciąż był bardzo przystojny. Ponadto nie po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że swoje zasady nosi z dumą jak garnitury od Brioniego, jakby wiedział, że dodają mu atrakcyjności.

\* \* \*

W Campo San Zaccaria Kat poszła na poddasze do Mallego. Zwykle gadatliwy technik tym razem rzucił jej ponure spojrzenie i przejechał fotelem do stołu zasypanego dowodami z różnych śledztw, umieszczonymi w specjalnych torebkach.

- Proszę. - Wręczył jej jedną. - Mam przecucie, że nie powinienem tego oglądać.

- Miałam nadzieję pana przekonać, żeby pogrzebać w tym jeszcze trochę.

Pokręcił głową.

- Nie uda się pani, a zresztą niewiele tam zostało.

- Niewiele zostało? - powtórzyła. - Czyli znalazł pan jeszcze coś oprócz tej listy?

Zawahał się, potem poszukał na blacie innego biurka i wręczył jej wydruk.

- Usunął historię przeglądarki. Ale większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, że usunięta historia wcale nie jest wykasowana. Jest zapamiętana w pliku systemowym o nazwie „index.dat”.

Odzyskanie jej jest tak proste jak przywrócenie systemu.

- Zrobił pan kopię tego? - spytała, przebiegając wzrokiem po liście. Pokręcił głową.
- I jeśli zachowała pani rozsądek, wrzuci pani ten wydruk prosto do niszcarki.
- Ma pan rację - przyznała. - To właśnie powinnam zrobić.

Skinął głową i pożegnał ją z wyraźną ulgą.

Ale to nie znaczy, że zrobię, pomyślała.

## Dwadzieścia dwa

Holly uśmiechnęła się do młodej kobiety w recepcji.

- Dzień dobry. Mam tutaj rezerwację. Na nazwisko Boland.

- Oczywiście - odparła kobieta przyjaznym tonem, typowym dla jej funkcji. - Jedna noc, prawda?

Dla każdego zaznajomionego z powojenną amerykańską architekturą kolonialną hotel na maleńkiej wysepce La Maddalena mógł być tylko dawną bazą wojskową. Długi, niski i wąski budynek składał się głównie ze szkła i betonowych filarów oraz parkietu na podłogach. Ktokolwiek kierował jego przebudową na hotel, nie szczędził wysiłku, by jakoś zmiękczyć rozległe wnętrza efektownymi żyrandolami i muralami, jednak zdaniem Holly rezultat przypominał krzyżówkę lotniskowego terminalu z bardzo niegustownym nocnym klubem.

Natomiast obecnym klientom hotelu, jak podejrzewała, wcale to nie przeszkadzało. Jej wyprawa tutaj z Sardynii była żmudna, obejmowała długą jazdę samochodem, dwie przeprawy promami i jazdę taksówką. Ale marina na wyspie pełna była luksusowych jachtów, często z rosyjskimi nazwami na dziobach. I gdyby nawet brak konwencjonalnego dojazdu nie odstraszał dostatecznie zwykłych śmiertelników, to astronomiczne ceny w hotelu z pewnością wystarczały. Holly ze zdumieniem odkryła, że najtańszy pokój kosztuje ponad trzysta euro za noc.

Recepcjonistka załatwiała formalności, a Holly odwróciła się i obserwowała hol. Grupa sześciu mężczyzn wychodziła właśnie głównymi drzwiami; mieli na sobie wszechobecne tu uniformy: koszulki polo Ralphi Laurena, wsunięte w rozcięcia kołnierzyków ciemne okulary, szorty i sandały. Wszyscy byli muskularni i ostrzyżeni po wojskowemu. Poznała ich: to ci żołnierze z lotniska. Muszą naprawdę świetnie zarabiać, jeśli stać ich na spędzenie tu urlopu.

Odwróciła się do recepcjonistki.

- Przepraszam, macie tu pole golfowe?

- Obawiam się, że teren jest zbyt kamienisty - odparła przepaszająco kobieta. - Ale możemy zaoferować piękne miejsca do nurkowania.

Na lotnisku w Alghero mężczyźni ciągnęli za sobą torby na kije golfowe. Niezbyt to inteligentne maskować wyprawę jako wyjazd na golfa, skoro cel podróży nie ma pola golfowego.

Nagle zostawiła recepcję i wybiegła za mężczyznami na zewnątrz. Zobaczyła, że wchodzi na któryś z jachtów, błyszczący, dwunastometrowy i najeżony antenami, na oko bardzo drogi, nawet w tym otoczeniu. Gdy tylko mężczyźni znaleźli się na pokładzie, jacht ruszył w stronę wyjścia z portu. Za naturalnym falochronem sternik otworzył przepustnicę, jacht zatoczył łuk i skierował się na południe; kilwater migotał w blasku słońca.

Wróciła do hotelu.

- Proszę przypilnować mojej walizki, dobrze? - rzuciła zaskoczonej recepcjonistce i chwyciła plecak. - Później się wprowadzę do pokoju.

Zarzuciła go na ramię i pobiegła.

Szybkim truchtem przecięła cypel. Po niecałych dwudziestu minutach dotarła do ogrodzenia z

drucianej siatki, podobnego do tego z Capo Marrargiu. Tyle że tamto było przerdzewiałe, a to czyste i dobrze utrzymane. Jednak wisiały na nim te same groźne ostrzeżenia, zabraniające wstępu na teren wojskowy.

Ruszyła wzdłuż ogrodzenia, aż znalazła miejsce, gdzie jakieś zwierzęta wykopały pod siatką przejście. I kiedy przeciskała się na drugą stronę, usłyszała strzały: najpierw długą serię, a po niej po chwili ciszy następną. Brzmiało to jak ćwiczenia na strzelnicy, ale kto by wędrował tak daleko, by poćwiczyć strzelanie?

Ze swojego miejsca widziała jacht, zakotwiczony kawałek od brzegu; jednak odgłosy strzałów dobiegały z plaży, jakieś piętnaście metrów pod nią. Przykucnęła i wyjęła z plecaka ekwipunek: woreczek na talk, który zawiesiła sobie w talii, i buty do wspinaczki - ciasno dopasowane, z cienkiej gumy, z płaskimi i elastycznymi podeszwami bez żadnego bieżnika. Czubek każdego buta kończył się gumowym szpicem do wbijania w szczeliny. Chodzenie w nich było przeraźliwie bolesne, ale na skałkach czuła się jak Spiderwoman.

Podczołgała się na krawędź klifu i wyjrzała. Odkryła, że niedaleko brzegu stoją trzy jachty, a na piasek wyciągnięto sześć pontonów. Czterdziestu mężczyzn ćwiczyło w grupach - jedni strzelali do tarcz, inni walczyli wręcz, jeszcze inni siedzieli wokół instruktora, który pokazywał, jak używać ręcznej wyrzutni rakiet. Nikt nie miał na sobie munduru, ale zauważyła, że funkcje instruktorów pełnią tu żołnierze, których spotkała na lotnisku.

Wycofała się i zbliżyła do klifu oddalonego pięćdziesiąt metrów w lewo, gdzie zasłaniał ją występ skalny. Odwróciła się na brzuchu i zsunęła stopy z krawędzi, aż znalazła pierwsze oparcie.

W boulderingu, wspinaczce bez asekuracji, schodzenie wymaga większej koncentracji niż droga w górę. Przy wejściu, jej oczy i chwyt, których szuka, znajdują się stosunkowo blisko siebie. Zejście odbywa się praktycznie na ślepo, a grawitacja zachęca, by sięgać dalej i niżej, niż można kontrolować. Dlatego ruszyła powoli i często sięgała po talk.

Pokonała jakieś sześć metrów, kiedy nad sobą usłyszała charakterystyczny pisk walkie-talkie. Zaraz potem po jej lewej stronie opadła lina zjazdowa i prawie natychmiast druga po prawej.

Ktokolwiek obserwował ją wcześniej w tej opuszczonej bazie Gladio, musiał przyplłynąć za nią tutaj. Wydawało jej się, że jest ostrożna, ale najwyraźniej nie dość ostrożna.

Szybko przemyślała sobie przygotowaną legendę. Nie miała przy sobie niczego obciążającego, a w hotelu zostały pokwitowania i mapy świadczące o tym, że jest tym, za kogo się podaje: amerykańską oficer, która lubi samotne wspinaczki.

Przylgnęła do skały, by oszczędzać siły. Dwóch mężczyzn zsunęło się na linach po obu stronach.

- Niezłe miejsce, prawda? - odezwała się, starając się mówić pogodnym tonem kogoś, kto nie wie, że znalazł się na zakazanym terenie.

- Jasne - zgodził się równie pogodnie mężczyzna po prawej stronie i machnął czymś w jej kierunku. W ostatniej chwili zauważyła, że to krótki żelazny łom zakończony ostrym pazurem.

- Hej! - krzyknęła, odsuwając się gwałtownie.

Mężczyzna stęknął i zamachnął się znowu, rezygnując z wszelkich pozorów grzeczności.

Tymczasem ten z lewej strony kołysał się na linie, by zbliżyć się i ją chwycić. Wyglądało na to, że zamierzają po prostu rzucić ją ze ściany.

Spojrzała w dół. Poniżej były skały. Jeśli im się uda, w najlepszym razie skończy połamana. W najgorszym - martwa.

Instynktownie ruszyła w górę. Ludzie na linach zawsze mają przewagę przy zejściu, ale w górę szanse się wyrównywały, a ona nie była obciążona sprzętem jak oni. Mężczyzna z lewej rzucił się w jej stronę i zdołał ją chwycić za stopę. Przesunęła się więc w jedynym możliwym kierunku, do niego: skoczyła na jego linę i z góry kopnęła go w głowę. Ale był silniejszy od niej: szarpnął i chwycił ją znowu, tym razem pewniej, za kostkę.

Spojrzała w górę i kawałek powyżej głowy zobaczyła frienda, do którego był przypięty.

Wybór był prosty: on albo ona, więc wybrała jego. Chwyciła mechanizm zwalniający i wyszarpnęła frienda ze skały, po czym jeszcze raz kopnęła mocno. Stęknął zaskoczony, runął w dół i z obrzydliwie głośnym odgłosem uderzył o skały.

Tymczasem drugi używał zagiętego końca łomu jak haka, próbując przeciągnąć się do niej. Chwyciła za pazur i przekreśliła, a on zaklął zaskoczony, gdy łom wysunął mu się z palców.

Podciągnęła się powyżej jego punktu asekuracyjnego i wcisnęła płaski koniec łomu we frienda, który łatwo wyskoczył ze ściany. Mężczyzna runął za swoim kolegą, po drodze obijając się o dwie skałne półki. Zaczekała, by sprawdzić, czy się insza, po czym podjęła wspinaczkę i zatrzymała się pod szczytem.

Ostrożnie wysunęła głowę nad krawędź. Ale nie było tam nikogo, stał tylko biały land rover, zaparkowany dwadzieścia metrów od urwiska. Podbiegła i wskoczyła za kierownicę; serce waliło jej mocno. Kluczyki były w stacyjce.

Nie oglądając się za siebie, pełną mocą pognęła do hotelu, żeby odebrać bagaż. W tej chwili przede wszystkim należało wynieść się z wyspy, zanim ktoś jeszcze spróbuje ją zabić. Zbadanie, kto to taki i dlaczego, na razie musi poczekać.

## Dwadzieścia trzy

Kat siedziała przy biurku i sprawdzała strony odwiedzane przez Cassandrego. W dużej części były to dość przypadkowe serwisy wiadomości, informacji finansowych i strony Wikipedii. Zaglądał też na stronę o nazwie Eurotwinks. Kliknęła w łącze i natychmiast pożałowała: śliczni młodzi chłopcy z krótkimi wyżełowanymi włosami i bladymi bezwłosymi torsami pozwalali starszym mężczyznom robić ze sobą rzeczy, od których skrzywiła się z obrzydzeniem. Może to wyjaśniało dziwną obojętność żony Cassandrego.

Co zaskakujące, całkiem często odwiedzał sieciową grę *World of Warcraft*. A przecież stanowczo nie był graczem, była tego pewna. Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Mallego.

- Wiem, że nie chce się pan mieszać - powiedziała. - Ale proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Jaki może być powód, żeby pięćdziesięcioletni bankier grał w *World of Warcraft*?

Maili zawahał się, nim odpowiedział niechętnie:

- Proszę poszukać pod „Snowden” i „Warcraft”.

I się rozłączył.

Postąpiła zgodnie z sugestią. Trafiała na artykuł angielskiej gazety, która pierwsza opublikowała tekst o Snowdenie. Zatytułowany *NSA infiltruje sieciom świata*, ujawniał, że Agencja Bezpieczeństwa Narodowego odkryła, jak to używane w grach waluty można wykorzystywać, by bez śladów przesyłać fundusze na cały świat.

Zajrzała też na sprawdzane przez Cassandrego strony Wikipedii. Jedna z nich odnosiła się do hasła „1964 Piano Solo”, inna do „1970 Golpe Borghese”, trzecia „1976 Killick Initiative”. Kliknęła w tę ostatnią.

*We wczesnych latach siedemdziesiątych przywódca partii Chrześcijańskich Demokratów, Aldo Moro, doszedł do wniosku, że kluczem do zapobieżenia zewnętrznym ingerencjom w sprawy Włoch jest przekonanie Włoskiej Partii Komunistycznej, by wyrzekła się swoich rewolucyjnych celów i przekształciła w całkowicie prozachodnią partię demokratyczną. Gdyby do tego doszło, zniknęłyby pretekst do narażania Włoch na brytyjsko-amerykańską interwencję pod hasłem antykomunizmu. Moro stworzył zatem strategię Compromesso storico, czyli Historycznego kompromisu, według którego komuniści mieli przyłączyć się do Chrześcijańskich Demokratów, tworząc lewicową koalicję rządową.*

*Jednak obce mocarstwa, które od trzech dziesięcioleci pilnie obserwowały włoską politykę, zareagowały niespokojnie. Dwudziestego piątego marca 1976 roku John Killick, brytyjski przedstawiciel w NATO, napisał w memorandum, że obecność komunistycznych ministrów we włoskim rządzie prowadzi do poważnego problemu bezpieczeństwa w ramach paktu. W późniejszym dokumencie dodawano również: Z wielu powodów atrakcyjny wydaje się pomysł bezkrwawego i chirurgicznego przewrotu, który nie dopuściłby do przejścia władzy przez Włoską Partię Komunistyczną. Przewrotu mogłyby dokonać siły prawicowe ze wsparciem armii i policji. W podobny sposób były zorganizowane dwie wcześniejsze próby przewrotów, Golpe Borghese i Golpe Bianco.*



Łącze do „Golpe Bianco” miało inny kolor, co wskazywało, że Cassandre w nie kliknęła. Zrobiła to samo.

*Golpe Bianco albo Biały przewrót był spiskiem wymyślonym przez dawnego przywódcę partyzanckiego Eduarda Soma. Sogno wpadł na pomysł, by wykorzystać niepokoje polityczne, masowe bunty, urny wyborcze i siły militarne, by zmusić prezydenta do ogłoszenia stanu wyjątkowego, co pozwoliłoby Sognowi na sformowanie rządu tymczasowego - byłby to biały albo legalny przewrót.*

Kat zmarszczyła czoło. Cassandre wyraźnie czytał o próbach zamachów stanu w burzliwej przeszłości Włoch. O ile jednak przewrót był czymś wyobraźalnym w mrocznych czasach lat ołowiu, o tyle przecież wolnomularze nie mogli planować czegoś takiego dzisiaj.

Zapisał telefon - to matka wysłała SMS z zaproszeniem na niedzielny obiad. Pod wpływem nagłego impulsu Kat oddzwoniła.

- Mamo, czy mogę kogoś przyprowadzić? - zapytała po wymianie obowiązkowych uprzejmości i pytań o zdrowie ojca, nonny i dzieci siostry.

Na drugim końcu linii zapanowało milczenie.

- Chcesz powiedzieć... swojego chłopaka?

To było wręcz niesłychane, by Kat przyprowadziła do rodziców mężczyznę.

- Tak, mojego... - Przyszło jej do głowy, że „chłopak” nie jest właściwym określeniem dla tego bardzo eleganckiego czterdziestoletniego prokuratora. - Mężczyznę. Kogoś, z kim się spotykam.

- Oczywiście, że możesz. Co on lubi?

- Nie jest wybredny.

- Nie jest weneccjaninem?

Kat zaśmiała się, choć wiedziała, że dla matki nie jest to żart.

- Nie. Jest z Bassano.

To, że Flavio pochodzi z Veneto, przemówi na jego korzyść.

- A czy jest... - Niedokończony pytanie zawisło delikatnie w powietrzu.

Kat poczuła gniew. Nic nie mogła na to poradzić: nikt nie potrafił tak jej rozżłościć jak matka.

Chciałaby udać, że nie wie, o co chodzi:

Czym nie jest, mamo? Gejem? Murzynem? Protestantem? Muzułmaninem? Ale opanowała się z wysiłkiem.

- Żonaty? Nie, ten jest samotny. Chociaż jakiś czas temu był żonaty.

- Aha... rozwodnik.

W ustach matki zabrzmiało to jak coś nawet gorszego, niż gdyby był żonaty.

- Jest prawnikiem.

To miała być zaleta, ale matka postanowiła również to zrozumieć opacznie.

- No tak, dla nich to łatwiejsze, prawda? Rozwieść się. Ponieważ znają wszystkie reguły, wiedzą, jak je obchodzić.

Kat westchnęła głośno.

- Jakies dzieci? - spytała jeszcze matka.

- Jeszcze nie postanowiliśmy.

- Nie. Chodziło mi...

- Wiem, o co ci chodziło - przerwała Kat. - Ma dwoje. Chłopca Juliusa i dziewczynkę Annę.

Mama nie musiała nawet wypowiadać swoich wątpliwości na głos - Kat i tak je znała. Jeśli ma już rodzinę, nie zechce zakładać drugiej z tobą.

- Nie widuje ich często - dodała. - Mieszkają za granicą.

Aha, ten kobieciarz bez serca jest na dodatek złym ojcem, tak?

Postanowiła zakończyć tę jednostronną wewnętrzną konwersację, zanim powie głośno coś, czego będzie żałować.

- No to będziemy około południa, dobrze?

- Oczywiście. Sprawdzę, czy twoja siostra też może przyjść. Sama wiesz, jak *nonna* lubi swoje prawnuki. Twój... przyjaciel też się pewnie ucieszy, prawda? Skoro własne dzieci widuje rzadko...

Och, co za radość, pomyślała Kat. Nie była pewna, czy Flavio to wytrzyma.

## Dwadzieścia cztery

Haker dostał się na Sycylię promem, z dostarczoną przez mułkę kradzionym paszportem. Podczas rejsu stał przy relingu i wspominał, jak poprzednio płynął tym szlakiem.

Miał dwanaście lat, kiedy jego rodzina uciekła z Libii Kaddafiego. Ojciec był człowiekiem wykształconym, z dyplomem amerykańskiego college'u, ale kiedy skończyła mu się amerykańska wiza, popełnił błąd. Złożył podanie o zgodę na pozostanie w USA legalnie, zamiast - jak tylu innych - zniknąć gdzieś w szarej strefie. Jego prośba została odrzucona. Ameryka nie wysyłała do Libii żadnych towarów, z powodu sankcji ONZ, ale wysyłała Libijczyków - jeśli nie potrafili udowodnić, że ich życie będzie zagrożone.

Stwierdzenie, że pod władzą obłąkanego i morderczego dyktatora życie każdego Libijczyka jest zagrożone, najwyraźniej się nie liczyło.

Według libijskich standardów ojciec Tarika był całkiem zamożny. Na przykład stać go było na laptopa - który Tarik odkrył w wieku sześciu lat. Dla chłopca było to jak znalezienie magicznej lampy z dżinnem w środku. Wewnątrz mieściła się cała wiedza ludzkości. Nie musiał już zadrećcać dorosłych pytaniami.

Miesiąc później trafił na dokument zatytułowany *Manifest hakera*, napisany przez kogoś o aliasie „Mentor”.

*Jestem hakerem. Wejź do mojego świata...*

*Jestem inteligentniejszy niż większość dzieciaków, nudzą mnie te bzdury, jakich nas uczą.*

*Słuchałem, jak nauczyciele po raz piętnasty tłumaczą skracanie ułamków. Rozumiem je. Nie, pani Smith, nie wypisałem kolejnych etapów. Policzyłem w głowie.*

*- Cholerny bachor. Pewnie od kogoś przepisał. Wszyscy są tacy sami.*

*I wtedy to się zdarzyło. Otworzyła się brama do świata. Elektryczny impuls pędzi przez linie telefoniczne jak heroina w żyłach narkomana - ucieczka przed codzienną niekompetencją. Znajduję takich jak ja.*

*To jest to. Tu jest moje miejsce.*

*Tutaj znam wszystkich. Nawet jeśli ich nigdy nie spotkałem, nie rozmawiałem z nimi, mogę już nigdy ich nie usłyszeć. Znam was.*

*- Cholerny bachor. Znowu blokuje telefon. Wszyscy są tacy sami.*

To znaczy, że byli inni, podobni do niego: młodzi ludzie, którzy pełniej żyli w świecie wirtualnym niż w realu. Zaczął zaglądać na hakerskie fora; z początku rzadko się odzywał, potem jednak nabrał pewności siebie, kiedy zrozumiał, że nikt nie wie i nikogo nie obchodzi, ile ma lat. Jednak, w przeciwieństwie do „Mentora”, nie czuł nienawiści do szkoły ani rodziców. Ojciec, kiedy dostrzegł jego zdolności, posłał go do najlepszej możliwej madrasy. Tarik studiował Koran, ale uczył się też algebry i matematyki.

Wkrótce po jego dwunastych urodzinach ojciec podjął decyzję.

*- Tarik jest mądry - oznajmił rodzinie któregoś wieczoru po modłach. - Musi pójść do lepszej szkoły. A my musimy się przenieść do lepszego kraju. - Przyjrzał się kolejno każdemu z nich. - Postanowiłem. Wyjeżdżamy do Włoch.*

Zapadła cisza, kiedy wszyscy starali się przetrwać tę wiadomość. Ani matka Tarika, Zafira, ani jego siostra Fajza, nie sprzeciwiły się. Wszyscy wiedzieli, że Włochy oznaczają lepsze życie. W Libii tajni

policjanci w swoich skórzanych kurtkach i ciemnych okularach stali na każdym rogu i obserwowali. W Libii każdy sąsiad mógł się okazać donosicielem. W Libii ludzie znikali nocą i nikt już ich nigdy nie widział. Jedyny problem polegał na tym, czy z Libii w ogóle można się wydostać.

Po chwili ojciec spojrzął w oczy Tarika.

- Żeby zapłacić za podróż, musimy sprzedać wszystko. Wszystko, co mamy.

Dopiero po chwili Tarik zrozumiał, o co mu chodzi.

- Nie laptopa! - To byłoby niewyobrażalne.

- To jedyny sposób. Ale już niedługo, kiedy znajdę pracę we Włoszech, kupię ci lepszy. Obiecuję.

Tarik spuścił głowę.

- Rozumiem.

Dwa tygodnie później odpłynęli z rybackiej wioski w pobliżu Misraty. Przemycnicy zabierali pasażerów małymi wiosłowymi łódkami, żeby uniknąć wykrycia. Kiedy Tarik zobaczył statek, którym mieli przepłynąć morze, aż jęknął: był malutki, najwyżej siedem metrów. Kuter rybacki. A na pokładzie tłoczyli się już ludzie.

Zanim ruszyli, na kuter wciśnięto tylu ludzi, że on i Fajza musieli trzymać się za ręce, by nie zgubić się w tłumie. Niektórzy z pasażerów już wymiotowali, gdy kuter kołysał się na falach.

Plan był taki, że wylądują na Lampedusie, najdalej na południe wysuniętej włoskiej wyspie, i tam poproszą o azyl. Jak mu tłumaczył ojciec, robiło tak tylu uciekinierów, że bazę wojskową na Lampedusie zamieniono w obóz tymczasowy; spędzą tam kilka tygodni, zanim zabiorą ich na ląd. „To będą takie wakacje - powiedział. - Wakacje nad morzem”.

Ojciec nie wiedział jednak, że w ciągu kilku ostatnich tygodni zmienił się polityczny klimat. Zachód, po ogłoszeniu wojny z terrorem, postanowił się dogadać z silnymi przywódcami arabskimi, takimi jak Kaddafi - sądzono, że staną się bastionem broniącym przed zagrożeniami radykalnego islamu. Prezydent Mubarak w Egipcie, prezydent Asad w Syrii i król Abdullah w Arabii Saudyjskiej to tylko niektórzy z dyktatorów, których należało teraz wyróżniać wsparciem i umowami handlowymi zamiast nakładać na ich kraje sankcje i wygłaszać oskarżycielskie przemówienia na forum ONZ.

We Włoszech premier Silvio Berlusconi skorzystał z okazji, by nawiązać bliższe stosunki z Libią. Libia dysponowała wielkimi rezerwami ropy - również dlatego, że przez dziesięciolecia nie mogła jej sprzedawać Zachodowi. Teraz można było poprowadzić rurociągi, sięgające przez Morze Śródziemne bezpośrednio do Włoch. By przypieczętować umowę, Berlusconi zgodził się załatwić kilka dokuczliwych kwestii, irytujących libijskiego przywódcę. Jak się okazało, najpoważniejszą z nich był stały strumyk libijskich uchodźców, proszących we Włoszech o azyl. Ich opowieści o łamaniu praw człowieka przez Kaddafiego powstrzymywały niektóre - choć nie wszystkie - zachodnie firmy przed inwestycjami w Libii.

Ponieważ Berlusconi nie chciał, by Libijczycy przybywali do jego kraju, tak samo jak Kaddafi nie chciał, by opuszczali ojczyznę, rozmowa na ten temat nie trwała długo; potem obaj przywódcy przeszli do ważniejszych spraw. To w końcu Kaddafi uświadomił Berlusconiemu, co znaczy „bunga bunga”.

Kiedy mokrzy i wycieńczeni uchodźcy dotarli w końcu do Lampedusy, otoczyli ich uzbrojeni żołnierze. Wszyscy - także ojciec Tarika - wypowiedzieli właściwe słowa, które powinny zapewnić im azyl. Ale żołnierze szybko podzielili przybyszów na dwie grupy, Libijczyków i pozostałe narodowości. Libijczyków przewieziono do portu wojennego, gdzie czekał już statek. Kilku mężczyzn z ich grupy próbowało uciekać, ale żołnierze szybko przywołali ich do porządku kolbami karabinów.

Kiedy dotarli do Trypolisu, uchodźcy pozostali na pokładzie jeszcze kilka dni i po kolei przesłuchiwała ich libijska policja. Od czasu do czasu policjanci wyprowadzali niewielkie grupki.

- Cokolwiek się zdarzy, musimy się trzymać razem - oświadczył ojciec Tarika.

Ale kiedy Fajza i Zafira nie słuchały, powiedział Tankowi:

- Jeśli coś mi się stanie, pamiętaj, że ty jesteś mężczyzną w rodzinie. Ochroniaj matkę i siostrę.

Ojciec był jednym z ostatnich przesłuchiwanym i niemal natychmiast zabrano go na ląd. Potem

policjanci wrócili po resztę rodziny. Zawieźli ich na posterunek, niedaleko od portu.

- Może zamkną nas razem z ojcem - szepnęła Fajza.

Tarik kiwnął głową, starając się dodać jej otuchy, ale wiedział, że szansa na to jest znikoma.

- Pamiętaj, przez cały czas masz zakrywać włosy - ostrzegł siostrę.

Policjanci wprowadzili ich do pomieszczenia, gdzie ściany były pokryte brązowymi plamami, a jarzeniówki na suficie osłonięte drucianymi siatkami. Czekali na nich dwaj mężczyźni w skórzanych kurtkach i dwaj policjanci w mundurach. Jeden z cywilów zapytał Tarika, czemu jego ojciec starał się o azyl.

- Ponieważ uważał, że w Libii jego życie jest zagrożone - odpowiedział, udając spokojniejszego, niż był w rzeczywistości.

- Ale czemu? Czy ja wyglądam na groźnego? - zapytał z uśmiechem mężczyzna.

Tarik wiedział, że to podchwytliwe pytanie, na które nie ma dobrej odpowiedzi. Ale wiedział też, że cokolwiek ci ludzie chcą z nim zrobić, prawdopodobnie zostało już postanowione.

- Nie? - spróbował ostrożnie.

Mężczyzna się zaśmiał. Podszedł do Tarika i uderzył go w twarz, przewracając na podłogę.

Kiedy Tarikowi przestało dzwonić w uszach, mężczyzna zaczął mówić. Postawił go przed wyborem.

- Twój ojciec zhańbił swoją rodzinę. Postanowiłem ukarać go, hańbiąc jedną z jego kobiet.

Ponieważ nie ma go tutaj, ty zdecydujesz którą.

Tarikowi kręciło się w głowie. Słyszał głos ojca: Ochroniaj matkę i siostrę.

- Nie chcę wybierać - szepnęła. - Proszę...

- W porządku. W takim razie zgwałcę obie. - Klasnął w dłonie.

- Przeprowadźcie je.

- Czekać - powiedział Tarik.

Zastanawiał się rozpaczliwie. Gwałt będzie straszny dla obu kobiet, ale w głęboko konserwatywnej Libii zniszczy wszelkie szanse jego siostry na normalne życie.

- Moja matka - zdecydował. - Jeśli chcecie którąś ukarać, niech to będzie moja matka.

Drzwi otworzyły się i wprowadzono obie kobiety.

- Powiedz to jeszcze raz - rzekł policjant z drwiącym uśmiechem.

- Chcesz, żebym zerznął twoją matkę, zgadza się?

- Tak - szepnęła Tarik. Nie potrafił na nią spojrzeć.

- A ty przelecisz swoją siostrę, parszywy psie.

Tarik popatrzył na niego przerażony.

- Nic takiego nie mówiłem...

- Powiedziałem, że możesz wybrać, którą ja zgwałcę. Nie powiedziałem, że tej drugiej się uda. -

Obejrzał się na pozostałych mężczyzn, którzy śmiali się głośno. - No, ale skoro nie chcesz, sami musimy zająć się też twoją siostrą.

Wspomnienie tego, co się działo w tym pomieszczeniu, będzie go prześladować do końca życia. Pamiętał ich krzyki, rechot mężczyzn, to, co robili wszystkim trojgu, i to używając również pistoletów, palek i butów. Kiedy wreszcie skończyli, zawlekli ich do samochodu i pojechali na stadion. Choć było jeszcze ciemno, zebrała się już grupka ludzi, policjanci kierowali ich na miejsca.

Pośrodku stadionu stał dźwig. Po trzydziestu minutach grupa mężczyzn w kapturach wyszła z tunelu do szatni. Ledwie mogli chodzić. Mieli związane ręce. Policjanci z pałkami ustawili ich pod dźwigiem. Tarik nie potrafił rozpoznać ojca, dopóki nie zdjęli skazańcom kapturów.

Wieszali ich po trzech, z wciąż związanymi rękami; drgające ciała zderzały się ze sobą, kiedy dźwig je podnosił, stopy kopały po łydkach...

Kiedy egzekucja się skończyła, stojący w pobliżu policjant spojrział na nich.

- Wynoście się teraz. I każdemu, kogo spotkacie, opowiedzcie, co czeka tych, którzy krytykują

Kaddafiego.

Ale ich kłopoty nie minęły. Byli teraz naznaczeni; kto mógł wiedzieć, czy reżim nadal nie jest z nich niezadowolony? Madrasa nie przyjęła Tarika na dawne miejsce. Jego matka nie mogła znaleźć pracy. Żyli dzięki skromnej pomocy krewnych.

Po miesiącu wpatrywania się w pustkę Tarik nagle się ocknął. Poszedł do znajomej kawiarenki internetowej - jej właściciel był porządnym człowiekiem, ale nie miał prawie żadnej wiedzy technicznej. Tarik zaproponował, że zajmie się wszelkimi informatycznymi problemami, jakie mogłyby się pojawić. Będzie pracował nocą, powiedział, kiedy nikogo nie ma, więc nikt go nie zobaczy.

Właściciel pomyślał chwilę i się zgodził. Zaproponował śmiesznie niską pensję, ale jednak pensję. Późną nocą, kiedy dawno już znikli ostatni klienci, Tarik sam wchodził do internetu. Ale teraz był na całkiem innych forach. Nie tylko w tych miejscach głębokiej sieci, gdzie zjawiali się najbardziej wyrafinowani hakerzy, ale na jeszcze bardziej ukrytych serwisach, odwiedzanych przez przeciwników Kaddafiego.

Po upadku Kaddafiego, gdy komendant polecił mu stworzyć plan, Tarik znowu skontaktował się z tymi hakerami. Niektórzy poszli dalej, ale inni przeszli tę samą drogę co on i stali się radykałami. Żaden nie używał prawdziwego nazwiska ani nie podawał swoich danych. Ale wspólnie gromadząc informacje, wkrótce zaczęli działać na całkiem nowym poziomie technicznej wiedzy.

Ludzie, z którymi teraz się związał, nauczyli go, jak zacierać ślady, jak nie dać się podsłuchać służbom bezpieczeństwa na świecie. Wielu z nich musiało się kryć przed systemem nadzoru internetu, stworzonym dla Kaddafiego na Zachodzie, mieli więc roboczą wiedzę o maskowaniu. Wiedzieli o PRISM, TEMPORA i innych zachodnich programach szpiegujących, zanim jeszcze Edward Snowden przekazał informacje o nich do mediów.

Jednak afera Snowdena dała im wyjątkowe możliwości. Całkiem nagle reszta świata dowiedziała się, co robi NSA i GCHQ. Takie kraje jak Włochy wyszukiwały i usuwały urządzenia szpiegujące ze swoich światłowodów.

Tarik uważał, że proponowany przez USA dobrowolny system VIGILANCE jest prawdopodobnie nieunikniony, ale w tym wąskim bez-podsłuchowym oknie widział swoją szansę na atak.

To inny haker, podpisujący się Dżibran, podsunął Tarikowi cały pomysł. Obaj byli na bezpiecznym forum i dyskutowali o robaku Stuxnet, stworzonym przez amerykańskich i izraelskich specjalistów od wojny cybernetycznej w celu opóźnienia irańskiego programu atomowego. Na zwykłych komputerach robak był prawie niewykrywalny; kiedy jednak trafiał do nowej sieci, miał za zadanie wyszukiwać pewnego typu wirówki Siemens, używane do przygotowania materiału jądrowego. Kiedy je znalazł, zmuszał do coraz szybszego wirowania, aż ulegały zniszczeniu.

Hakerzy zdobyli kopię Stuxneta i rozłożyli go na pojedyncze linie kodu, by sprawdzić, czego się dowiedzą o możliwościach cyberwojennych NSA. Prawdę mówiąc, sam kod robaka nie zawierał niczego szczególnie nowego czy wyrafinowanego. Za to sama zasada jego działania była przełomowa.

*Wirus atakuje urządzenia zamiast komputerów, zauważył Dżibran. Jeśli się zastanowić, to całkiem sprytne. Ale powinni uważać. Kiedy już reszta świata włączy się do tej gry, oni mają najwięcej do stracenia.*

W głowie Tarika zapaliła się żarówka. Nie zapomniał o instrukcjach komendanta, ale dopiero teraz odkrył, jaki mógłby być ten plan.

Zaczął zbierać informacje o Internecie rzeczy.

W tym czasie regularnie korzystał z Carnivii, by komunikować się z innymi hakerami. Każdy z nich, w tym czy innym okresie, próbował rozgryźć kod źródłowy portalu. Żadnemu się nie udało. A jeśli oni nie potrafili zhakować Carnivii, uznali, że władzom też się nie uda.

I znowu Dżibran zbliżył się do celu najbardziej. Przekazał kradzione fragmenty kodu Carnivii Tarikowi, który zachwycił się ich pięknem. Każda linia napisana była z genialną ekonomią, najbardziej

przypominającą poezję.

Tarik zaczął analizować każdy strzęp kodu Daniele Barba, jaki wpadł mu w ręce. Robił to przede wszystkim dlatego, by się uczyć. Ale również wykorzystywał tę wiedzę. Jak konstruktor bomb wiele może się nauczyć z analizy dzieł innych konstruktorów, tak Tarik uczył się podążać śladami Daniele.

Użył carniviańskiego szyfrowania, by się zamaskować, kiedy wyłączał turbiny wentylacyjne w tunelu Frejus. W ten sposób, nawet jeśli władze odkryją, że było to świadome działanie, a nie dziwaczny przypadek, ślady nie poprowadzą do niego, tylko do Carnivii.

Kiedy opracowywał swój plan, jedna sprawa wciąż go martwiła. Jego słabością, jak to oceniał, była niewielka liczba dżihadystów wśród hakerów. Jeśli zaatakują kilkanaście urzędów równocześnie, rzeczywiście wzbudzą zamęt i spowodują zniszczenia - ale nie będą one nieodwracalne. Zachód natychmiast podejmie kroki, by zabezpieczyć miliony urzędów, do których hakerzy nie dotarli.

Zresztą ambicje Tarika sięgały dalej, poza sianie zamętu. Chciał doprowadzić Włochy do upadku - nie tylko po to, żeby wyborcy zażądali likwidacji amerykańskich baz, ale też dlatego, że winił ten kraj za to, co spotkało jego rodzinę. A czasami, w najśmielszych snach, wyobrażał sobie jeszcze większy sukces. Widział chaos przelewający się przez granice, po całym Zachodzie. Gdyby to nastąpiło, mogłoby doprowadzić nawet do wzbudzenia zaufania Zachodu dla osiągnięć jego techniki. Gdyby do tego doszło, dżihadysty i zachodnie armie przystąpiłyby do walki na równych warunkach. I w takiej walce, jak wierzył, dżihadysty by zwyciężyli.

Przerobił więc swój plan tak, że obejmował nie kilkanaście, ale tysiące, nawet setki tysięcy ataków równocześnie. Realizacja wymagała środków finansowych - ale o cokolwiek poprosił, niewidzialni zwolennicy komendanta płacili bez szemrania.

\* \* \*

Na Sycylii urzędnik imigracyjny machnął ręką, prawie na niego nie patrząc. Tarik nie był zdziwiony. Wprawdzie Interpol od 2009 roku prowadził ogólnoswiatową bazę skradzionych paszportów, jednak praktycznie żaden rząd jej nie sprawdzał. Był to jeden z wielu ścinków informacji, które znalazł w sieci i zapamiętał do późniejszego wykorzystania.

Wynajął pokój na spokojnym przedmieściu Palermo, daleko od muzułmańskiej części miasta. Palermo było kiedyś stolicą arabskiego królestwa. Potem, w dwunastym wieku, przybyli chrześcijanie i zamienili meczety w kościoły. Mówiło się jednak, że jeśli poskrobać Sycylińczyka, pod spodem znajdzie się Saracena. Może właśnie z tego powodu mieszkały tu tysiące arabskojęzycznych imigrantów, przede wszystkim w biedniejszych częściach Borgo Vecchio, starego miasta.

Następnego dnia po przybyciu Tarik trafił do niewielkiego, trochę odrapanego budynku na krańcu miasta. Tablica przy wejściu informowała, że to College Techniczny w Palermo.

Wyjaśnił portierowi, że jest zapisany na kurs informatyki, który zaczyna się tego dnia rano. Pokazał fałszywe świadectwo tożsamości i pół godziny później siedział już w dusznej salce z czternastoma innymi młodymi ludźmi. Wykładowca, także muzułmanin, rysował na tablicy schemat sieci. Zrobił przy tym kilka błędów, ale haker wolał się nie odzywać; siedział spokojnie z miną grzecznego zainteresowania.

Zamierzał być drugim najlepszym studentem, jaki uczęszczał na ten kurs: nie tak wybitnym, by zwracać na siebie uwagę, ale tak bardzo wyrastającym ponad resztę, by wykładowca dał mu nienaganne referencje.

Z innymi działaniami czekał na noc.

## Dwadzieścia pięć

Spotkali się w małej wiosce wśród wzgórz na północ od Werony, gdzie rosły dzikie szparagi, kilku starszych mężczyzn grało w *bocce* w cieniu platana, a rudy kot leżał rozciągnięty sennie na metalowym stoliku przed kawiarnią i barem w jednym. Ale poza tym wokół nie było nikogo.

Holly zauważyła, że Ian Gilroy na spotkania zawsze wybiera miejsca, gdzie może widzieć jej twarz - nie dla niego dyskretne rozmowy ramię przy ramieniu na ławce w parku czy podczas spaceru w tłumie. Powiedział jej kiedyś, że według jego doświadczenia połowa przekazywanych przez kontakt wiadomości to kłamstwa. Zadaniem prowadzącego jest odkryć, która to połowa. A ta wiedza często jest bardziej użyteczna niż same dostarczane informacje.

Zastanawiała się, czy ją także traktował jak kontakt, a jeśli tak, to czy zakładał, że go okłamuje.

- Opowiadaj, Holly. Jak twoja wyprawa? - zapytał, kiedy właściciel lokalu podał im espresso.

- Interesująca. - Opowiedziała mu o ludziach, którzy ją śledzili, o wojskowym szkoleniu, o próbie zepchnięcia jej ze skały. - Ale w Capo Marrargiu nic już nie zostało. Tylko ślady ognia i mnóstwo rozbitego szkła.

Pokiwał głową.

- Tego się spodziewałem. A co do twojego ogona... Całkiem możliwe, że nie miał związku. W końcu zauważyłaś tych instruktorów na lotnisku. Jeśli oni także cię zauważyli, mogli kogoś zaalarmować. Przypuśćmy na przykład, że jakiś bogaty oligarcha wynajął ich, żeby przeszkolili jego ludzi w obchodzeniu się z bronią. Nie jest to całkiem legalne, ale też żaden powód do alarmu.

- A może to pańskie pytania zaniepokoiły kogoś, tak jak się pan obawiał? - przypomniała mu.

Pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się. Rozmawiałem z dawnymi znajomymi, tak jak obiecałem. Wydaje się, że raport twojego ojca przekazano wyżej. Ale nie podjęto żadnych działań. Kiedy już NATO przestało kierować siatką Gladio, uznano, że wszelkie akcje podejmowane przez byłych członków to tak naprawdę problem nie nasz, ale Włochów. Ale wydaje się, że memorandum nie zostało przekazane włoskim służbom wywiadowczym.

- Inaczej mówiąc, umyliśmy ręce.

Gilroy wzruszył ramionami.

- To było połączenie biurokratycznego bezwładu, jak sądzę, i przekonania, że pod ten konkretny kamień wolelibyśmy nie zaglądać. Ale pomyśl, Holly, co z tego wynika. To znaczy, że raczej nikt nie próbował zamknąć ust twojemu ojcu. Tylko garstka analityków niższej rangi widziała to, co napisał. I żaden nie miał przecież powodu, by chcieć jego śmierci. Twój ojciec pił...

- Nie - przerwała mu. - Zaczął pić dopiero potem. Kiedy nikt mu nie wierzył.

- Ciśnienie krwi miał poza skałą - przypomniał jej delikatnie.

- Sama mówiłaś. Wszystkie elementy zwiększające ryzyko wylewu. To, że wylew był naturalnym



skutkiem jego stanu, jest o wiele bardziej prawdopodobne niż to, że usiłowano go zabić.

Powiedział to dramatycznym tonem, podkreślając, jak dziwaczny to pomysł.

- A jeśli chodzi o to, co robili wolnomularze opisywani przez twojego ojca, dzisiaj jest to już właściwie jasne - kontynuował. - To żadna tajemnica, że „gladiatorów” rekrutowano spośród żarliwych antykomunistów. Kiedy rozwiązano siatkę, z pozostałości uformowało się kilka grup neofaszystowskich. Niektóre nawet dokonywały aktów przemocy. Ale pod koniec tej dekady Włosi zaczęli działać i grupy terrorystyczne właściwie zniknęły.

- Więc sugeruje pan, że bym raczej nie próbowała kołysać łodzią?

- Sugeruję, że nie ma żadnej łodzi do kołysania. - Gilroy pokręcił głową. - Ted był dobrym człowiekiem i kochającym ojcem. Zawsze kiedy widziałem was razem, żałowałem, że nie mam własnych dzieci. Ale gdyby dzisiaj siedział tu z nami, jak myślisz, co by ci doradził?

Westchnęła.

- Powiedziała by, żeby zostawić to wszystko i iść dalej. Zawsze to powtarzał.

- Ted był żołnierzem.

Zastanawiała się chwilę.

- Dziękuję panu.

- Za co? - Błękitne oczy przyglądały się jej z sympatią.

- Że nie pozwolił mi pan zostać jakąś zwariowaną fanką teorii spiskowych.

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić. Nie tylko dla starego przyjaciela i towarzysza, także dla nowej przyjaciółki. - Milczał przez chwilę.

- Co teraz zamierzasz?

- Chyba wrócę do służby. - Spojrzała na dalekie góry. - Biuletyn w bazie sam się nie napisze.

- Dasz sobie radę - stwierdził spokojnie i oboje wiedzieli, że nie chodzi mu o trywialne zadania, jakie czekają na nią na biurku.

\* \* \*

Holly jechała w stronę Werony, ale nie potrafiła całkiem się skupić na drodze. W pamięci odtwarzała fragmenty rozmowy z Ianem Gilroyem.

*To było połączenie biurokratycznego bezwładu, jak sądzę, i przekonania, że pod ten konkretny kamień wolelibyśmy nie zaglądać...*

*Tylko garstka analityków niższej rangi widziała to, co napisał. I żaden nie miał przecież powodu, by chcieć jego śmierci...*

Zatrzymała się przed główną drogą do Werony i czekała na przerwę w kolumnie samochodów.

*Ciśnienie krwi miał poza skalą... Sama mówiłaś...*

- Nie, wcale nie - rzuciła głośno. - Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam.

Zastanowiła się. Jeśli nie powiedziała wprost, może jednak zasugerowała? Może wspomniała o tym w którejś z poprzednich rozmów? Nie wydawało jej się. Ale dlaczego Gilroy wspomniał o tym tak od niechcena, mimochodem?

Nagle cały jej myślowy pejzaż się zmienił; to, co dotąd było białe, teraz pokryło się czernią.

Może źle na to wszystko patrzyłam?

Raport nie trafił do Włochów. Czy to bezwład? Czy wręcz przeciwnie - ktoś poczynił kroki, by mieć pewność, że możliwie niewielu ludzi dowie się o podejrzeniach ojca.

Czy może to Stany Zjednoczone w szczególności nie chciały, by ktoś się zbyt dokładnie przyglądał tej łoży masońskiej, o której sytuacji alarmował?

Z tyłu zadźwięczał klakson, potem następny. Kiedy nie zareagowała, kierowca zjechał na lewy pas, by ją wyminąć; gniewnie sięgnął dłonią do podbródka i wykonał gest strzepywania, ulubioną zniewagę w tej części Włoch. Następny zrobił to samo.

Holly siedziała nieruchomo, nie zwracając na nich uwagi.

Czy to mógł być Gilroy?

## Dwadzieścia sześć

Daniele Barbo podniósł głowę, kiedy panującą w Ca' Barbo ciszę przerwało pstryknięcie.

Taki odgłos wydał jego telewizor, rozbudzony ze stanu czuwania. Wielkie białe litery na ekranie krzyczały: WŁĄCZ KOPUTER, DUPKU! OD PARU DNI PRÓBUJĘ CIĘ WYWOŁAĆ.

Daniele zmarszczył czoło, ale zaraz się uśmiechnął. Zrozumiał, od kogo to wiadomość. Podszedł do komputera, uruchomił go i zalogował się na stronie adminów w Carnivii.

*Spytne. Jak to zrobiłeś'?*

*Smart TV. Jest taki smart, że dane o oglądanych programach przesyła do centrali LG w Korei Południowej, żeby mogli je sprzedawać reklamodawcom. Potrzebowałem pięciu minut, żeby zhakować łącze. Dlaczego do cholery nie byłeś online?*

*Uznałem, że może bezustanne połączenie nie pomaga.*

Nie zdradził Maxowi, że eksperymentuje też z dwudziestopięciogodzinną dobą, powoli rozchodząc się z fazą słonecznego świata, ani że ściany w pokoju, gdzie siedział, pokryte są plamami w różnych kolorach, by pomóc mu synestetyzować liczby, które reprezentują. Istniały poważne badania potwierdzające efektywność takich metod, ale nie sądził, żeby Maxa to zainteresowało.

*Napisał więc: Co jest? Zakładam, że coś ważnego.*

*Coś, co powinieneś zobaczyć. Klip wideo.*

Daniele kliknął na przesłane mpg. Na ekranie zobaczył jadące przez tunel samochody. Obraz był marny nie dlatego, że pochodził z kamery nadzoru, ale że był kopią kopii, z pewnością już kilka razy przekodowaną. Na obrazie dostrzegł jakiś arabski napis, mocno rozmyty.

Nagle samochód skręcił na pas, którym nadjeżdżała ciężarówka. Kierowca nie próbował hamować czy skręcić. Ciężarówka starała się zatrzymać, ale złożyła się w pół i uderzyła w obie ściany tunelu. Po kilku sekundach tunel wypełniły kolejne samochody, z obu stron wpadające w kraksę.

*Gdzie to było?*

*Jezu, naprawdę byłeś offline. Tunel drogowy Frejus. Podawali we wszystkich newsach.*

*Co to był ten napis na początku?*

*Dżihadystyczny slogan.*

*I? Daniele wiedział, że Max musi mieć jakieś konkretne powody, żeby mu o tym opowiadać.*

*To właśnie jest przerażające. Na nagraniu możesz zobaczyć, że nie kręcą się turbiny wentylacyjne. Więc Shodanem poszukałem ich online. Według historii ścieżki zwrotnej dziesięć minut przed katastrofą dostał się do nich ktoś, kto zamaskował swoją tożsamość naszym własnym softem szyfrującym. Inaczej mówiąc, zrobił to ktoś z wnętrza Carnivi.*

## Dwadzieścia siedem

- Jeszcze tiramisu, Flavio?

- Naprawdę nie mogę - zaprotestował Flavio. A potem dodał po teatralnej pauzie: - Albo niech będzie. Jak mógłbym się oprzeć? Kiedy jest przyrządzone jak należy, z herbatnikami *savoirdi* i odrobiną soli...

Matka Kat zarumieniła się z dumy.

- I bez marsali, oczywiście.

- Bez marsali - zgodził się. To przecież jasne, że tylko barbarzyńca dodaje mocne sycylijskie wino do weneckiego deseru. - Ale czy poprawnie wyczułem kropelkę wermutu...?

Z kuchni dobiegł trzask. Clara, siostra Kat, szybko oddała jej maleńką Savinę i pobiegła do kuchni, żeby sprawdzić, co tym razem zrobił mały Gabriele. Matka Kat starała się nie okazywać dezaprobaty.

- Ten chłopiec to prawdziwy wulkan energii - mruknęła, zerkając w stronę kuchni.

Ku zdumieniu Kat rodzinny obiad udał się całkiem dobrze. Flavio rozmawiał z jej ojcem o polityce, pod niebiosa wychwalał kuchnię matki, ze szwagrem dyskutował o piłce, flirtował z *nonną*, a Gabriele pokazał jakąś magiczną sztuczkę, która zrobiła na chłopcu takie wrażenie, że musiał się schować za fotelem. A teraz pochylił się do Saviny na kolanach Kat i zaproponował jej trochę swojego tiramisu. Savina pulchną łapką chwyciła łyżeczkę, wylizała do czysta i uśmiechnęła się do Flavio z takim zachwytem, że wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Kat poczuła ogarniającą ją falę nieznanych emocji. Pożądanie tego mężczyzny, ciężar dziecka na kolanach, roześmiana rodzina... wszystko to połączyło się w coś nowego.

Boże wielki, pomyślała, chcę mieć z nim dzieci!

Ta myśl była tak nieoczekiwana i szokująca, że Kat zamarła.

- Co się stało? - zapytał Flavio, który to zauważył.

- Nic - odparła szybko. - Myślałam o sprawie, to wszystko. Sprawa... Jeśli będzie miała dzieci, sprawy się skończą. W każdym razie takie jak ta Cassandrego. Nie można prowadzić dochodzenia w sprawie zabójstwa, a po południu odbierać dziecka z przedszkola. W ostatnich latach straciła już rachubę, ile randek odwołała w ostatniej chwili, z ilu rodzinnych obiadów - takich jak ten - musiała zrezygnować.

Ale może w Amsterdamie nie będzie już prowadzić takich spraw. Myśl, której unikała, nagle przestała ją napełniać aż takim przerażeniem.

Zabawne, pomyślała. Wszyscy ci oficerowie mężczyźni, którzy za plecami nazywali ją ambitną suką i twardą dziwką; całe to graffiti na drzwiach szafki, oskarżające ją, że usiłuje przez łóżka dotrzeć na szczyt... Wszystkie te przeszkody, które przed nią stawiali, wszyscy ci ludzie nie zdołali zniszczyć jej kariery, zmusić do rezygnacji z tego, co kochała. A teraz miłość, tradycyjnie najbardziej kobiece z uczuć, załatwiała to za nich.

Po obiedzie przeszli na Stazione Santa Lucia, żeby przejechać na Mestre. Pociąg spóźnił się, zatrzymany przez protestujących z No Grandi Navi, „Żadnych wielkich statków” - organizacji protestującej przeciwko wpływającym do Wenecji ogromnym statkom wycieczkowym. Około setki ludzi sieciami rybackimi blokowało most prowadzący na stały ląd.

Kat wtuliła się we Flavia, zbyt najedzona i senna, żeby się przejmować; przymknęła oczy i grzała się w promieniach słońca wpadających przez okno wagonu. Resztę popołudnia zajmie im powolny seks, potem drzemka, a potem może jeden czy drugi *spritz* w którymś z barów na Piazza Ferreto. Był taki czas, nie tak dawno przecież, kiedy niedziele ją złościły, bo centrum operacyjne pracowało tylko z minimalną obsadą i musiała czekać cały dzień, zanim sprawy znowu ruszyły naprzód. Ale nie teraz. Bycie z Flaviem ją zmieniało.

Na ładzie, trzymając się za ręce, ruszyli spacerem do jej mieszkania, Zauważyła, że Flavio był jedynym mężczyzną, którego publicznie trzymała za rękę. Miała wielu kochanków, owszem; miewała niesamowity seks; ale ten prosty gest - który u innych zawsze uważała za cikliwy - rezerwowała dla mężczyzny, którego kochała.

Byli już blisko, kiedy zobaczyła chudą blondynkę na stopniach przed wejściem. W swoim sentymentalnym stanie Kat dopiero po chwili uświadomiła sobie, kto to taki.

- Holly! - zawołała zdumiona. - Myślałam, że jesteś jeszcze w Ameryce.

Holly uniosła głowę. Wygląda na zmęczoną, pomyślała Kat.

- Przepraszam, że nie dzwoniłam wcześniej. Ktoś chciał zabić mojego ojca i teraz myślę, że wiem dlaczego.

\* \* \*

Przyniosła schemat połączeń, wyrysowany trzema kolorami, z dodatkowymi odwołaniami.

- Chodzi o to - tłumaczyła - że CIA zawsze zaprzeczała swojemu zaangażowaniu w operację Gladio. Kiedy Ian Gilroy o niej mówi, zawsze brzmi to tak, jakby całą akcję prowadziło wyłącznie NATO. Akcję, którą wojskowi bardzo starali się trzymać w tajemnicy przed prawdziwymi szpiegami. Ale jak można uwierzyć, że CIA nie miała pojęcia o partyzanckiej armii włoskich cywilów szkolonych przez NATO pod ich nosem?

Kat zerknęła na Flavia. Wydawało się, że słucha uważnie, od czasu do czasu nawet kiwał zachęcająco głową, ale dobrze znała ten wyraz twarzy, zapamiętany ze spotkań w Pałacu Sprawiedliwości. Po prostu notował w pamięci swoje wątpliwości, dopóki Holly nie skończy, a potem równie dobrze może rozedrzeć jej teorie na strzępy. Zresztą nawet Kat wydawały się mocno naciągane. I chociaż dobrze było znów zobaczyć dawną przyjaciółkę - ostatnim razem widziała ją wkrótce po jej ciężkich przeżyciach w jaskiniach - Holly wciąż wydawała się nerwowa. Mówiła z wyraźną ekscytacją i bardzo szybko, chwilami niemal bełkotliwie.

- A jeśli NATO tylko się wydawało, że kieruje Gladio, a w rzeczywistości siatka była zinfiltrowana przez CIA? Inaczej mówiąc, jeśli istniały praktycznie dwie siatki, jedna szkolona przez NATO, by tworzyć ruch oporu w razie inwazji komunistów, i druga wewnątrz tamtej: grupa ekstremistów, dokonująca politycznie motywowanych aktów przemocy według poleceń CIA? Potem, kiedy zwinięto Gladio, to logiczne, że CIA nie chciała tracić własnej siatki. Dlatego kazali im się przegrupować i zamaskować jako wolno-mularze.

- Wolnomularze? - powtórzyła Kat.

Zerknęła na Flavia, by sprawdzić, czy ta zbieżność też go zaintrygowała, ale on miał na twarzy wciąż ten sam nieco sceptyczny wyraz uprzejmej uwagi.

- Tak. - Holly opowiedziała, jak byli „gladiatorzy” infiltrowali lożę jej ojca.

- Ale przecież nie wszystkie akty przemocy, które pani opisuje, były dziełem prawicy - wtrącił spokojnie Flavio. - Lewica dokonywała równie licznych zbrodni. Choćby porwanie i zamordowanie Aldo Moro, żeby podać pierwszy z brzegu przykład.

Holly pokiwała głową.

- Tak, oczywiście. Ale to dziwne, prawda, że właśnie operacja tych teoretycznie lewicowych Czerwonych Brygad zablokowała *Compromesso storico* i w efekcie zniszczyła wszelkie szanse udziału partii komunistycznej we władzy? - Spojrzała z naciskiem na Flavia i Kat.

- Czy nie bardziej rozsądnie byłoby założyć, że Czerwone Brygady były kontrolowane przez tych samych ludzi, którzy przez cały czas kierowali Gladio?

- Operacja pod fałszywą flagą? - odpowiedziała Kat.

Pochwyciła wzrok Flavia; mówił: nie zachęcaj jej.

- Wiemy, że Czerwone Brygady były infiltrowane przez CIA - ciągnęła Holly. - Wspomina o tym raport mojego ojca, a Gilroy w rozmowie ze mną potwierdził, że był agentem CIA, który tym kierował. Ale czy sprawa skończyła się na infiltracji? Czy CIA mogła wpływać na ich dobór celów? Rok przed porwaniem Moro Czerwone Brygady porwały kogoś innego. - Pokazała schemat. - Siedmioletniego chłopca. Kiedy rodzice nie chcieli płacić, obcięli mu uszy i nos.

Teraz nawet Kat rozdziawiła usta.

- Myślisz, że to Gilroy stał za porwaniem Daniele?

- Nie wiem. Ale czy istniał lepszy sposób, żeby Czerwone Brygady były postrzegane jako terrorystyczny straszak? CIA mogła wręcz liczyć, że wywoła to wielkie oburzenie i wskutek skojarzenia zdyskredytuje całą lewicę.

- Myślałam, że ufasz Gilroyowi. Zawsze mówiłaś, że był przyjacielem twojego ojca - przypomniała Kat.

- Był. A przynajmniej myślałam, że był. Ale wiesz, mam na to tylko jego słowo. To znaczy owszem, pamiętam, że parę razy przychodził do nas, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Ale z tego, co w raporcie napisał ojciec, znali się raczej na gruncie zawodowym. Może Gilroy miał powód, żeby trzymać mnie blisko. Może się obawiał, że pewnego dnia pojawi się coś takiego jak memorandum ojca. Cały czas zadaję sobie pytanie, dlaczego, jeśli tata ufał Gilroyowi, wykonał dodatkową kopię i ukrył ją dla bezpieczeństwa. Może już wtedy miał co do niego wątpliwości?

- A co z kopiami, które zrobiła pani? - zapytał Flavio, przerywając spekulacje Holly.

- Jedną dałam Gilroyowi, a jedną przemejlowałam do siebie z fotokopiarki na lotnisku. Ale kiedy niedawno próbowałam ją obejrzeć, plik był uszkodzony. Myślę, że musieli jakoś wysledzić go z przeciwnego końca i zniszczyć.

Flavio uniósł brwi, ale milczał.

- A to kolejna wskazówka, że CIA może być zamieszana - tłumaczyła Holly. - Kto jeszcze miałby dostęp do takiej technologii?

- Ale dlaczego? - pytał cierpliwie Flavio. - Dlaczego ktoś miałby się przejmować operacjami CIA przeprowadzonymi ponad trzydzieści lat temu? Nawet zakładając, że naprawdę istniała taka operacja?

- Ponieważ ona ciągle trwa - wyjaśniła Holly. - Nie wiem, w jaki sposób ani w jakim celu, ale kiedy byłam na Sardynii, widziałam, jak żołnierze uczą cywilów posługiwać się bronią ręczną i materiałami wybuchowymi. Podejrzewam, że w tej czy innej formie, Gladio wciąż jest aktywne. Uważam, że po ujawnieniu przegrupowali się, weszli w skład rozmaitych loży masońskich i przez wszystkie te lata dokonują zabójstw i korumpują ludzi.

- I nikt o tym nie wie? - spytał sceptycznie Flavio. - Potężna i zorganizowana próba obcego mocarstwa przejęcia kontroli nad włoską polityką drogą przemocy, sięgająca ponad dwadzieścia pięć lat wstecz, związaną z jednym z największych skandali w historii włoskiej polityki... i nikt o tym nie wie?

- Cassandre czytał o tym okresie w sieci, na swoim komputerze - przypomniała Kat. - Czy nie uważasz, że to dziwne?

Flavio wydał ciche, mimowolne pfff niedowierzania.

Kat przeszła go spojrzeniem, próbując dać mu do zrozumienia, że to sprawa ważna dla Holly. A jeśli

ważna dla Holly, to dla niej także.

- No dobrze. - Flavio westchnął. - Spisek sięgający lat dziewięćdziesiątych i poza nie.

„Dietrologia”, która przebija wszystkie „dietrologie”. Zakładając, że jest w tym wszystkim ziarno prawdy, co pani zamierza robić dalej?

- Sprawdzę, do czego zdołam się dokopać na temat służby Gilroya w CIA - odparła Holly. - Zacznę od tego, co spotkało Daniele. Jedna osoba z tego oddziału Czerwonych Brygad, który go porwał, nadal siedzi w więzieniu. Może zechce ze mną porozmawiać. Jeśli nie, znajdę kogoś innego. A potem, kiedy zbiorę już jakieś dowody, przyjdę z nimi do was, żebyście mogli oficjalnie wszcząć dochodzenie w sprawie próby zabójstwa mojego ojca.

## Dwadzieścia osiem

- *La Messa finita: andante in pace* - zaintonował kapłan.
- *Rendiamo grazie a Dio* - odpowiedzieli nierówno wierni.

A kiedy chór głosów wzniósł się w *Panis angelicus*, Ian Gilroy odchylił głowę. Ostatnio rzadko już klękał - kolana zbyt mu dokuczały. Ale pochylił się tak jak ludzie wokół niego, kiedy wychodzili kapłani i chór.

Jednak w przeciwieństwie do innych wiernych pozostał w ławce, kiedy bazylika opustoszała. Te chwile po niedzielnym nabożeństwie, gdy Święty Marek był zamknięty dla turystów, należały do bardzo nielicznych momentów, kiedy ta wielka budowla wydawała się niemal spokojna. Gilroy podniósł głowę, zachwycając się pięknem romańskich łuków. Ponad nim złożone mozaiki pokrywały wnętrza pięciu wieńczących sklepienie kopuł, bardziej islamskich niż katolickich. Te arabskie wpływy nie były przypadkowe: weneccjanie zawsze zdawali sobie sprawę ze strategicznego znaczenia swego miasta, będącego pomostem między Wschodem i Zachodem.

Kilka minut po wyjściu wiernych zauważył człowieka, na którego czekał.

- Monsinior... - wymruczał.
- Mam nadzieję, że nie sprawiłem kłopotu. - Ojciec Calergi zajął miejsce obok.
- Ależ skąd. Są jakieś wieści od naszych masońskich przyjaciół?

Calergi kiwnął głową.

- Karabinierzy wciąż prowadzą dochodzenie w sprawie śmierci Cassandrego, mimo zaangażowania AISI. Podejrzewają, że jakoś łączy się to z hrabią Tignellim i jego planami. Nawiasem mówiąc, nie zrobiłem niczego, co mogłoby im zasugerować, że to błędna teoria.

- Czy mam rozumieć, że kuria zaczyna się niepokoić?
- Może ujmę to tak: ci z nas, którym leżą na sercu interesy Rzymu, nie chcieliby sukcesu hrabiego Tignellego.

Gilroy zerknął na niego z ukosa.

- A jednak spotyka się pan ze mną dopiero teraz, kiedy sam Watykan bezpiecznie usunął się ze sceny, a bankier jest uciszony. Cynik mógłby zapytać o zbieżność tych zdarzeń w czasie.

Kapłan pominął tę uwagę.

- Czy możemy uznać, że Ameryka podziela nasze zaniepokojenie? Gilroy się zastanowił.

- Proszę przekazać swoim ludziom, że Ameryka pilnie się przygląda rozwojowi sytuacji. Wyrobimy sobie pogląd na wydarzenia w miarę, jak się będą rozwijały.

Ojciec Calergi odwrócił głowę, by na niego spojrzeć.

- Jaką straszną grę pan prowadzi? - zapytał cicho.
- Żadnej gry, ojciec. Ale w tej chwili sprawy są skomplikowane. Czas będzie czynnikiem



kluczowym. Muszę dokładnie wiedzieć, co wykryli karabinierzy i co zamierzają z tym zrobić. Może pan to dla mnie sprawdzić?

- Oczywiście. Popytam.

- Dobrze.

To zaleta pracy z księżmi, pomyślał Gilroy. Dla nich niedziela to tylko kolejny dzień roboczy.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, nim wyszli, każdy przez inne drzwi. Na zewnątrz Gilroy wyjął telefon i wybrał numer. Prawdę mówiąc, mógł dzisiaj załatwić jeszcze jedną sprawę...

- Wydział spraw publicznych — odezwał się głos w słuchawce. - Porucznik Breedon.

- Mike, tu Ian Gilroy... Z Centrum Edukacyjnego w bazie.

Przez moment trwała cisza, kiedy szef Holly starał się go skojarzyć.

- Tak, oczywiście - powiedział uprzejmym tonem. - Jak się pan czuje, sir?

- Bardzo dobrze, dziękuję. Właściwie to dzwonię w sprawie podporucznik Boland. Jak wiesz, od czasu do czasu sprawdzam, co u niej słychać. I zastanawiałem się, czy twoim zdaniem rzeczywiście jest już w dobrej formie i może wrócić do służby. Jak dla mnie, wciąż wydaje się raczej delikatna.

Znowu chwila ciszy.

- Sir, nie miałem żadnego kontaktu z podporucznik Boland - oświadczył Mike Breedon. - I nie zdawałem sobie sprawy z jej zamiaru powrotu do służby. Zna pan może datę? Muszę porozmawiać w dowództwie, żeby wszystko dla niej zorganizowali...

- Coś podobnego... - odpowiedział Gilroy. - Pewnie źle ją zrozumiałem. Albo to, albo przyjęła moją radę, żeby się nie spieszyć.

Rozłączył się i spojrzał na fasadę bazyliki św. Marka. Mimo że znał ją od lat, nigdy nie przestała go zadziwiać. Jeśli wewnątrz przypominało połączony meczet, z zewnątrz była podobna do mauryjskiego pałacu: arabskie minarety nad fantastycznymi gotyckimi zdobieniami, a wszystko pokryte warstwą barwnych kamieni: porfiru i malachitu, ametystu i karneolu, jak bajkowy zamek.

A królestwu Jego nie będzie końca, pomyślał ironicznie.

Skinął głową, jakby się zegnał.

## Dwadzieścia dziewięć

- *As-salamu alajkum* - odezwał się głos w pustej sali wykładowej.

Tarik uniósł głowę.

- *Wa alajkum as-salam* - odparł uprzejmie, zwracając się do mężczyzny, który właśnie stanął w drzwiach, Równocześnie dyskretnie sięgnął do klawiatury i wcisnął CTRL-W. Małe okno na ekranie monitora zniknęło, pozostawiając tylko to duże, wyświetlające schemat połączeń sieci.

- Pracujesz w niedzielę? - Wykładowca podszedł i zajrzał mu przez ramię.

- Świątowałem w *al-dżuma*, w piątek. Teraz nadrabiam.

- Tak, widziałem cię w meczecie.

Wykładowca uczestniczył w piątkowych modłach w skromnym meczecie niedaleko jego mieszkania.

Tarik starał się wybierać tam takie miejsca, gdzie musiał być zauważony.

- Wszyscy musimy przestrzegać boskich nakazów - rzekł.

Wykładowca przytaknął.

- Jesteś wyjątkowym studentem - stwierdził. - Mój brat prowadzi biuro doradztwa zawodowego dla specjalistów IT. Gdybyś chciał, mógłbym z nim porozmawiać. Jeśli nadal będziesz robił takie postępy, po skończeniu kursu na pewno znajdzie ci dobrą pracę.

Tarik bardzo chciał, oczywiście, gdyż właśnie z powodu brata wykładowcy postanowił przypłynąć na Sycylię. W jakimś chat roomie rozmawiali o nim dwaj jego byli studenci i Tarik od razu zrozumiał, jak ów człowiek może się przydać w jego planach.

- Dziękuję - powiedział. - To bardzo miło z pana strony.

- Nie masz nic przeciwko podróżom?

- Zupełnie nic - zapewnił Tarik.

- To dobrze. - Wykładowca położył mu dłoń na ramieniu. - Pomówię z nim wieczorem.

Kiedy wyszedł, Tarik odczekał kilka minut, po czym znowu wywołał małe okienko.

*Ile botów?* - napisał.

Jego rozmówca, użytkownik Ghostnetu, odpowiedział:

*Wyślę ci zrzut.*

Po chwili Tarik odebrał zrzut ekranu, pokazujący, że użytkownik kontroluje sieć złożoną z prawie pół miliona komputerów. Każdy z nich wydawał się właścicielowi całkiem normalny, może trochę powolny, jednak w rzeczywistości był niewolnikiem i robił to, czego chciał botmaster - czy chodziło o wysyłanie spamu, czy ataki denial--of-service na wskazany serwis.

*Ile?* - zapytał Tarik.

*5000 \$ dziennie.*

*A gdybym chciał kupić?*

*Ale po co? Bardziej się opłaca wynająć.*

*Mam swoje powody.*

*Nie sprzedałbym za mniej niż 750000 \$. Tu chodzi o moje źródło utrzymania.*

*\$500K. Zawsze możesz zarazić następne.*

*To wymaga czasu. W moim kodzie nie chodzę na skróty.*

*Właśnie dlatego kupuję. Dogadamy się na 650K? Ostateczna oferta.*

*Przyjmuję bitcoiny albo Veny.*

Tarik natychmiast wysłał e-mailem umówioną kwotę. Botnet, jaki właśnie zakupił za pieniądze komendanta, nie był szczególnie wielki. Sieć Mariposa, odkryta w dwa tysiące dziewiątym roku, kontrolowała ponad dwanaście milionów komputerów, a sieć Metulli, znaleziona w dwa tysiące trzynastym, zakaziła około osiemnastu milionów. Jednak kody, na których opierały się tamte botnety, były raczej amatorskie; w tym wypadku kod był stosunkowo dobrze skonstruowany. Między innymi był też polimorficzny, co znaczy, że na każdym komputerze ukrywał się w innym miejscu. Dzięki temu stawał się wyjątkowo trudny do wykrycia.

Tarik wolałby zbudować od zera własną sieć botów, zamiast kupować już gotową i adaptować ją do swoich potrzeb, ale miał mnóstwo pracy i niewiele czasu. Zresztą nie była to jedyna sieć, jaką planował kupić. On i inni hakerzy byli może nieliczni, ale kiedy zacznie się bitwa, zamierzał dowodzić największą armią w historii.

## Trzydzieści

- Dziękuję, że zechciał pan przyjść, panie Speicher. Napije się pan kawy?

Prezes Banca Cattolica della Veneziana pokręcił głową.

- Nie, dziękuję. Mogę spytać, czy jestem przesłuchiwany w charakterze *indagato*?

Flavio miał na sobie prokuratorską togę, a Kat mundur karabinierów; cała rozmowa miała wyglądać możliwie oficjalnie.

Flavio pokręcił głową.

- Na tym etapie nie jest pan podejrzanym. Nie.

- Czy zatem mogę się dowiedzieć, w sprawie jakiego konkretnego przestępstwa prowadzone jest śledztwo? Oczywiście poza morderstwem mojego kolegi.

Hugo Speicher mówił spokojnie, a jego inteligentne piwne oczy spoglądały czujnie to na jedno, to na drugie z rozmówców. Tak jak przewidywała Kat, ten człowiek niełatwo ulegał panice. Jednak wspólnie z Flaviem doszli do wniosku, że jest jednym z nielicznych, którzy mogą zdradzić im coś istotnego w sprawie Cassandrego.

- Uprzejmy, elegancki i inteligentny - powiedziała Flawiowi, pochylając się do jego ucha. - Ale odniosłam też wrażenie, że Cassandre budził w nim niesmak.

- A co na niego mamy? - spytał szeptem.

- Każdy prezes z całych sił stara się uniknąć skandalu. A cokolwiek robił Cassandre, Speicher musi wiedzieć, że smród tego dotrze aż do Rzymu.

Teraz Flavio pokiwał głową, zwracając się do Speichera.

- Jeśli będzie trzeba, Guardia di Finanza przeczesze pański bank gęstym grzebieniem. Mamy jednak nadzieję, że to nie będzie konieczne.

Prezes się zastanowił.

- A moja współpraca, jeśli się na nią zdecyduję, będzie odnotowana w aktach?

- Tak, jeśli będzie pan sobie życzył.

Speicher westchnął ciężko i odrobinę się rozluźnił. Nagle wyglądał, zdaniem Kat, mniej jak figurant w zarządzie banku, a bardziej jak człowiek głęboko zatroskany.

- No dobrze. Ale muszę uprzedzić, że to kwestie mocno specjalistyczne. Jak ostatnio praktycznie cała bankowość. - Uśmiechnął się smętnie. - Może właśnie dlatego wszystko zaczęło się psuć. Banki nie pożyczają już pieniędzy. Robimy z nimi magiczne sztuczki. Sprawiamy, że znikają i pojawiają się znowu, zamieniamy jedną walutę na inną, wysyłamy je w eter na poszukiwanie luk podatkowych i bezpiecznych przystani. I używamy jako dodatkowych zabezpieczeń w jeszcze bardziej skomplikowanych spekulacjach.

Flavio sięgnął po notatnik.

- Proszę mówić.

- Z pewnością jesteście świadomi, że wśród naszych akcjonariuszy jest Istituto per le Opere di Religione? Czyli Bank Watykański.

Flavio przytaknął.

- Mają niewielkie udziały, nie więcej niż trzy procent. Ale ta liczba prawdopodobnie nie odzwierciedla bliskości naszej relacji. Do niedawna kontaktami z IOR po naszej stronie zajmował się Alessandro Cassandre. Był bardzo dumny z tego związku. Być może skusiło go to do podjęcia kilku nierozsądnych decyzji. - Zastanowił się - A może było odwrotnie. Może zawsze był skorumpowany, a luźną strukturę regulacji IOR uznał za okazję, by dokonać przestępstw finansowych.

- A dokładnie jakich przestępstw? - spytał cicho Flavio.

Speicher uniósł dłoń.

- Dojdę do tego, obiecuję. Ale wyjaśnienie ma sens tylko wtedy, gdy pozwolicie mi na pewne wprowadzenie. Pewnie czytaliście w gazetach, że za papieża Franciszka IOR znalazł się pod silnym naciskiem, by poprawić swoje działania, to znaczy dostosować je do międzynarodowych standardów dotyczących przejrzystości transakcji, prania pieniędzy i tak dalej.

- Czytałam artykuły - potwierdziła Kat. - Uznano, że to wielki krok naprzód.

- I słusznie. Problem w tym, że istnieją pewne... przedsięwzięcia, tak je nazwijmy, co do których IOR wolałby unikać przejrzystości. Do niedawna z wielkim entuzjazmem podchodził do kontrowersyjnego instrumentu finansowego, zwanego *credit default swap*, czy też, jeśli państwu wygodniej, swap ryzyka kredytowego.

Kat zerknęła na Flavia. Zastanawiali się, czy w czasie tej rozmowy powinien im towarzyszyć specjalista od finansów, ale uznali, że dopóki nie dowiedzą się, z czym dokładnie mają do czynienia, postarają się nie wciągać nikogo innego. Teraz zaczęła się zastanawiać, czy się nie przeliczyli.

- Niech pan mówi - powiedział Flavio. - Ale proszę pamiętać, że nie mamy specjalistycznej wiedzy w tej dziedzinie.

- Postaram się tłumaczyć możliwie prosto. Swap ryzyka kredytowego to zasadniczo polisa ubezpieczeniowa na wypadek, gdyby instytucja lub państwo nie były w stanie spłacić swoich długów. Tak maleńkie, ale suwerenne państwo jak Watykan jest w tej niezwyklej pozycji, że jego walutą jest euro, chociaż samo nie należy do strefy euro. Rozsądek więc nakazywał mieć pewną liczbę swapów w euro, zwłaszcza w okresie globalnej recesji, kiedy wydawało się, że rząd włoski przestanie spłacać swoje długi, w rezultacie czego euro by się załamało.

Speicher odetchnął.

- Ale kontrowersyjność takich swapów ryzyka bierze się z tego, że przecież nie trzeba mieć nic wspólnego z długami, których płatność się ubezpiecza. To trochę tak, jakby wykupić ubezpieczenie od ognia na dom sąsiada: w którym momencie staje się to obstawianiem, czy dom naprawdę się spali? Nastąpił moment, gdy posiadanie kilku swapów jako zabezpieczenia zmieniło się w coś całkiem innego: w hazard, w obstawianie tego, czy Włochy rzeczywiście przestaną spłacać długi i euro runie. Oczywiście, nie tylko IOR tak uważał. Wiele największych funduszy hedgingowych na świecie obstawiało podobnie. Za zamkniętymi drzwiami Berlusconi powtarzał, że niespłacanie długów nie było dla Grecji takie straszne, jeśli uwzględnić, ile zdołali w zamian wycisnąć z reszty Europy. Gdyby został przy władzy, wartość watykańskich swapów z pewnością by rosła. Ale udowodniono mu płacenie za seks nieletniej tancerce brzucha, został skazany i zmuszony do rezygnacji z funkcji.

Kat pokiwała głową. Wielu ludzi do końca życia zapamięta sceny z rezygnacji Berlusconiego, kiedy radosne tłumy śpiewały „Alleluja” przed jego kancelarią. Pakiet oszczędnościowy został uchwalony w ciągu miesiąca.

- Wtedy okazało się, że Watykan pozostał ze znaczną liczbą tego, co bankierzy nazywają toksycznymi aktywami - podjął Speicher.

- Coś, co w księgach obrachunkowych figuruje jako bardzo wartościowe, ale w rzeczywistości zmieniło się w wielkie i wciąż otwarte pasywa. Formalnie rzecz biorąc, stali się bankrutem. Oczywiście, europejskie rządy w podobnej sytuacji tworzyły tak zwane złe banki i przekazywały im te toksyczne aktywa, żeby nie pociągnęły na dno całego systemu. Ale dla Watykanu nie była to dostępna opcja.

Wybrali więc inne rozwiązanie: poszukali kogoś, żeby zrzucić na niego swapy.

- Was? - domyślił się Flavio.

Speicher kiwnął głową.

- Ale czemu wasz bank miałby wziąć te aktywa, skoro są takie toksyczne? - zdziwiła się Kat.

- Nie chcieliśmy - zapewnił Speicher. - Ale nie mieliśmy pojęcia... to znaczy ja nie miałem. Tylko

Cassandre i człowiek od kontaktów ze strony Watykanu wiedzieli, co się dzieje. Powołali spółkę wydmuszkę, będącą własnością po połowie naszą i IOR, a IOR sprzedał jej wszystkie te swapy, których nie mógł zamknąć. Spółka, zarejestrowana w Liechtensteinie, sprzedała je potem innej spółce wydmuszcze w innym rajku podatkowym, tyle że tym razem była własnością IOR w czterdziestu procentach, a naszą w sześćdziesięciu. I tak to szło... Wiele transakcji później aktywa należały już całkowicie do nas. a zniknęły z rachunków IOR.

- A co w zamian? - spytał Flavio. Jego pióro przesunęło się szybko po kartce notatnika. - Bo zakładam, że Cassandre jakoś skorzystał.

- W zamian IOR zainwestował w inne spółki wydmuszki, tym razem kontrolowane osobiście przez Cassandrego. Zapłacili mu, inaczej mówiąc.

- Pieniądze ciągle tam są?

Speicher pokręcił głową.

- Cassandre wykorzystał te fundusze, by dokonać kilku wysoce spekulacyjnych inwestycji. Na nieszczęście, nie był nawet w części tak dobrym graczem giełdowym jak oszustem. Stracił wszystko.

- Jak pan to odkrył? - zainteresowała się Kat.

- W ramach tych wszystkich manewrów Cassandre założył w banku tysiące kont osobistych. -

Speicher zmarszczył czoło. - Szczerze mówiąc, nadal nie rozumiem po co. Każde konto miało swój numer, dopuszczalny debet, książeczkę czekową i tak dalej. Ale nigdy z nich nie skorzystał. W każdym razie jeden z asystentów w naszej centrali zauważył, że dzieje się coś nietypowego i zwrócił na to moją uwagę. Przyjrzałem się i zrozumiałem, że Cassandre przez lata naruszał procedury bankowe. A kiedy miałem już dowody, wezwałem go i zażądałem wyjaśnień.

- Jak zareagował?

- Próbował się wyłgać. Tłumaczył, że te swapy to element jakiejś skomplikowanej strategii finansowej, która wkrótce przyniesie bankowi ogromne zyski. Powiedziałem, że to nonsens. Europa wyszła z zakrętu. Tylko nieliczni szaleńcy i skrajni pesymiści wciąż obstawiają przeciwnie. - Westchnął.

- Wiedziałem, że muszę go zwolnić. Ale wiedziałem też, że prawdopodobnie oznacza to koniec banku.

Nie można z czymś takim siedzieć cicho; prawo wymaga, żeby powiedzieć regulatorom, którzy przeprowadzą dochodzenie. To z kolei wystraszy naszych instytucjonalnych deponentów. W efekcie połknie nas jakiś większy bank, zdolny wziąć na siebie ryzyko. To byłby koniec wszystkiego. Mam wrażenie, że na to liczył Cassandre: ponieważ te aktywa są tak toksyczne, nie będę miał innego wyboru, niż ukryć ich istnienie.

- I co? - spytał Flavio. - Ukrył pan?

Speicher pokręcił głową.

- Powiedziałem Cassandremu, że go zawieszam, i zwołałem kryzysowe posiedzenie zarządu.

- To było to posiedzenie, o którym pan mi wspominał - przypomniała sobie Kat. - Ostatni raz, kiedy widział go pan żywego.

Bankier przytaknął.

- Ale nie ostatni, kiedy z nim rozmawiałem. Następnego ranka telefonowałem do niego, żeby przekazać decyzję zarządu: że musi odejść natychmiast. Wpadł w panikę. Tłumaczył mi, że ma plan. Ze teraz jest chroniony z obu stron, cokolwiek to miało znaczyć; że cokolwiek się stanie, bank jest bezpieczny. Chciał więcej czasu, tylko parę tygodni, a wszystko dobrze się ułoży. Powiedziałem mu, że bredzi, i skończyłem rozmowę. Prawdę mówiąc, budził we mnie obrzydzenie. Nie miał nawet dość

przyzwoitości, by wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co zrobił.

Kat przejrzała notatki, próbując wszystko to jakoś sobie poukładać.

- Czyli wasi akcjonariusze... i zarząd też... musieli być wściekli. Czy tracą pieniądze, jeśli bank upadnie? - Zerknęła na Flavia. - Któregoś z nich mogło to skłonić do zamordowania Cassandrego, prawda?

- Bank nie upada - oświadczył Speicher.

Kat zmarszczyła czoło.

- Ale mówił pan...

- Powiedziałem, że koniec banku byłby prawdopodobny. Ale nie mówiłem, że przesadzony.

Zwołałem posiedzenie w nadziei, że któryś z naszych akcjonariuszy zaoferuje pakiet ratunkowy.

- I to się stało? - domyślił się Flavio. - Znaleźliście rycerza na białym koniu?

Speicher przytaknął.

- Jeden z naszych akcjonariuszy, hrabia Tignelli, zgodził się zainwestować ponad pół miliarda euro. To dość, żeby pokryć wszystkie nasze należności, gdyby doszło do najgorszego. Praktycznie nas wykupuje.

Czyli Tignelli miał jednak związki z Cassandrem i bankiem. Była tego pewna, ale po tym potwierdzeniu poczuła znajome mrowienie z ekscytacji.

- Nic pan nie powiedział, kiedy pana pytałam - rzuciła oskarżycielskim tonem.

Speicher się zawstydził.

- Proszę wybaczyć, pani kapitan, ale byłem zaskoczony i nie wiedziałem, ile powinienem zdradzić. Tignelli zawarł z nami ustną umowę, że wyłoży odpowiedni kapitał, ale wydawało mi się, że skandal i policyjne dochodzenie mogą doprowadzić do unieważnienia układu.

- Dzwonił pan do niego - domyśliła się. - Stąd wiedział, że wybieram się na La Grazię. Bo go pan uprzedził.

- Musiałem go zawiadomić, że Cassandre nie żyje. Chciałem tak przekazać mu wieści, by wyglądało, że problem został szczęśliwie rozwiązany, a nie stworzony.

- I co?

Speicher odpowiedział wolno:

- Tignelli odpowiedział: „Czyli jedna sprawa do załatwienia mniej, prawda?”. Całkiem jakby to on chciał mnie uspokoić.

Flavio i Kat porozumieli się wzrokiem.

- Czy jest możliwe, że cały ten plan wymyślili razem Cassandre i Tignelli? - spytała Kat. - Jesteśmy prawie pewni, że byli członkami tej samej nielegalnej loży masońskiej. Czy Cassandre mógł świadomie obniżyć wartość banku, żeby Tignelli tanio go kupił? I że pozbył się on Cassandrego, kiedy nie był mu już potrzebny?

- Przyszło mi to do głowy - przyznał Speicher. - Ale oczywisty problem z tą teorią jest taki, że Tignelli nie kupił banku tanio. Pakuje bardzo dużo pieniędzy w instytucję obciążoną bezwartościowymi pasywami. Dlaczego miałyby to robić, gdyby nie musiał?

\* \* \*

- Człowiek honoru - stwierdził Flavio, kiedy Speicher wyszedł.

Kat przytaknęła.

- Łatwo jest zapomnieć, przyznasz, że nie wszyscy ludzie pieniądza to oszuści. Na każdego Cassandrego przypada pewnie dziesięciu Speicherów.

Wstała i podeszła do okna. W dole po *rio* płynęła wolno *topa* - „szczur” - płaskodenna łódź dostawcza, z pokładem zastawionym towarami: puszki szparagów z Bassano i pomidory z San Marzano, pieluchy i bezfosforanowe detergenty, które podobno miały chronić delikatną ekologię laguny. Mężczyzna trzymał rumpel jedną ręką i sterował ze swobodą weneccjanina, który przez całe życie manewruje po

załączonych kanałach.

- Speicher najwyraźniej nie wiedział o związkach Cassandrego ze służbami wywiadowczymi - powiedziała. - Zastanawiam się, czy to właśnie było tym zabezpieczeniem, o którym mówił? Rozpacziwa próba sprzedania tego, co szykowali masoni z czarnej loży, i w ten sposób zapewnienie sobie ochrony?

- Był najwyraźniej człowiekiem pozbawionym poczucia lojalności, to dość oczywiste. - Flavio stanął obok i otarł się o nią ramieniem. Kat poczuła napływ emocji i endorfin, jaki zawsze wywoływała jego fizyczna bliskość: fala uczucia plus odrobina pożądania. - Natomiast Tignelli jest wyraźnie człowiekiem pozbawionym skrupułów.

- Czy może to się jakoś wiązać z tym szkoleniem wojskowym, które widziała Holly?

Flavio odwrócił się, marszcząc czoło.

- Mogę uwierzyć, że Tignelli wymyślił jakiś skomplikowany plan, obejmujący przejęcie banku Speichera. Mogę nawet uwierzyć, że Cassandre chciał go wsypać i w rezultacie zginął. Ale szkolenie? Spiski sięgające czasów zimnej wojny? Twoja przyjaciółka próbuje chwycić cienie. Nasze dochodzenie jest dostatecznie skomplikowane bez prób powiązania go z jakimiś fantazjami.

Kat milczała. Niepokoiło ją, że Flavio i Holly, zamiast stać się przyjaciółmi i sprzymierzeńcami, raczej - jak się zdawało - poczuli do siebie natychmiastową antypatię. Flavio uważał Holly za histeryczkę. Powiedział jej wprost, że o jej teoriach będą dyskutować dopiero wtedy, kiedy przedstawi jakieś dowody. Jego ton wyraźnie sugerował, że przypuszczalnie nie nastąpi to szybko.

Kat poczekała, aż przyjaciółka wyjdzie, zanim zaczęła cierpliwie tłumaczyć, że Holly dopiero zaczyna rozważać hipotezę, która - jeśli jest prawdziwa - rozbije całą jej wizję świata i zmusi do ponownego przemyślenia wszelkich wyznawanych zasad i pojęcia lojalności.

Holly tymczasem była zaszokowana, gdy dotarło do niej, jak poważny jest związek Kat i Flavia.

- Co jest z tym twoim sypianiem z szefami? - zapytała z niedowierzaniem, kiedy zadzwoniła do Kat trochę później. - Wyjeżdżam na krótko, a kiedy wracam, znowu to robisz. Zapomniałaś już, jakim błędem okazał się Aldo Piola?

- Tym razem nie sypiam ze swoim szefem - przypomniała Kat.

Nic nie mogła poradzić: trochę ją drażniła ukryta sugestia, że stawia egoistyczną relację z Flaviem ponad lojalność wobec przyjaciółki. Również dlatego, że było w tym więcej niż tylko ziarno prawdy.

- Tylko ze swoim prokuratorem - odparła Holly. - Jak to będzie wyglądało w sądzie? Może pogrążyć całą naszą sprawę.

- „Naszą” sprawę? Nie ma jeszcze żadnej sprawy. I czego ode mnie oczekujesz? Mam go rzucić? To raczej nie pomoże ci odkryć, co się przytrafiło twojemu ojcu.

- Po prostu uważam, że uczucie może cię zaślepić - stwierdziła posępnie Holly.

A ciebie nie, pomyślała Kat. Ale głośno powiedziała tylko:

- Daj Flawiowi szansę, dobrze?

Flavia zaś poprosiła:

- Spróbuj uwierzyć Holly na słowo, co? Przynajmniej na chwilę. Nawet jeśli niczego nie znajdzie, to przecież słuchając jej, nic nie tracimy.

- Ale robię to tylko dla ciebie, kochanie. I tak kazałaś mi już ścigać jeden szaleńczy spisek. Moglibyśmy nie dopisywać do listy następnego?

- Oczywiście. Zresztą teraz, kiedy mamy już potwierdzenie związków Tignellego z Cassandrem i bankiem, uważam, że pora zwiększyć nacisk. Niech myśli, że wiemy więcej, niż wiemy, i że go osaczamy. Czytałam, że jest jednym ze sponsorów wielkiego otwarcia cesarskich apartamentów w Ala Napoleonica. Zamierzam się tam wybrać. Może uda się go sprowokować.



## Trzydzieści jeden

Więzienie dla kobiet w małym miasteczku Rovigo okazało się ponurym budynkiem za wysokim murem na zaniedbanym przedmieściu za stacją kolejową. Mury podwyższono, jak przeczytała Holly, po incydencie z roku 1982, kiedy uciekły cztery kobiety czekające na proces o terroryzm. Ich wspólnicy wybili dziurę w murze, przerzucili kobietom broń, a ogniem z pistoletów maszynowych blokowali strażników. Trzy z nich schwytano ponownie, choć jedną dopiero po dziesięciu latach.

Molly przyjechała tu, by odwiedzić Carole Tataro. Należała do grupy Czerwonych Brygad, która porwała Daniele Barba.

Wielu z dawnych towarzyszy Tataro stało się od tego czasu *pentito* i oskarżali innych w zamian za lżejsze wyroki. Ale albo dlatego, że była jedną z ostatnich schwytanych, albo nadal pozostała wierna ideom swojej młodości, Carole nie należała do tej grupy. Holly sprawdziła w sieci, że Tataro ukończyła kurs prawa i obecnie prowadzi kampanię przeciwko przepełnieniu więzień.

Wewnątrz unosił się zapach środków odkażających i zbiorowej kuchni; rozległe korytarze kojarzyły się z ruchliwym dworcem autobusowym. Holly zaprowadzono do pokoju spotkań, niewiele większego od normalnej celi.

Kobieta, którą po chwili wprowadzono, okazała się zaskakująco drobna. Obok tęgiej strażniczki wydawała się delikatna i niemal dziecinna. Trudno by to uwierzyć, że kiedyś strzelała z uzi albo ciskała w policję koktajlami Mołotowa.

- Dziękuję, że zgodziła się pani na spotkanie - powiedziała Holly, wyciągając rękę.

Carole Tataro usiadła, nie podając swojej.

- Nigdy nie odmawiam spotkań. Dzięki temu zachowuję sprawność umysłu. Ale muszę zaznaczyć, że gdybym jednak miała komuś odmówić, oficerowie armii amerykańskiej byłiby bardzo wysoko na mojej liście.

- Mogę spytać dlaczego?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- We Włoszech jest ponad sto amerykańskich instalacji wojskowych. W przeliczeniu na liczbę ludności to więcej niż w każdym innym kraju. A Włochy więcej płacą na ich utrzymanie niż dowolny inny kraj. Ponad trzydzieści procent kosztów utrzymania plus znaczne zwolnienia podatkowe, plus część opłat za tak zwane podniesienie wartości, gdybyście kiedyś jednak wyjechali. Wysysacie naszą gospodarke jak pijawki. - Zastanowiła się. - Nie, jednak nie. Pijawkę można przypalić papierosem. Raczej jesteście jak rak.

Mówiła spokojnie, patrząc na ścianę za Holly. Holly przyszło do głowy, że wyraża się w sposób trochę podobny do Daniele - dziwnie monotonicznie i bez intonacji.

- Może zgodzimy się, że w tej kwestii się nie zgadzamy - powiedziała. - Ale chciałam porozmawiać o pewnym konkretnym epizodzie pani kariery.

- Dawnej kariery - poprawiła ją Tataro. - Moja aktywność ma teraz inne cele.

- No więc dawnej kariery - zgodziła się niecierpliwie Holly. - Chodzi mi o porwanie Daniele Barba.

To było niezwykle, jak pewność siebie Tataro ulotniła się nagle na dźwięk tego nazwiska.

- Dlaczego? - spytała cicho.

- To znaczy: dlaczego chcę o tym rozmawiać? Czy to ważne?

- Oczywiście. - Tataro szybko odzyskała tupet. - Każdy, kto się tu ze mną spotyka, chce załatwić jakąś swoją sprawę. Ma teorię do udowodnienia, artykuł obiecany w redakcji, rozprawę, do której potrzebuje cytatów. Obie zaoszczędzimy sobie czasu, jeśli mi pani powie, o co pani chodzi z porwaniem Barba, a ja powiem, czy jestem skłonna pomóc.

Holly przyjrzała się jej.

- Jestem przyjaciółką Daniele - oświadczyła krótko.

- Ja... ja... - Tataro zamrużyła. - Co u niego?

- Wciąż jest rozbity po tym, co mu zrobiliście.

Wydawało się, że nie ma sensu łagodzić tego przekazu.

Znowu chwila milczenia.

- Ze wszystkich akcji, jakie przeprowadziliśmy... ta była katastrofą od początku do końca.

- W jakim sensie?

- Musi pani zrozumieć, że uważaliśmy się za zdyscyplinowanych rewolucjonistów, nie za przestępców. Porywaliśmy prezesów korporacji, sędziów, generałów NATO... Wrogów klasowych. Jeśli w wyznaczonym czasie wpływał okup, zakładnik wracał żywy. Jeśli nie wpływał, był zabijany. Nie mieliśmy powodu, by terroryzować zwykłych ludzi. Ci w większości rozumieli, że przemysłowcy i politycy nigdy nie zrezygnują ze swej władzy, jeśli nie będą do tego zmuszeni. Wolność dla ludu oznaczała śmierć kapitalistycznej hegemonii. Komunizm albo zniszczenie: taki był prosty wybór.

- Więc czemu Daniele? - Holly miała dość tej propagandy. - Czemu porywać siedmioletniego chłopca?

- W owym czasie nasze dowództwo było w więzieniu, a całą siatką kierowali ludzie, którzy wcześniej nie dowodzili. Szefem mojej komórki był towarzysz Claudio. To nie jest jego prawdziwe imię, wszyscy używaliśmy pseudonimów. Ja byłam Marią. - Zawahała się. - Był też inny towarzysz, Paolo. I między nim a Claudiem wystąpiły tarcia.

Czasami podpuszczali się nawzajem jak dzieci, żeby pokazać, kto jest bardziej rewolucyjny.

Milczała przez chwilę.

- Na papierze rodzina Barba była uprawnionym celem. Byli bogaci, arystokratyczni, a niedawno uzyskali znaczące udziały w fabryce Alfego Romeo, do tej pory będącej własnością włoskiego rządu. Gdybyśmy zdołali uzwiązkowić fabrykę, a potem zradikalizować związki, zdobylibyśmy kluczowy środek politycznego nacisku. Sprzedaż akcji Matteo Barbowi była sprytnym posunięciem. Wprawdzie w latach młodości znany był jako playboy, jednak mocno popierał lewicowe, postępowe relacje w przemyśle; cieszył się sporą popularnością wśród robotników. Claudio uważał, że jeśli porwiemy jego syna, zmusimy go do zbycia akcji w celu zgromadzenia okupu.

- Ale się nie udało?

- Od samego początku wszystko się pieprzyło. Proszę mnie dobrze zrozumieć: w tym okresie zabijałam już ludzi, wielu ludzi. Ale on był dzieckiem. Przerażonym dzieckiem. I był... wrażliwy, to rozumiałam od razu. Nie autystyczny, jak potem twierdzili w sądzie, ale po prostu odrobinę niezwykle. Wiele z nim rozmawiałam. Chciałam mu wytłumaczyć, jak sądzę, że nie jesteśmy okrutni, tylko zdeterminowani, że mamy powody, by robić to, co robimy. A kiedy mijały tygodnie i okup wciąż nie nadchodził, starałam się czymś go zająć.

- Wyobrażam sobie, że w tych okolicznościach nie było to łatwe - powiedziała oschle Holly.

- Prawdę mówiąc, było. Oboje lubiliśmy zabawy liczbowe, kwadraty magiczne i różne takie... -

Widząc, że Holly nie rozumie, narysowała kwadrat w jej notesie. - Jeśli dodać liczby w dowolnej kolumnie, wierszu albo po przekątnej, suma jest taka sama. Był tym zachwycony. Zaczął sprawdzać, jak duży kwadrat może stworzyć, żeby miał te same własności. Opowiedziałam mu, że Benjamin Franklin, amerykański prezydent, wymyślił kiedyś kwadrat z sześćdziesięcioma czterema polami, a Daniele przez wiele dni próbował go pokonać. Albo rozwiązywaliśmy zagadki wieku. Wie pani... Za piętnaście lat będę miała kwadrat mojego wieku sprzed piętnastu lat, ile lat mam teraz? Uśmiechnęła się do tych wspomnień.

- Bardzo ładnie. A kto wydał rozkaz, żeby go okaleczyć? - spytała zimno Holly.

Króciutka przerwa...

- Sytuacja robiła się trudna. Wiedzieliśmy, że odkrycie nas przez policję to tylko kwestia czasu. Ale rodzice wciąż nie płacili... Musieliśmy coś zrobić, żeby mocniej na nich nacisnąć.

- Ale kto wydał rozkaz? - nie ustępowała Holly. - I kto go wykonał?

- Tarcia wewnątrz grupy narastała. Claudio panikował, Paolo powtarzał, że musimy mieć nowy plan. Wybuchwały kłótnie... Głupie kłótnie o rzeczy, które nie powinny mieć znaczenia.

Po raz pierwszy Tataro wydawała się zakłopotana.

- Jakie rzeczy? Och... - Holly zrozumiała. - O panią.

Tataro przytaknęła.

- Claudio był moim kochankiem już od roku, kiedy zjawił się Paolo. Sytuacja odbiegała od normalności. Szukanie partnera poza grupą uważane było za zagrożenie dla bezpieczeństwa. I jakoś doszłam do wniosku, że moim obowiązkiem jest sypiać z obydwojema. Myślę, że wpłynęło to na dyskusje, co powinniśmy zrobić z chłopcem.

- I? - zapytała cicho Holly. - Kto to zrobił?

- Nie było mnie wtedy. Sam pomysł wydał mi się tak obrzydliwy, że wyszłam, kiedy go omawiali. - Pokręciła głową. - Może gdybym została... Chociaż wątpię, czy wtedy zrobiłoby to jakąś różnicę.

- Co się potem stało z nimi obydwojema?

- Claudia zabili komandosi z sił specjalnych, kiedy uwalniali Daniele. Paolo zdołał uciec. Mnie też się udało na pewien czas, ale potem zostałam zdradzona... Wszyscy inni członkowie grupy poległi albo schwytano ich podczas szturm. Oczywiście odmówiliśmy przyjęcia obrońców, ponieważ zostali wyznaczeni przez państwo. Nic dziwnego, że procesy nie potoczyły się dla nas dobrze. Wszyscy dostaliśmy dożywocie.

- A gdyby pani powiedziała, że grupę zinfiltrowała CIA? - Holly przyglądała się jej uważnie. - To by panią zaskoczyło?

Tataro pokręciła głową.

- Już dawno do tego doszłam.

- Dlaczego?

- Jak powiedziałam, porwanie było błędem, od początku do końca. Zdyskredytowało nas w oczach robotników. Wyszliśmy na kryminalistów, nie lepszych od tych z 'Ndranghety, którzy parę lat wcześniej porwali chłopaka Getty'ego. W efekcie skompromitowaliśmy całą radykalną lewicę. Kto na tym skorzystał? Nie my, to jasne.

- Całkiem spokojnie pani o tym mówi - zauważyła Holly. - Pewnie uważa pani, że zaangażowanie CIA zmniejsza waszą odpowiedzialność.

- Proszę mi nie mówić, co uważam - rzuciła gniewnie Carole Tataro. - Zapłaciłam za swoje czyny. Spędziłam życie zamknięta z dzieciobójczyniami, bo to, co zrobili chłopcu moi towarzysze, budzi obrzydzenie nawet u ludzi, którzy trafiają do takich miejsc jak to. - Gestem wskazała pomieszczenie. - Widzi pani, jak mały jest ten pokój? Tyle samo miejsca dzielę z dwoma innymi kobietami, z których żadna nie mówi po włosku. Wstajemy po kolei; kiedy idą do sracza, słyszę każdy dźwięk. Takie jest moje życie. Godzę się z tym, że na takie zasłużyłam. Ale proszę mi nie tłumaczyć, że jestem gorsza niż ci po

przeciwnej stronie politycznego widma.

Holly odczekała chwilę.

- Więc kto był podwójnym agentem? - spytała. - Paolo czy Claudio? Tataro zaśmiała się ponuro.

- Czy to nie oczywiste? To musiał być ten, który się wymknął. Ten, który później porwał Aldo Moro. Ten, którego pokochałam i który potem zdradził siłom bezpieczeństwa moją kryjówkę. Paolo.

## Trzydzieści dwa

Ala Napoleonica dysponowała jedną z najlepszych lokalizacji, jaką mógłby mieć budynek w Wenecji - w centralnej części trzech budowli zamykających z trzech stron plac św. Marka. Kolumnady po obu stronach zbudowano początkowo, by ozdabiały fasadę San Giminia, jednego z najpiękniejszych renesansowych kościołów Wenecji. Napoleon kazał go zburzyć, w części dlatego, że jego zdaniem w mieście było już za wiele kościołów, ale też dlatego, że chciał sprowadzić tu cesarzową Józefinę i wiedział, że będzie oczekiwała sali balowej.

Zbliżając się do stopni pałacu, Kat zastanawiała się nad tą pewnością siebie, która skłania człowieka do podejmowania tak poważnych decyzji i to tak szybko. Czy była to megalomania, czy bezwzględność, czy po trochu jednego i drugiego? Armia Napoleona okupowała Wenecję niecałe dziewięć lat, a jednak miasto zmieniło się wtedy całkowicie. Wyburzono nabrzeża kanałów, by powstały bulwary, wyburzono całe kwartały, by stworzyć tam wypielęgnowane ogrody, złamano polityczną władzę weneckiej arystokracji, a dziesiątki klasztorów zmieniono na szpitale, więzienia i budynki administracji publicznej. Komenda karabinierów w Campo San Zaccaria była właśnie takim dawnym klasztorem - jednym z wielu przykładów tego, jak w Wenecji przeszłość zawsze splata się z teraźniejszością.

Normalnie Kat nie była miłośniczką placu św. Marka. Napoleon nazwał go podobno „salonem Europy”, ale ostatnio przypominał raczej szóstą klasę Europy - tak był zapchany grupami znudzonych, łączących wszędzie dzieciaków oraz handlarzami sprzedającymi im fałszywe warkocze, fosforyzujące jo-jo, samoprzylepne tatuaże i wszelkie inne nieodzowne dla szkolnej wycieczki śmieci. Dziś jednak nawet ona musiała przyznać, że plac wygląda oszałamiająco. Na wielkie otwarcie cesarskich apartamentów ktoś zaplanował podwójną linię płonących pochodni, wijących się przez plac i kierujących gości cło celu. Po jednej stronie grała orkiestra, a czerwony dywan migotał w blasku fleszy paparazzich.

Na tę okazję Kat włożyła swój najnowszy nabytek, kreację weneckiej projektantki Laury Biagiotti: sięgająca kolan wąska prosta suknia z prześwitującej bawełny, do której mogła założyć pasek dla elegancji albo pozostawić spływającą ją swobodnie, dla większej zmysłowości. Dziś wieczorem założyła pasek; miała też pasującą do niego kopertówkę z Malefatte, spółdzielni produktów skórzanych, działającej w kobiecym więzieniu. Jednak w porównaniu z innymi kobietami na czerwonym dywanie wydawała się mało elegancka. Wiele z nich włożyło suknie balowe. Niektóre nosiły maski, a wszystkie były obwieszane klejnotami, które bez wątpienia kosztowały więcej, niż ona zarabiała w ciągu roku. Z drugiej strony większość była przynajmniej o dziesięć lat starsza od niej; mężczyźni w średnim wieku, na których ramionach wisały, promieniowali ekskluzywnym poczuciem własnej ważności. Dzisiaj klasy finansowe Wenecji przybyły na plac, by widzieć i być widziane.

Weszła na główne schody, przesadnie zdobione konfekcją balustrad, pilastrów i scen z historii starożytnej - trudno byłoby nie zauważyć, że wszystkie przedstawiają sławne tryumfy wojskowe. Z pewnością twórcy próbowali przypodobać się Napoleonowi. Na szczycie, w sali tronowej, przyjęła od kelnera w liberii kieliszek *prosecco*. Na butelce dostrzegła ozdobne T, znak własnej marki Tignellich.

Było znakomite: bąbelki drobne i delikatne, bukiet z wyraźnym aromatem brzoskwini i kapryfolium.

Wciąż się rozglądała, próbując dopasować nazwiska do twarzy, kiedy zadzwonił dzwonek i kelnerzy zaczęli kierować gości do sali balowej. Mężczyzna z grzywą siwych włosów wstąpił na podwyższenie i zaczął mówić. Przedstawił się jako profesor kierujący restauracją, apartamentów, a następnie podziękował sponsorom za umożliwienie realizacji projektu. Nazwisko Tignellego zachował na sam koniec i dramatycznym gestem wskazał go w tłumie, jakby w ten sposób chciał wyrazić ogrom swej wdzięczności. Goście rozstąpili się i odsłoniли niską postać dobroczyńcy, który lekkim ukłonem podziękował za oklaski.

- Napoleon, co trzeba zaznaczyć, zawsze będzie w Wenecji postacią kontrowersyjną - ciągnął profesor. - A jednak jego krótki pobyt tutaj zbiegł się z niezbędnym odrodzeniem. Napoleon oczyścił kanały i odbudował port. Wymiótł skorumpowany i bezsilny rząd. uwolnił miasto od duszących wpływów Kościoła, wypędził pasożytujących na zwykłych mieszkańcach Cyganów i żebraków. A przede wszystkim zrozumiał, że ta część północnych Włoch jest królestwem samym w sobie, innym niż reszta półwyspu.

To wzbudziło jeszcze głośniejsze oklaski.

- Jesteśmy szczególnie wdzięczni hrabiemu Tignellemu za udostępnienie nam niektórych eksponatów ze swojej prywatnej kolekcji memorabiliów cesarza - zakończył profesor, wskazując gabloty ustawione wzdłuż ścian. - A teraz życzę państwu przyjemnego wieczoru.

Kiedy znowu podniósł się gwar, Kat zbliżyła się wolno do jednej z gablot. Kolekcja Tignellego składała się głównie z dokumentów i rozmaitych osobliwości: pukiel włosów cesarza, własnoręcznie pisany list do żony, szarfa noszona przez niego w bitwie. Była nawet śmiertelna maska, w której wosku utkwilo jeszcze kilka jego włosów. Trochę dalej jej uwagę zwróciło niebieskie pudierko, zawierające coś niedużego i pomarszczonego. Karta obok informowała, że to penis Napoleona, usunięty przez jego lekarza bezpośrednio po śmierci. Prawdę mówiąc, najbardziej przypominał kawałek suszonego mięsa.

- Wygląda pani na zafascynowaną, *capitano* - odezwał się jakiś głos. Obejrzała się - obok stał hrabia Tignelli.

- Tym? - Wskazała zaschnięty i poskręcany przedmiot. - Raczej nie. Nic dziwnego, że nazywano go „małym generałem”.

- A jednak był legendarnym kochankiem. Może to kolejny dowód na to, że rozmiar to nie wszystko. Pewnie chciałbyś w to wierzyć, pomyślała. Tignelli sięgał jej ledwie do ramienia.

Wskazała pokryte freskami ściany.

- Wydaje się to przesadą dla jednego człowieka, czyż nie? Naprawdę na to wszystko zasługiwał? Tignelli się zastanowił.

- Był nie tylko najwybitniejszym dowódcą wojskowym w historii, ale też jednym z największych liderów politycznych. Jego szczególny geniusz polegał na zrozumieniu, że władza sama w sobie jest bez znaczenia. Jej jedyna wartość tkwi w tym, co można dzięki niej osiągnąć.

Dla tych, którzy chcieliby, jak on, pozostawić po sobie ślad w historii, jest interesującym obiektem badań.

Jeśli Tignelli był zaskoczony, że ona wie to wszystko, nic nie dat po sobie poznać. Wzruszył ramionami.

- Zwykła spekulacja biznesowa... Choć przyznaję, że trochę sentymentalna. Nie chciałbym widzieć wspaniałej kiedyś weneckiej instytucji w kłopotach.

- Miejmy nadzieję, że nie straci więcej partnerów.

Uśmiechnął się.

- Uważam, pani kapitan, że marnuje się pani przy tych drobnych śledztwach. Ktoś tak niezwykły jak pani powinien pełnić ważniejszą funkcję w administracji miasta. Proszę sobie wyobrazić, jak by to

wpłynęło na traktowanie kobiet w szeregach karabinierów, gdyby to pani stała się ich twarzą.

- Brzmi to jak czysto symboliczny gest...

- W każdym razie proszę o tym pomyśleć. - Tignelli zdawał się zakładać, że takie stanowiska są całkowicie w zasięgu jego wpływów.

- Muszę przyznać, że jestem nieco zaskoczony, widząc panią tutaj. Przyjemnie zaskoczony, ma się rozumieć. Jak rozumiem, śledztwo w sprawie śmierci signora Cassandrego zostało przeniesione do innych departamentów.

- Jest pan bardzo dobrze poinformowany.

Nie zaprzeczył.

- Przyszło mi też do głowy, że skoro nie uczestniczy już pani w tym dochodzeniu, nie ma przeszkód, żebym zaprosił panią na kolację.

Niemal się roześmiała z jego zuchwałości.

- Nie sądzę, by to było właściwe. A pan?

- Nie - zgodził się. - Byłoby raczej smakowicie niewłaściwe. - Przysunął się bliżej. - Chciałbym poznać pani poglądy jako oficera karabinierów na to, co można zrobić, by oczyścić to szambo, jakim stało się nasze miasto. Ale przyznaję, że cieszyłbym się również towarzystwem pani jako kobiety.

Zaszokowana odparta:

- Myślałam, że wam, masonom, nie bardzo zależy na kobietach.

- Już pani mówiłem, kapitanie, że interesuję się masonami w sposób czysto akademicki. To użyteczne owieczki, nic więcej.

Jeśli miała nadzieję, że uda się jej go przycisnąć, to wyraźnie poniosła porażkę. Czyjaś dłoń klepnęła Tignellego w ramię - pewnie ktoś chciał prosić wielkiego człowieka o kilka słów - i ten odwrócił się w stronę gości, nie oglądając się na nią.

## Trzydzieści trzy

Gdy zapadała noc, dla hakera rozpoczynała się prawdziwa praca.

Wiedział, że nie istnieje coś takiego jak całkowicie bezpieczne łącze internetowe. Wierzył, że zanim światowe służby wywiadowcze zwrócą na niego uwagę, on sam przeniesie się już gdzie indziej, dobrze zacierając za sobą ślady.

Mimo to starał się zachowywać wszelkie możliwe środki ostrożności. W college'u - nocą zawsze opustoszałym - najpierw logował się do TOR, potem do Virtual Private Network, oferującej anonimowe adresy IP, i dopiero wtedy do Carnivii. Stamtąd uruchamiał narzędzie o nazwie Shodan.

Shodan był wyjątkowy, ponieważ zamiast wyszukiwać strony w internecie, pozwalał użytkownikowi szukać połączonych z internetem urządzeń. Jego twórca, dwudziestodziewięcioletni programista John Matherly, twierdził, że miał na celu wykazanie, jak rozległy i jak źle zabezpieczony stał się internet rzeczy. Zakładał, że kiedy ujawni, jak nieszczelne są zabezpieczenia większości urządzeń, zawstydzeni wytwórcy wycofają swoje produkty.

Zamiast tego wytwórcy zignorowali Shodana, a w najlepszym razie zaproponowali klientom nowe, kosztowne poprawki.

Jak dotąd dowcipnisie - trudno ich nazwać hakerami, bo żadne hakowanie nie było konieczne - wykorzystywali Shodana, by zdalnie włączać i wyłączać myjnie samochodowe, wchodzić do miejskich systemów kontroli ruchu albo wykrzykiwać obraźliwe słowa do zdumionych strażników przez ich własne systemy monitoringu.

Ale haker planował coś całkiem innego niż takie żarty.

Ustawił parametr na „kraj: Włochy”, a inny na „architektura: MIP-SEL”; szybko znalazł to, czego szukał.

Kliknął w adres IP, zmienił jedno z ustawień i zajął się czymś innym. Kiedy wrócił, odczyt na ekranie potwierdził, że właśnie udało mu się o jeden stopień zwiększyć temperaturę kotła w elektrowni w Lombardii. Natychmiast przestawił termostat na poprzednią wartość i napisał krótki wykonywalny skrypt, który dołączył do swoich plików. Potem zamknął połączenie i szukał dalej.

Używając Shodana, wędrował po Włoszech, wybierając cele. Szpital we Friuli. System metra w Mediolanie. Sieć siedmiu tysięcy połączonych z policją alarmów antywłamaniowych w Lacjum. System przeciwpowodziowy w Abruzji.

W którymś momencie trafił na markę elektronicznych nianiek, niewymagających żadnego loginu ani hasła. Zastanawiając się, czy może mu się to przydać, przez kamerę jednego z produktów firmy patrzył na śpiące niemowlę.

Do pokoju wszedł ojciec dziecka, młody mężczyzna o mocno wytatuowanych ramionach. Pochylił się



nad niemowlęciem i delikatnie pocałował je w czoło.

- Śpij dobrze, mój mały - szepnął po angielsku.

Maluch poruszył się, otworzył oko i natychmiast wybuchnął płaczem.

- Szlag... - mruknął załamany ojciec. Pochylił się nad łóżeczkiem, by wziąć dziecko na ręce.

Tarik zaśmiał się mimowolnie. Młody mężczyzna znieruchomiał, patrząc z niedowierzaniem na urządzenie. Trzymając malca, wyszedł z pola widzenia kamery. Poprzez płacz dziecka Tarik słyszał, jak wola żonę:

- Janey! Chodź tu szybko!

Kiedy kobieta przybiegła, zirytowana obudzeniem niemowlaka, mężczyzna wskazał urządzenie.

- To draństwo śmiało się ze mnie.

- O czym ty mówisz, Rufe?

- Elektroniczna niania. Słyszałem, że się śmieje.

Janey nosiła bardzo krótkie bokserki i koszulkę, bez stanika. Kiedy oboje pochylili się do kamery, Tarik nic mógł się powstrzymać.

- Buu! - zawołał.

- Ja pieprzę! - krzyknął mężczyzna i odskoczył. Dziecko zapłakało jeszcze głośniejsze. Żona, chyba bardziej opanowana, wyciągnęła rękę i wyszarpnęła kabel. Ekran Tarika pociemniał.

Wciąż rozbawiony skreślił elektroniczne nianki ze swojej listy i szukał dalej.

Analizował właśnie możliwości nowych, połączonych z internetem zamków Yale, kiedy znowu pomyślał o tamtej rodzinie. Jeśli jego plany się powiodą, ulegnie zniszczeniu znaczna część ich świata, którą dotąd uważali za oczywistą. Może nawet zginą. Jak będzie się z tym czuł?

Nigdy jeszcze nie zabił człowieka z bliska. Ale uświadomił sobie, że przed unicestwieniem tego dziecka nie ma większych oporów niż przed wyborem przeciwnika w grze wideo. To tylko utwierdziło go w zamiarze, by uwolnić falę zniszczenia, która doprowadzi do anihilacji samej wszechobecnej techniki.

I wtedy szanse będą równe.

Zostawił zamki i przez dłuższy czas analizował sieci zaopatrzenia supermarketów. Okazały się bardziej złożone niż większość. Jeśli klient kupował na przykład gruszkę, skaner przy kasie przekazywał informację do systemu inwentaryzacyjnego sklepu. Gdyby pojawiła się możliwość, że w ciągu najbliższych dwunastu godzin gruszki się skończą - oceniał to skomplikowany algorytm, uwzględniający takie zmienne jak ceny gruszek u konkurencji, fakt, że klienci zwykle w weekendy kupowali więcej świeżych owoców, planowane promocje bananów, które mogą skusić klientów do rezygnacji ze zwyczajowych owoców, oraz na przykład nadwyżkę melonów w magazynie, które trzeba szybko sprzedać - system automatycznie zamawiał gruszki z jednego z rozmieszczonych w całym kraju wielkich centrów dystrybucyjnych. Jeżeli dostatecznie wielu klientów kupiło dostatecznie dużo gruszek, program kontrolujący zapasy w centrum dystrybucyjnym informował swój odpowiednik u hodowcy, a wtedy w wielkich składach zmieniał się skład mieszanki azotu i dwutlenku węgla, by przyspieszyć proces dojrzewania.

System dystrybucji był równocześnie niesamowicie efektywny i niesamowicie podatny na awarie. W rezultacie oznaczało to, że miliony ludzi od głodu dzieli nie więcej niż tydzień.

Większość europejskich sieci supermarketów do przesyłania danych wykorzystywała silne algorytmy szyfrujące. W przeciwieństwie do elektronicznych nian tutaj bezpieczeństwa informacji przekładało się na zysk - informacje o sprzedaży byłyby bardzo przydatne dla konkurencji. Sklepy jednak nie zdawały sobie sprawy z czegoś, o czym wiedział haker: że grupy opracowujące światowe standardy szyfrowania były zinfiltrowane przez agentów amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Realizując operację o kryptonimie BULLRUN, wbudowali w protokoły specjalne słabe punkty, by NSA mogła dyskretnie szpiegować firmy.

Tarik zaczął szukać dostępu do programów zaopatrzenia supermarketów, wykorzystując pozostawione przez BULLRUN furtki. Była to trudna i delikatna praca... Stracił poczucie czasu. Aż podskoczył, kiedy od drzwi usłyszał:

- *Sabah al-chajr.*

Szybko zminimalizował okno i podniósł głowę. Noc niepostrzeżenie zmieniła się w dzień.

- Dzień dobry.

- Wcześniej przyszedłeś - zauważył z uśmiechem wykładowca. - Nadal taki pracowity?

- Oczywiście.

- Rozmawiałem z bratem. Wszystko ustalone. Prześlę ci szczegóły. Naturalnie, zaczniesz od samego dołu. Ale przy właściwym podejściu i pracowitości to wygodne życie. - Wykładowca podszedł bliżej i pochylił się. - Brat mówi, że Amerykanie lubią dawać napiwki. Nawet za najdrobniejsze rzeczy. Jeśli naprawisz im Wi-Fi albo pokażesz, jak odbierać e-maile, obsypią cię dolarami.

Wykładowca spojrział na pasek zadań u dołu ekranu i zauważył zminimalizowane okno.

- Co to?

I zanim chłopiec zdążył odpowiedzieć, sięgnął po mysz i otworzył je.

Tarik włamał się do mainframe'u sieci Esselunga, największych supermarketów we Włoszech, i przyznał sobie uprawnienia administratora, by uzyskać dostęp do serwerów kontrolujących poziom zapasów.

- To nic takiego - zapewnił szybko. - To znaczy, byłem ciekawy...

Wykładowca popatrzył na niego zdumiony.

- To jest haking. Zdajesz sobie z tego sprawę? Prawo tego zakazuje. Mogą cię aresztować.

Wszystkich nas mogą aresztować... Prześledzą połączenie i dotrą tutaj.

- To bezpieczne. Wchodziłem przez TOR.

- TOR? Dlaczego? - Wykładowca przyglądał się chłopcu z uwagą.

- Co jeszcze zhakowałeś?

- Nic - skłamał Tarik.

- Posłuchaj mnie - powiedział łagodnie wykładowca. - Sam robiłem różne głupstwa, kiedy byłem w twoim wieku. Rozumiem tę pokusę. Przekonanie, że jesteś mądrzejszy od nich, więc czemu nie masz zaglądać tam, gdzie zechcesz. W końcu sami są sobie winni, skoro zainstalowali tak nędzne zabezpieczenia, prawda? - Pogroził mu palcem. - Nieprawda. W internecie istnieje własność prywatna, tak samo jak w świecie rzeczywistym, a kary za wchodzenie, dokąd zechcesz, są o wiele, wiele surowsze. Porozmawiamy o tym dzisiaj na zajęciach.

Kiedy zjawili się pozostali studenci, wykładowca zaczął rozmowę o komputerowej etyce. Tarik starał się wyglądać na zawstydzonego dzieciaka, który dał się ponieść całej tej wiedzy, jaką wykładowca im przekazał.

- Jakie jeszcze szkody może spowodować haking? - zapytał wykładowca pod koniec dyskusji.

Któryś ze studentów podniósł rękę.

- Haking może zabijać.

Wykładowca uniósł brwi.

- Możesz nam podać jakiś przykład?

- Tunel drogowy Frejus.

Tarik zeszywniał. Jakim cudem ktokolwiek mógł o tym wiedzieć?

- Jest film pokazujący turbiny wentylacyjne tuż przed katastrofą - tłumaczył student. - Mówi się, że były zhakowane.

Później, kiedy inni studiowali protokoły sieciowe, Tarik dyskretnie uruchomił wyszukiwanie. Student miał rację: film z jego demonstracji we Frejus pojawił się w sieci, razem z głupawym sloganem. Jak dotąd trafił tylko do kilku dżihadystycznych portali, ale takie właśnie miejsca z pewnością monitorowały

zachodnie służby bezpieczeństwa.

To z kolei oznaczało, że NSA zwróci na to uwagę. Nawet bez tych splitterów na kablach światłowodowych mieli znakomite możliwości podsłuchu. Elektroniczne uszy i oczy w stacjach nasłuchowych na Cyprze, Bermudach, w Wielkiej Brytanii, Nowej Zelandii i Gibraltarze już pewnie zwracały się w jego stronę, próbowały go wywęszyć, spośród miliardów użytkowników sieci na całym świecie wyizolować jego cyfrowe ślady. Był praktycznie pewien, że nie wyśledzą go szybko, ale nie mógł ryzykować.

W tylnym rzędzie, niewidoczny dla innych studentów, zalogował się do internetowego portalu randkowego. Wszedł na konto, które założył wiele miesięcy temu, napisał wiadomość dla komendanta i zapamiętał ją jako plik roboczy. Potem wylogował się, zalogował znowu pod innym imieniem i wysłał wiadomość do muzułmańskiej dziewczyny z Maroka. Dziewczyna nigdy nie dostała z tego portalu żadnej propozycji, co właściwie nie mogło dziwić, skoro na zdjęciu miała twarz całkiem zakrytą hidżabem. Komendant odbierze wiadomość, zrozumie, że w kopiach roboczych czeka na niego list, i zaloguje się na tamto konto, używając tych samych danych co wcześniej Tarik, Potem odpowie w ten sam sposób.

Zamknął okno i uniósł głowę. Wykładowca przyglądał mu się z niespokojną miną.

Kiedy studenci zaczęli ćwiczenia, wykładowca pozostał przy swoim komputerze i regularnie klikał myszą. Co jakiś czas zerkał na Tarika, coraz bardziej zatroskany.

Sprawdza mnie, pomyślał Tarik. Idzie moim śladem.

Zastanowił się, jak szybko może zakończyć to, co miał tu do zrobienia. Wyglądało na to, że musi przyspieszyć realizację planów.

## Trzydzieści cztery

Daniele Barbo szedł za kobietą w płaszczu po wąskich chodnikach wzdłuż kanałów w Carnivii. Trzymał się z tyłu, tak że miał ją na granicy pola widzenia. To był tylko środek ostrożności: skorzystał z przywilejów administratora i stał się niewidzialny, tak jak Max.

*To ona, oświadczył Max, używając prywatnego trybu komunikacji, który tylko Daniele mógł zobaczyć. Domino9859.*

*Jesteś pewien?*

*Absolutnie. Uprawnienia administratora Maxa pozwalały mu na sprawdzanie logów użytkowników Carnivii. To ona zmieniła ustawienia w turbinach tunelu Frćjus. Kim jest IRL, oczywiście nie mam pojęcia.*

Domino9859 kierowała się w okolice San Polo, zaraz za mostem Rialto. Wieki temu ojcowie miasta wyznaczyli tu miejsce, gdzie prostytutki mogły chodzić z odsłoniętymi piersiami, dowodząc, że są prawdziwymi kobietami, a nie transwestytami. Prawdę siedemset lat później skutki tego dekretu wciąż wpływały na to, co się tam działo, zarówno w prawdziwej Wenecji, jak w jej cyfrowym odpowiedniku. Dla carnivian szukających cielesnych rozkoszy był to właściwy kierunek.

Daniele wrócił do Carnivii po raz pierwszy od swojej rezygnacji. Ulice wydawały się bardziej zatłoczone, niż pamiętał. Z balkonów wisały plakaty wyborcze, głoszące hasła, które dla niego nie miały sensu: „Carnivia Libre”, „Związek Weteranów”, „Taxback już”.

Kiedy przechodzili przez tłum, jakiś awatar w standardowym płaszczu i masce nowego użytkownika krzyknął nagle:

**PATRZCIE NA MNIE! PATRZCIE NA MNIE!**

Zerwał z siebie okrycie i stanął nagi, wibrując dziwacznie. Daniele zobaczył, że ma na sobie coś w rodzaju szarfy z napisem: GŁOSUJĘ ZA FLOATEM.

*Co u licha... - zapytał.*

*Coś w rodzaju otrzęsin nowych, wyjaśnił Max. Weterani wyszukują speków, proponując im badge floatu. Jeśli przyjmą, okazuje się, że realizują złośliwy skrypt.*

*Speki? Weterani? Daniele nie kojarzył tych określeń.*

*Speki to spekulanci, którzy włączyli się do Carnivii w nadziei, że zarobią na przepływie i wzroście wartości akcji. Weterani uważają, że tylko preabdykacyjni użytkownicy, tacy jak oni, powinni mieć prawo głosu. Ale według wszystkich sondaży największy sukces odnosi grupa Taxbackerów. Proponują prosty układ: pięć bitcoinów za głos, płatne z podatków nałożonych po wyborach na całą bazę użytkowników. Jeśli się zastanowić, to bardzo sprytny pomysł. Nikt nie chce być tym, który płaci podatki, a niczego za to nie dostał.*

*Ostrzegalesz, że coś takiego nastąpi, przyznał ze smutkiem Daniele. Nie słuchałem.*

*Ale nawet ja nie sądziłem, że będzie tak źle.*

Domino9859 przed nimi skręciła na dziedziniec i weszła na jakieś schody. Idąc za nią, znaleźli się w eleganckiej łodzi wychodzącej na rio. Kilka osób, mężczyzn i kobiet, stało tam, rozmawiając.

*Wygląda na jakieś spotkanie, uznał Max.*

Kiedy Domino9859 zdjęła płaszcz, Daniele zauważył, że nosi na szyi dziwną opaskę, jakby żelazną obrozę. Po jego prawej stronie jakaś inna kobieta klęczała w pokornej pozie, wręczając siedzącemu mężczyźnie drewnianą laskę.

*Nie jestem pewien, czy powinniśmy na to patrzeć, napisał Daniele.*

Ale mimo to nie mógł się powstrzymać. Domino9859 położyła się na kolanach mężczyzny, a on zaczął uderzać ją laską w pośladki.

Daniele słyszał trzaski uderzeń drewna o ciało; delikatna skóra czerwieniała coraz bardziej. Tyle że to nie skóra, musiał sobie przypominać. To teatr, nie świat realny. Jednak łatwo było zapomnieć o tej różnicy.

Wokół nich rozgrywały się podobne sceny. Dwaj mężczyźni kolejno okładali kobiety awatar. Inny był brutalnie gwałcony przez trzech mężczyzn, a każdemu pchnięciu towarzyszył strumień wyzwick. Jeszcze innych chłostano kańczugiem, a po kolejnych uderzeniach skórzanych splotów słyszeli realistyczne jęki bólu.

*To nie ma sensu, stwierdził Daniele.*

*Jak wiele rzeczy w Carnivii.*

*Nie... Chodzi mi o to, że dżihadysta, haker, nigdy by w czymś takim nie uczestniczył.*

*Jeśli chcesz się jej przyjrzeć tak, żeby nic nie wiedziała, nie będziesz miał lepszej okazji, zauważył Max.*

Daniele przełączył się na inny widok. Realistyczny trójwymiarowy rendering awatarów i budynków, jaki oglądali zwykli użytkownicy, zniknął, zastąpiony siatką i liniami kodu. Dla większości ludzi byłby to całkiem niezrozumiały obraz. Daniele jednak - niczym muzyk, który czyta nuty i słyszy w głowie melodię - potrafił zwizualizować sobie każdy element sceny przed sobą. Szybko przeszukał kod.

Wyizolował awatar Domino9859 i sprawdził go linia po linii. Po chwili trafił na małą anomalię, tak drobną, że byłby ją przeoczył, gdyby właśnie specjalnie jej nie szukał. To był robak - wirus zaprojektowany tak, by zagnieździć się w komputerze użytkownika i czekać, uspiiony i niezauważalny, aż zbudzi go jakieś szczególne zdarzenie czy komenda. Robaki łączyły się zwykle z botnetami, sieciami opanowanych komputerów, używanych do rozsyłania spamu.

Zrozumiał, co się stało. Domino9859 nie była hakerem. Ale jej komputer został zakażony przez kogoś, kto nim był. W rezultacie stała się proxy i niczego nieświadoma wykonywała jego polecenia.

A że jej prawdziwą tożsamość maskowała nazwa użytkownika Carnivii, nie było sposobu, by odszukać ten komputer w świecie rzeczywistym.

*Jak ci idzie? - zapytał Max na prywatnym kanale.*

*Prawie mam...*

Wykonał kopię robaka, żeby później go przestudiować, po czym wrócił do normalnego widoku i stał się widzialny.

*Musimy porozmawiać, oświadczył, zwracając się do Domino9859.*

*Kim jesteś? - spytała, nie przerywając tego, czym była zajęta.*

*Administratorem. Odkryłem, że twój komputer został zainfekowany przez wirusa. Gdybyś zgodziła się ujawnić mi rzeczywistą tożsamość, prześlę ci narzędzia do oczyszczenia twardego dysku...*

Zobaczył, że rozmawia z pustką. Domino9859 zniknęła.

*Rozłączyła się, stwierdził Max.*

*Myślałem, że będzie wdzięczna za pomoc.*

*A skąd przekonanie, że to w ogóle ona?*

To prawda, oczywiście: tutaj, w Carnivii, płec była kwestią osobistego wyboru. Być może dla Domino9859 ujawnienie prawdziwej tożsamości było bardziej przerażające niż wirus.

*To poważny problem, uznał Daniele.*

Władze od lat szukały pretekstu, by zamknąć Carnivię. Jak dotąd, każde prawne wyzwanie zostało odparte. Jednak ustawy antyterrorystyczne były o wiele bardziej drakońskie niż te związane z pornografią i narkotykami, jakie stosowano przeciwko nim w przeszłości.

*No więc co robimy?*

To był właśnie taki problem, przez jaki Daniele miał ochotę porzucić Carnivię. Wierzył w absolutne prawo do prywatności. Dla niego i niewielkiej, zwartej grupy hakerów, którzy pierwsi skolonizowali internet - jeszcze w czasach, kiedy połączenie wymagało linii telefonicznej i modemu - był to podstawowy artykuł wiary. Ale tak oczywista w teorii zasada przełożona na praktykę stawała się coraz bardziej rozmyta i trudniejsza w zastosowaniu.

Jedno było oczywiste: jeśli zwyczajnie poinformuje władze, te zamkną portal - ale to nie powstrzyma hakera.

Tylko on sam - Daniele - dysponował dostatecznymi umiejętnościami, by go pokonać. I należało to zrobić tutaj, na własnym terenie, w świecie, który znał lepiej niż ktokolwiek inny.

Co nie znaczy, że zmienił decyzję co do swojego odejścia, jeśli już, sprawa była dowodem, że nadzorowanie portalu wymaga całkowitego poświęcenia. Ale z tym zagrożeniem musi się zmierzyć, zanim jeszcze pozostawi Carnivię za sobą.

## Trzydzieści pięć

Kat weszła do La Colomba krótko po pierwszej. Restauracja nie należała do lokali, w jakich zwykle bywała: klientami byli prawie wyłącznie mężczyźni - siwowłosi, w szytych na miarę garniturach. Natomiast kelnerzy nosili fraki i czarne muszki. Jednak to ściany, nie klientela, przyciągały jej wzrok. W zeszłym stuleciu zachodzili tu artyści, a właściciele czasem akceptowali niewielkie obrazki zamiast gotówki. Picasso, Vedova, de Chirico i Morandi należeli do tych, którzy w ten sposób płacili rachunki - i na ścianach restauracji wisiały teraz bezcenne dzieła sztuki.

Zauważyła swojego rozmówcę, siedzącego przy dyskretnym stoliku w kącie. Wstał, kiedy się zbliżyła, i ucałował ją w oba policzki, a jego palce przesunęły się po jej plecach w sposób, który nie do końca był pieszczotą, ale też nie był całkiem niewinny.

- Kapitan Kat... - Vivaldo Moretti ujął jej dłonie i rozsunął je tak, by przyjrzeć się jej od stóp do głów. - Jeśli wolno mi ocenić, wygląda pani jeszcze piękniej niż zwykle.

- Dziękuję. - Miała na sobie ciemną plisowaną suknię, kończącą się trochę powyżej kolan. Choć oficjalna, była też nieco bardziej kobieca niż zwykle wybierana do pracy.

Uśmiechnął się do niej z sympatią - chociaż trudno było to poznać z wyrazu twarzy, praktycznie nieruchomej po licznych liftingach; świadczyły o tym jednak figlarne błyski w oczach. Kiedy usiedli, skinął na kelnera.

- Zamówiłem już butelkę valentini - oświadczył. - Liczę na to, nie muszę chyba dodawać, że trochę się pani upije.

Vivaldo Moretti był politykiem, plotkarzem i niepoprawnym flirciarzem. Z wszystkich trzech powodów wydawał się bardzo mało prawdopodobnym przyjacielem - a jednak jakoś się zaprzyjaźnili. W którymś momencie podczas lunchu z pewnością zacznie się do niej przystawiać - to nie przypadek, że zawsze spotykali się w restauracjach wielkich hoteli. Z całą pewnością na wszelki wypadek zarezerwował już pokój na górze. Wiedziała jednak, że kiedy odmówi, on wybuchnie śmiechem, przyjmie porażkę z wdziękiem i powie jej, jaki straszliwy błąd popełnia; wiedziała też, że gdyby kiedyś przyjęła jego ofertę, pokój okaże się najlepszy w całym hotelu. Nic nie mogła poradzić na to, że lubiła starego łobuza, i chociaż nie miała zamiaru ulegać jego awansom, podejrzewała, że byłaby trochę zawiedziona, gdyby z nich zrezygnował.

Był też najmniej przekupnym politykiem, jakiego znała. To właśnie oraz bezbłędna zdolność wyczuwania politycznych prądów i znajomość plotek sprawiły, że zadzwoniła do niego jako jednego z pierwszych, kiedy zaczęła szukać czegoś na temat Tignellego.

Zamówili - *sarde in saor* dla niego, *schie* dla niej, a potem pieczonego okonia z laguny, dla obojga. Wiedząc, że natura plotek wymaga wymiany, opowiedziała mu o swoim romansie z Flaviem. A także - ponieważ wiedziała, że będzie zachwycony, a poza tym nie mogła o tym opowiedzieć nikomu innemu, a już zwłaszcza Holly - dodała też kilka co smakowitszych historyjek ze swoich wizyt w gabinecie Flavia.

- No więc krzyknął przez drzwi: „Powiedzcie sędziemu, że zaraz dojdę” - zakończyła. -I wie pan, co? Rzeczywiście doszedł.

Moretti śmiał się tak, że musiał wycierać oczy serwetką. Kiedy jednak przeszli do rozmowy o śledztwie, wyraźnie sposepniał.

- Nie wyobrażałem sobie - powiedział - kiedy prosiła mnie pani o sprawdzenie, czy hrabia Tignelli ma jakieś ambicje polityczne, że okaże się to tak trudnym zadaniem. Gdyby prośba pochodziła od kogokolwiek innego niż moja ulubiona *capitano donna*, mógłbym już po kilku rozmowach dojść do wniosku, że nie ma żadnych. I zrezygnować z dalszych poszukiwań. Ale żeby pani nie rozczarować, wytrwałem i ku swemu zdumieniu przekonałem się, że są jeszcze w tym mieście sekrety, w które nie jestem wtajemniczony.

- Na przykład?

- Ten człowiek kupił sobie większe wpływy i w krótszym czasie niż ktokolwiek, kogo dotąd spotkałem - odparł bez ogródek Moretti. -Zasypuje pieniędzmi wszystkich, od radnych miejskich po pani karabinierów. I nie tylko o lokalne wpływy się stara. W Rzymie już kontroluje czterech senatorów.

- Dlaczego? O co mu chodzi?

Kelner podszedł, by dolać im wina. Moretti zaczekał, aż znowu będą sami.

- Pozornie o separatyzm.

- Separatyzm? Ma pan na myśli coś w stylu Liga Veneta?

Od dziesięcioleci większość mieszkańców Wenecji Euganejskiej chciała oderwać się od pozostałej części Włoch. W ostatnim sondażu, w którym wzięło udział ponad dwa miliony osób, prawie dziewięćdziesiąt procent poparło niezależność, a separatystyczna Liga Veneta, albo LV, była największą partią w regionalnym zgromadzeniu.

- Jak LV, rzeczywiście - zgodził się. - Panuje przekonanie, że być może separatyzm jest ideą, której czas wreszcie nadszedł. W Szkocji niewiele brakowało, Krymowi się udało, Katalonia i Kraj Basków liczą, że będą następne... Ruchy niepodległościowe zyskują na znaczeniu, natomiast konwencjonalna polityka jest zdyskredytowana przez liczne skandale i ogólną apatię.

- Ale partie separatystyczne w Wenecji Euganejskiej walczą o całkiem różne rozwiązania - zaprotestowała. - LV chce, żebyśmy pozostali w Unii Europejskiej, ale jako całkiem nowe państwo. Lega Nord chce, żebyśmy weszli w skład nowego regionu, Padanii. Projekt Północno-Wschodni to libertarianie, LVR to republikanie, a PNV są federalistami...

- Rzeczywiście. Ale gdyby pojawił się prawdziwy przywódca, mógłby połączyć rozmaite frakcje. Co wtedy?

- To jest rola dla Tignello - mruknęła zamyślona. - Widzi siebie jako przwódcę. Nowego Napoleona.

Moretti kiwnął głową.

- Kolejna wielka przeszkoda to brak referendum. Badania opinii to jedna sprawa, ale większość przy urnie to całkiem inna. Pierwszy artykuł Karty Narodów Zjednoczonych gwarantuje prawo do samostanowienia. Kiedy już pojawia się żelazny dowód tego, czego ludzie naprawdę chcą, o wiele trudniej jest im odmówić. - Pochylił się. -I wiem z pewnego źródła, że jeden z tych oswojonych senatorów Tignello w Rzymie zamierza właśnie coś takiego zaproponować: oficjalne, wiążące referendum w kwestii secesji regionu Wenecji. Miałoby się odbyć tej jesieni.

- I odbędzie się?

- To jest najciekawsze. Oczywiście, że nie. Veneto nie jest jak Szkocja czy kraina Basków. Jesteśmy najbogatszym regionem Włoch. Rzym musiałby oszaleć, żeby dopuścić do referendum, ponieważ separatyści na pewno by w nim wygrali, a Rzym utraciłby większą część wpływów podatkowych. Dlatego ci dranie je zablokują, jak zwykle.

Przyjrzała mu się.



- Mówi pan tak, jakby sam pan stał po stronie separatystów. Wzruszył ramionami.
- Jak wszyscy mieszkańcy Północy, jestem oburzony, widząc, że nasze podatki idą na wspieranie upadających regionów Południa, gdy nasze własne szkoły czy szpitale nie dostają niezbędnych funduszy. Ale osobiście uważam, że rozwiązaniem są reformy, wymuszenie na innych większej równowagi budżetowej.

Podano zamówione dania. Moretti, jak wielu ludzi w jego wieku, w sprawach kuchni był tradycjonalistą, więc stojąca przed nim potrawa była tak wenecka, jak to tylko możliwe. *Sarde in saor*, zimne sardynki z octem, rodzynekami i orzeszkami piniowymi, powstały, aby dało się dłużej przechować ryby, gdy nie było jeszcze zamrażarek. Przybysze czysto twierdzili, że nie lubią tego dania. Ale weneccjaninowi ten cierpki, galaretowaty smak kojarzył się z domem. *Schie* Kat także wymagały wyrobionego podniebienia. Malutkie błotne krewetki z brzegów laguny wyglądały skromnie; biała kukurydziana polenta, na której je podawano, miała charakterystyczną lepłą konsystencję, całkiem inną niż makaron albo *gnocchi*. Ale były świeże i soczyste - każda wręcz eksplodowała w ustach słoną cieczą.

- Wcześniej, kiedy pytałam, o co chodzi Tignellemu, powiedział pan, że pozornie o separatyzm - odezwała się Kat zaciekawiona.

- Dlaczego pozornie?

Moretti rozłożył ręce.

- Musi doskonale zdawać sobie sprawę, że do referendum nie dojdzie. W tym chodzi o coś więcej. Pomyślała chwilę.

- Co się stanie, kiedy padnie propozycja referendum, a Rzym ją zawetuje?

- To znaczy: jeśli w ludziach wzbudzi się nadzieja, a potem znowu zgaśnie? Niektórzy będą twierdzić, że Rzym już narusza pierwszy artykuł Karty. Na pewno mocno wzrośnie napięcie.

- A zatem nadejdzie dogodny moment, by jednostronnie ogłosić powstanie niepodległej republiki? A ulegli wolnomularze Tignellego będą gotowi do zajęcia kluczowych pozycji.

Moretti się zastanowił.

- Możliwe. AJe nadal pozostaną do rozwiązania bardzo poważne kwestie logistyczne. Na przykład trzeba będzie przekonać firmy, żeby przestały płacić Rzymowi podatki. A że rząd może odciągać pieniądze bezpośrednio z ich rachunków bankowych...

- A gdyby już miało się bank? - nie ustępowała. - Porządny wenecki bank? - Kolejna myśl przyszła jej do głowy. - Założę się, że właśnie dlatego polecił Cassandremu otworzyć wszystkie te rachunki. Chciał być przygotowany na dzień pierwszy: kiedy tylko ogłosi powstanie niepodległej Republiki Veneto, czy jak tam ją nazwie, powie też, że na każdego przedsiębiorcę czeka już konto w banku.

- Mimo to... Różni ludzie próbowali już rozerwać państwo włoskie. To nie jest łatwe, nawet w czasach kryzysu. A obecnie żadnego kryzysu nie mamy, prawda?

- Chyba że zechce jakiś wywołać.

Kelner zabrał puste talerze, a Kat napiła się wina. Było znakomite - chłodne, pełne, aromatyczne.

- Ten zamordowany mason, Cassandre, czytał w internecie o Golpe Bianco, białym przewrocie z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego. Wtedy plan polegał na tym, by zmusić rząd do ogłoszenia stanu wyjątkowego i użyć tego jako pretekstu do przejęcia władzy. Może Cassandre dostrzegł pewne podobieństwa między tamtymi wydarzeniami a tym, co wiedział o planach Tignellego.

- Takie rzeczy często załatwia się w podobny sposób - zgodził się Moretti. - Prowokator żąda władzy, by rozwiązać jakiś palący problem, a kiedy kryzys mija, nie chce jej zwrócić. Grecja, Tajlandia, Pakistan, Peru... we wszystkich tych krajach realizowano podobny scenariusz. Tignelli czci i podziwia Napoleona, mówiła pani?

Przytaknęła.

- Przewrót za przyzwoleniem... W ten sposób Napoleon doszedł do władzy w efekcie zamachu stanu osiemnastego brumaire'a. A upadek Republiki Weneckiej był przewrotem pod każdym względem.

- To ma sens. Możliwie dokładnie modeluje swoje działania na tym, co okazało się skuteczne w przypadku Napoleona. Sam mi mówił, że studiuje jego działania.
- Jeśli to prawda, mówimy o bardzo poważnej sprawie - rzekł z namysłem Moretti. - Nie tylko dla Veneto, ale dla całych Włoch. Przewiduję, że bez nas kraj zbankrutuje w ciągu roku. Wtedy dotarła do niej cała pomysłowość planów Tignellego.
- Oczywiście... interes z bankiem. To też element całości.
- Jaki interes?
- Kupił Banca Cattolica della Veneziana w miarę tanio, ponieważ jego aktywa obciążone są grubym plikiem pozornie bezwartościowych swapów ryzyka kredytowego, które wcisnął im Bank Watykański - wyjaśniła. - Ale w rzeczywistości wcale nie są takie bezwartościowa. Jak pan powiedział: jeśli Wenecja Euganejska uzyska niepodległość, wzrosną szanse, że Włochy nie będą spłacać swoich państwowych długów, a wraz z nimi wzrośnie też wartość tych swapów. Tignelli nie finansuje niepodległości z przyczyn politycznych, w każdym razie nie tylko. Ustawił wszystko tak, żeby zarobić na tym fortunę.
- A ten kryzys, który pani zdaniem zamierza sprowokować, żeby wszystko to doszło do skutku? Ma pani wyobrażenie, co to może być?
- Żadnego - przyznała. - Ale cokolwiek wymyśli, będzie dramatyczne. Tignelli nie jest człowiekiem, który zatrzymuje się w pół drogi.

## Trzydzieści sześć

Na ścianie w mieszkaniu Holly rozrastał się schemat powiązań, swoista mapa myśli.

*Carole Tataro*

» *Potwierdza, że CIA infiltrowała Czerwone Brygady*

» *Porwanie katastrofą*

» *Paolo odpowiedzialny*

» *Paolo - prawdziwe imię?*

» *Paolo - kontakt Gilroya?*

» **ŚLEPY ZAŁĘK?**

Postanowiła podejść do sprawy z przeciwnej strony i przyjrzeć się jej z pozycji Gilroya. Trudno się dziwić, że jego nazwisko nie pojawiało się w internecie. Wszystko działo się wiele lat temu, a szpieg z oczywistych powodów w okresie kariery zawodowej starał się nie rzucać w oczy. Nawet lokalne gazety o nim nie pisały.

Trafiła jednak na nazwisko Proost. Hannah Proost była asystentką administracyjną w mediolańskiej sekcji CIA - kompetentną, pracowitą, ale daleką od tego, co wyobrażali sobie zwykli ludzie, gdy słyszeli określenie „szpieg”. Wykonywała swoją pracę ponad dwadzieścia lat, kiedy w roku dwa tysiące trzecim poproszono ją, ty pomogła grupie z Langley.

Grupa przybyła do Włoch, by z ulic Mediolanu porwać radykalnego muzułmańskiego duchownego, niejakiego Abu Umara. Po kilku tygodniach planowania dopadli go w jakiejś pustej uliczce, zapakowali do furgonetki i zawieźli do amerykańskiej bazy lotniczej w Aviano. Stamtąd poleciał do Egiptu, gdzie był torturowany przez służbę bezpieczeństwa działającą na zlecenie USA. Był jednym z dziesiątków, może setek ludzi porwanych po jedenastym września dwa tysiące pierwszego roku.

Tym razem jednak pewien zdeterminowany włoski prokurator postanowił oskarżyć agentów CIA zamieszanych w planowanie i organizację porwania. Ponieważ większość oddziału przebywała we Włoszech tylko na czas operacji i używała fałszywych nazwisk, wyroki *in absentia* nie utrudniały im zbytnio życia. Dla Proost - mieszkającej we Włoszech od dwudziestu lat, mającej męża Włocha, a teraz zmuszonej do ucieczki do USA, niemogącej nawet odwiedzić chorej matki w Holandii - sytuacja wyglądała całkiem inaczej. CIA nie chciała ani potwierdzić, ani zaprzeczyć faktowi wykonania takiej operacji, co nie pozwoliło Proost powołać się na immunitet dyplomatyczny; Agencja nie potwierdziła też, że udział Proost ograniczał się do działań administracyjnych i tłumaczenia. Proost zrezygnowała z pracy, by pozwać dawnych pracodawców do sądu; w rezultacie cofnięto jej rządową emeryturę. Wkrótce potem jej jedynym źródłem utrzymania było udzielanie wywiadów dziennikarzom.

Sprawę Abu Umara tak często opisywała światowa prasa, że wiadomo było o niej już wszystko. Holly jednak uznała, że osoba przez dwadzieścia lat pracująca w CIA może coś wiedzieć na interesujące

ją tematy. Skontaktowała się z dziennikarzem, który ostatni przeprowadzał wywiad z Proost, i poprosiła, żeby przekazał jej dane. Żeby nie wystraszyć żadnej ze stron, podała swój prywatny e-mail.

Po kilku godzinach otrzymała odpowiedź Proost: *Porozmawiam z panią za honorarium w wysokości tysiąca dolarów.*

Przesłała jej żadaną sumę, korzystając z PayPala.

*Dziękuję. Nie lubię brać pieniędzy za takie rzeczy, ale to moje jedyne źródło zarobku. Proszę też zrozumieć, że nie mogę i nie będę dyskutować o niczym, co może dotyczyć bezpieczeństwa operacyjnego. Woli pani rozmowę przez Skype'a czy przez Carnivię?*

Skype, odpisała Holly. Rozmowy z zamaskowanymi mieszkańcami Carnivii wciąż były dla niej kłopotliwe.

Po uzgodnieniu szczegółów kontaktu połączyła się i zobaczyła na monitorze kobietę w średnim wieku, siedzącą na zamkowej kanapie La-Z-Boy. Zwinięty w kłębek kot leżał obok, na poduszce z wyhaftowanym napisem „Psy mają właścicieli, koty mają personel”.

Holly przedstawiła się jako autorka zbierająca dane do książki o CIA we Włoszech.

- Jeszcze jednej? - prychnęła Proost.

- Chodzi mi o nieco inne podejście - odparła Holly. - Piszę o karierze jednego z najstarszych agentów sekcji, Iana Gilroya. Przypuszczam, że go pani znała?

Chwila milczenia... Lag Skype'a? Nie: kiedy wreszcie się odezwała, mówiła z wyraźną ostrożnością.

- Ian Gilroy... Wciąż tam działa?

- No, w CIA przeszedł na emeryturę. Zajmuje się trochę wykładami w Centrum Edukacji w Camp Ederle. - Twarz Proost nie zdradzała niczego. - Chodzi mi o jakieś ogólne tło. Jakim był człowiekiem, jakie prowadził operacje...

- Nieczęsto mieliśmy kontakt.

- Wiem. - Holly zajrzała w notatki. - O ile się zorientowałam, Gilroy zjawił się we Włoszech pod koniec lat sześćdziesiątych. Szefem sekcji był wtedy niejaki Bob Garland. Jak się dowiedziałam, wziął Gilroya pod swoje skrzydła.

Proost pokręciła głową.

- Ktokolwiek to pani powiedział, mylił się. Kiedy tu przyjechałam, wszyscy mówili, że Garland i Gilroy są rywalami, a nie mentorem i protegowanym.

Holly zmarszczyła czoło. Gilroy zawsze sugerował, że choć był zaniepokojony metodami stosowanymi przez swojego poprzednika, jednak utrzymywali przyjacielskie stosunki.

- Gilroy próbował wyczyścić różne rzeczy, a Garland był przeciwny?

- Znowu błąd. Według mojej oceny w Langley niepokoił się kierunkiem, w jakim zmierzały sprawy, kiedy Garland wszystkim tu kierował. We Włoskiej Partii Socjalistycznej pojawiła się inicjatywa, żeby podzielić się władzą z komunistami...

- To wiem. Historyczny Kompromis... - przerwała jej Holly. Wolała, żeby Proost skupiła się na faktach, których nie można znaleźć w podręcznikach historii. - Jak zareagowało Langley?

- Właściwie to paniką. Z tego, co potem opowiadali mi znajomi, szóste piętro uznało, że Garland jest za miękki. Przesłali Gilroya, żeby załatwił co trzeba.

- To znaczy co konkretnie?

Proost wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ale wiem, że w tamtym roku prowadzono setki operacji. Kryptonimy kilka razy przeszły od A do Z.

- Czy któraś z tych operacji mogła dotyczyć infiltracji siatki Gladio?

Zapadło długie milczenie.

- Nawet gdybym wiedziała, nie mogłabym o tym rozmawiać.

Holly zanotowała tę odpowiedź w pamięci, do późniejszej analizy.

- Załóżmy przez moment, że tak. Ale czegoś tu nie rozumiem. „Gladiatorzy” byli ogólnie uznawani za prawe skrzydło włoskiej polityki. A jednak jedyna publiczna informacja na temat kariery Iana Gilroya dotyczy jego udziału w penetrowaniu lewego skrzydła. Czerwonych Brygad. Dlaczego jeden agent miałby uczestniczyć w obu operacjach?

- Jak powiedziałam, nie znam żadnych szczegółów. Ale wiem, że po fiasku Historycznego Kompromisu Langley uważało Gilroya za człowieka, który wykonuje to, co mu zlecono. Wtedy właśnie przesunięto Boba w stan spoczynku.

Czyli osobiste ambicje i strategiczne cele Ameryki jakoś się pokryły. Gilroy uzyskał to, na czym zależało jego szefom, i skorzystał na tym. Ale co to naprawdę było? A co ważniejsze, jakimi metodami dążył do celu?

- Czyli Ameryka starała się doprowadzić do załamania Historycznego Kompromisu - stwierdziła Holly. - A Gilroy był człowiekiem, któremu się to udało. Ale dlaczego musiał zginąć ktoś, kto się o tym dowiedział?

- Zginąć? - Proost zmarszczyła brwi. - Kto musiał zginąć?

- Major Ted Boland w Camp Darby. On i jego włoski sąsiad trafili na dowody wskazujące, że część Gladio kierowana była przez siatkę prowokatorów...

- Chwileczkę... - Proost przyjrzała się jej. - Pani nazywa się Boland...

- Major Boland jest moim ojcem.

- O mój Boże. - Proost westchnęła. - Jest pani tą Boland.

- Jaką Boland? - spytała nagle czujna Holly. - Co pani wie o moim ojcu?

- Nic. - Proost energicznie pokręciła głową.

- Czy Gilroy próbował go zabić, żeby chronić swoją operację? Czy to CIA autoryzowała tę decyzję? Jeśli coś pani wie, cokolwiek...

Proost pochyliła się do kamery. Na ekranie Holly pojawiła się wiadomość: *Połączenie zakończone.*

## Trzydzieści siedem

Daniele przez wiele godzin badał robaka znalezionego w Domino9859. Ponieważ był napisany w specyficznym dla Carnivii języku programowania, wszelkie prowadzące do jego twórcy informacje były zaszyfrowane. Jednak jeden fragment zapisano otwartym tekstem.

Kiedy Daniele tworzył metodę szyfrowania, świadomie wyłączył z niej cyfry. W dowolnym kodzie liczby zapisane cyframi są łatwe do złamania, ponieważ nie da się ukryć, że wciąż zachowują się według niezmiennych reguł matematyki. Z tego powodu większość systemów kryptograficznych wymagała od nadawcy, by liczby zapisywał słownie: pięć, dwadzieścia pięć i tak dalej.

W głębi carniviańskiego robaka zapisano: 10-12-1437.

Wierzył, że te liczby są ważne. Robak Stux.net, na przykład, zawierał liczby 06-24-2012. Były fragmentem instrukcji, nakazującej wirusowi kasowanie się dwudziestego czwartego czerwca dwa tysiące dwunastego roku.

Daniele miał przeczucie, że to 10-12-1437 także jest częścią instrukcji - w tym wypadku polecenia aktywacji. Ale choć nie była zaszyfrowana, haker zdołał jakoś ją zamaskować.

Chyba że...

Daniele wszedł do internetu i sprawdził kilka rzeczy. O hakerze wiedział jedynie to, że jest muzułmańskim fundamentalistą.

Szybko odkrył, że podczas gdy każdy nowy rok w zachodnim kalendarzu zaczyna się od solarnej rocznicy narodzin Chrystusa, to kalendarz muzułmański jest księżycowy. Według tego kalendarza obecnie trwa rok tysiąc czterysta trzydziesty siódmy. Natomiast obecny miesiąc to zu al-hidżdża, dwunasty w roku, najbardziej święty i pomyślny ze wszystkich, czas hadżu - pielgrzymki. Sygnalizował też koniec zu al -kada, miesiąca postoju.

Jeśli końcowe sześć cyfr oznaczało miesiąc i rok, to czy „10” oznaczało dzień?

Dziesiąty dzień zu al-hidżdża, jak odkrył, był dla muzułmanów szczególnie ważny, ponieważ wyznaczał święto Id al-Adha - święto ofiarowania.

W tym roku Id wypadał jedenastego września, czy też - w innej notacji - 9/11, w rocznicę ataku na World Trade Center.

A więc to był dzień zero robaka. Na pewno.

Dokładnie za siedem dni. I całkiem przypadkiem, ledwie kilka godzin przed planowanymi wyborami w Carnivii.

Daniele był pewien, że atak w tunelu Frejus stanowił tylko próbę. Ale za tydzień wszyscy zainfekowani wirusem użytkownicy Carnivii zmienią się w armię zombie - haker przejmie kontrolę nad ich komputerami.

Wciąż zastanawiał się nad następstwami swojego odkrycia, kiedy na ekranie wyskoczył Max.

*Jak ci idzie?* - zapytał.

*Cieężko. A tobie?*

*Liczyłem robaki.* Byli praktycznie pewni, że Domino9859 nie była jedynym zakażonym użytkownikiem, choć nie wiedzieli, ilu ich jest. Daniele poprosił Maxa, by wybrał losową próbkę trzystu awatarów i zbadał, czy u któregoś także występuje robak.

*I?*

*W próbce 300 znalazłem 52 robale.*

Daniele patrzył nieruchomo na ekran. Ponad siedemnaście procent! To prawie niemożliwe! Jeśli przeskalować wyniki od próbki Maxa do liczby zarejestrowanych użytkowników, to by znaczyło - w ostrożnym oszacowaniu - około pół miliona zakażonych carnivian.

*Jak mogło do tego dojść tak, że nic nie wiedzieliśmy?*

*Też się zastanawiałem. Więc policzyłem jeszcze raz.*

*I?*

*I zanim skończyłem, było ich już 58. Ta liczba cały czas rośnie, Daniele. W jakiś sposób, którego jeszcze nie znamy, wirus przeskakuje między maszynami naszych użytkowników.*

*Musi się rozprzestrzeniać przez kontakty wewnątrz Carnivii.*

Każda interakcja między carnivianami, choćby drobna, łączyła się z wymianą małych fragmentów kodu. Robak musi zawierać króciutki samoreplikujący kod, który uruchamia się razem ze sterownikiem klawiatury zainfekowanego użytkownika. W efekcie haker wykorzystywał każdego opanowanego carnivianina do rekrutowania kolejnych. Daniele musiał podziwiać pomysłowość takiego rozwiązania.

Zrozumiał, że to, co planuje haker, to nie jest zwykły atak typu denial-of-service. Jeśli połączyć wszystkie elementy: katastrofę w tunelu, dżihadystyczne slogany, wyrafinowany kod robaka, datę - wniosek mógł być tylko jeden.

To była cyberwojna, a linia frontu przebiegała przez Carnivię.

## Trzydzieści osiem

Flavio pracował do późna, a Kat szykowała *risotto alla shirraglia*, risotto z krojonym kurczakiem i marchewką, które należało dobrze zamieszać po każdej dodanej łyżce gorącego rosółu, gdyż w przeciwnym razie nie uzyskałoby się kremowej konsystencji. Potem pośpiesznie ruszyli do łóżka, żeby nacieszyć się sobą, zanim wróćą jego ochroniarze. Dopiero po seksie, kiedy leżeli objęci, a on delikatnie gładził palcami jej ramię, przekazała mu to, czego się dowiedziała: że hrabia Tignelli prawdopodobnie chce doprowadzić do niepodległości Wenecji Euganejskiej, co wynika zarówno z jego politycznych przekonań, jak i nadziei na zysk.

- Vivaldo uważa jednak, że musi w tym być coś więcej niż zaproponowane i odrzucone referendum. Po czymś takim ludzie będą wściekli, ale to nie wystarczy, by zerwać z Rzymem. Jest przekonany, że Tignelli robi coś, co doprowadzi do ogłoszenia stanu wyjątkowego.

- Zawahała się. - *Avvocato* Marcello wspomniał, że zainteresowanie ANS1 sprawą Cassandrego ma jakiś związek z terroryzmem. Czy to mógłby być pretekst? Jakiś atak terrorystyczny?

- Poprzednio chyba się upierałaś, że samo ANS1 jest elementem masońskiego spisku.

- No tak, ale może nie miałam racji. Im więcej się dowiadujemy o Tignellim, tym bardziej wygląda na to, że próbuje zerwać z Rzymem, a nie z nim się dogadywać.

- Nadal nie mamy na to żadnych dowodów ostrzegł. - Z drugiej strony wiemy chyba dosyć, żeby włączyć Tignellego w sprawę zabójstwa Cassandrego. Miał wyraźny motyw, żeby dobić targu z Banca Cattolica, a więc także pozbyć się każdego, kto stał mu na drodze. - Spojrzał na nią. - To trudne. Bo na dodatek muszę mieć absolutną pewność, że uczucia w żaden sposób nie wpływają na moją decyzję.

- Rozumiem.

Podniecona dotykiem jego dłoni na ramieniu zaczęła masować mu brzuch, czując pod skórą siatkę mięśni.

- Prześpię się z tym - obiecał. - I dam ci znać z samego rana.

W odpowiedzi pocałowała go w podbródek, a potem przesunęła wargi aż do ucha. Wyczuła, że jest pobudzony, więc sięgnęła dłonią niżej. Na nocnej szafce jego telefon rozjaśnił się i zabręczał, jakby protestując. Westchnął ciężko i sięgnął po aparat.

- Już są - oznajmił, patrząc na ekran. - Niech to...

Nie musiała pytać, o kim mówi. Ochroniarze byli w ich związku jak żona: obowiązek i bezpieczeństwo odrywały go od Kat.

Opuścił nogi na podłogę. Kiedy sięgnął po koszulę, głaskała jego plecy, dla czystej przyjemności dotykania jego skóry jeszcze przez kilka sekund.

- Kiedy powiedziałem, że muszę mieć pewność, że uczucia nie mogą wpływać... - zaczął cicho.

- Tak?

- Widzisz, to działa w obie strony. To znaczy owszem, odruchowo staram się patrzeć na sprawę z



twojego punktu widzenia. Ale też czuję coś wręcz przeciwnego: że lepiej się nie wychylać. Dla twojego bezpieczeństwa. Gdybyśmy po prostu zignorowali to, co mówił Vivaldo Moretti... Nikt by nie miał pretensji, że nie poszliśmy tym tropem.

- Wiem - szepnęła.
- Za parę miesięcy moglibyśmy już być w Amsterdamie.

Milczała. Nie powiedziała mu, że przestałaby go szanować, gdyby teraz porzucił dochodzenie, ponieważ to by nie była prawda. Wierzyła, że zrobi to, co należy, choć w takiej sytuacji ktoś mógłby wiedzieć na pewno, jaki jest właściwy wybór.

- Chodzi o to, że nie mogę ulegać wpływom w tę czy w tamtą stronę. - Wstał i pochylił się, by pocałować ją na pożegnanie. - Odezwę się rano.

## Trzydzieści dziewięć

Schemat Holly zrodził już całą rodzinę podschematów.

*GILROY*

» *Nowe, twarde podejście*

» *Przysłany, by zniszczyć Historyczny Kompromis*    » *Wykorzystał Czerwone Brygady, żeby zdyskredytować komunistów*

» *np. porwanie Daniele?*

Przypomniała sobie coś, co powiedziała Carole Tataro podczas rozmowy w więzieniu. Dodała więc:

» *Ale proszę mi nie tłumaczyć, że jestem gorsza niż ci po przeciwnej stronie politycznego widma”.*

» *Czy robił to samo na prawicy, z Gladio? Proost nie chciała powiedzieć.*

» *ŚLEPY ZAUŁEK?*

Ale to przecież nie ślepy zaułek, uświadomiła sobie. Nie do końca. Zwyczajny internet nie na wiele mógł się przydać, ale przecież miała dostęp do narzędzia o wiele potężniejszego.

Późną nocą pojechała do Camp Ederle. Ale nawet po północy w amerykańskiej bazie rzadko panowała cisza. Wartownik przy bramie powiedział, że dobrze widzieć ją znowu. Przechodząc z parkingu do budynku, gdzie mieściła się jej sekcja - Biuro Oficera Łącznikowego do spraw ludności cywilnej - spotkała kilka osób, które ją poznały.

Ważne jednak, że w biurze nie było jej szefa, Mike’a Breedona. Biurko wyglądało prawie tak, jak je zostawiła parę miesięcy temu. posprzątane i puste, jeśli nie liczyć stosu gromadzącej się poczty.

Wsunęła do czytnika swoją Common Access Card i włączyła komputer. Wprowadziła kod uprawnień, uzyskała dostęp do NIPRNetu, wewnętrznej sieci Departamentu Obrony, i CREST-u, CIA Record Search Tool, sieci Agencji. Ponieważ szukała informacji sprzed ponad dwudziestu pięciu lat, miała nadzieję, że dotrze do niej bez problemów.

Wpisała „Gilroy, Ian”.

Przez chwilę nic, tylko informacja *Searching*. A potem:

*BŁĄD. Brak rekordów związanych z podanym terminem.*

Zmarszczyła brwi i spróbowała SIPRNetu, bezpiecznej sieci NSA. Też nic.

Ostatnią deską ratunku miał być JWICS, Joint Worldwide Intelligence Communications System - system komunikacji połączonych światowych danych wywiadowczych. Zalogowała się do niego. O ile SIPRNet dawał wgląd w materiały o klasyfikacji aż do „Tajne” i był dostępny mniej więcej dla czterech milionów zaufanych sprzymierzeńców na całym świecie, o tyle JWICS był FAEO, For American Eyes Only - tylko dla Amerykanów.

*Gilroy, Ian. 798 rekordów. Wprowadzić dodatkowe warunki?*

Wpisała „operacje”, co ograniczyło liczbę trafień do siedemdziesięciu czterech dokumentów. Kliknęła w pierwszy.

**BŁĄD.** Nie masz uprawnień dostępu do tych materiałów. Skontaktuj się z administratorem sieci albo bezpośrednim przełożonym.

Cofnęła się, wpisała „personel, lokalizacja, przydzielony do”.

*54 rekordy.*

Otworzyła pierwszy dokument i przekonała się, że to zwykła notatka o tym, dla którego biura CIA Gilroy pracował w 1974 roku. Kliknęła następny i otrzymała tę samą informację dla roku 1979.

Wpadła na pewien pomysł. Używając zwykłego internetu, stworzyła kalendarz wszystkich akcji i zamachów, jakie charakteryzowały lata ołowiu. Potem zaznaczyła daty i lokalizacje.

*19 listopada 1969. Policjant Antonio Annarumma został zamordowany podczas zamieszek wywołanych przez skrajnie lewicowych demonstrantów w Mediolanie. Skutkiem było natychmiastowe odwrócenie się opinii publicznej, a wielu komentatorów potępiło lewicę.*

*12 grudnia 1969. Cztery bomby zdetonowano w Mediolanie i Rzymie, zabijając 16 osób i raniąc 90. Początkowo o zamach, określany potem jako masakra na Piazza Fontana, oskarżono Czerwone Brygady. Później urzędnicy przyznali, że nie było na to żadnych dowodów.*

W 1969 roku młody Ian Gilroy, który właśnie przybył do Włoch, trafił do sekcji mediolańskiej, gdzie - według JWICS - zajmował się operacją Amethyst. Pod koniec tego roku te same rejestry wykazywały, że regularnie podróżował do Rzymu, gdzie pracował przy operacji

Beachcomber. Daty odpowiadały okresowi bezpośrednio poprzedzającemu zamach bombowy na Piazza Fontana.

*31 maja 1972. Masakra trzech policjantów w Peteano, na północ od Wenecji. Wprawdzie o zabójstwa oskarżono Czerwone Brygady, jednak dekadę później do założenia ładunków wybuchowych przyznał się prawicowy aktywista.*

W roku 1972 Gilroy stacjonował w Wenecji, gdzie prowadził operację o kryptonimie Clockhouse. Wszelkie zapisy dotyczące Clockhouse zakończyły się nagle pod koniec maja.

*28 maja 1974. Zamach bombowy na Piazza dell Loggia, w Brescii, na zachód od Wenecji. 8 osób zabitych, 100 rannych.*

I znowu, w maju 1974 zapisy wskazywały na gorączkową aktywność sekcji weneckiej, związaną z czymś, co nazwano operacją Emerald.

Gilroy wciąż pracował w Wenecji latem 1977 roku, kiedy Czerwone Brygady porwały Daniele Barba. Potem, w 1978, przeniósł się do Rzymu.

*16 marca 1978. Przywódca Chrześcijańskiej Demokracji, Aldo Moro, porwany przez Czerwone Brygady w Rzymie.*

Przypadek? Czy sugestia czegoś bardziej złowieszczego?

Po zakończeniu zimnej wojny i wymuszonego rozwiązania siatki Gladio Czerwone Brygady także zamilkły. Do czasu, kiedy odrodziły się nagle niemal dekadę później. Ostatniego zamachu dokonały jeszcze w roku 2003. Wkrótce potem Ian Gilroy zniknął z listy płac CIA.

I znowu: czy to przypadek, że terroryści mordowali ludzi na włoskiej ziemi akurat wtedy, gdy Ameryka szukała sprzymierzeńców w globalnej wojnie z terrorem?

Poczuła dreszcz podniecenia. Może nie mam jeszcze dowodów, pomyślała, ale tworzę ogólny obraz. Siedziała zamyślona. Potem wyjęła z kieszeni pendrive'a i skopiowała wszystko.

Na ekranie błysnęła informacja.

**OSTRZEŻENIE O NARUSZENIU BEZPIECZEŃSTWA.** Kopiowanie zastrzeżonych materiałów wymaga osobnego zezwolenia twojego dowództwa. W żadnych okolicznościach materiał taki nie może opuścić terenu obiektu zatwierdzonego przez NSA.

Kliknęła „Kontynuuj”.

\* \* \*

Czy to znikomy ciężar pendrive'a w kieszeni sprawiał, że była tak nerwowa, kiedy szła do

samochodu? Miała wrażenie, że w każdym cieniu kryje się jakaś postać, która ją obserwuje, że każda kamera monitoringu obraca się w jej stronę. Podskoczyła, kiedy odezwał się za nią klakson, ale okazało się, że to tylko grupa żołnierzy z dużą prędkością i w świetnych nastrojach wyjeżdża z bazy na jakąś nocną wyprawę po mieście.

Przed bramą bazy skręciła w prawo i ruszyła wolno przez Viale della Pace, pilnie obserwując lusterko wsteczne. Nikt za nią nie jechał. Ale i tak w głowie rozbrzmiewały jej słowa ulubionego wiersza ojca:

*Wiosenny Narcyz w blasku urody  
snadź nigdy się nie dowie,  
jakie jesienne zwarzyły chłody  
dawne listowie.*

*Nieświadom prawdy i pełen pychy,  
ufa bezpiecznie,  
że żywot jego, tak krótki, lichy,  
trwać będzie wiecznie.*

Czy było to ostrzeżenie? Przepowiednia? Czy tylko stwierdzenie czegoś oczywistego: że z wiedzą przychodzi lęk?

W centrum Vicenzy zaparkowała samochód w zwykłym miejscu, w wielopoziomowym podziemnym garażu. Kiedy wysiadła, usłyszała zbliżające się kroki - gumowe podeszwy szurające o szorstki beton. Odwróciła się przerażona, odruchowo sięgając po gaz pieprzowy - od wydarzeń w jaskiniach Longare zawsze nosiła przy sobie spray.

- *Hai qualche moneta?*

To tylko młody żebrak, pewnie narkoman, prosił o pieniądze. Pokręciła głową. Zaczął zbliżać się, wciąż bełkotliwie żądając jałmużny, ale cofnął się błyskawicznie, kiedy pokazała mu spray. I tak jednak czuła dopływ adrenaliny, kiedy szła w stronę domu.

Otworzyła drzwi klatki schodowej. Na korytarzu panowała cisza, ale drzwi mieszkania dozorca Alberta na parterze były uchylone. Słyszała jakieś głosy. Kiedy nacisnęła przycisk małej windy, rozpromieniony Alberto stanął w progu. W ręku trzymał kieliszek grappy.

- *Ah, signorina Boland! C'e qualcuno che aspetta di vederla.*

Nigdy jeszcze nikt na nią tutaj nie czekał, a co dopiero o tej porze. Już miała powiedzieć Albertowi, że się pomylił, kiedy na korytarz wysunęła się wysoka, szczupła postać.

- Dobry wieczór, Holly - powiedział Ian Gilroy. - Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. Uznałem, że to najłatwiejszy sposób, żeby cię spotkać.

Razem z nim w ciasnej windzie, jadącej wolno na czwarte piętro, wolała patrzeć w ścianę niż na niego. Czuła, że przygląda jej się z namysłem, ale nie odzywała się, dopóki nie weszli do mieszkania. Zauważyła, że zerka na jej schemat i na moment unosi brwi. Ale potem bez komentarza odwrócił się do niej.

- Po co pan przyszedł? - spytała.

- Holly - rzekł łagodnie. - Rozumiem, że mnie podejrzewasz.

- O co panu chodzi?

- Sprawdzając mnie. Może się zastanawiasz, czy to ja miałem coś wspólnego z tym, co spotkało twojego ojca. - Patrzył na nią bez jednego mrugnięcia. - Właściwie to nawet rozumiem, czemu mogłabyś mnie o to posądzać.

Postawił na stole butelkę grappy.

- Pora, żebym powiedział ci prawdę, Holly. Wysłuchaj mnie, a potem zdecydujesz, czy jestem takim potworem, za jakiego mnie uważasz.

\* \* \*

W końcu zgodziła się wypić z nim drinka. Usiedli na małym tarasie z widokiem na wzgórze Berici. Bliżej migotały światła Vicenzy.

- To, co zamierzam ci powiedzieć, jest ściśle tajne - zaczął. - W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym trafiłem do tego kraju po raz pierwszy. Moje rozkazy były proste: nie dopuścić, by komuniści doszli do władzy. W Langley uznali, że we Włoszech pojawiły się nowe wyzwania, wymagające nowego podejścia... Zapewniono mnie, że mam nawet polityczne wsparcie, by w razie potrzeby forsować swoje decyzje wbrew szefowi sekcji, Bobowi Garlandowi.

- Inaczej mówiąc, przybył pan z poleceniem, żeby skopać mu tyłek. Przynął.

- Jednak, co dziwne, wcale nie musiałem. Wydawało się, że samo moje przybycie pobudziło Boba. Zareagował mnóstwem inicjatyw, nowych operacji, specjalnych projektów... Miałem pełne ręce roboty, powstrzymując go przed tymi najbardziej ekstremalnymi. Prawdę mówiąc, niewiele brakowało, by nasza praca we Włoszech potoczyła się tym samym torem co w Grecji czy Ameryce Południowej. Na pewno w Waszyngtonie nie było nikogo, kto by chciał nam ściągnąć cugle.

Milczał przez chwilę, zbierając myśli.

- Stosunkowo wcześniej zrozumiałem, że Czerwone Brygady staną się poważnym problemem. Byli bezlitośni, dobrze zorganizowani i bardzo zdyscyplinowani. Postanowiłem ograniczyć ich wpływy... i wtedy spadł mi jak z nieba niejaki Mariano Cardillo. Miał naturalny talent; żyjąc w półmroku, czuł się jak ryba w wodzie; mogę wręcz powiedzieć, że był od tego półmroku uzależniony. Ale był też niebezpiecznym prawicowym ekstremistą, który cenił siłę i przemoc. To byli jedyni jego bogowie, moim zdaniem, choć lubił też mówić o przywróceniu honoru i prestiżu Kościołowi katolickiemu. Trafił do Gładio zwykłą drogą, zwerbowany przez NATO, i odbył szkolenie paramilitarne, ale nie miał cierpliwości, by czekać z działaniem, aż komunistyczne czołgi zaczną się przetaczać przez Dolomity. Z własnej inicjatywy postanowił przeniknąć do szeregów wroga. Kiedy na niego trafiłem, udawał „towarzysza podróży” Czerwonych Brygad, trochę anarchistę, który pomagał im w konstruowaniu bomb, zdobywaniu broni i tym podobnych rzeczach. Myślałem, że nim pokieruję, ale ku mojemu zaskoczeniu, w czasie tej wstępnej, ostrożnej rozmowy stało się jasne, że to on chciał wykorzystać mnie. Działając samodzielnie, zdobył zaufanie kierownictwa Czerwonych Brygad. Teraz oczekiwał ode mnie pomocy, by dostać się do samego serca organizacji. Z tej pozycji, jak mnie zapewnił, pomoże mi całkowicie ich zniszczyć.

Westchnął.

- Uznałem, że to chyba zbyt piękne, by było prawdziwe. Przez kilka miesięcy byłem podejrzliwy i szukałem pułapki. Ale on sprawdzał się raz po raz. Wtedy używał już *nom de guerre* Paolo.

Spojrzał na Holly, by sprawdzić, czy pamięta, że tak się nazywał jeden z porwaczy Daniele. Zadowolony, kontynuował:

- W tym wcieleniu, z niewielką naszą pomocą, szybko awansował w szeregach terrorystów. Jedyną trudnością była typowa dla pracy z każdym podwójnym agentem: w jakim zakresie można wykorzystywać to, co przekazuje, żeby go nie zdekonspirować. Ironia takich układów polega na tym, że im cenniejsza jest informacja, tym mniej człowiek skłonny jest ryzykować i działać na jej podstawie.

- Więc nie robiliście niczego?

- Och, robiliśmy. To nie jest jakaś moja spowiedź, Holly, ani wyrzuty sumienia z powodu tego, że stałem z boku. Ale było jasne, że musimy grać inteligentnie, jeśli chcemy równocześnie rozbić Czerwone Brygady i ochronić tożsamość Paola. Ale przede wszystkim nie mogliśmy dopuścić do Historycznego Kompromisu, planu wyprowadzenia komunistów do rządu.

Uśmiechnął się lekko.

- Strategia, jaką stworzyliśmy, była naprawdę piękna, choć to ja sam ją chwalebę. Piękna, ale straszna. Zrozumieliśmy, że jeśli uda nam się przekonać Moskwę, że Historyczny Kompromis wyrwie

Włoską Partię Komunistyczną spod ich władzy, a wepchnie w objęcia Chrześcijańskiej Demokracji, Rosjanie sami rozkażą Czerwonym Brygadam obalić go wszelkimi dostępnymi sposobami. Wierzyliśmy, że mając Paola, dysponujemy środkami, by do tego doprowadzić. I rzeczywiście. Paolo przekazywał u siebie pewne informacje sugerujące, że Historyczny Kompromis to w całości intryga grupy umiarkowanej; kilka rozważnych przecieków z szeregów chadecji wzmocniło to wrażenie i w zaskakująco krótkim czasie znaleźliśmy się w idealnej sytuacji: mieliśmy agenta w sercu terrorystycznej organizacji, realizującej chwilowo te same cele taktyczne co my.

- Organizacja terrorystyczna po waszej stronie - powiedziała ironicznie Holly. - Co mogłoby się nie udać?

Pokiwał głową.

- Problem polegał na tym, że nic już nie powstrzymywało Paola przed realizacją własnych, ekstremistycznie prawicowych celów. Każdą akcją, jaką przeprowadził, imponował Moskwie brutalnością, kolegom z Czerwonych Brygad czystością ideologiczną, a Langley swoją przydatnością jako podwójnego agenta. W rezultacie Bob i ja straciliśmy kontrolę nad sytuacją. Paolo robił, co chciał, a my mogliśmy tylko patrzeć.

- Co z porwaniem Daniele?

- Dowiedzieliśmy się o nim z gazet.

- Więc dlatego ma pan wyrzuty sumienia wobec Daniele. Bez was nie doszłoby do okaleczenia.

Pochylił głowę.

- A jaki to wszystko ma związek z moim ojcem? W którym miejscu pojawia się na scenie?

- Kiedy Czerwone Brygady zamordowały Aldo Moro, zrozumiałem, że Paola trzeba powstrzymać za wszelką cenę. - Wzruszył ramionami. - Cynik mógłby powiedzieć, że osiągnęliśmy cel: po śmierci jej głównego architekta idea Historycznego Kompromisu także upadła. Ale przysięgam, że jeśli Paolo dostał rozkaz, by zrobić coś takiego, to nie od nas, ale od Moskwy. W każdym razie podjęliśmy wspólne wysiłki, żeby ich wyłapać. Wszystkich wyłapać, nawet Paola. Jakoś się jednak dowiedział i wymknął, wracając do dawnej siatki Gladio, skąd przyszedł. Nie brakowało wtedy skrajnie prawicowych urzędników granicznych, oficerów tajnych służb i tak dalej. Przerzucono go najpierw do Argentyny, jak przypuszczam, potem do Japonii.

Rozłożył ręce.

- Niestety, nie został tam długo. Jak mówiłem, był chyba uzależniony od terroru. I choć Ameryka i Rosja były zadowolone, że propozycja podziału władzy upadła, dla Paola i innych faszystów był to tylko krok w drodze do własnych celów. W pewnym momencie wrócił i podjął wcześniejszą aktywność, tym razem w ramach Gladio. Tyle że teraz dość dowolnie decydował, czy popełniać te zbrodnie w imieniu Brigade Rosse, czy jakiejś prawicowej organizacji terrorystycznej.

- I wtedy Andreotti ujawnił istnienie Gladio.

Gilroy przytaknął.

- To ich przyhamowało. Ale, jak odkrył twój ojciec, nie zamierzali dopuścić, by stało się to przeszkodą nie do ominięcia. Szybko znaleźli sposoby, by się przegrupować, albo przystępując do istniejących bractw masonskich, albo tworząc własne, nielegalne. Zanim jeszcze twój ojciec napisał to memorandum, wiedziałem, że dzieje się coś takiego, bo próbowałem wytropić Paola od chwili, kiedy wrócił do Włoch. Ale ten raport uświadomił mi, że założyli lożę w Camp Darby.

- Więc kiedy do pana przyszedł...

- To, co ci mówiłem: że podziękowałem mu i przekazałem raport wyżej... to było kłamstwo, Holly - wyznał cicho.

- Wiedziałaś.

- Zaczekaj. - Uniósł dłoń. - Mam wrażenie, że właśnie wyciągnęłaś błędne wnioski. Kiedy spytałaś, pomyślałam... wybac... że dla wszystkich zainteresowanych lepiej będzie zostawić przeszłość w

spokoju. To było samolubne. Uznałem, że moje poczucie winy jest ważniejsze niż twoje prawo do prawdy. - Zawahał się. - W rzeczywistości poprosiłem twojego ojca, żeby postarał się dowiedzieć więcej.

Wytrzeszczyła oczy.

- Zwerbował go pan? Posłał go pan do tego gniazda zmij...

- Przykro mi - odparł z prostotą. - Źle oceniłem sytuację. Musisz zrozumieć: to, co opisywał, wszędzie miało na sobie ślady palców Paola. Dokładnie taka sama struktura organizacyjna jak Czerwone Brygady, tyle że z lożami masonskimi zamiast komórek rewolucyjnych.

I nie miałem nikogo innego, kto mógłby się tym zająć.

Zastanowiła się przez chwilę.

- Co konkretnie zrobił?

- „Gladiatorzy” wierzyli, że jako oficer NATO Ted musi być sympatykiem ich ideologii. Uznałem, że jeśli będzie udawał dostateczny entuzjazm, może się zbliżyć do przywódców oraz do tych natowskich i włoskich oficerów, którzy ich wspierają. Wtedy moglibyśmy wkroczyć i zdjąć wszystkich za jednym zamachem, nie tylko Paola, ale całą siatkę.

- Pewnie tata zwrócił się do pana Boccarda, tego sąsiada, który go zaalarmował. I poprosił, żeby wprowadził ich obu do grupy.

Gilroy przytaknęła.

- Miał pewne rezultaty. Rozmawiałem z nim o tym telefonicznie, oczywiście w bezpieczny sposób. Sugerował, że prowadzi rodzaj dziennika, że rejestruje nazwiska, daty, szczegóły... Wszystkie te drobiazgi, na których podstawie oficer prowadzący może się zorientować, co się naprawdę dzieje. Niestety, zanim zdążył mi to przekazać, doznał wylewu.

- W swoim raporcie wspomina o kimś nazywanym Cezarem.

- Owszem. Obstawiam, że to był sam Paolo. Albo ktoś, kogo sobie wymyślił, żeby wyglądało, jakby kontaktował się z kimś wyżej postawionym w hierarchii. Jeśli ktokolwiek kwestionował jego rozkazy, wystarczyło mu powiedzieć, że Cezar się zgadza.

Milczała, próbując sobie wszystko poukładać.

- Sama widzisz - podjął łagodnie Gilroy - że nie tylko z powodu Daniele dręczy mnie poczucie winy. Również ze względu na ciebie. Uczciwie przyznaję: kiedy pojawiła się okazja, by poprzeć twoją prośbę o przeniesienie do Włoch, skorzystałem z niej. Chciałem jakoś wszystko naprawić, ale też na własne oczy zobaczyć, jaką osobą stała się córka Teda. Nie przyszło mi do głowy, że zostaniemy przyjaciółmi.

Jeśli jesteśmy przyjaciółmi...

To, co mówił Gilroy, wyglądało na prawdę. Nikt chyba nie mógłby wymyślić historii, która tak dobrze pasowała do faktów, łącznie z najdrobniejszymi szczegółami. A jednak coś ją powstrzymywało przed przyznaniem, że mu wierzy.

- Nie wątpię, Holly, że potrzebujesz więcej dowodów - powiedział, jakby czytał jej w myślach. - I uwierz mi, pytałem wszystkich moich znajomych z tamtych czasów, próbując znaleźć coś, cokolwiek, co mogłoby cię przekonać. Ale to było dawno temu. I obawiam się, że im większej liczbie ludzi przypominam o sprawach, które uznawali za bezpiecznie zakopane w historii poprzedniego pokolenia, tym większa jest szansa, że dojdą do wniosku, że lepiej będzie usunąć ze sceny jedno lub oboje z nas.

Zastanowiła się.

- Mówił pan, że ojciec prowadził jakieś zapiski.

- Zgadza się. Jestem przekonany, że prowadził.

- Chce pan, żebym ich poszukała, prawda? - spytała cicho. - Nie chodzi tylko o to, żeby mnie przekonać. Nawet po tylu latach nadal chce pan się dowiedzieć, co zaszło.

- Chciałbym. Tak.

Wolno kiwnęła głową.

- Zrobię to. Jeśli można odszukać te zapiski, odszukam je. I wtedy poznamy prawdę.



## Czterdzieści

Na Sycylii Tanka obudził dzwonek telefonu. Natychmiast sięgnął po aparat. Tylko garstka ludzi znała ten numer i nikt by z niego nie korzystał, gdyby sytuacja nie była krytyczna.

Spojrzał na ekran, spodziewając się zobaczyć numer zaczynający się od 00218, telefonicznego prefiksu Libii. Jednak żadnego numeru nie było. Nie było też informacji typu „numer nieznany” czy „ukryty” - ekran był czysty.

- - Halo... - odezwał się z wahaniem.

Głos, który odpowiedział, mówił po angielsku, ale z dziwną, mechaniczną monotonią.

- Musisz-natychmiast-wyjechać.

To konwerter tekstu na mowę, uświadomił sobie. Dzwoniący nie mówił, ale pisał.

- Kto mówi?

- Przyjaciel. Zostałeś-zdradzony.

- Wykładowca? To on?

Nastąpiła dłuższa przerwa. Tarik słyszał stukanie w klawiaturę. Potem znów odezwał się głos.

- Ci-którzy-cię-zverbowali-są-opłacani-przez-niewiemych. Czy-masz -plan-ucieczki?

Myśli Tarika szalały. Komendant zdrajcy? Czy to możliwe? Ale wiedział, że w tej wojnie cieni, jaką prowadzili, ludzi nakłaniano do zdrady, nie przebierając w środkach.

- Tak - odpowiedział krótko. - Mam plan.

- Zrób-to.

Usłyszał kliknięcie i głos zamilkł.

## Czterdzieści jeden

Nie mogła zasnąć.

Po kilku godzinach zrezygnowała z prób i wróciła do samochodu. W szarości przedświtów Ponte della Liberia był pusty. Światła Wenecji jarzyły się słabo w morskiej mgiele, przejrzystej jak kalka techniczna, przez którą słabo rozróżniała zarysy Cannaregio.

Zostawiła samochód na Tronchetto, dziesięć minut piechotą od Calle Barbo. O tej porze Wenecja przypominała labirynt Eschera, opuszczony i niesamowity - niejeden raz drogę blokował jej kanał, który niespodziewanie przed nią zakręcił.

Wcisnęła mosiężny przycisk obok skrzynki na listy w kształcie lwiej głowy. Ku jej zaskoczeniu, drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Daniele ubrany był jak w dzień: koszulka, dżinsy, sportowe buty. W rękę trzymał widelec.

- Czego chcesz? - zapytał. - Właśnie jem obiad.
- Daniele, przecież jest czwarta rano!
- Nie w Sao Paulo - odparł rozsądnie.
- A co tu ma do rzeczy Sao Paulo?
- Nic. To tylko ilustracja, że czas jest sztucznym konstruktem, stworzonym przez człowieka.

Przypuszczam, że chcesz ze mną porozmawiać.

- Na pewno nie przyszedłem, żeby słuchać o sztucznych konstrukcjach.
- Ale nie mamy o czym dyskutować, Holly. Nie jesteśmy już razem.
- Wiem - rzuciła zniecierpliwiona. - Ale to nie znaczy, że nigdy więcej mamy się do siebie nie odzywać.

Zawahał się.

- W takim razem wejdź...

Zabrał ją do sklepionej kuchni na tyłach Ca' Barbo. Chociaż wiedziała, że jest świetnym kucharzem, zdolnym co do joty realizować skomplikowane przepisy, dzisiaj jadł proste danie z zimnego makaronu, które weneccjanie nazywali *salsa aurora*: słodko-kwaśna mieszanka smażonej papryki, pomidorów, cukinii, a także plasterków brzoskwini.

Patrząc, jak je, sama poczuła głód, więc sięgnęła po widelec.

- Wiem, zawsze mnie przekonywałaś, żebym nie ufała Gilroyowi - powiedziała między jedną a drugą porcją. - I gdybyś spytał mnie sześć godzin temu, stwierdziłabym, że prawdopodobnie masz rację. Ale teraz nie jestem już taka pewna.

Streściła mu wcześniejszą rozmowę. Daniele sposepniał.

- Bo on to właśnie robi - powiedział. - Geniusz Gilroya, co zrozumiałem wiele lat temu, polega na

tym, że opowiada historie. Sliczne, eleganckie historyjki, które jakoś oferują ci to, czego pragniesz najbardziej na świecie. W tym wypadku on wie, że chcesz mu uwierzyć, ponieważ alternatywa jest dla ciebie niewyobrażalna.

Ta przemowa była tak niepodobna do Daniele, że tylko patrzyła zdumiona.

- Widziałem już, jak sypie magiczny pył w oczy mojego ojca - wyjaśnił. - Nie twierdzą, że po moim porwaniu rodzicom było łatwo. Ale miałem wrażenie, że każda rozmowa zaczyna się od „Ian Gilroy powiedział...” albo „Ian Gilroy zgadza się, że...”. I kiedy zmarł mój ojciec, Gilroy został głównym powiernikiem fundacji. Przekonał ojca, że tylko w ten sposób może mnie powstrzymać przed sprzedażą jego kolekcji obrazów. Ale gdyby potrzebował innego argumentu, bez wątpienia by go znalazł.

- Raz słyszałam, że go o to oskarżasz. Przyszedłeś do niego porozmawiać. a on mnie poprosił, żebym zaczęła za parawanem. Chciał, żebym sama się przekonała, jaki jesteś nierozsądny.

- To on popchnął nas do siebie, prawda? - zapytał ze smutkiem.

- Ciebie i mnie... To zawsze było elementem jego planu.

- Nie - odparła stanowczo. - Sama podjęłam decyzję. Nawiasem mówiąc, nie żałuję. Ale chodzi o to, że próbuję znaleźć sposób, by się przekonać, czy wersja przedstawiona przez Gilroya jest prawdą, czy nie. I wydaje mi się, że jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc.

- Ja? Jak?

- Wszystko sprowadza się do twojego porwania. Jeśli to Paolo je zaplanował, jak twierdzą i Tataro, i Gilroy, to może zobaczyłeś coś, co potwierdza ich wersję wydarzeń?

Pokręcił głową.

- Wiesz, że z porwania nic nie pamiętam. W każdym razie nie więcej niż pierwsze parę dni.

- Co samo w sobie jest dziwne, nie sądzisz? Sprawdziłam w sieci, co piszą o utracie pamięci związanej z traumą psychiczną. Prawie zawsze jest tymczasowa.

- Uwierz mi, rodzice próbowali wszystkiego. Przez lata ciągnęli mnie od jednego lekarza do drugiego. Większość uznawała, że jest to związane z moim... - Zawahał się. - Z moją drugą przypadłością.

- Ale to inna sprawa - odparła. - Kiedy rozmawiałam z Carole Tataro, powiedziała, że grała z tobą w liczbowe łamigłówki. Jej zdaniem wydawałeś się trochę dziwny, może zbyt wrażliwy. Ale nie autystyczny.

- Rodzice też tak uważali. Że porwanie wyzwoliło, a przynajmniej pogorszyło to, co już wcześniej było ze mną nie tak.

- Nie dostrzegasz implikacji? - nie ustępowała. - Jeśli twoja dolegliwość to nie jest pełny, funkcjonalny autyzm, ale jakiś stan posttraumatyczny, który tylko autyzm przypomina... Prawdziwy autyzm jest nieuleczalny. Ale stan, który tylko naśladuje jego objawy, w teorii może być odwracalny. Są prace opisujące na przykład dzieci wychowane w sierocińcach bloku wschodniego: przejawiały zachowania autystyczne, ale dorosły i nie odróżniają się od innych.

- Niektóre - poprawił ją. - Te, które dostatecznie wcześnie zabrano z tego środowiska. Też znam te prace. Ale jeśli nawet odnosiłyby się do mnie, teraz to już bez znaczenia.

- Poszukałam trochę. Istnieje stosunkowo nowa technika EMDR, Eye Movement Desensitisation and Reprocessing, terapia odwrażliwiania za pomocą ruchu gałek ocznych. Nikt nie wie dokładnie, jak EMDR działa, ale działa. Badania wykazują, że w połączeniu z hipnozą to najskuteczniejsza terapia w przypadku posttraumatycznych amnezji. - Zawahała się. - Rozmawiałam już z ojcem Urielem - przyznała, wymieniając nazwisko psychiatry, który w przeszłości leczył i ją, i Daniele. - Zna tę metodę.

- Chciałbym pomóc, naprawdę bym chciał - zapewnił. - Ale w tej chwili nie mam czasu. - Przechesał palcami włosy i po raz pierwszy zauważyła, jak jest zmęczony. - Były... kłopoty. Z Carnivią. Pewien rodzaj wirusa. Rozpracowuję go chyba, ale to trudne.

Prawdę mówiąc, dopiero teraz zdawał sobie sprawę ze skali działań, jakie musieli podjąć on i inni

administratorzy. Napisał krótki programik, który usuwa wirusa, ale operacja musiała przebiegać indywidualnie, użytkownik po użytkowniku. A zarażonych było coraz więcej. To był wyścig między wirusem a magami - wyścig, który w tej chwili przegrywali.

- Jeśli jest szansa, że można cię wyleczyć, czy nie chciałbyś z niej skorzystać?
- Ale czemu miałbym próbować być taki jak inni? Dobrze mi takiemu, jaki jestem.
- Nie byłbyś jak inni - przekonywała. - Nadal pozostałbyś Daniele: nadal inteligentny, nadal dziwny. Kto wie, może stałbyś się bardziej sobą. Może byłbyś zdolny do większych rzeczy niż teraz.

Milczał przez chwilę. Myśl, że terapia może uwolnić jego zdolności, a nie je zahamować, nie przyszła mu wcześniej do głowy. Poza tym to prawda, co pisał ten człowiek z MIT - najlepsze prace chyba miał już za sobą. Jeśli chciał uzyskać inne rezultaty, musiał zrobić coś całkiem innego.

Wyczuwając wahanie, Holly dodała jeszcze:

- Daniele, to dla mnie bardzo ważne, żebyś przynajmniej spróbował. Muszę wiedzieć, co się przydarzyło mojemu ojcu, a w tej chwili jestem w ślepych zaułku.

Wiedziała, że wielu było takich, którzy uważali, że Daniele Barbo jest nieczuły na takie emocjonalne naciski. Ona jednak nigdy w to nie wierzyła. Jego uczucia może i były inne niż u większości, ale przecież istniały.

- No dobrze - postanowił wreszcie. - Spróbuję. Chyba nie mam nic do stracenia.

## Czterdzieści dwa

Była piąta trzydzieści rano, kiedy zadzwonił telefon Kat. Sięgnęła po niego i zobaczyła na ekranie imię Flavia.

- Słucham?
- Wystawiłem nakaz - odezwał się. - Możesz przywieźć Tignellego na przesłuchanie.
- Pod jakim zarzutem? - spytała, sięgając po notes.
- Zamiar i planowanie zabójstwa, działanie w celu obalenia państwa, organizacja nielegalnej grupy przestępczej, zamiar bezprawnej manipulacji rynkami finansowymi. Rzucimy w niego tym wszystkim i zmusimy do walki na wszystkich frontach.

- Nie będziesz żałował - obiecała, notując pilnie.
- Prawdę mówiąc, przypuszczam, że będę. Ale też jestem pewien, że tak należy postąpić. Aha, Kat... Uważaj, jakich karabinierów ze sobą weźmiesz. Wolałbym, żeby Tignelli o niczym nie wiedział, dopóki nie zapukacie do jego drzwi.

Gdy tylko się rozłączył, zadzwoniła do Aldo Pioli. Odebrał natychmiast i - jak zauważyła - z tą samą nadzieją i wyczekiwaniem w głosie jak ona, kiedy odbierała telefon od Flavia.

- Kat? Co jest?
- Muszę zebrać grupę z ludzi, którzy na pewno nie są masonami.

Wyjaśniła, o co chodzi. Ubierała się, równocześnie ramieniem przytrzymując telefon przy uchu.

- Spotkajmy się w San Zaccaria za pół godziny. Sprawdzimy listy Hapaldiego i Cassandrego i porównamy z dostępnymi karabinierami. A na razie, co powiesz na Panicucciego? Jest dobry i mogę przysiąc, że nie nadaje się na wolnomularza.

- Niezły pomysł. Zaraz do niego zadzwonię.
- A Bagnasco? Możemy być pewni, że nie należy do masonów. Podobnie jak ty, nie spełnia podstawowego warunku.

- Owszem, jest kobietą - zgodziła się Kat. - Ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że zawiadomi wujka, zanim jeszcze wsiądziemy do łodzi.

Aldo milczał przez chwilę.

- Uważam, że nie masz racji. Ale to twoja akcja. Ty decydujesz.
- Dzięki.

Poza tym, pomyślała, będziemy płynąć szybko; w łodziach nie ma miejsca dla oficer, która cierpi na chorobę morską.

\* \* \*

Mgła wciąż spowijała miasto, kiedy dwunastoosobowy oddział z rykiem silników odbił od pomostu przy Rio dei Greci. Później mgła zniknie, ale w tej chwili dawała Wenecji widmową, niematerialną przejrzystość. Woda i kamień zlewały się w jedno w tej wilgotnej, tłumiącej dźwięki szarości.

Nie używali syren, a kiedy zbliżyli się do La Grazii, Kat nakazała też wyłączyć niebieskie światła. Spojrzała na zegarek: dwadzieścia po szóstej. Niewielka była szansa, by służba i ochrona jeszcze spały, ale jeśli uda się złapać Tignellego w łóżku, tym lepiej.

Zacumowali i Kat zauważyła brak motorówki. Kiedy karabinierzy ruszyli po nieskazitelnym trawniku w stronę domu, jedynym znakiem życia był zraszacz, wirujący nad bujną, zieloną trawą jak antena radaru.

- Zadzwoń czy wyważyć drzwi? - zapytał Panicucci.

- Jedno i drugie.

- Nie trzeba - stwierdził prowadzący *carabinieri*, popychając drzwi. - Są otwarte.

Wewnątrz dom był dziwnie cichy. Portret Napoleona patrzył na nich z wyższością, kiedy wpadli do holu.

- Panie hrabio! - krzyknęła Kat.

Wciąż nikt nie zareagował na dzwonek do drzwi.

- Czy to możliwe, żeby nikogo nie było? - spytał cicho Piola.

Miał rację. Kiedy przebiegli przez pokoje na parterze, stało się jasne, że w domu nie ma ani Tignellego, ani nikogo ze służby.

- *Capitano?!!*

To wołał jeden z karabinierów. Poszła w stronę jego głosu i trafiła do jadalni. Stół był nakryty do lekkiego posiłku: owoce, plasterki szynki i *carpaccio*, nieotwarta butelka *prosecco* w wiaderku na lód. Kiedy podeszła, muchy poderwały się z mięsa i krążyły nad stołem, brzęcząc gniewnie. Podniosła butelkę i przejechała po niej palcami - była ledwie chłodna, a lód dawno się rozpuścił.

- To dziwne, że nie schowali jedzenia - rzekł całkiem niepotrzebnie karabinier.

Przyjrzała się. Stół był nakryty na dwie osoby, ale oba talerze stały nietknięte. Ogarnęło ją złe przeczucie.

- Sprawdźcie na górze - poleciła. - Każdy pokój. *Sottotenente* Panicucci, za mną.

Wybiegła na zewnątrz i ruszyła żwirową ścieżką przez ogrody. Panicucci ją dogonił.

- Dokąd idziemy?

- Do *peschiera* - odparła zdyszana.

Wielkie baseny z morską wodą też wydawały się opuszczone. Zajrzała do najbliższego i zobaczyła srebrzystą, falującą masę węgorzy, gromadzących się wokół czegoś pod wodą. Przeszła pod starym kamiennym murem, żeby się lepiej przyjrzeć. Kiedy dotarła nad miejsce, gdzie się zebrały, znalazła jakiś kamień i rzuciła go do wody.

Masa węgorzy rozstała się na moment i z dołu spojrzała ludzka twarz. Poraniona, poszarpana twarz, niczym głowa Meduzy otoczona migotliwymi ogonami... Widziała, jak ostre zęby wbijają się w policzek Tignellego, jak pół tuzina ryb podpływa szybko i wgryza się w jego wargi i podbródek, jak rwą i szarpią...

Odwróciła się.

- Śluza! - krzyknęła do Panicucciego. - Otwórz!

Zrozumiał i odbiegł.

Rozejrzała się, ale nie znalazła więcej kamieni. Zakłęła i wskoczyła do wody, która okazała się zimna i jakby oleista, czy to przez obecność trupa, czy przez węgorze - trudno powiedzieć. Niektóre mniejsze ryby odskoczyły, ale te większe, bardziej agresywne, skorzystały z miejsca zostawionego przez te bojaźliwe i jeszcze natarczywiej cisnęły się do pokarmu. Kat chlapała i kopała, żeby je odpędzić. Długie, wąskie ciało wysunęło się z rękawa Tignellego, inny węgorz wycofał się z mankietu nogawki. Poruszenie pod koszulą, w okolicy piersi, wskazywało, że wystraszył się kolejny - po chwili wysunął się z kołnierzyka, srebrzysty i giętki jak krawat, i zniknął. Poziom wody opadał, widocznie Panicucci otworzył wrota śluzy. Kat uderzała o wodę raz za razem, wykrzykując dobrane weneckie przekleństwa - dopiero później uświadomiła sobie, że mogła się nie męczyć, skoro i tak nie słyszały. Wkrótce splątana masa

przebiła się na powierzchnię, a potem zaczęła się zsuwać i przelewać do sąsiedniego basenu. U jej stóp wyłoniła się z opadającej wody poharatana, porozrywana twarz hrabiego Birmo Tignello, niedoszętego zdobywcy Wenecji.

\* \* \*

- Słusznie pani postąpiła - pochwalił ją Hapaldi. - Jeszcze godzina, a zniszczyłyby wszelkie ślady tego, jak zginął. I tak zresztą nie spodziewam się po sekcji zbyt wiele.

Kiwnęła głową. Zamiast mokrego munduru, miała na sobie biały mikrofibrowy kombinezon. Minio ostrożnych wypowiedzi Hapaldiego, było jasne, że Tignelli został zamordowany: dwie rany po kulach w piersi nie pozostawiały miejsca na wątpliwości.

Zespół techników badał też kaplicę dawnego klasztoru, która okazała się udekorowana flagami z symbolem, który ojciec Calergi zidentyfikował jako *carita*, a także rozmaitymi elementami masońskimi. Wydawało się prawdopodobne, że tam właśnie zginął Cassandre: lampy ultrafioletowe ujawniły na kamiennej podłodze słabe ślady krwi.

Ktokolwiek zamordował Tignello, uznała, wymyślił o wiele lepszą metodę zatarcia śladów.

- Mogę na słówko, pani kapitan?

Obejrzała się. Dziesięć metrów od niej stał Aldo Piola. A za nim dostrzegła szczupłego i eleganckiego pułkownika Grimalda z ANSI.

\* \* \*

- Przypuszczam, że przybył pan, by to dochodzenie też nam odebrać - powiedziała z goryczą, kiedy szli w stronę budynku.

- Wręcz przeciwnie - zapewnił Grimaldo. - Mamy pewne ślady, które mogą być dla pani użyteczne.

- Jakie ślady?

- Materiał z podsłuchu. - Wyjął mały dyktafon i douszne słuchawki. - Lepiej będzie, jeśli pani je założy, jakość nie jest najlepsza.

Włożyła słuchawki do uszu i wcisnęła „Play”. Usłyszała jakieś trzaski, a potem głos Tignello:

- *Pronto.*

Głos, który się odezwał, brzmiał dziwnie mechanicznie.

- Dobry-wieczór-panie-hrabio. Musimy-się-spotkać.

- Kto mówi?

- Ktoś-zaimeresowany. Ktoś-kto-zna-pańskie-plany.

- Nie mam ochoty omawiać z tobą żadnych moich ewentualnych planów - odparł szorstko Tignelli.

- A więc-się-nie-powiodą.

Głos Tignello stal się czujny.

- Jeśli masz mi coś do powiedzenia, powiedz teraz.

- Ten-telefon-jest-podsłuchiwany-przez-włoską-służbę-wywiadowczą. Będę-u-pana-za-godzinę.

- Sam?

Tignelli oczywiście pytał, czy jego rozmówca przybędzie bez towarzystwa. Głos jednak wybrał inną interpretację.

- Tak. Tylko-pan. Proszę-odesłać-służbę.

Kliknęło i połączenie zostało przerwane.

- Kiedy to nagraliście?

Wczoraj o dziewiątej wieczorem.

- I nic nie zrobiliście?

- Uczestniczyłem wtedy w innej akcji. Zawiadomiono mnie dopiero dziś rano. - Wskazał grupy techników. - Wygląda na to, że mnie pani wyprzedziła.

Zmrużyła gniewnie oczy, a on westchnął.

- Zdaję sobie sprawę, *capitano*, z pani podejrzeń, że ANSI jest jakoś zaangażowane w plany

Tignellego. Chciałem panią zapewnić, że nic z tych rzeczy. Obiecuję też pełną współpracę w tym, co od teraz będzie naszym wspólnym dochodzeniem.

- Skąd pomysł, że miałam takie podejrzania?

- *Avvocato* Marcello wydał nam zgodę na założenie podsłuchu nie tylko hrabiemu Tignellemu, ale także pani - wyjaśnił spokojnie Grimaldo. - Jak również *avvocato* Li Fonti. Widzi pani, początkowo podejrzewaliśmy panią, tak samo jak pani nas. Wobec tego, co nam zdradził Cassandre, nie mogliśmy ryzykować.

- A co właściwie wam powiedział, tak naprawdę? - Starła się nie myśleć o tym, że ten, kto podsłuchiwał rozmowy jej i Flavia, musiał usłyszeć o najbardziej intymnych szczegółach ich spotkań.

- Jak sama pani szybko zrozumiała, Alessandro Cassandre był graczem pozbawionym skrupułów. Doszedł, dlaczego hrabia Tignelli uważa, że te pozornie bezwartościowe swapy ryzyka kredytowego w jego banku mogą stać się cenne, więc postanowił wkręcić się do organizacji hrabiego, żeby na tym dodatkowo zarobić. Potem, kiedy prezes banku odkrył jego kombinacje, próbował ratować skórę i przyszedł do nas. Obiecał, że zdradzi Tignellego i jego współspiskowców. Nie muszę chyba dodawać, że nie z pobudek patriotycznych zaproponował nam współpracę. Chciał immunitetu i znacznej nagrody.

- Zgodziliście się?

Grimaldo pokręcił głową.

- Powiedzieliśmy, że jeśli w ogóle mamy rozważyć taki układ, musi najpierw dotrzeć bliżej spiskowców. Jak się wydaje, Tignelli też nie zufała sprzymierzeńcowi tak wyraźnie pilnującemu tylko własnych interesów.

- A co się teraz stanie z planami Tignellego dotyczącymi niepodległej Wenecji?

- Dzięki pani mamy listę nazwisk z komputera Cassandrego. To z dużym prawdopodobieństwem inni masoni z jego łoży. Zgarniemy ich i wytłumaczymy, że to konkretne przedsięwzięcie jest skończone.

- Zawahał się. - Niestety, pewne elementy planu Tignellego nie tak łatwo będzie wyeliminować.

Zauważyła jego ponury ton. Zmarszczyła czoło.

- Dlaczego nie?

- Separatystyczny przewrót, jeśli tak można go nazwać, nie dojdzie już do skutku. Ale zaplanowane wydarzenia, które miały do niego doprowadzić... to całkiem inna sprawa.

- Jakie wydarzenia?

- Planował coś potwornego - wyjaśnił cicho Grimaldo. - Atak terrorystyczny na Wenecję. Zamierzał udaremnić go w ostatniej chwili, a potem użyć jako pretekstu, by oświadczyć, że Rzym nie jest już zdolny chronić miasta. To byłoby sygnałem dla lokalnego zgromadzenia, żeby ogłosić stan wyjątkowy, a wkrótce potem referendum niepodległościowe.

- Może pan to powstrzymać?

- Tak nam się wydawało. To była właśnie ta akcja, w której uczestniczyłem zeszłej nocy. Znaliśmy nazwisko: radykalny muzułmanin, obecnie studiujący na Sycylii. Cassandre przekazywał mu pieniądze zgodnie z instrukcjami Tignellego. Ale kiedy posłaliśmy oddział GIS, żeby go aresztować, spóźnili się o parę godzin. Wydaje się, że ktoś go uprzedził.

- Dokąd mógł uciec?

- Nie wiemy. Niewykluczone, że całkiem wyniósł się z kraju, a w takim wypadku być może nie jest już niebezpieczny. Ale dopóki nie mamy pewności, utrzymujemy stan zagrożenia na poziomie czerwonym.

- Są jakieś tropy?

- Tylko jeden. Krótco przed jego zniknięciem zabito wykładowcę w college'u, gdzie studiował.

Miejscowa policja uznała to za zbrodnię nienawiści. Ale przyzna pani, że to dziwny zbieg okoliczności: zginął jeden z nielicznych ludzi, którzy mogliby nam pomóc zidentyfikować terrorystę.



## Czterdzieści trzy

Daniele pojechał taksówką do Instytutu Christiny Mirabilis, prywatnego szpitala w wiejskiej okolicy Veneto; kierował nim ojciec Uriel. W tym rejonie uprawiano winorośle na *prosecco* i ich równe rzędy porastały każdy wolny skrawek ziemi.

Sam instytut, dawny klasztor, był tak ukryty, że gdyby nie dyskretny znak przy drodze, łatwo można by ominąć jego wysoką metalową bramę. Po obu stronach długiej alei podjazdu w szpitalnych winnicach pracowali mężczyźni w brązowych mnisich habitach i kobiety w niebieskich - krzatali się, przechodzili między budynkami. Jednak bystre oko szybko zauważyło, że to głównie zakonnice się krzątały, a wielu mężczyzn wydawało się osowiałych, jakby znajdowali się pod wpływem leków. Te pierwsze były tu pielęgniarkami, ci drudzy - pacjentami. W swojej praktyce psychiatrycznej ojciec Uriel zajmował się przede wszystkim niewielką, ale istotną częścią księży, którzy popełniali przestępstwa seksualne. Wierzył, że niektórych da się wyleczyć, a co może nawet ważniejsze, że wszyscy mają szansę na odkupienie. Szpital był położony na uboczu nie tylko dlatego, że ojciec Uriel wolał unikać kontrowersji; uważał, że kontemplacja, spowiedź i modlitwa są przynajmniej tak samo ważne jak psychoterapia i leki.

Czasem przyjmował również pacjentów z innymi schorzeniami, a przez jakiś czas pracował z Danielem, starając się rozwinąć w nim zdolność empatii.

- Cieszę się, że znowu cię widzę - powiedział, kiedy Daniele wszedł do gabinetu. - Sporo czasu minęło, prawda?

Daniele wzruszył ramionami.

- Nie widziałem sensu kontynuowania naszych sesji.

- Dlatego że terapia nie była skuteczna? - zapytał psychiatra. I po króciutkiej przerwie dodał: - Czy dlatego, że była?

- Ponieważ uświadomiłem sobie, że pańska definicja skuteczności może się różnić od mojej - odparł chłodno Daniele. - Już za późno, żebym próbował się zmienić. Ale jeśli przypominając sobie, co się działo w czasie porwania, zdołam wyjaśnić kilka zagadkowych kwestii, to co innego.

Ojciec Uriel ułożył go na kozetce, założył mu na głowę parę lekkich, piankowych słuchawek, w dłonie włożył nieduże pulsatory w kształcie jajka.

- Kiedy usłyszysz pstryknięcie w lewym uchu albo poczujesz drgnięcie w lewej dłoni, popatrz w lewo - poinstruował. - Kiedy pstryknięcie albo drgnięcie będą po prawej, spójrz, w prawo. Na początku będę kierował ruchami twoich oczu, ale potem rób to już sam. Jeśli w którymkolwiek momencie proces stanie się zbyt bolesny czy traumatyczny, przerwę i przeniosę cię do bezpiecznego miejsca w umyśle, gdzie nikt nie zdoła cię skrzywdzić. Rozumiesz?

- Tak.

- To dobrze, A teraz skup wzrok na czubku mojego długopisu.

- Ojciec Uriel pstryknął nim dwa razy. - Spróbuj teraz napiąć i rozluźnić wszystkie części ciała po

kolei, zaczynając od palców u nóg. Napiąć... rozluźnić. O tak.

Zanim Daniele zdążył rozluźnić całe ciało, poczuł się psychicznie lekki, a fizycznie senny i ociężały; cała jego uwaga koncentrowała się na długopisie ojca Uriela.

- Teraz przesunę długopis na prawo - powiedział psychiatra cichym, spokojnym głosem. - A teraz w lewo. Dobrze. Teraz, spróbuj pomyśleć o jakimś zmysłowym wspomnieniu z czasu porwania. Wtedy, jako siedmiolatek, w pomieszczeniu, gdzie cię trzymali... To może być obraz, dźwięk, cokolwiek...

- Pamiętam linie między cegłami w murze... - Daniele usłyszał własny głos. - Pamiętam, jaki tworzyły wzór. Liczyłem pionowe szczeliny między nimi.

- Ile było tych szczelin?

Ojciec Uriel przesunął długopis z boku na bok. Daniele wyczuwał w dłoniach słabe drgnięcia pulsatorów, a dźwięk przemieszczał się z jednego ucha do drugiego, regularnie jak metronom.

- Czterysta siedemnaście.

- Dobrze. Co słyszysz, kiedy jesteś w tym pomieszczeniu?

- Kozy. Na dworze są kozy. Czasem czuję też ich zapach. Jesteśmy na wsi, gdzieś daleko.

- Kto cię pilnuje?

- Znam imiona trojga. Claudio, Paolo i Maria. Claudio chyba dowodzi, ale dwoje pozostałych najpierw z nim o wszystkim dyskutuje, zanim pozwoli mu podjąć decyzję.

- Jak długo tam jesteś?

- Tydzień. Kiedy mnie tu wsadzili, mówili, że to nie potrwa długo. Moi rodzice muszą tylko przekazać pieniądze, a ci tutaj mnie wypuszczą. Maria mówi, że już wkrótce. Od wielu dni to powtarza.

Ojciec Uriel cofnął rękę z długopisem. Mimo to oczy Daniele nadal przesunęły się z prawa na lewo i z powrotem.

- Którego z porywaczy najbardziej lubisz? Któremu wierzysz?

- Claudio wydaje się w porządku. Paola nie jestem pewien. Maria jest miła. Czasem przychodzi ze mną posiedzieć.

- O czym rozmawiacie?

- O tym, w co wierzą. O co walczą. Są przeciwko ludziom bogatym, takim jak mój ojciec. Chcą społeczeństwa, w którym wszyscy są tacy sami. Gdzie nikt nie mógłby być lepszy od kogoś innego tylko z powodu rodziny, z jakiej pochodzi.

- Przesuńmy się teraz o tydzień do przodu, Daniele. Co się dzieje?

- Kłóć się.

- O co?

- Dlaczego moi rodzice nadal nic zapłacili. Claudio się złości. Krzyczy na mnie. „Co z ciebie za bachor? Dlaczego nie chcą cię z powrotem?” - Daniele przełknął ślinę. - On... on... on...

- Już dobrze, Daniele. Nie lubisz, kiedy na ciebie krzyczą. Co jeszcze mówi Claudio?

- Mówi, że mnie zabiją! - zawołał Daniele.

Szarpnął się i wypuścił pulsatory. Wygiął plecy. Uniósł ręce i zerwał z uszu słuchawki.

- Jesteś teraz w bezpiecznym miejscu - powiedział ojciec Uriel. Uważał, by w jego głosie nie odezwało się żadne echo stresu Daniele.

- Spokojnym cichym miejscu, gdzie nic ci nie mogą zrobić.

Przez pięć minut uspokajał Daniele, zanim wyprowadził go z transu.

- Nie udało się - stwierdził krótko Daniele, siadając.

- Wręcz przeciwnie - zapewnił go ojciec Uriel. - Udało się wyjątkowo dobrze jak na pierwszą sesję. Masz po prostu nierozsądnie wysokie oczekiwania, to wszystko.

## Czterdzieści cztery

Na lotnisku w Palermo wysiadając z samolotu Alitalii Kat powitał charakterystyczny zapach Sycylii. Przy poprzedniej wizycie, lata temu, była wiosna i powietrze wydawało się aż gęste od *la zagara*, aromatu kwiatów pomarańczy i migdałowców. Dzisiaj słońce grzało tak mocno, że pas startowy wyglądał jak rozpalony do oślepiającej bieli, a w gorącym powietrzu dalekie góry zdawały się migotać i rozpływać, ale zapach nadal oszałamiał: mocna mieszanka jaśminu, cytrusów, samolotowych spalin i ostrego, afrykańskiego aromatu szarańczynów.

*Sovrintendete* z miejscowej policji czekał na nią w budynku terminalu.

- Witam. Jestem Turi Russo - przedstawił się i zsalutował machinalnie.

Dopiero kiedy siedzieli w samochodzie i jechali w stronę miasta, poruszył temat powodów jej wizyty.

- Prawdę mówiąc, nie rozumiem, czemu karabinierzy interesują się tą sprawą. - Jakiś motocyklista bez ostrzeżenia wjechał na ich pas. Russo wykonał gniewny gest i nacisnął klakson, ale nawet nie próbował go zatrzymać. - A co dopiero AISI. To zwykła zbrodnia nienawiści. prosta i oczywista. Zamknęliśmy sprawę w ciągu doby.

- Zamknęliście? To znaczy, że aresztowaliście kogoś?

- Nie - przyznał. - Chodzi mi o to, że zakończyliśmy dochodzenie i wypisaliśmy wszystkie papiery. Ale trudno sobie wyobrazić wyraźniejsze dowody. Ofiara była muzułmaninem. Kiedy go znaleźliśmy, miał przeciętą tętnicę szyjną tuż poniżej tchawicy. Wewnętrzne żyły szyjne, prowadzące do serca, też przecięto, po obu stronach.

- Zerknął na nią sprawdzając, czy rozumie.

- I co?

- W ten sposób rzeźnicy *halal* zabijają zwierzęta - wyjaśnił.... Zatem zbrodnia nienawiści. W tej chwili Palermo jest rasową beczką prochu Oficjalny poziom bezrobocia to dwadzieścia pięć procent, ale w rzeczywistości jest o wiele wyższy. A tymczasem miasto pęka od Arabów, Albańczyków, Cyganów... A do tego dochodzą jeszcze *malignane*.

- Co?

Zaśmiał się.

- Bakłażany. Tak nazywamy Afrykanów. Senegal, Gabon, Wybrzeże Kości Słoniowej, Kongo, Somalia, Liberia... Nic musimy tu czytać gazet. Poznajemy, gdzie się toczą wojny domowe, po kolorze dopływających do brzegu *clandestini*. Niby mamy ich nie dopuszczać, ale dopóki politycy nie wezmą się do tego na poważnie, niby jak mamy to robić?

Choć rasizm Russa był dość irytujący, jego opinie nic różniły się specjalnie od słyszanych przez Kat w bufecie w Campo San Zaccaria.

- Czy coś mu skradziono?
- Jeśli tak, nie udało się tego stwierdzić.
- A co z komputerami?

Russo zerknął na nią z ukosa.

- Rozumiem, że to interesuje AISI?
- Jego nazwisko pojawiło się w innej sprawie - odparła obojętnie.
- Wie pan, jak to jest. Trzeba sprawdzić każdy trop.

W rzeczywistości zabójstwo wykładowcy, Dżabbara Rijada Karimiego, było jedynym tropem, jaki mieli w AISI. Odkryli, że krótko przed śmiercią szukał w sieci wszelkich informacji łączących katastrofę w tunelu Frejus z dżihadystami. Kiedy niewiele znalazł, spróbował dodać nazwisko - Hafiz Bu Sa'id - i słowa „kradzież tożsamości”.

Szybko ustalili, że paszport wystawiony na Hafiza Bu Sa'ida rzeczywiście został skradziony. Tymczasem agencje badające katastrofę w tunelu zaczęły podejrzewać - jak zdradził Grimaldo - że istotnie był to jakiś cyberatak.

Jednak nie mogła o tym wspominać Russowi, chyba że uznałaby to za absolutnie niezbędne. Włoska policja miała długą historię uczestniczenia w dochodzeniach po niewłaściwej stronie. W tej sprawie Grimaldo zamierzał jak najbardziej ograniczyć liczbę wtajemniczonych.

- Chcę obejrzeć całą dokumentację i zdjęcia - oświadczyła. - A potem sama zbadam miejsce zbrodni.

- Żaden problem. Akta mam w bagażniku, więc możemy jechać prosto na miejsce.

Mimo tych słów podejrzewała, że trochę nadłożył drogi i przejechał przez samo centrum Palermo, żeby „zobaczyła, jak to naprawdę wygląda”. Miał rację - była zaskoczona. W Wenecji, jak w większości włoskich miast, *centro storico* stanowiło kulturowa serce miasta, gdzie koncentruje się nocne życie i znajdują się najelegantsze sklepy. W Palermo to centrum wyglądało jak rozległa, sypiąca się *medina*, afrykański suk zajmujący na wpół zrujnowane *palazzi*. Dudnienie afrykańskiej muzyki i rzędy prowizorycznych straganów przesłaniały wszelkie podobieństwo do Włoch.

- Nie mógłbym się tu zatrzymać - tłumaczył Russo. - Zwykle przyjeżdżamy w konwojach po trzy radiowozy. - Skinieniem wskazał wąską uliczkę. - Prawdopodobnie tylko kilkuset *clandestini* mieszka tu na stałe. Reszta zostaje tylko tyle, ile trzeba, żeby dostać *permesso di soggiorno*, a potem jadą dalej.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Jak im się udaje załatwić zezwolenie na pobyt?

Wzruszył ramionami.

- Wszyscy chcą jechać na północ, gdzie są pieniądze. Powiedzmy, że nie zachęcamy ich do pozostawiania u nas. Jeśli oznacza to przymknięcie oka na handlujących zezwoleniami urzędników, to trudno.

- Sprawiają dużo kłopotów?

Russo się zaśmiał,

- Właściwie nie. Ci Afrykanie mówią, że okolica jest *tranquilo*. Wie pani czemu?

- Nie. - Z całą pewnością nie wydawała się jej spokojna.

- Bo nikt ich tu nie nęka. Nikt nie żąda dokumentów, nikt z energetyki nie przygląda się za dokładnie, skąd biorą prąd, nikt ich nie goni, jeśli wyrwą komuś torebkę albo ukradną turyście telefon. Więc choć rzeczywiście o trzeciej nad ranem bywa trochę głośno, pod wszelkimi ważnymi dla nich względami panuje spokój.

Wcisnął klakson, żeby skłonić do zejścia z drogi grupę ciemnoskórych młodych mężczyzn. Odeszli wolno, patrząc na niego z niechęcią.

- Mamy tu takie powiedzonko: *Fatti i cazzi tuoi...* Zna je pani?

- Znam - przytaknęła. - Pilnuj swojego fiuta.

- Nawet kiedy ktoś zamorduje jednego z nich, nie ma co liczyć, by któryś powiedział policji, że coś zauważył. Są zbyt zajęci pilnowaniem własnych fiutów.

\* \* \*

Dotarli do rejonu, który Russo nazywał „Zen”. Myślała, że to sarkazm, dopóki nie zobaczyła drogowskazów kierujących do „Zona Espanziona Nord”. Dzielnica była mniej klaustrofobiczna niż centrum, ale bardziej posępna. Pokryte graffiti wysokie bloki mieszkalne stały w otoczeniu cuchnących stosów śmieci.

- Może pani wierzyć, że jeśli jest pani imigrantką, to stosunkowo dobra okolica - zapewnił Russo, kiedy wysiedli z samochodu i ruszyli między odpadkami. - Trzeba też pamiętać, że strajk śmieciarzy to nie ich wina. To przez radę miejską. Okazało się, że w zarządzie jest więcej takich, którym płacą za nadzorowanie śmieciarzy, niż normalnych śmieciarzy. Ktoś próbował coś z tym zrobić, a oni oczywiście zastrajkowali. Wychodzi na to, że można mieć czyste ręce albo czyste ulice, ale nic jedno i drugie naraz.

Na czwartym piętrze jednego z bloków - Russo nie próbował nawet sprawdzać, czy winda działa - znaleźli pozaklejane taśmą policyjną drzwi.

- Przynajmniej drzwi jeszcze są - rzucił pogodnie Russo i wyjął klucz.

Wewnątrz ze zdziwieniem odkryła przyjemne, choć zaniedbane mieszkanie - sam widok z okna ponad morzem na północy mógłby wynagrodzić brak wygód. W przedpokoju leżał stos mikrofibrowych kombinezonów i rękawiczek, a także policyjna książka wejść. Kat ubrała się, a Russo wpisał ich oboje. Zauważyła, że sam nie włożył kombinezonu.

- Tam znaleziono ciało. - Wskazał balkon. - Kiedy zajrzeliśmy do sąsiadów z dołu, krew po zewnętrznym murze spływała im do kuchni. Ale nadal twierdzili, że niczego nie widzieli ani nie słyszeli.

Przejrzała dołączone do akt fotografie. Było tak, jak mówił Russo. Dziwne, ale plamy krwi wskazywały, że przeniesiono ciało na balkon, kiedy ofiara wciąż się wykrwawiała.

Wyszła i stanęła w miejscu, gdzie wcześniej leżały zwłoki. Spojrzała na morze - była teraz w cieniu. A zatem, pomyślała, Dżabbar Riaz Kari mi umarł, patrząc na południowy wschód.

Wyjęła telefon i wywołała mapy Google.

- Umierał, zwrócony w stronę Mekki - stwierdziła, pokazując Russowi ekran. - Zabójca tak go ustawił. I to nie w ogólnym kierunku, ale dokładnie. Nadal pan uważa, że to zbrodnia nienawiści?

Wzruszył ramionami.

- No to może to był inny muzułmanin. Pobożny, ale miał coś do niego. To i tak żadna różnica. Ktokolwiek to zrobił, nosił rękawiczki i sprzątnął wszystko, co mogłoby go obciążać. Złośliwy drań sprawdzał to nawet w internecie.

- Jak to? - zdziwiła się.

- Kiedy technicy się tu zjawili, znaleźli prywatny tablet ofiary i wczytaną stronę o tym, jak należy sprzątać miejsce zbrodni.

- Nie nosił rękawiczek - oświadczyła cicho.

- Dlaczego?

- Proszę spojrzeć. - Znowu wyjęła telefon. - Kiedy przed chwilą sprawdzałam, gdzie leży Mekka, musiałam zdjąć rękawiczki, inaczej nie da się obsługiwać ekranu dotykowego. Czyli on też musiał zdjąć, chociaż na chwilę, żeby posłużyć się tabletem. Może go potem wytarł, ale i tak mógł zostać jakiś niepełny albo rozmazany odcisk.

- Może i tak - zgodził się niechętnie Russo. - Powiem technikom, żeby opylili tablet jeszcze raz.

Pokręciła głową.

- Zabiorę go ze sobą do Wenecji. Im mniej ludzi go dotyka, tym lepiej. A teraz odwiedźmy może ten college.

\* \* \*

College składał się z nie więcej niż sześciu pomieszczeń w zaniedbanym miejskim budynku. Studenci

w większości nie byli Włochami, tylko Chińczykami, przybyszami z Bliskiego Wschodu i Afrykanami.

Kat porozmawiała z jednym ze studentów Dżabbara Karimiego; chłopak potwierdził opinię, jaką sobie wyrobiła na podstawie dokumentów: wykładowca był łagodnym, pobożnym człowiekiem i dobrym nauczycielem. Pomagał nawet niektórym studentom znaleźć pracę po zakończeniu kursu, ponieważ jego brat prowadził agencję zatrudnienia w branży informatycznej.

Jakiś technik pracował przy komputerach w sali wykładowej Karimiego. Spytała, co robi, a on wyjaśnił, że któryś ze studentów ściągnął darmowy program o nazwie Boot and Nuke. Program całkowicie wykasował wszystkie twarde dyski w wewnętrznej sieci.

Kat czuła, że trop stygnie. Zabójca wśliznął się tutaj, a potem zniknął, nie zostawiając żadnych śladów. To było niezwykle: ludzie zwykle o czymś zapominali. Ten człowiek albo był bardzo sprytny, albo miał wiele szczęścia.

Zwróciła się do Russa.

- Czy w okolicy działo się ostatnio coś dziwnego? Coś, co można by skojarzyć z włamaniami komputerowymi?

- Nie - odparł natychmiast. Ale po chwili dodał: - Ale...

- Co takiego?

- To prawdopodobnie przypadek... W zeszłym tygodniu pewien biznesmen z Palermo o mało nie rozbił swojego bmw. Opowiadał jakąś zwariowaną historię, że komputer pokładowy w samochodzie miał awarię, wyłączył silnik i zablokował kierownicę przy sześćdziesięciu kilometrach na godzinę.

To ją zainteresowało.

- Samochód miał połączenie z internetem?

- Skąd pani wie? To był jeden z nowszych modeli i miał wbudowane szerokopasmowe łącze. Nasi ludzie uznali, że to pomysł, by uniknąć zarzutu spowodowania wypadku, i przekazali sprawę prokuraturze. Słyszałem o tym tylko dlatego, że ktoś wspomniał w bufecie.

Całkiem jak Frejus, pomyślała. On sprawdza różne możliwości w małej skali, żeby dopracować technikę.

- Proszę mnie zawiadomić, gdyby zaszło coś podobnego, dobrze? A teraz spróbuję porozmawiać z bratem zamordowanego, tym, który pracuje w agencji zatrudnienia.

## Czterdzieści pięć

- Livia? Livia Boccardo?

Nastolatki wybiegły z sali, gadając między sobą, a nauczycielka uniosła głowę.

- Tak? - I po krótkiej chwili: -*Minchia!* Holly Boland? Nie wierzę!

- To naprawdę ja - zapewniła Holly, równie rozbawiona tym, że jej koleżanka z dzieciństwa jest teraz nauczycielką, jak przekleństwem, które wyrwało się jej przy uczniach. - Masz dziesięć minut? Wypijemy po kawie.

Livia spojrzała na zegarek.

- Za chwilę mam zajęcia z konwersacji. A tutejsza kawa nie nadaje się do picia. Ale możemy posiedzieć na zewnątrz.

- Dlaczego dzieci są w szkole? - spytała Holly.

- Och, to letnia szkoła językowa. Miejscowa rada jest na skraju bankructwa, więc w czasie wakacji wynajmują szkolne budynki. Większość nauczycieli chętnie przychodzi, żeby sobie dorobić. Poza tym te zagraniczne dzieciaki na ogół są dobrze wychowane. Nie mają problemów z narkotykami, jak tutejsze.

- Piza ma problem z narkotykami?

- Całe Włochy mają. Ale powiedz, co tu robisz? Kiedy ostatnio miałam wiadomości o tobie, byłaś w college'u w Stanach.

- Mieszkam teraz w Vicenzy. - Holly wyjaśniła, że poszła śladami ojca i wstąpiła do armii. - A tak naprawdę chciałam porozmawiać o naszych ojcach. Badam ten okres, kiedy... kiedy zdarzyły się złe rzeczy.

- Dlaczego? - spytała Livia.

Wyszła z Holly na niewielki plac zabaw i wyjęła papierosy.

Holly jak najogólniej wyjaśniła, że rozważa możliwość, iż obaj mężczyźni znaleźli się w niebezpieczeństwie ze względu na swoją przynależność do masonów.

- Wiem, że twój ojciec zginął w wypadku samochodowym. Ale zastanawiam się, czy było w tej kraksie coś podejrzanego...

Livia zaśmiała się ponuro.

- Można tak powiedzieć.

- W jakim sensie?

- Mama opowiadała wszystkim, że to był wypadek, bo chciała, żeby dzieci w to wierzyły. Ale przed śmiercią wyznała mi, co naprawdę się stało. Tatę znaleźli z poderżniętym gardłem na plaży w Tirrenii.

Holly spojrzała zdumiona. Podobieństwo do sposobu śmierci ofiary ze sprawy Kat nie mogło być

przypadkiem.

- Mama chciała nas chronić przed prawdą, chyba jednak uważała też, że lepiej o tym nie rozmawiać. Dlatego wymyśliła ten wypadek.

- Ale ojciec był wolnomularzem?

Livia przytaknęła.

- Znalazłam te dziwaczne kostiumy, jakie noszą, kiedy sprzątałam rzeczy po rodzicach.

- To znaczy, że nadal mieszkasz tam gdzie wtedy?

Livia wydmuchnęła dym.

- Tak. Osiemdziesiąt siedem A. Czemu pytasz?

- Pomyślałam, że tato prowadził jakiś dziennik albo notatki, jakiś zapis tego, co razem z twoim ojcem odkryli. Mogłybyśmy się rozejrzeć po twoim mieszkaniu? Na wypadek gdyby to tam było, a ty byś nie zauważyła...

Livia wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz. Wpadnij za godzinę, zjemy jakiś lunch.

\* \* \*

Gdyby Holly zjawiła się tu z innych powodów, lunch w mieszkaniu Livii byłby czystą przyjemnością... Zapomniała już o tej pizańskiej umiejętności stworzenia improwizowanego przyjęcia z niczego. Wczorajszy chleb, porwany na kawałki i pokropiony wodą, parę grubo pokrojonych pomidorów, posolonych, polanych oliwą z butelki bez etykiety i przybranych liśćmi bazylii, zmieniło się w sałatkę *panzanella*: w lodówce znalazł się jeszcze cienki pakiet papieru pergaminowego, który rozwinięty odsłonił kilkanaście plasterków *prosciutto crudo*. Oczywiście, było też czerwone wino, *sangiovese*, też z butelki bez żadnej etykiety. Livia wyjaśniła, że wino i oliwę uzupełnia w sklepie tytoniowym na rogu.

- Nie pytam, skąd się biorą. To tajemnica państwowa. Ale zawsze są świetne.

Jedząc, wspominały dawne czasy. Większość dawnych kolegów i koleżanek z klasy Holly, jak się okazało, nadal mieszkała w Pizie i okolicy.

- Alessia Abbado jest teraz lesbijką, żyje z instruktorką fitnessu. Tiziano i Elide się pobrali. Tomas Mazzi i Sofia Trentino byli razem przez pięć lat, a potem on wyjechał z australijską rozwódką.

Nie po raz pierwszy Holly zastanawiała się, jak teraz wyglądałoby jej życie, gdyby została tutaj, zamiast wstępować do armii amerykańskiej. Zdawało jej się, że przyjeżdżając do Włoch, wraca do domu, ale w rzeczywistości dla pizańczyka wszystko poza Toskanią było obcym krajem.

- No więc czego właściwie szukasz? - spytała wreszcie Livia. - Pudełka po butach? Teczki? Skrzyni z dokumentami?

- Sama nie wiem - przyznała Holly. - Domyślam się, że może jakaś teczka albo notes. Ale właściwie to może być cokolwiek.

- No dobrze - zgodziła się Livia z powątpiewaniem. - Jest parę miejsc, gdzie możemy spróbować. Mieszkanie nie było duże, więc po dwudziestu minutach sprawdziły je wszystkie.

- Co się stało z tym obrazkiem, który tu wisiał? - Holly wskazała wnękę w ścianie.

- Mieliśmy włamanie. Nie zabrali dużo, ale wszystko potłukli.

- Kiedy to było?

Livia się zastanowiła.

- Chyba krótko po śmierci *Papa*. Pamiętam, bo wzięli niektóre jego rzeczy. *Mamma* naprawdę się zdenerwowała.

- Jakie rzeczy?

- Mówiła chyba, że jakieś osobiste drobiazgi z biurka. Nie pamiętam za dobrze... - Urwała nagle. - Myślisz, że to miało jakiś związek?

- Nie wiem. Ale przyznasz, że to dziwny zbieg okoliczności. Zabijają go, a zaraz potem ktoś się tu włamuje.



- Czy w takim razie powinniśmy założyć, że znaleźli to, czego szukali?
- Wiesz, nie wrócili. Czyli albo znaleźli, albo się przekonali, że tego tu nie ma. Pewnie nigdy się nie dowiemy.

## Czterdzieści sześć

Ian Gilroy wśliznął się do mrocznego wnętrza Santi Apostoli na Cannaregio i rozejrzał się. Człowiek, z którym miał się spotkać, jeszcze nie przyszedł. Ale też Gilroy zjawiał się zawsze pół godziny przed umówioną godziną, więc nie spodziewał się go zastać.

Czekając, wrzucił kilka monet do licznika sterującego światłami w mrocznej kaplicy i z ciemności wynurzyła się *Ostatnia komunia św. Łucji* Tiepola. Wciąż oglądał obraz, kiedy drzwi kościoła otworzyły się na chwilę. Niewysoka, przygarbiona sylwetka przez moment była widoczna na tle słonecznego dnia na zewnątrz.

Gilroy spojrział na zegarek. Tamten człowiek też przyszedł za wcześnie.

Czekał przy balustradzie. Nowo przybyły skinął mu głowa na powitanie, a potem, jakby za obopólną zgodą, obaj odwrócili się i spojrzeli na obraz.

- Domyślam się, że zna pan historię świętej Łucji - odezwał się w końcu Gilroy. - Była bogatą arystokratką, która złożyła śluby czystości i ubóstwa. Człowiek, któremu ją obiecano, sprzeciwiał się obydwu, ale zwłaszcza temu drugiemu. Za karę skazał ją na pobyt w domu publicznym. Kiedy wciąż się sprzeciwiała, kazał wydlubać jej oczy. Proszę, tam je widzimy, leżące na tacy na pierwszym planie.

Drugi mężczyzna mruknął coś niewyraźnie.

- Podporucznik Boland szuka notatek swojego ojca - dodał Gilroy.

- To rozsądne?

- Uznałem, że najlepiej pozwolić jej się przekonać, co znajdzie. Jeśli w ogóle coś jest, przyjdzie z tym do mnie. Wtedy wyrobimy sobie pogląd, co robić dalej. - Milczał przez moment, nim podjął: - Chodzi mi o to, *generale*, że tymczasem nic nie powinno się jej przydarzyć. Skutki mogłyby być fatalne, gdyby miała teraz jakiś wypadek i zostawiła na wpół zbadany trop, którym podążyłby jakiś uparty prokurator. Jak rozumiem, o mało nie doszło do tego na Sardynii. Nie wolno nam czegoś takiego powtórzyć.

Mówił cicho, ale słyhać było gniew w jego głosie.

- Wtykała nos, gdzie nie trzeba. Miała szczęście, że go nie straciła.

- Żadnych wypadków - powtórzył Gilroy.

- No dobrze - zgodził się niechętnie tamten. - Do chwili, kiedy albo znajdzie te notatki, albo ustali, że nie istnieją. Ale nie dłużej. A skoro już mowa o prokuratorach, to pewnie słyszał pan, że Flavio Li Fonti bada teraz tę drugą sprawę... Mam rozumieć, że niczego nie znajdzie?

- Zawsze coś jest do znalezienia. Ale wątpię, czy będzie to coś rozstrzygającego. Poczyniono odpowiednie kroki.

- A więc nie mamy się czego obawiać.

Mężczyzna, którego Gilroy nazywał generałem, odwrócił się i niecierpliwie ruszył do wyjścia. Tytuł był zresztą czysto kurtuazyjny - mężczyzna już wiele lat temu przeszedł w stan spoczynku, choć kiedyś był jednym z najpotężniejszych ludzi w siatce Gladio.

- Zawsze jest coś, czego należy się obawiać, *generale!* - zawołał za nim Gilroy; jego głos rozbrzmiewał dźwięcznie w kościelnym wnętrzu. - Włoskie sądy z każdym rokiem stają się mniej łaskawe i mniej podatne na wpływy. Ci, którzy nie mają zagranicznego paszportu ani immunitetu dyplomatycznego, powinni o tym pamiętać.

Generał zatrzymał się, obejrzał, a potem wrócił do Gilroya.

- Pan mi grozi?

- Zostawcie w spokoju tę dziewczynę Bolanda. Proszę mi wierzyć, są powody, dla których w tej chwili nie zależy nam na popularności.

- Może być mniej przewidywalna, niż się panu wydaje. I mniej przydatna.

Gilroy odwrócił się do obrazu świętej Łucji.

- Pamięta pan koniec tej historii? - zapytał. - Kiedy wydłubali jej oczy, próbowali siłą zaprowadzić ją do burdelu. Ale nagle stała się tak silna, że dziesięciu mężczyzn nie zdołało jej poruszyć. - Przerwał.

- Nie wolno nie doceniać siły zdeterminowanej kobiety, *generale*.

## Czterdzieści siedem

Aslam, brat Dżabbara Karimiego, miał biuro w pobliżu Taorminy. na wybrzeżu. Kat знаła miasteczko tylko z reputacji: fotogeniczne i ściągające turystów jak magnes, zamożne dzięki napływowi gości z całego świata. Russo nie chciał jej towarzyszyć, ale przynajmniej pożyczył jej samochód. Wyjechała autostradą z Palermo, potem skręciła i ruszyła węższymi drogami na skalny płaskowyż, wznoszący się kilkadziesiąt metrów nad poziomem morza. Po obu stronach leżały zadbane gaje pomarańczowe i cytrynowe, z pojedynczymi starymi i poskręcanyimi, przyciętymi drzewkami oliwnymi. Prawie w każdej zatoczce drogi siedział w cieniu rolnik, który ze skrzyni rozklekotanej trójkołowej furgonetki sprzedawał kantalupy i arbuzy. W oddali, mimo upalnego lata, szczyt masywnego stożka Etny pokrywał śnieg.

Nie udało jej się umówić z bratem Karimiego: jego komórka była wyłączona, telefon w biurze nie odpowiadał. Kiedy dotarła pod wskazany adres, na przedmieściu Giardini Naxos, przekonała się dlaczego: biuro składało się z jednego mieszkalnego kontenera, zamkniętego teraz na klucz. Okna były zakratowane; kiedy zajrzała do środka, zobaczyła dwa biurka z komputerami, a na ścianie klimatyzator i wielką mapę świata.

- Więc wreszcie ktoś przyjechał.

Obejrzała się. W jej stronę szedł ciemnoskóry mężczyzna po trzydziestce.

- Signor Karimi? - spytała.

Zatrzymał się, marszcząc czoło.

- To ten, który nie żyje.

- Wiem. - Skinęła głową. - Bardzo panu współczuję. Właśnie przyjechałam z Palermo, z mieszkania pańskiego brata. Współpracują z miejscową policją...

- Chwileczkę - przerwał jej. - Chce pani powiedzieć, że Dżabbar Karimi też nie żyje?

- Tak - potwierdziła. - AJe co to znaczy „też”? Dżabbar Karimi był pańskim bratem, tak?

Pokręcił głową.

- Nie jestem Aslamem Karimim. Jestem jego współnikiem. Aslam dwa dni temu zginął w wypadku samochodowym. Dopóki pani mi nie powiedziała, nie miałem pojęcia, że jego brat również nie żyje.

\* \* \*

- Zajmują się rekrutacją w branży IT - tłumaczyła Flawiowi, kiedy zadzwoniła do niego wieczorem - W szczególności umieszczają wykwalifikowanych informatyków na statkach; Giardini Naxos to przystanek dla wielkich wycieczkowców odwiedzających Taorminę. Na ogół w ogóle nie widzą kandydatów. Sprawdzają kwalifikacje danej osoby, jej referencje, a potem przekazują CV do armatora.

- Jakiś pomysł, jakim nazwiskiem nasz podejrzany w tej chwili się posługuje?

- Żadnego. To Aslam Karimi zajmował się wszystkimi kandydatami rekomendowanymi przez jego brata. I wiesz co? Okazało się, że jego komputer też jest wyczyszczony. Jego współnik kontaktuje się z klientami, żeby sprawdzić, czy w ostatnich dniach wysłali kogoś do pracy, ale trzeba trochę poczekać na

odpowiedzi.

- Więc...?
- Więc wygląda na to, że pułkownik Grimaldo miał rację i nasz człowiek wymknął się z kraju.
- Co teraz zrobisz?
- Wracam do Wenecji. Policja może sprawdzić pozostałe ślady. Poza tym stęskniłam się za tobą. Zaśmiał się cicho.
- Zastanawiałem się, czy to powiesz.
- To prawda! - zapewniła.

Wiedziała jednak, że jakaś część jej umysłu opiera się przed przyznaniem - nie tylko jemu, ale i samej sobie - jak bardzo go potrzebuje. Pracowała i robiła, co należy, ale przez cały czas pobytu na Sycylii czuła tępy ból w sercu.

- A co z tobą? - spytała.
- W przeciwieństwie do ciebie nie sprawia mi problemu przyznanie, że jestem zakochany - odparł rozbawiony, ale zaraz spoważniał.
- Wiesz, zaczynam podejrzewać, że w fantazjach twojej przyjaciółki coś jednak jest. Dopiero po chwili zrozumiała, że mówi o Holly.

- Tak?

- Zabójstwo Tignellego... To nie była robota pojedynczego zamachowca, Kat. To był rajd. Znaleźli na brzegu ślady dwóch wojskowych pontonów, a w błocie odciski butów z identycznym bieżnikiem. Użyto ładunków wybuchowych, żeby zniszczyć system monitoringu. Mamy fragment nagrania z kamery nadzoru, tuż przed wybuchem. Pokazuje czterech ludzi w czarnych kominiarkach. Biegną w stronę domu.

- Inaczej mówiąc, operacja wojskowa.
- Na to wygląda.
- Ale czyja?

- Na razie nie mamy żadnych wskazówek. Tymczasem przesłuchujemy wszystkich ludzi z listy Cassandrego. I wiesz co? Żaden nie chce się przyznać, że należał do loży Tignellego, chociaż u niektórych znaleźliśmy wizytówki z symbolem *carita*. Ale biorąc pod uwagę, co spotkało Tignellego i Cassandrego, trudne przesłuchanie w prokuraturze pewnie dla nich wygląda na przyjemny spacer po parku. Nie twierdzę jednak, że twoja przyjaciółka ma rację i wszystko to jest elementem jakiegoś gigantycznego, pięćdziesięcioletniego spisku. Chyba wielu ludzi uważa, że mogą tylko zewrzeć szeregi i odmówić wszelkich rozmów z nami.

- Bądź ostrożny - poprosiła: lęk ścisnął jej krtań.

- Zawsze jestem ostrożny. Ale widzisz, Kat. mamy tylko prawo. Wobec korupcji, zorganizowanej przestępczości, knozań obcych mocarstw, polityków napychających sobie kieszenie, biurokratów, którym chodzi tylko o utrzymanie swoich emerytur, i rządów gorszych niż cała reszta razem wzięta... Prawo nie jest może doskonałe. Ale to wszystko, co nam pozostało.

- Tylko jeśli tacy ludzie jak my o nie walczą.

- Owszem - przyznał. - Nie zmieniłem zdania co do wyjazdu, Kat. To moje ostatnie śledztwo. Ale nie zostawię go. A potem... Amsterdam, obiecuję.

- Amsterdam... - szepnęła.

Ta nazwa coraz bardziej zaczynała przypominać talizman. Mityczna oaza spokoju i bezpieczeństwa. Albo może ochronne hasło, przywoływane w chwilach zagrożenia.

## Czterdzieści osiem

Holly naląła sobie wina i zastanowiła się nad kolejnymi krokami. Na stoliku leżał liścik, który znalazła w skrzynce.

*Kupiłem ci trochę czasu. Nie wiem ile.*

Gilroy. Ale czasu na co? Wszystkie tropy prowadziły donikąd.

I nagle uświadomiła sobie, że nie porozmawiała o całej sprawie z osobą najbardziej oczywistą. Sprawdziła czas - na Florydzie powinno jeszcze trwać popołudnie.

- Cześć, mamó - powiedziała, gdy matka odebrała telefon.

Rozmawiały chwilę, nim Holly przeszła do sedna.

- Pamiętasz ten dokument, który znalazłam w starej skrzyni ojca? Nie wiem, czy ci o tym wspominałam, ale wydaje mi się, że mógł mieć związek ze śmiercią pana Bocardda. Czy tato wspominał, że pracowali razem... to znaczy z panem Bocarddem? Jakies dochodzenie czy plany, które razem układali?

- Och, Holly... - Matka ciężko westchnęła. - Nie wplątałaś się chyba w to wszystko?

Zastrzygła uszami.

- Co wszystko?

- Ojciec wspominał, że pana Bocardda spotkało coś bardzo niedobrego i może to wcale nie był wypadek, jak wszyscy powtarzali. Nie znam szczegółów, ale potem cały czas spędzał w pracy. Mówił, że próbuje zrozumieć, jak to się stało, że „przegląda taśmy”...

- Taśmy? Jakie taśmy?

- Nie wiem. W domu nie rozmawiał o pracy. Jak zresztą wszyscy w jego jednostce. Nawet kiedy się spotykali, ciągle używali jakichś skrótów czy kodów: Autodin, OL9, i jeszcze coś, co nazywali tropo, a co ciągle się psuło.

- Wtedy zaczął pić?

- Chyba tak. Nie mógł spać. Tylko alkohol pomagał mu się rozluźnić.

- Czy kiedykolwiek przyniósł coś do domu? Jakies notesy, zapiski?

- Nic o tym nie wiem.

- Czy mogło coś zostać w jego dawnych rzeczach z wojska?

- W jego skrzyniach? Wszystko, co zostało, oddałam firmie recyklingowej. Zjawili się parę tygodni temu. Zapukali do drzwi i zaproponowali specjalne zniżki. A kiedy powiedziałam, że był weteranem, obniżyli cenę jeszcze bardziej. Mówiłaś, że zabrałaś wszystko, co ważne, więc...

- Nie przejmuj się, mammo. - Nie podejrzewała, by ojciec trzymał w domu jakiś inny dokument, a co dopiero pudło z taśmami czy innymi nośnikami. - Ale powiedz: czy w okresie bezpośrednio przed jego wylewem zdarzyło się coś dziwnego? Cokolwiek odbiegającego od normy?

- Wiesz, za dobrze nie pamiętam, to już tak dawno... Ale chyba przestał tak długo przesiadywać w pracy. Powiedział... - Matka zastanawiała się, jakby dopiero teraz sobie o tym przypomniwała. - Powiedział, że musi podjąć decyzję.

- Jaką decyzję?

- Tego nie wiem. Ale cokolwiek to było, obejmowało też butelkę whisky. Po wylewie całkiem o tym zapomniałam.

- Myślisz, że mógł wykryć, kto zabił pana Boccarda?

- Możliwe... - W głosie matki wyczuła powątpiewanie. - Ale nie wydaje mi się, żeby miał problemy z powiedzeniem o tym policji. Coś takiego nie wymagałoby zaglądnania do butelki.

- Oczywiście - zgodziła się Holly. - Na pewno by o tym zameldował. Taki już był.

Gdyby jednak przestępstwo popełnili jego rodacy, ojciec by się dręczył.

Matka jakby czytała jej w myślach.

- Obiecuj mi, Holly...

- Co, mammo?

- Jeśli on coś zrobił... jeśli był niełojalny... obiecuj, że nie popełnisz tego samego błędu.

- Tylko że nie jestem pewna, czy rzeczywiście popełnił błąd - odparła. - Mam wrażenie, że był jedynym, który odkrył prawdę. I dlatego tak się go bali.

## Czterdzieści dziewięć

- Tak jak ostatnio, Daniele - poinstruował go ojciec Uriel. - Kiedy usłyszysz pstryknięcie w lewym uchu i poczujesz drgnięcie w lewej dłoni, spójrz w lewo. Kiedy pstryknięcie i drgnięcie będą po prawej, spójrz w prawo. Gotów?

- Gotów - potwierdził Daniele. Jego głos zdawał się dobiegać z daleka.

Przez kilka chwil ojciec Uriel swoim długopisem kierował ruchem oczu Daniele. Zdziwiło go, że pacjent tak łatwo poddaje się hipnozie. Cała literatura sugerowała, że osoby z zespołem Aspergera są praktycznie niepodatne na hipnozę, być może dlatego, że ich umysły są zbyt analityczne. Fakt, że u Daniele ta teza wyraźnie się nie sprawdzała, kazał mu się zastanowić, czy jest jakieś ziarno prawdy w teorii, że jego dolegliwość jest czymś bardziej skomplikowanym.

- Gdzie teraz jesteś? - zapytał spokojnie.

- W pokoju. Tym samym pokoju. Tym, w którym jestem przez cały czas. - Głos Daniele nabrał zaczepnych intonacji, jak u dziecka.

- Co się dzieje?

- Krzyczą. Paolo i Claudio. Ale tym razem nie na mnie. Ale chodzi o mnie. Paolo mówi, że muszą coś zrobić. Przenieść się. Zażądać mniej pieniędzy. Cokolwiek, żeby rozwiązać problem. „Jeśli tu zostaniemy, zginiemy”, mówi. I wtedy...

- Co się stało, Daniele?

- Ma pistolet - szepnął Daniele. - Wymachuje nim. Boję się. Podchodzi, łapie mnie za włosy i odciąga mi głowę do tyłu. Mówi... Mówi, że powinni ograniczyć straty i zastrzelić go. To znaczy mnie. A Claudio odpowiada: „No dobrze, zrób to”. Wtedy... wtedy...

- Tak?

- Maria krzyczy na nich, żeby się zamknęli. Claudio wybiega wściekły. Maria podchodzi i odbiera Paolowi pistolet. Całuje go. Z początku myślę, że go przytula, ale potem kładą się na podłodze i zaczynają walczyć jak w zapasach. I całują się.

- Co potem, Daniele?

- Maria mówi: „Nie przy chłopcu”. Wychodzą do drugiego pokoju. Ale zostawiają otwarte drzwi, więc dalej ich widzę. Zdejmują ubrania. Znowu się siłują i całują. - Daniele ocknął się nagle. - Pieprzyli się - stwierdził z niesmakiem, już normalnym głosem. - Jak zwierzęta.

- Pamiętasz coś jeszcze?

Daniele zastanowił się, ale pokręcił głową.

- Czuję jakieś cienie, przebłyski... ale tak jakby na granicy pola widzenia. Kiedy próbuję po nie sięgnąć, znikają.

Ojciec Uriel zauważył dziwną synestezję mowy Daniele, a także jego wyraźne zmęczenie.

- Jak mówiłem na początku, EMDR wymaga niekiedy wielu sesji, by osiągnąć skutek. Robisz szybkie postępy.



- Mówił pan też, że to jedyna terapia - rzeki Daniele. - Ale to nieprawda. Poszukałem trochę. Jest jeszcze ECT, elektrowstrząsy.

Ojciec Uriel pokręcił głową.

- W psychiatrii ECT uważane jest za absolutnie ostatnią instancję. Przepuszczenie prądu elektrycznego przez mózg w celu wywołania ataku to odpowiednik walenia młotkiem w uszkodzony komputer...

- Ale lekarze nie rozumieją też, jak działa EMDR...

- EMDR jest bezpieczne. A co do literatury na temat ECT i amnezji, to coś tylko trochę lepszego od hipotezy. Ponieważ pacjenci, którym aplikowano ECT, prawie zawsze cierpią na chwilową utratę pamięci, wysunięto teorię, że zablokowane wspomnienia mogą powrócić razem z pozostałymi. Ale to metoda wypróbowana tylko na garstce pacjentów. Większość komitetów etycznych nie chce zaakceptować ryzyka możliwych komplikacji.

Daniele przyglądał mu się chłodno.

- Jeśli nie zaaplikuje mi pan ECT, sam to zrobię.

- Co masz na myśli?

- W ciemnej sieci są miejsca, gdzie można znaleźć potrzebne informacje. Oczywiście, nie chciałbym się uciekać do takich sposobów. Wolę zrobić to tutaj, w klinice.

Ojciec Uriel tak się rozżłościł, że ledwie mówił.

- Myślisz, że jesteś pierwszym pacjentem, który próbuje ze mną takich gier? Miałem tu ludzi, którzy dokonywali zła przekraczającego twoje rozumienie. Nie zdołasz mną manipulować, Daniele.

- Nie próbuję - zapewnił spokojnie Daniele. - Ale jestem zdecydowany spróbować każdej możliwej terapii.

## Pięćdziesiąt

Holly znowu jechała na południe. Taka wyprawa zwykle poprawiała jej nastrój - rozległe równiny Padu poza Bolonią ustępowały miejsca strzelającym ku niebu górom, a małe ufortyfikowane miasteczka tuliły się do ich zboczy dla lepszej ochrony. Ale dzisiaj prawie ich nie dostrzegała.

Myślała o słowach matki: „Autodin, OL9, i jeszcze coś, co nazywali tropo, a co ciągle się psuło”. Poruszyło to w niej na wpół zapomniane wspomnienia: rozmowy ojca z kolegami, o wiele bardziej otwarte, kiedy słuchały tylko dzieci.

Kiedy dotarła do Camp Darby, ukrytego w sennych sosnowych lasach, porastających obszar między Pizą a morzem, pokazała przy bramie kartę CAC.

- Wie pani, jak trafić, ma'am? - spytał grzecznie wartownik.
- Centrum recyklingu. Prosto do plaży, a potem w lewo, za silosami pocisków. Zgadza się.
- Tak jest, ma'am - potwierdził i zsalutował.

Centrum recyklingu było wielkim hangarem ustawionym między drzewami. Kilka ciężarówek stało przed nim równym rzędem, wszystkie pod kątem dokładnie czterdziestu pięciu stopni względem ściany.

- Czego tam?! - usłyszała podejrzliwy głos. Obejrzała się na posiwiąłego, kulejącego mężczyznę, który szedł sztywno w jej stronę. Wielkie brzuszysko napinało guziki munduru. Sierżant sztabowy

Kassapian miał może jeszcze rok do emerytury, ale swój ośrodek recyklingowy prowadził z rygiem godnym starej szkoły. - Ma'am - dodał jakby po namyśle.

- Sierżancie... To ja, Holly Boland.
- No faktycznie. - Obrzucił ją wzrokiem, w którym mógł się ukrywać najłżejszy cień uśmiechu. -

Ale czego pani chce?

- Sięgnąć do waszego mózgu, sierżancie.

Parsknął niechętnie.

- Gdybym go miał, to czybym jeszcze tu tkwił?

- Chodzi mi o pewne rzeczy, które zdarzyły się dawno temu. Nie sądzę, by z czasów mojego ojca pozostał jeszcze ktoś, kogo mogłabym zapytać.

- Nie, nie ma takich - przyznał. Gestem wskazał rozrzucone przy ścianie hangaru dziesięciometrowe stosy papierów. - Ale nie będzie pani wnosić żadnych dokumentów, co? Bo ostatnim razem, jak pani to zrobiła, miałem kłopoty.

- Tego, czego szukam, na pewno tu nie ma - uspokoiła go. - Chodzi o to, że nie wiem, gdzie może być. Szukam jakichś zapisów, może na taśmach, które mój ojciec schował w bezpiecznym miejscu.

Myślała przez chwilę. Miała jednak wrażenie, że nie tyle przeszukuje pamięć, ile zastanawia się, czy jej coś powiedzieć.

- Nic nie przychodzi mi do głowy - odparł w końcu.

- A właściwie co mój ojciec robił w Camp Darby? Wiem, że dowodził jednostką, która miała coś wspólnego z Autodinem. To pewnie kryptonim. Ale co to było, ten Autodin?

Prychnął lekceważąco.

- Dzisiejsze dzieciaki... Myślą, że wszystkie rozumy zjadły, a nic nie wiedzą. Autodin to żaden kryptonim, to Automatic Digital NetWork. Bezpieczny system komunikacji dla całej naszej armii. Kiedy jeszcze nie mieliśmy e-maili, a komputer był wielkości ciężarówki, tak właśnie przesyłaliśmy informacje.

- A jak działał?

Wzruszył ramionami.

- Mówili mi, że na mikrofalach. Ale nie takich, jakie są w mikrofalówkach. tylko takich, co latają po niebie. Człowiek chciał wysłać bezpieczną depeszę, to szedł do baraku i operator wklepywał ją do komputera. Nie było żadnych satelitów ani internetu. Wszystko szło przez tropo.

- A co to jest tropo? Domyślam się, że element tego systemu.

Przytaknął.

- Troposcatter to był przekaźnik, ten kawałek, który wszystko ze sobą łączył. W każdej bazie były takie baraki i talerze tropo.

- Czyli ojciec miał dostęp do wszystkich depesz wysyłanych z i do Waszyngtonu? I depesz z innych baz?

- Wszystkie przechodziły przez Camp Darby, jasna sprawa - przyznał ostrożnie. - Byliśmy centrum przekaźnikowym dla całego kraju. Ale nie mówię, że je czytał. Niby po co? Większość była utajniona.

Przypomniała sobie słowa matki: „Przegląda taśmy”.

- A CIA? Używała tej samej sieci?

- Pewno. Był tylko jeden Autodin. I utrzymywało go wojsko.

- Więc dlatego mój ojciec zaangażował się w Gladio - domyśliła się. - Nadzorował ich szkolenie w technice łączności operacyjnej.

Zrozumiała, że ojciec zajmował szczególną pozycję - w samym środku globalnej amerykańskiej sieci tajnych operacji. Taki człowiek, jeśli zaczął kopać, nie narzekał na brak materiałów do przekopania.

- Co się stało z systemem Autodin? Wciąż jest używany?

Kassapian pokręcił głową.

- Wycofali go w dwu tysięcznym roku. Większość była zdumiona, że przetrwał tak długo. Ale te stare zestawy budowali porządnie. Już wtedy służył tylko jako rezerwa, ale w końcu nie opłacało się utrzymywać ekip serwisowych.

- Więc sprzęt też zniknął?

Znów się zawahał.

- Właściwie tak. Zostały jakieś części w którymś z hangarów magazynowych.

- Mogę zobaczyć?

Poskrobał się po głowie.

- Nie widzę powodów, żeby nie. Zabiorę tam panią.

Przeszłaby piechotą, ale on wdrapał się na siedzenie kierowcy pedantycznie wyczyszczonego wojskowego jeepa.

- Ta strefa to głównie składy - wyjaśnił, wskazując długie niskie budynki, stojące jak okiem sięgnąć i częściowo osłonięte drzewami.

- Pociski balistyczne i zakonserwowana amunicja. Mamy w naszej lodówce osiem tysięcy ton materiałów wybuchowych. - Zaśmiał się, widząc jej reakcję. - Można się przyzwyczaić. Jakby coś się tu

stało, to pewnie by wałnęło mocniej niż w Hiroszynie. Ale nic się nie stanie. Mamy takie procedury, że już nam uszami wychodzą.

- Ile ich jest? - spytała, odwracając się, by lepiej widzieć.

- Hangarów? Sto dwadzieścia cztery. Pamięta pani wojnę w Zatoce? Każdy pocisk, każdy nabój pochodził z jednego z tych tutaj. Plus ciężarówki, racje, materiały budowlane, namioty... Tutejsza misja w ciągu czterdziestu ośmiu godzin powinna być w stanie wysłać do dowolnego miejsca na świecie brygadę pięciu tysięcy ludzi razem ze wszystkim, czego im trzeba, żeby prowadzić wojnę. Z czystymi gatkami włącznie. No, jesteśmy.

Zaparkował przy następnym hangarze. Zostawił silnik na chodzie, wyskoczył i odsunął wrota akurat tyle, żeby zmieścił się jeep.

Wewnątrz betonowa podłoga lekko opadała. Po obu stronach stały rzędy kontenerów, niektóre osłonięte brezentem. Kassapian zatrzymał się, żeby włączyć światło - równoległe linie jarzeniówek migotały i rozjaśniały się kolejno jak lampy na pasie startowym. Wrócił do jeepa i pojechali na tył hangaru.

Zatrzymał się przy niskiej wysepce metalowych szaf, z których każda była wysokości człowieka. Dopiero kiedy Holly przyjrzała im się dokładniej, zrozumiała, że to części dawnego sprzętu komputerowego. Wszystkie brutalnie wyrwano z miejsca, gdzie były zainstalowane, i teraz smętnie zwisały z nich nagie kable. Niektóre z szaf były pogięte i uszkodzone. A jednak obudziły wspomnienia, przelotną wizję dawnych odwiedzin u ojca w pracy.

Zamrugnęła i wizja zniknęła.

- To nie to - stwierdziła zniechęcona. - Cokolwiek znalazł ojciec, na pewno zostawiłby to w bezpieczniejszym miejscu. Może coś jeszcze zostało?

Kassapian milczał, przygryzając wargę. Przypomniała sobie, jak się poprzednio wahał.

- Jest takie miejsce, prawda? Zabezpieczone, ale takie, że ojciec miał tam dostęp.

- No niby jest stare C3 - przyznał. - Wtedy mieliśmy o tym nie mówić. Ale myślę, że teraz to już nie zaszkodzi.

- C3? Command, Control, Communication?

Kwadratowa twarz Kassapiana niemal się wykrzywiła w uśmiechu.

- Więc nie zapomniała pani wszystkiego, co ojciec pani opowiadał.

- Wszystkiego nie. Ale gdzie to jest? Bo przecież nie gdzieś blisko...

W czasie zimnej wojny centra C3 umieszczano w bunkrach głęboko pod ziemią.

Pokręcił głową.

- Nie tutaj, nie. Morze za blisko, a zresztą chcieli je mieć możliwie daleko od amunicji.

\* \* \*

Wyjechali jeepem poza obóz i skręcili na północ. Droga biegła wzdłuż wybrzeża. Wszędzie tłoczyli się włoscy letnicy z lodami i butelkami wody w rękach. Dziwny był widok tych turystów w plażowych kostiumach, spacerujących swobodnie o półtora kilometra od ośmiu tysięcy ton materiałów wybuchowych.

- Pamiętam, że tato zabrał mnie kiedyś do radiostacji gdzieś w pobliżu! - zawołała, przekrzykując szum wiatru, kiedy wjechali na autostradę. - Parę baraków i takie wielkie talerze anten. Powiedział, że to tam Marconi nadał pierwszą transmisję radiową.

Kassapian pokiwał głową.

- Coltano. Tam były główne anteny troposcatterów. Teraz wszystko się tam wali.

Po dwudziestu minutach skręcił na zjazd do Pietrasanta. I prawie natychmiast krętą drogą zaczęli się wspinać w góry. Z przeciwnej strony z warkotem nadjechała ciężarówka, ciągnąc wyładowaną białymi kamieniami przyczepę.

- Marmur - wyjaśnił Kassapian. Zjechał na pobocze, żeby zrobić miejsce. - Podobno świetny

materiał. Tutaj przyjeżdżał Michał Anioł, kiedy szukał czegoś specjalnego.

W końcu skręcili w nieoznakowaną drogę prowadzącą prosto pod strome zbocze góry. Najwyraźniej znajdował się tu kiedyś kamieniołom. I tylko dyskretnie odsunięta od drogi wojskowa wieża strażnicza sugerowała, jak później wykorzystano to miejsce.

- Sam nie wiem, czemu to wszystko zakonserwowali, zamiast zwyczajnie zostawić, tak jak Sorrate i West Star - stwierdził. - Co parę miesięcy ktoś tu zagląda, żeby sprawdzić, czy borsuki nie dostały się do środka. Ale całość właściwie nie wymaga niczyjej obecności. Kamień utrzymuje wilgotność na niskim poziomie. Może dlatego nie zlikwidowali centrum. A może po prostu zapomnieli.

Przed nimi stał hangar, całkiem podobny do tych z Camp Darby, tyle że przylegający do zbocza. Gdy Kassapian wyjął klucz, otworzył i odsunął wrota na rolkach, stało się jasne, że barak stoi wyłącznie po to, by ukrywać prawdziwe wejście do schronu, uformowaną z utwardzanego żelaza tarczę wysokości ciężarówki. I chociaż miała wbudowaną przeciwwagę, potrzebne były siły ich obojga, żeby ją odciągnąć.

- Weźmiemy wóz - powiedział, kiedy się wreszcie udało. - Inaczej trzeba dużo czasu, żeby tam w środku gdziekolwiek się dostać.

Wrócił do jeepa i zaczął na nią. Holly przez chwilę stała nieruchomo, zaglądając niepewnie w ciemny wylot tunelu.

- Co się dzieje?

Jestem przerażona, chciała odpowiedzieć. Nie wejdę tam. Zauważyła, że drży. W takiej właśnie podziemnej instalacji, z wrotami całkiem podobnymi do tych, mężczyzna w amerykańskim mundurze rozebrał ją do naga i torturował fizycznie, psychicznie i seksualnie.

- Jest pani oficerem armii amerykańskiej, Boland, zgadza się? Bo dobrze widzę te oznaczenia na pagonach. Nie ma się tam czego bać, jeśli nie liczyć kilku pajaków. - Kassapian wysiadł z wozu i podszedł do skrzynki z bezpiecznikami. - Może tak będzie lepiej.

Przed nimi zapaliły się światła.

- Przepraszam, sierżancie. Musiałam się zebrać w sobie.

Wsiadła do jeepa.

Im dalej wjeżdżali w głąb góry, tym częściej paliły się lampy. Co kilkaset metrów mijali kolejne pancerne wrota. Było bardzo zimno.

- Cały ten kompleks był samowystarczalny, ma się rozumieć - tłumaczył Kassapian. - Mieli własną siłownię hydroelektryczną, kanalizację, wodociąg. A nad nami jest prawie kilometr litej skały. Rosjanie mogli atomówkami posłać do nieba cały Camp Darby, a tutaj dalej by wszystko działało. - Skinął na boczny tunel, oznaczony wymalowanym łuszczącą się farbą napisem „Roosevelt Drive”. - Tam były sypialnie. Nazywali je krecimi norami. Dwieście łóżek piętrowych dla sześciuset ludzi.

- A co z rodzinami? Było tu dla nich miejsce?

Pokręcił głową.

- Dla nikogo, kto nie był niezbędny.

Pomyślała o ojcu. Czy potrafiłby to zrobić, gdyby w chwili kryzysu atomowego dostał taki rozkaz? Potrafiłby pożegnać się z żoną i dziećmi - z nią się pożegnać - z udawaną swobodą, żeby nie dać im poznać, dzieje się coś niedobrego, a potem wejść za te pancerne wrota i czekać, aż śmiertelne promieniowanie zabije wszelkie życie na powierzchni?

Pewnie by potrafił, rozkaz to rozkaz. Zresztą jaka była alternatywa? Zginąć z rodziną, zamiast walczyć z nieprzyjacielem, to przecież najgorsza dezercja z możliwych.

Kassapian zahamował i wyłączył silnik.

- Stąd pójdziemy piechotą.

Przeszli przez mniejsze wrota obok wnęki oznaczonej jako DEKONTAMINACJA/PRYSZNICE. Otwarte metalowe szafki zawierały stopy kombinezonów antyradiacyjnych i masek. Strop był tu tylko trochę wyżej niż w okręcie podwodnym i Holly poczuła, jak ogarnia ją klaustrofobia i lęk ściska żołądek.

To tylko psychika mi szwankuje, tłumaczyła sobie. Jak mówił sierżant: jesteś oficerem armii amerykańskiej. Weź się w garść.

Dostrzegła więcej łuszczących się napisów na ścianach. Z jednej strony STOŁÓWKA, z drugiej LATRYNY. Ku jej zaskoczeniu był tu również maty dwumiejscowy zakład fryzjerski, z wiszącymi na metalowym wysięgniku elektrycznymi maszynkami. Nawet podczas konfliktu jądrowego armia USA nie miała zamiaru tolerować długich włosów.

- To tutaj - oświadczył Kassapian, otwierając drzwi z napisem DOWODZENIE. Wewnątrz, z galerii obserwacyjnej, zobaczyła pomieszczenie trzy razy wyższe od pozostałych, którego jedną ścianę zajmowała wielka mapa świata. Zaznaczono na niej większe miasta oraz amerykańskie bazy. Przed mapą stały cztery długie pulpity, każdy z miejscami dla dwunastu ludzi. Obok każdego fotela stał wielki bakelitowy telefon. Tu i tam w pulpit wbudowano coś, co wyglądało na ekrany radarowe albo bardzo stare monitory komputerowe. Nawet fotele kojarzyły się jej jakoś z dzieciństwem: szerokie, solidne, świadczyły o fizycznej obecności silnych i mocno zbudowanych wojowników.

- Operator Autodinu siedział tam. Ale sprzęt jest tutaj. Tutaj byłoby miejsce pani ojca.

Kassapian otworzył kolejne drzwi i włączył światło. Pokój miał jakieś sześć na dziesięć metrów i był wypakowany takim samym komputerowym sprzętem, jaki widziała w hangarze magazynu. Tamten jednak, ze zwisającymi kablami, był zdemontowany i zaniedbany; tutaj wszystko pozostawiono uporządkowane, zakonserwowane i gotowe do wojny. Niemal się spodziewała, że Kassapian wciśnie jakiś wyłącznik, a wszystkie przekaźniki, czytniki taśm i ekrany kineskopowe zamigoczą, budząc się do życia, wypełniając pokój dyskretnym i zgranym szumem.

- To jeszcze działa? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Pewnie tak. Gdyby pani wiedziała, jak to draństwo uruchomić. Na jednym z blatów zauważyła równy stosik instrukcji. Zajrzała do leżącej na wierzchu.

*Obwody funkcjonalne AUTODIN skonstruowane są z użyciem protokołu CZERWONE/CZARNE, w którym nieszyfrowane dane (strona CZERWONA) są fizycznie odseparowane od obwodów szyfrujących (strona CZARNA). Typowy obwód danych łączy Jednostkę Składowania i Dystrybucji z panelem CZERWONYM poprzez Kontrolę Techniczną.*

W żaden sposób nie potrafiłaby się w tym połapać. Poza tym miała wrażenie, że do obsługi systemu konieczna jest niewielka armia techników.

Drzwi oznaczone jako MAGAZYN TAŚM prowadziły do niewielkiej komórki z boku. Wszystkie ściany były zastawione półkami ze szpulami taśm i pudłami dyskietek.

- Tutaj jest skarbiec - wyjaśnił Kassapian, wchodząc za nią. - Jak katalog „Wysłane” w poczcie na komputerze, tylko że ma prawdopodobnie o wiele mniejszą pojemność. System automatycznie robił kopie każdej wiadomości. Jeśli zaginęła, operator mógł wyszukać ją tutaj i wysłać jeszcze raz.

Przyjrzała się równym rzędom pudeł. Niektóre były opisane nazwami dawnych misji: „Operacja Anielski Ogień”, „Operacja Górski Krzyż”, „Operacja Morska Wolność”...

- To jest najbezpieczniejsze miejsce, prawda? - mruknęła jakby do siebie. - Tylko niewielka grupka w ogóle wiedziała o istnieniu tego schronu. Jeśli tata chciałby coś ukryć, przyniósłby to tutaj.

Kassapian wzruszył ramionami.

- Możliwe.

Rozglądała się wśród półek. „Operacja Polna Droga”. „Operacja Otwarte Morze”.

I wtedy zobaczyła.

„Operacja Wzgardzona Ziemia”

Jakby znowu stał przy niej, usłyszała głos ojca, recytujący strofy Kiplinga:

*Grody i Trony w obliczu czasu*

*ważą zaledwie tyle,*

co wátle kwiecie łąki i lasu,

żyjące chwilę.

Ale jak z wiosną pąki nowemi

tryska kwiat młody,

tak z wyczekanej, wzgardzonej Ziemi

znów wstają Grody.

Sięgnęła po pudło. Wewnątrz znalazła rolkę taśmy magnetycznej i pakiet sześciu ósmiocalowych dyskietek.

Jakikolwiek był powód, dla którego ojciec o mało co nie zginął, teraz trzymała go w ręku.

\* \* \*

Wracali do jeepa, kiedy usłyszeli stłumiony dźwięczny huk, odbijający się echem w korytarzach. Kassapian zerknął na nią z ukosa.

- Pewnie borsuki.

I kolejny huk, tym razem głośniejszy.

- Borsuk, który potrafi wykopać stalowe wrota? Nie wydaje mi się.

- Przyspieszyła kroku. - Jest stąd inne wyjście?

Wzruszył ramionami.

- W teorii. Te tunele przebijają się przez górę na drugą stronę.

- Dlaczego w teorii?

- Wątpię, czy ktoś ostatnio używał rezerwowego wyjścia. Mogli je nawet zaspawać, kiedy konserwowali całą instalację. - Lekceważąco machnął ręką w stronę źródła hałasu. - Pewnie ktoś nas zauważył na monitoringu i uznali, że lepiej sprawdzić. Pogadamy z nimi.

Znowu huk, i następny.

- Nie! - oświadczyła. - Nie mogę ryzykować.

Zmarszczył czoło, zaskoczony jej zdenerwowaniem.

- Tak naprawdę to powinniśmy też dostać zezwolenie na zabranie tych dyskietek. Pewnie trzeba je pokwitować...

Przyjrzała mu się. Po sześćdziesiątce, ociężały po latach piwa i pizzy... Był zbyt dumny, by się do tego przyznać, ale nie nadawał się już do walki. Wybrał więc łatwiejszą opcję ścisłego przestrzegania regulaminów.

- Sierzancie Kassapian - zwróciła się do niego z desperacją. - Jakim człowiekiem był mój ojciec?

- No więc... - Zastanowił się. - Ted był solidny. Jeden z najlepszych.

- Ukrył te dyski, bo nie chciał, żeby ktokolwiek inny je znalazł. A teraz odkryła je jego córka. Jak myślicie, gdyby był tutaj, czy chciałby, żebyśmy poszli do tych, co nas szukają, czyby powiedział: „Spróbujmy drugiego wyjścia”?

Westchnął.

- Za stary już jestem na takie rzeczy.

- Więc spróbujmy ich uniknąć - odparła, ruszając do jeepa. - Mam przeczucie, że najlepszy sposób to wynieść się stąd. zanim tamci tu przyjdą i nas znajdą.

\* \* \*

Pojechali jeszcze jednym długim tunelem. Powietrze było trochę stęchłe, a Holly czuła na twarzy nici pajęczyn.

W końcu dotarli do kolejnych pancernych wrót. Wydawało się, że nie są zaryglowane, ale tak długo stały nieruszane, że teraz nawet we dwójkę nie zdołali ich otworzyć.

- Użyjmy jeepa - zaproponowała.

Kassapian pokręcił głową.

- Nie chcę ryzykować otarcia zderzaka.

Gdzieś w głębi tuneli usłyszała warkot silnika.

- Przykro mi, jeśli zaliczycie za to naganę, sierżancie - powiedziała, siadając za kierownicą. -

Zrzucicie winę na mnie, jakby co.

Podjechała pod wrota i wcisnęła pedał gazu. Tylne koła zabuksowały, a z rury wydechowej wydobył się czarny dym.

- Jeśli już chce pani to zrobić, to jak należy! - zawołał Kassapian, przekrzykując warkot. Wskazał palcem dźwignię. - Trzeba włączyć napęd na cztery koła, a potem bieg terenowy.

Wykonała polecenie i spróbowała jeszcze raz. Wrota otworzyły się ze zgrzytem zardzewiałych zawiasów.

- Kobiety za kierownica... Gorzej, dziewczyny za kierownicą... - burczał Kassapian, siadając obok. - Rok do emerytury i takie coś mnie spotyka. To znaczy, o ile w ogóle mi tej emerytury nic zabiorą.

\* \* \*

W bazie przesiadła się do swojego samochodu i zostawiła wciąż naburmuszonego Kassapiana przy jego stosach papierów. Ale wcześniej zdążyła go wprowadzić w zakłopotanie, gdy uścisnęła go mocno.

Czy tylko jej się zdawało, czy rzeczywiście wartownik, który przesunął jej kartę przez szczelinę czytnika, poświęcił na to trochę więcej czasu niż naprawdę potrzeba? Czy to jakaś wiadomość, która pojawiła się na ekranie, kazała mu na chwilę odwrócić głowę, zanim z tum spojrział na nią z obojętną miną i zasalutował?

Wracała trasą wzdłuż wybrzeża, ciągle zerkając w lusterko wsteczne. Jechała A12 do La Spezia, potem A15 w głąb lądu. Cały czas zmieniała prędkość, żeby łatwiej zidentyfikować śledzących. Więcej niż raz miała wrażenie, że zauważyła ogon, ale podejrzany samochód wkrótce zostawał w tyle albo ją wyprzedzał.

Co oznaczało, że albo wpada w paranoję, albo tamci są profesjonalistami. Co prawda prawdziwi zawodowcy nic musieliby za nią jeździć. Wiedziała, że nie ma sposobu, by zauważyć drony z Sigonelli albo Aviano, krążące po niebie trzy kilometry nad nią, a tym bardziej satelity Atlas V albo Delta IV na orbicie kilkadziesiąt kilometrów wyżej.

W pobliżu Wenecji zatrzymała się na stacji benzynowej i wyjęła telefon. Ku jej zaskoczeniu Daniele odebrał od razu.

- Mogę się z tobą spotkać? Chciałabym ci coś pokazać.

- Jasne.

Rozłączył się bez pożegnania. I tym razem z pewnością nie było wytworem jej wyobraźni to ciche jak szept echo jego głosu, powracające z drugiego końca świata: pogawędka satelitów na martwej linii.



## Pięćdziesiąt jeden

Daniele wysłuchał jej uważnie. Od czasu do czasu marszczył czoło. Kiedy skończyła, wyciągnął rękę.

- Daj mi swój telefon.

Wręczyła mu, a on wyjął ze środka baterię.

- I kartę CAC.

Jedno i drugie owinał folią aluminiową i schował do zamrażalnika.

- Teraz chodź.

Na górze wyłączył z gniazdka telewizor, a potem na komputerze otworzył panel routera.

- Co robisz?

- Wyłączam swoje Wi-Fi. Zrób w mieszkaniu to samo. I zdobądź jakieś telefony, które potem możesz wyrzucić. Przy Santa Lucia są miejsca, gdzie możesz kupić przedpłacone karty SIM, bez żadnych pytań. Czy zostawiałaś kiedyś swój telefon tak, że go nie widziałaś?

Zastanowiła się.

- Raczej nie.

- To już coś. Chociaż oni nie potrzebują już twojego fizycznego aparatu. NSA ma taki spyware'owy programik, nazywa się DROPOUT JEEP, który daje im zdalny dostęp do każdej aplikacji w iPhone. Mogą włączyć kamerę, uruchomić mikrofon, nawet jeśli nie dzwonisz, czytać twoje e-maile i SMS-y, a nawet śledzić twoje położenie przez GPS.

- Czyli ten rezerwowy telefon nie powinien być iPhone'em...

- Nie może pracować ani na Androidzie, ani blackberrym. Jeśli to smartfon, to prawdopodobnie zły wybór.

- Co może być na tych dyskach, że są dla nich takie ważne?

- Nie wiem. Gdybym miał ośmiocalową stację, może bym je odczytał. Niestety, nie widziałem takich już nie wiem od jak dawna.

- A można taką zdobyć?

- Spróbujemy na eBayu. - Podeszedł do komputera i sprawdzał przez chwilę. - Wciąż można znaleźć parę używanych - oświadczył.

- Ten stary sprzęt osiąga niesamowite ceny.

- A co z taśmą?

- To może być trudniejsze. Ale podejrzewam, że taśma i dyskietki zawierają ten sam materiał. Na pewno zachował kopię na każdym nośniku, dla bezpieczeństwa. Ale pamiętaj, wszelkie materiały magnetyczne z czasem tracą zapisy. Dyski mogły się zdemagnetyzować, ich zawartość może być zaszyfrowana. Nie mamy żadnej gwarancji.

Daniele wydawał się inny niż podczas jej poprzedniej wizyty: wyrażał się bardziej płynnie, rzadziej uciekał wzrokiem.

- Jak ci idą sesje z ojcem Urielem? - spytała.

Wzruszył ramionami.

- Przekonałem go. Żeby zastosował na mnie elektrowstrząsy.

Spojrzała zdziwiona.

- Czy to nie trochę... barbarzyńskie?

- Tylko na filmach - odparł spokojnie. - Teraz robią to w znieczuleniu ogólnym. I bardzo oszczędnie gospodarują prądem.

- Mimo wszystko nic wygląda to na terapię, którą ojciec Uriel skłonny jest stosować.

- Nie jest.

Nie tłumaczył, jak przekonał psychiatrę.

- Powinam już iść.

Podeszła do okna. Przeszukując wzrokiem *calle* na dole, zauważyła w jakiejś wnęce żebraka - naciągnięty kaptur skrywał jego twarz. Narkoman, oceniając na oko.

Przypomniała sobie chłopaka w piętrowym garażu.

- To ten sam typ - oświadczyła wolno.

- Kto?

Pokazała mu.

- Nie zapomnę go. Mało brakowało, żebym psiknęła mu gazem pieprzowym w twarz.

Przyjrzał się jej.

- Jeśli chcesz, możesz zostać u mnie. Właściwie bardzo bym chciał. Zawahała się. To prawda, nie chciałaby zostawać teraz sama. A po niedawnym ataku lęku przed wejściem do bunkra czuła się bardziej niż od wielu miesięcy gotowa na to, co sugerował Daniele. Ale z doświadczenia wiedziała, że w kontaktach z nim nie zawsze należy polegać na swoich domysłach czy założeniach.

- Żeby to było jasne... Jeśli zostanę, czy proponujesz, żebym się z tobą przespała?

Zastanowił się.

- Myślę, że gdybyś to zrobiła, toby ci pomogło.

Zaśmiała się głośno.

- Ktoś ci mówił, że masz niesamowite sposoby podrywania? Zdziwił się.

- Czemu? To nieprawda?

- Nie - przyznała. - Wydaje mi się, że chyba masz rację.

\* \* \*

Kilka kilometrów od nich, w Mestre, Kat bolały mięśnie od mieszania strzępków dorsza z oliwą. Przygotowała już *seppie in nero*, mątwy pocięte w cienkie plastry, i ugotowała w ich własnej sepii z cebulą, białym winem i czosnkiem. Bulgotały łagodnie na kuchence już od czterdziestu minut, prawie tyle, ile mieszała *baccala*.

Co to oznacza, że przygotował je dla Flavia dwie potrawy, które dla niej były symbolem weneckiej kuchni z dzieciństwa? - zastanawiała się. Owszem, dorsz nie pochodził z laguny, ale z Lofotów w Norwegii, daleko za kręgiem polarnym, gdzie złowione ryby suszono potem w zimnych letnich wiatrach. Ale weneccjanie byli kupcami tak samo długo jak rybakami i miasto nie znało potrawy bardziej tradycyjnej niż *baccala mantecato*. Zagotowała już dorsza w mleku, aż zmiękł. A teraz musiała ubijać go z oliwą, kropla po kropli, jakby robiła majonez. Zwykle wykorzystywała do tego mikser, ale prawdziwi tradycjoniści, jak jej *nonna*, zawsze twierdzili, że najlepsza jest drewniana łyżka.

Postanowiła powiedzieć Flawiowi, że też użyła miksera, by potem nie oczekiwał, że za każdym razem będzie używała łyżki. Jeśli uwierzy, że tak dobrze jej poszło z mikserem, nie będzie się upierał przy bardziej męczącej metodzie.

Chytre plany oszukania go w sprawach kulinarnych przywołały uśmiech na jej twarzy. Ich wspólne życie - wciąż nie całkiem potrafiła myśleć o nim jak o małżeństwie - będzie nie tylko spotkaniem umysłów, ale też pojedynkiem woli. Tego była pewna. I odkryła, że perspektywa kłótni z nim wydaje się jej równie atrakcyjna jak ta, że będzie przez niego kochana. O ilu mężczyznach można coś takiego

powiedzieć?

Zerknęła na zegar - minęła już północ. Zadzwoił do niej wcześniej i uprzedził, że będzie pracował do późna.

- Dobrze mi idzie - powiedział. - Trafiłem na kilka bardzo obiecujących tropów. Prowadzą do samego serca władzy, Kat. Są bardzo potężne osoby, które miały wiele powodów, by nie dopuścić do sukcesu Tignellego.

- Rzym? - spytała cicho.

Od chwili, kiedy w *peschiera* znalazła poszarpane, na wpół zjedzone przez węgorze ciało, zadawała sobie podstawowe pytanie każdego śledczego: *qui bono*? Kto najbardziej skorzystał na śmierci Tignellego? A odpowiedź zapewne kryła się w uwadze, którą wygłosił Vivaldo Moretti przy obiedzie w La Colomba. Gdyby Tignellego powiodło się wyprowadzenie bogactw Wenecji Euganejskiej z państwowego skarbcza,

Włochy by zbankrutowały. Wątpiła, czy jakikolwiek minister czy urzędnik rządowy wydał oficjalny rozkaz w takiej sprawie, ale zabójstwo Tignellego nosiło wszelkie znaki spazmu włoskiego *stato profundo*, „głębokiego państwa”, ukrytego w mroku i wiecznie zmiennego sojuszu polityków, tajnych służb, przemysłowców i przestępców w białych kołnierzykach, dla których wpływy i korupcja stanowiły po prostu dwie strony tej samej monety. Dwie kule ocaliły Włochy - co być może stanowiło największą ironię. Cały ten skorumpowany motłoch został uratowany przed samozwańczym czyścicielem, który i tak nie był ani lepszy, ani gorszy od całej reszty.

- Niezupenie. Nie mogę przez telefon. Pogadamy, jak przyjadę - obiecał.

- Nakrywam do stołu dziesięć po dwunastej i ani minuty później.

Roześmiał się.

- W takim razie lepiej, żebym się nie spóźnił, prawda?

*Baccala* była zwykle podawana na zapiekanej polencie czy nawet chlebie, ale dzisiaj przygotowała ją na sposób istriański, z płatkami makaronu, kilkoma siekanymi anchois i garścią tartej bułki. Tę potrawę zawsze szykowała *nonna* na wigilię Bożego Narodzenia, kiedy powinni zachowywać post przed głównym świętem.

Otworzyła butelkę chłodnego tokaju i raz jeszcze skosztowała swego dzieła. Z satysfakcją uznała, że *baccala* jest doskonała.

Zabrzączał telefon. Spojrzała na ekran i zobaczyła, że wysłał jej wiadomość.

*Będę za moment. Całusy*

Nucąc pod nosem, naląła do rondla wody na makaron, po czym wyjrzała przez okno. Samochód Flavia właśnie zatrzymywał się na ulicy. Patrzyła, jak wysiada, i serce zabiło jej mocniej. Pochylił się, by powiedzieć coś ochroniarzowi. A potem klepnął dłonią w dach, dając sygnał, że może jechać.

Wydaje się energiczny, wcale nie zmęczony, pomyślała; miał dobry dzień.

Ale ta myśl dopiero formowała się w jej głowie, kiedy ulicę rozjaśnił nagły rozbłysk. Z początku nie rozumiała, co to takiego: błyskawica? Lampa fotografa? Zastanawiała się jeszcze, kiedy dotarł do niej dźwięk: uderzenie niskiego ciśnienia, jakby tryskający przez otwór strumień wody, który wcisnął jej policzki i pchnął w splot słoneczny. I zaraz potem jaskrawy wybuch benzyny, pomarańczowy płomień, który wyrwał się z rozerwanego dachu samochodu niczym monstrualna meduza. Prawie nie zauważyła zgrzytu dartego metalu i lecących na wszystkie strony odłamków. Wszędzie wokół szyby sypały się z okien jak wodospady szkła; ta, przez którą patrzyła, pękła z trzaskiem, kiedy kawał asfaltu ze świstem przefrunął jej nad głową i wbił się w ścianę pokoju. Samochody na ulicy wpadały na siebie i przez moment miała wrażenie, że to jakaś gigantyczna kraksa. AJe kiedy rozwiął się czarny dym, zobaczyła, że to siła wybuchu cisnęła zaparkowanymi pojazdami w górę. W miejscu, gdzie stał Flavio - gdzie był samochód, ochrona, wszystko: moja miłość, całe moje życie - pozostał tylko krater. Odłamki wciąż bębniły i odbijały się od dachów samochodów i budynków; po chwili zapadła dzwoniąca w uszach

cisza. A jeszcze potem piękny szary popiół posypał się na całą scenę niczym zerwane wiatrem z gałęzi płatki kwiatów wiśni.

## Pięćdziesiąt dwa

Wszystko pogrążyło się w chaosie. Ulica wypełniła się wyrwanymi ze snu ludźmi, którzy wybiegli, żeby pomóc. Było przynajmniej kilkunastu rannych, głównie z mieszkań na parterze, pokaleczonych odłamkami szkła. Wyły alarmy samochodowe, potem syreny: przyjechali karabinierzy i policja, wozy straży pożarnej i karetki.

Nie pamiętała, jak zbiegła po schodach. Oszołomiona chodziła tam i z powrotem po ulicy, próbując odszukać jego ciało albo to, co z niego zostało, cokolwiek. Znalazła zerwany wybuchem męski but Corvaro z trochę startą podeszwą. Potem, kilka minut później, zobaczyła jego nogę, wygiętą i wystającą spod zaparkowanego samochodu. Pochyliła się, żeby go wyciągnąć, spodziewając się ciężaru ciała. Ale noga wysunęła się łatwo, do niczego nieprzytwierdzona, i Kat usiadła zaskoczona.

Wciąż trzymała tę nogę i tuliła ją do siebie jak dziecko, kiedy podeszli ludzie z pogotowia i delikatnie spróbowali ją odebrać.

- Nie - powiedziała, a raczej spróbowała powiedzieć. - Najpierw pomóżcie rannym.

Z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk... Ale to może uszy nie działały, nie głos, bo zobaczyła, że sanitariusz odpowiada - odczytała to z ruchu warg - że właśnie pomaga rannym: jej.

Pozwoliła wytrzeć sobie krew z rany poniżej ucha - nawet jej nie zauważyła. Założył prowizoryczny opatrunek. Zamknęła oczy. Ogarnęło ją potworne, otepiałające zmęczenie.

On nie żyje. Nie żyje. Nic żyje.

Rozpacz uderzyła niczym młotem - jej porażający ogrom wymiółł z krwiobiegu ostatki adrenaliny. Kiedy wrócili po dziesięciu minutach, żeby zabrać ją do szpitala, wciąż trzymała i kołysała tę nogę, jakby próbowała ją uspić. I nie wypuszczała jej przez całą drogę aż do izby przyjęć, gdzie wreszcie zemdląca.

\* \* \*

Zjawili się jeszcze w nocy, żeby odebrać zeznanie. *Carabinieri*, dwójka, pułkownik i kobieta *sottotenente*. Nie znała ich, ale oni wyraźnie wiedzieli, kim jest. Wiedzieli też, że Flavio Li Fonti był jej kochankiem.

Spodziewała się go pani, pytali łagodnie, ale stanowczo. Bywał wcześniej w pani mieszkaniu. Jak często. Jak długo. Chcieli znać daty i godziny, ale przez szok i cierpienie chwilowo nie pamiętała takich szczegółów.

Potem zasnęła. Kiedy się obudziła, podziękowała sanitariuszowi, że podał jej coś na uspokojenie.

- To nie ja. - Mężczyzna pokręcił głową. - Natura zrobiła swoje.

Mięśnie i umysł miała jak z waty.

Około południa powiedzieli, że może już iść. Ale nie z powrotem do mieszkania, które wciąż jeszcze było opieczętowane. Miała nadzieję, że ktoś wyłączył gaz pod rondlem z wodą na makaron - na pewno już by się wygotowała.

Na myśl o posiłku, którego już nigdy nie zjedzą razem - na myśl o setkach posiłków, nieprzygotowanych i niezjedzonych - uniosła głowę i zawyła jak pies.

Pielęgniarki pozwoliły jej się wypłakać, a kiedy się uspokoiła, delikatnie spytały, czy ma z kim

zostać.

Nie miała.

Ktoś na panią czeka, powiedziały. Oficer karabinierów. Nie chciał wchodzić wcześniej, z tamtymi.

To był Aldo. Objęła rękami jego szeroką, twardą pierś i wypłakała kolejne łzy. Aż - tak szybko jak się pojawiła - cała energia z niej odpłynęła i Kat osunęła się na krzesło.

- Jeśli chcesz, możesz jechać ze mną - zaproponował łagodnie.

Pokręciła głową.

- Nie. - Niejasno wyczuwała, że to by nie było właściwe. - Dziękuję. Ale chcę zostać sama.

## Pięćdziesiąt trzy

Holly odwiozła Daniele do Instytutu Christiny Mirabilis. Zakonnica w recepcji skierowała ich na oddział jednodniowy, gdzie Daniele dostał fartuch chirurgiczny, a w grzbiet dłoni wkłuto mu wenflon. Dopiero wtedy zjawił się posępny ojciec Uriel.

- Jak wiesz, mam poważne wątpliwości co do tej procedury. Skonsultowałem się jednak z moją radą etyki, która uznała, że jeśli pacjent grozi samookaleczeniem, należy ją zastosować. Pod warunkiem że w pełni rozumie związane z nią zagrożenia.

Holly spojrzała na Daniele zdumiona. Nie wspominał jej o samookaleczeniu. Ale teraz tylko spokojnie kiwnął głową.

Jakie to zagrożenia, ojciec Uriel zaczął właśnie tłumaczyć.

- Wskutek napadów ruchowych możesz cierpieć na ból mięśni. Może nastąpić zwichnięcie szczęki lub barków. Możesz być dezorientowany i otepiały mniej więcej do tygodnia. W szczególności w pewnym stopniu możesz doznać amnezji. Może ona potrwać od kilku godzin do kilku dni, a w ciężkich przypadkach nawet kilka miesięcy. - Myślał przez chwilę. - Mogą też wystąpić poważniejsze efekty uboczne. Napady ruchowe mogą pojawiać się ustawicznie, nazywamy to stanem padaczkowym. Jeśli do tego dojdzie, ryzyko zejścia wynosi około dwudziestu procent. Poza tym terapia może podziałać na twój mózg w inny, bardziej nieprzewidywalny sposób. U pewnej liczby pacjentów stosujących ECT pojawiły się problemy kognitywne...

- Chwileczkę... - wtrąciła zdenerwowana Holly. - Przez „problemy kognitywne” rozumie pan uszkodzenie mózgu?

- Próbuje nas nastraszyć - wyjaśnił spokojnie Daniele. - Nie martw się. Przystudiowałem te zagrożenia.

Sięgnął po formularz zgody na terapię.

- Jesteś całkiem pewien, że chcesz to zrobić? - spytała Holly.

- Cokolwiek działo się ze mną w tamtym pokoju, musi się skończyć. - Spojrzał na nią i spróbował się uśmiechnąć. - Jakaś część mnie wciąż jest tam zamknięta, Holly. Chcę się uwolnić.

\* \* \*

Potem odwieźli go na wózku. I chociaż tłumaczył jej, że dzisiaj nie wygląda to jak na filmach, ciągle sobie wyobrażała Daniele jakby na krześle elektrycznym, z gumowym klockiem w zębach; jego ciało szarpało się i wyginało, kiedy prąd elektryczny przepływał przez mózg, by go przeciążyć.

Żeby zająć czymś myśli, wyszła na zewnątrz i włączyła telefon. Miała dwie wiadomości od Aldo Pioli. Zmarszczyła brwi: nie rozmawiała z dawnym kochankiem Kat już od wielu miesięcy, odkąd poprowadził oddział, który uwolnił ją z jaskiń pod Longare.

*Proszę zadzwoń. To ważne.*

Wybrała jego numer.

- Aldo? Co się stało?

- Nie słyszałaś?
- O czym? - Lęk ścisnął jej żołądek. - Kat coś się stało?

- Jej nic... To znaczy dostała w głowę, ale to powierzchowne. Ale Flavio nie żyje. Podłożyli bombę na ulicy przed jej mieszkaniem. Kat wszystko widziała.

- O Boże... Gdzie teraz jest?
- Nie wiem. Ale nie powinna być sama.
- Znajdę ją - obiecała.

Rozłączyła się i wróciła do budynku.

- Jest już na sali pozabiegowej? - spytała zakonnice.

Ta pokręciła głową.

- Jeszcze nie.

Holly nie wiedziała, co robić. Daniele pewnie liczy, że będzie piw nim, kiedy się obudzi. Ale Daniele ma do opieki pielęgniarki i lekarzy. Natomiast wzburzona Kat chodziła po ulicach Wenecji samotnie.

- Przekaze mu siostra wiadomość, kiedy się obudzi?

\* \* \*

Kat wróciła do swojego biurka w Campo San Zaccaria. Widziała zaskoczone spojrzenia kolegów, ale nie zwracała na nie uwagi. Podszedł *sottotenente* Panicucci.

- *Capitano*... Na pewno powinna pani tu być?

- A gdzie jeszcze mam być? - burknęła. - Chcę informacje o tym, co się przez ten czas działo. O wszystkim.

Zajrzała do swojej poczty. Zdziwiona, znalazła tylko kilka e-maili - zaledwie jedna noc minęła, odkąd sprawdzała ostatnio. Taki krótki czas, a wydawał się wiecznością. Kiedy poprzednio czytała e-maile. on jeszcze żył, pomyślała.

- Pieprzę to! - wrzasnęła. - Pieprzę! Pieprzę wszystko!

Jakaś oszołomiona część mózgu próbowała ją zmusić, by żyła nadal jak zwykle, ale prosta prawda była taka, że nie ma już żadnego „jak zwykle”. Nic już nie będzie takie samo.

- Miałaś rację - zwróciła się do Panicucciego załamana. - Nic powinno mnie tu być.

\* \* \*

Holly znalazła ją na ławce nad *riva*, zapatrzoną w lagunę. Sto metrów od niej ogromny wycieczkowiec sunął wolno w stronę nabrzeża w Tronchetto; jak wieża wyrastał nad łodziami pilotów, a górne pokłady migotały lampami błyskowymi aparatów fotograficznych. Kat patrzyła na statek niewidzącymi oczyma.

- Mieliśmy się pobrać - szepnęła, kiedy Holly usiadła obok.

- Wiem.

Holly sięgnęła po jej dłoń. I przez długi czas siedziały razem w milczeniu.



## Pięćdziesiąt cztery

W kolejnych dniach Holly dzieliła swój czas między dwoje przyjaciół, próbując jak najlepiej się nimi opiekować. Daniele po ECT wciąż był oszołomiony i zamknięty w sobie, a Kat przechodziła od letargu do maniakalnej aktywności, starając się jakoś pogodzić ze śmiercią ukochanego.

Ku rozczarowaniu Daniele nie przypominał sobie niczego więcej ze swojego porwania. Wydawało się nawet, że zapomniał, po co w ogóle zdecydował się na leczenie, i o wszystkich rozmowach, jakie prowadzili we wcześniejszych dniach.

Jeśli pamiętał, że spali ze sobą w noc poprzedzającą terapię, albo długą, szeptaną rozmowę, jaką prowadzili potem, także nie dawał tego po sobie poznać.

\* \* \*

Dochodzenie w sprawie śmierci Flavia zostało prawie od razu zakończone. Jego żona przyleciała z Londynu, gdzie mieszkała z dziećmi. W wywiadzie prasowym mówiła, że chce na stałe wrócić do kraju. Kat nie miała ochoty się z nią spotykać.

Wezwano ją na spotkanie z innym prokuratorem, Benitem Marcellim. Zaczął od zapewnienia, jak bardzo jej współczuje z powodu straty. A potem poprosił o podpis pod spisanyimi zeznaniami, jakie złożyła w szpitalu kilka godzin po zamachu.

Zacząła czytać. Zeznanie i dołączony do niego raport potwierdzały fakt, że *avvocato* Li Fonti odwiedzał jej mieszkanie częściej i bardziej regularnie, niż dopuszczały protokoły bezpieczeństwa. Jeden z ochroniarzy najwyraźniej skarżył się drugiemu, sugerując, że powinni zameldować o tym zwierzchnikom. To był ten, który zginął razem z Flaviem.

Według raportu bomba znajdowała się w plastikowym pojemniku recyklingowym, na którego szczątkach znaleziono ślady materiału wybuchowego C4. Rząd tych pojemników tworzył coś w rodzaju zatoczki w rzędzie zaparkowanych wozów - naturalne miejsce, by się na moment zatrzymać, gdy ktoś tylko wysiadał.

Mnie obwiniają, pomyślała.

A potem wstrząśnięta uświadomiła sobie, że mają rację. Nie tylko Flavio naginał dla niej protokoły bezpieczeństwa, ale też w SMS-ach i rozmowach nie ukrywali miejsc i godzin spotkań.

*Co teraz zrobisz?*

*Wracam do Wenecji. Policja może sprawdzić pozostałe ślady.*

*Albo nawet gorzej:*

*Nakrywam do stołu dziesięć po dwunastej i ani minuty później.*

*W takim razie lepiej, żebym się nie spóźnił. prawda?*

I wreszcie, kiedy jego samochód wjechał już w jej ulicę:

*Będę za moment.*

Pomogłam im go zabić, pomyślała. Uczestniczyłam w tym zamachu tak samo jak ci, którzy podłożyli bombę.

- To nieszczęśliwca okoliczność - mówił Marcello - że człowiek, który wiedział, że grozi mu śmierć z rąk bezlitosnej zorganizowanej przestępczości, pozwolił sobie na taką niedbałość. - Przebiegł wzrokiem po jej ciele. - Nieszczęśliwa, choć może nie do końca niezrozumiała. Człowieka męczą w końcu takie ograniczenia. I samotność. Pozwala się zaskoczyć w nierozsądnych, wręcz niebezpiecznych sytuacjach.

Poczucie winy zmieniło się w gniew, kiedy zrozumiała, co próbuje jej wmówić Marcello.

- Chwileczkę. Powiedział pan „zorganizowana przestępczość”? Sugeruje pan, że zabiła go mafia? Wydawał się zdziwiony.

- Oczywiście. Przecież polowali na niego od lat. Dlatego w ogóle miał ochronę. - Spojrzał na nią pytająco. - Chyba że ma pani jakieś poszlaki czy dowody, które dochodzenie powinno wyjaśnić?

*Trafiłem na kilka bardzo obiecujących tropów. Prowadzą do samego serca władzy, Kat. Są bardzo potężne osoby, które miały wiele powodów, by nie dopuścić do sukcesu Tignellego.*

I wcześniej, kiedy dzwoniła do niego z Sycylii:

*Nic twierdzą jednak, że twoja przyjaciółka ma rację i wszystko to jest elementem jakiegoś gigantycznego, pięćdziesięcioletniego spisku. Chyba wielu ludzi uważa, że mogą tylko zewrzeć szeregi i odmówić wszelkich rozmów z nami.*

Pokręciła głową.

- Nie, żadnych.

- Zatem zgodnie z obowiązującą procedurą śledztwo w sprawie śmierci *avvocato* Li Fonti przekazuję do Direzione Investigativa Antimafia - mówił dalej. - Przejmie je teraz prokurator objęty odpowiednimi środkami bezpieczeństwa.

- A co z dochodzeniem, nad którym pracował Flavio, zanim zginął?

- Także trafi do innego prokuratora. Ale tak czy inaczej, trop już chyba ostygł. Jeśli w ogóle istniał plan zamachu terrorystycznego, wydaje się, że został powstrzymany. Efekty pani doskonałej pracy na Sycylii prowadzą do wniosku, że podejrzany opuścił Włochy drogą morską, bez wątplenia po to, by uniknąć ściślejszej kontroli na lotniskach. Zawiadomiliśmy właściwe służby międzynarodowe. Ale to już nie jest problem Włoch.

Tak to działa, pomyślała; kiedy zabije się dostatecznie wielu ludzi, pozostali w końcu rozumieją przekaz.

Wszystko zostało zamknięte i elegancko zapisane w aktach. Tam pozostanie razem ze wszystkimi innymi niewyjaśnionymi sprawami, w których kryła się mroczna historia jej kraju.

- Nigdy nie dał się tak zastraszyć, by wycofać się ze śledztwa - powiedziała głośno.

Marcello kiwnął głową.

- Oczywiście. Był dzielnym i zdecydowanym prokuratorem. Będzie go brakowało wszystkim, którzy mieli okazję z nim pracować.

- Chodziło mi o to, że w przeciwieństwie do pana - dokończyła uprzejmie. - Jest pan przerażony, zgadza się? Pod tym pięknym garniturem jest pan tylko skulonym, rozdygotanym kłębkim strachu.

- Wstała. - Wie pan, *avvocato*, co powiedział mi Flavio krótko przed śmiercią? Powiedział: mamy tylko prawo. Ale dopóki tacy ludzie jak pan są całkiem pozbawieni jaj, nie mamy nawet tego.

## Pięćdziesiąt pięć

Siedzieli w sali koncertowej w Ca' Barbo: Kat, Daniele i Holly. Każde z nich, choć z różnych powodów, całkiem przybite.

Holly wspominała wcześniejsze takie okazje, kiedy wszystko wydawało się stracone. Wtedy to zawsze Kat ze swoją energią i dobroduszną apodyktycznością wrywała ich z przygnębienia i przydzielala im zadania. Ale teraz wydawała się całkiem pogrążona w depresji.

Tym razem spadło to na mnie, pomyślała Holly.

- Daniele, mogę użyć tablicy? - spytała.

Machnął ręką na tablice stojące dookoła, zapisane matematycznymi wzorami.

- Nie krępuj się.

- Zapiszę teraz wszystko, co wiemy - oświadczyła, ścierając je.

- Któreś z nas może zauważy coś, co inni przeoczyli. Użyjemy czerwonego mazaka dla Carnivii, niebieskiego dla mojego ojca, a zielonego dla zamachu terrorystycznego. Jasne?

Może tylko jej się zdawało, ale miała wrażenie, że usłyszała ciche westchnienie Kat.

- Zacznę od siebie - powiedziała, biorąc mazak. - Uważam, że ojca uciszyli planujący spisek wolnomularze, którzy wcześniej należeli do siatki Gladio. Ian Gilroy twierdzi, że poprosił ojca, żeby dowiedział się czegoś więcej. Według sierżanta Kassapiana ojciec robił kopie tajnych depesz do USA, wysyłanych do Waszyngtonu i stamtąd przychodzących. Co w nich znalazł, tego jeszcze nie wiemy. Nie mogę ich odczytać, dopóki nic dotrze stacja dyskietek, którą kupiliśmy na eBayu. Kat?

Kat niechętnie wzięła zielony mazak i wstała.

- Zaczęłam śledztwo w sprawie zabójstwa bankiera, który zdradził służbom bezpieczeństwa masoński plan uzyskania niepodległości przez region Wenecji Euganejskiej. Masoński Wielki Mistrz, hrabia Tignelli, finansował terrorystyczny atak hakera dżihadysty, ale wydaje się, że udało się go powstrzymać.

- Moment. - Daniele podniósł głowę. - Powiedziałaś: haker dżihadysta?

Kiwnęła głową.

- Zgadza się. Zapisał się na kurs do technicznego college'u w Palermo. Nie mam pojęcia dlaczego, bo umiejętnościami znacznie przewyższał innych studentów. W każdym razie wydaje się, że wymknął się z kraju...

- To ten, który stworzył wirusa w Carnivii - przerwał jej Daniele.

- Na pewno ten. I to nieprawda, że zamach został powstrzymany. Za trochę więcej niż dwadzieścia cztery godziny zacznie się skoordynowany atak na internet rzeczy z wykorzystaniem botnetu użytkowników Carnivii. To będzie jak tysiąc tuneli Frejus równocześnie.

- Moment... - Kat usiłowała zrozumieć. - Wiem, niektórzy podejrzewają, że katastrofa we Frejus była skutkiem działań hakera, ale o co chodzi z tym botnetem?

Daniele wyjaśnił sytuację z robakiem w Carnivii i że godzina zero dla ataku to północ następnego dnia.

- Możesz temu zapobiec? - spytała Kat, kiedy skończył.  
- Nie, jeśli nie złamię własnego systemu szyfrowania, a specjalnie tak go zaprojektowałem, żeby to było niemożliwe. Alternatywą jest stworzenie własnego wirusa i wykasowanie Carnivii.

- To znaczy, że chcesz ją czasowo wyłączyć?

Daniele pokręcił głową.

- To nie wystarczy, żeby zablokować instrukcje, jakie haker wysłał do komputerów użytkowników.

Muszą napisać kod, który wyczyści wszystko: moje serwery, tożsamości naszych użytkowników, ich własne komputery, wszystko. - Uśmiechnął się smętnie. - Serwisy, które świadomie zamrażają twarde dyski czterech milionów ludzi, nie są zbyt popularne. Nie będzie już powrotu.

- Ale zrobisz to? - upewniła się Kat. - Zatrzymasz atak?

- Tak. To mój portal. Ja jestem odpowiedzialny. Zresztą i tak szukałem jakiegoś sposobu, żeby się wyplątać z prowadzenia go. Równie dobrze mogę odejść z hukiem.

Holly zdziwiła się pozornym brakiem emocji w głosie Daniele. Wiedziała, że jego relacja z portalem jest złożona. I domyślała się, że cokolwiek mówi, zniszczenie stworzonego przez siebie świata nie będzie dla niego łatwe.

- Potem Flavio zginął - powiedziała Kat, wracając do tablicy. - Nie mam pewnego dowodu, że zamach łączył się ze śledztwem w sprawie Tignellego, ale kiedy ostatni raz rozmawialiśmy, mówił, że na coś trafił. Coś ważnego. Myślę, że udało mu się powiązać zabójstwo Tignellego z jakąś osobą lub grupą, być może w Rzymie, mającą żywotny interes w zablokowaniu weneckiej niepodległości.

- Masz pomysł, kto to był? - spytała Holly.

Kat pokręciła głową.

- Ale myślę, że właśnie dlatego zabili go tej nocy. Cokolwiek odkrył, nie chcieli, żeby mi to przekazał. - Nagle coś sobie przypomniała. - Chociaż wcześniej, kiedy byłem na Sycylii, mówił też o tobie. Że może nie jesteś taką wariatką, jak mu się wydawało.

- O co mogło mu chodzić?

Kat wzruszyła ramionami.

- Kto wie?

- Może trafił na jakiś związek między tymi dwoma sprawami?

- Teraz raczej nie można go spytać - burknęła Kat. Zapadła cisza.

- Przepraszam - mruknęła.

- Nie, to ja przepraszam - powiedziała szczerze Holly. - To dla ciebie paskudny okres.

- Dla nas wszystkich - poprawiła ją Kat. - Ty i twój ojciec. Daniele i Carnivia... Jedno wielkie gówno. No więc co teraz zrobimy?

- Myślę, że powinniśmy wszyscy wrócić do początków - uznała Holly. - W przypadku Daniele oznacza to jego porwanie. Ja muszę się dowiedzieć, dlaczego mojego ojca tak interesowały te transkrypcje Autodinu. Ty powinnaś ustalić, kto był dostatecznie potężny, by zabić nie tylko Tignellego, ale i Flavia. I co odkrył Flavio, zanim zginął.

## Pięćdziesiąt sześć

- Potrzebuję mocniejszego ECT - poinformował ojca Uriela Daniele. - Większy prąd, dłuższy okres napadów... Cokolwiek, co uwolni wspomnienia.

Ojciec Uriel przyglądał mu się ze skrzyżowanymi ramionami.

- Nie - powiedział spokojnie.

- Jeśli się pan nie zgodzi...

- Nie interesują mnie twoje groźby, Daniele. Chciałeś elektrowstrząsów, więc ich spróbowaliśmy. Nie będziemy tego powtarzać. - Przerwał na chwilę. - Jednakże nie znaczy to, że rezygnuję.

- Co pan ma na myśli?

- Jest nowa metoda terapeutyczna, którą wykorzystywałem niedawno u części moich pacjentów. Nie jest do końca sprawdzona, ale myślę, że szczególnie u ciebie może się okazać skuteczna.

- Dlaczego szczególnie u mnie?

- Ponieważ dotyczy twojego portalu - wyjaśnił ojciec Uriel. - Powiedz mi: zbudowałeś Carnivię...

Czy możesz zbudować replikę tego pomieszczenia, gdzie trzymali cię porywacze?

\* \* \*

Odtworzył czterysta siedemnaście pionowych szczelin między cegłami wzdłuż jednej ściany i dwieście cztery wzdłuż drugiej. Zbudował pokój w rozmiarze ośmiu kroków na jedenaście, a potem musiał się cofnąć i wprowadzić poprawkę, ponieważ kroki siedmiolatka są o wiele krótsze niż dorosłego.

Minęło wiele lat, odkąd stworzył Carnivię, ale język jej kodowania nadal pamiętał tak dobrze jak język matki. Ale i tak konstrukcja pomieszczenia zajęła mu kilka godzin - odtwarzał najdrobniejsze szczegóły, piksel po pikselu.

Kiedy skończył, pokazał rezultat ojcu Urielowi.

- Dobrze - stwierdził psychiatra. - A teraz stwórz awatar dla każdego z głównych porywaczy.

To było łatwiejsze. Zaprojektował awatary dla Paola, Claudia i Marii. Każdemu z nich dał maskę. Dzięki temu nie musiał marnować czasu na ich twarze, chociaż każde z nich ubrał w rzeczy, które zapamiętał: Paolo nosił dżinsy, Claudio beret, Maria skórzaną kurtkę.

- A teraz zrób awatar dla siebie, takiego, jaki byłeś w chwili porwania - polecił ojciec Uriel.

Daniele stworzył siebie bardzo małego. Umieścił awatar w pokoju.

Był przyzwyczajony - bardziej niż większość ludzi - do życia za pośrednictwem ekranu monitora. Ale nawet on się zdziwił, jak szybko świat rzeczywisty zdawał się odpływać, kiedy kierował awatarem. Jakąś częścią umysłu znowu tam wrócił, znowu był porwanym dzieckiem.

- Mówił pan, że już tego próbował? - zapytał.

- Trochę. Prawdę mówiąc, dopiero kiedy pracowałem z tobą, zacząłem się zastanawiać nad wykorzystaniem w psychoterapii światów wirtualnych. Wkrótce odkryłem, że nie jestem jedyny: już wcześniej psychiatrzy leczyli na przykład ofiary molestowania seksualnego, wykorzystując awatary, co

miało pomóc w odtworzeniu zajęć w bezpiecznym otoczeniu. Ja postawiłem cały proces na głowie. Próbuję skłonić przestępców seksualnych do odtwarzania swoich czynów, równocześnie pytając ich, jak mogliby zachować inaczej. Ponieważ znajdują się w łatwiejszej do kontroli wersji świata, nie odczuwają tej samej presji co w sytuacji, gdyby to się działo naprawdę.

Daniele zmarszczył czoło.

- Myśli pan, że dlatego zbudowałem Carnivię? Bo potrzebowałem łatwiejszej do kontroli wersji świata?

- Przeszło mi to przez myśl. Jeśli się zastanowić, to zadziwiające osiągnięcie dysocjacji. By zablokować traumę, ludzie używają alkoholu albo leków. Ty poszedłeś dalej i cały wszechświat przebudowałeś na sposób, jaki ci odpowiadał.

Kiedy był gotowy, ojciec Uriel wprowadził go w lekki trans. Po kilku minutach Daniele poczuł, że dryfuje w tym samym stanie psychicznego skupienia i fizycznego letargu, jakiego doświadczał przy wcześniejszych sesjach.

- To końcowy tydzień twojej niewoli. - Głos ojca Uriela dochodził z bardzo daleka. - Jesteś tu już od dawna: trzydzieści trzy dni. Co się dzieje?

- Kłóć się. - Daniele wskazał awatary. - Stale się kłóć. I boją się. Wszyscy się boimy.

- Czego ty się boisz, Daniele?

- Ze mnie zabijają.

- Czemu mieliby cię zabić?

- Bo mama i tata ciągle nie zapłacili okupu.

- Czemu nie zapłacili?

- Bo mnie nie kochają - szepnął. - Bo jestem dziwny.

- Kto tak mówi?

- Paolo.

- Boisz się Paola?

Daniele kiwnął głową, szeroko otwierając oczy.

- Chcę teraz, żebyś się stał Paolem, Daniele. Pokieruj dla mnie jego awatarem. Niech powie te rzeczy, które mówił do ciebie.

Gdy Daniele przeniósł się do postaci porywacza, ojciec Uriel spostrzegł, że stał się mocniejszy, bardziej asertywny. I kiedy znowu wrócił do własnego dziecięcego awatara, ręce już mu nie drżały.

Kazał Daniele wcielać się kolejno w role wszystkich porywaczy. A potem przeniósł go o dzień do przodu.

- Który dziś dzień, Daniele?

- Dzień trzydziesty czwarty.

- Jak się czujesz?

- Boję się, ale jestem podniecony.

- Dlaczego jesteś podniecony?

- Bo to są najlepsze liczby. Trzydzieści cztery to liczba Fibonacciego, półpierwsza i heptagonalna.

Jeśli zbudować magiczny kwadrat cztery na cztery, kolumny i wiersze sumują się do trzydziestu czterech.

Ojciec Uriel uniósł brwi.

- Tego nie wiedziałem.

- Maria mi pokazała. Maria to nie jest jej prawdziwe imię, ale prawdziwego nie wolno mi poznać.

To jakby nosiła maskę. - I po krótkiej chwili dodał: - To fajnie, nie? Ze ludzie nigdy naprawdę nie wiedzą, kim się jest.

- Istotnie. - Ojciec Uriel zanotował tę uwagę do późniejszej analizy. - Mam wrażenie, że dosyć lubisz Marię.

- Bo ona też lubi liczby. Uczy mnie. Jest lepsza niż nauczyciele w szkole.

- Czy to cię niepokoi? Że ktoś, kto cię porwał, jest też dobrym nauczycielem?
- Nie wiem. Trzydzieści pięć to też dobra liczba. Największa, jaką można wyliczyć na palcach przy podstawie sześć.

Ojciec Uriel przesuwiał go w kolejne dni, badając jego lęki. Kiedy dotarli do trzydziestego szóstego, Daniele nagle umilkł.

- Czemu nic nie mówisz, Daniele?
- Myślę o problemie trzydziestu sześciu oficerów. To zagadka, którą wymyślił pewien człowiek nazwiskiem Euler. Chciał wiedzieć, jak ustawić sześć oddziałów po sześciu oficerów różnej rangi w kwadrat, ale tak żeby żaden oddział ani żaden stopień nie powtórzył się w żadnej kolumnie ani szeregu.

Narysowałem to sobie na ścianie.

- Wydaje się, że to bardzo trudne.
- Euler uważał, że niemożliwe. Ale chciał pokazać, dlaczego niemożliwe. To ciekawe, prawda?

Nie wystarczy powiedzieć, że nie da się tego zrobić, ale trzeba udowodnić, że liczby nie mogą tak działać.

- A co robisz porywacze, kiedy ty myślisz nad tą łamigłówką?
- Rano się kłócili. Potem Claudio wybiegł wściekły. Paolo poszedł spać. Wydaje mi się, że Maria też wyszła, ale nie na długo. Potem wchodzi do mojego pokoju. Ma butelkę z lekarstwem.

- Jakim lekarstwem?

- Mówi, że będą po nim spał. Ale ja nie chcę spać. Chcę się zastanawiać nad łamigłówką. Mówi, że muszę wypić lekarstwo, żeby jej zrobić przyjemność. Więc piję. Ale nie zasypiam, nie tak naprawdę. A potem ona wraca. Ma nóż. Wszystko dzieje się tak szybko, że... że...

Krzyknął: wysoki, przenikliwy krzyk dziecka. Podniósł rękę do lewego ucha. I chwilę później drugą do prawego. Oczy wpatrywały się z przerażeniem w jakąś niewidoczną grozę przed nim.

- To ona! - zawołał. - To ona!
- Już dobrze, Daniele. Przeniosę cię w bezpieczne miejsce...

Ale dziecko wciąż krzyczało.

\* \* \*

Trzeba było pół godziny i wszystkich umiejętności ojca Uriela, żeby Daniele uspokoić.

- Pamiętasz wszystko, co przed chwilą zaszło? - zapytał, kiedy wyprowadził go z transu.

Oszołomiony Daniele przytaknął.

- To była ona. Ta kobieta, którą znałem jako Marię... Carole Tataro. Ta, której ufałem. Która rozumiała liczby tak jak ja. Nic dziwnego, że nie chciałem pamiętać...

## Pięćdziesiąt siedem

Kiedy Holly przeczesywała internet w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby wyjaśnić zainteresowanie ojca transkrypcjami Autodinu, Kat sięgnęła po kopię twardego dysku Cassandrego, którą wykonał dla niej Maili. Sprawdzała jeszcze raz wszystkie pliki, szukając czegoś, co mogłoby naprowadzić ją na trop.

Po dwóch godzinach bolała ją głowa i litery na monitorze zaczęły się rozplływać.

- To beznadziejne! - wybuchnęła. - Chodź, pójdziemy gdzieś na kawę.

- Daj mi jeszcze parę minut - wymruczała Holly. - Jestem w środku technicznych materiałów o przekaźnikach troposcatterowych.

Czekając, Kat znowu otworzyła historię przeglądarki Cassandrego. Nie zaglądała do niej, odkąd znalazła w Wikipedii artykuły o planach przewrotów.

Na stronie o Golpe Bianco zauważyła akapit, który poprzednio przeskoczyła.

*W swoich pamiętnikach mózg przewrotu, Edgardo Sogno, wspomina, że w czerwcu 1974 odwiedził szefa placówki CIA w Rzymie i poinformował go o swoich planach. „Powiedziałem, że informuję go jako sprzymierzeńca w walce o wolność Zachodu, i spytałem, jaką postawę przyjmie amerykański rząd. Upewnił mnie o tym, o czym już wiedziałem: że Stany Zjednoczone poprą każdą inicjatywę, mającą na celu niedopuszczenie komunistów do władzy”.*

*Sogno utrzymywał, że z pewnością odniósłby sukces, gdyby nie został zdradzony przez współspiskowców: To możliwe, że zbyt wiele osób wiedziało o naszych planach.*

Otworzyła kolejną odwiedzaną przez Cassandrego stronę - o Golpe Borghese, próbie przewrotu z roku 1974.

*Attache wojskowy ambasady USA utrzymywał ścisłe kontakty z organizatorami przewrotu. Prezydent USA, Richard Nixon, uważnie śledził przygotowania, o których był osobiście informowany przez dwóch oficerów CIA. Fakty te potwierdziły dokumenty ujawnione redakcji La Repubblica na podstawie Ustawy dostępu do informacji publicznej.*

*Dokumenty te wykazały też, że tylko kilka marginalnych grup w CIA wspierało przewrót; na ogół odżegnywano się od poważnych zmian równowagi geopolitycznej w basenie Morza Śródziemnego. W rezultacie spiskowcy zrezygnowali z działania, kiedy Borghese otrzymał wiadomość telefoniczną, rzekomo z ambasady Stanów Zjednoczonych.*

- Skończyłam! - zawołała Holly z przeciwnego końca pokoju.

- Chcesz iść na tę kawę?

- Nie w tej chwili. Chyba znalazłam coś ciekawego.

*Senator Giovanni Pelegrino, kierujący późniejszym dochodzeniem komisji parlamentarnej,*



powiedział: Ktoś we Włoszech twierdził, że mają wsparcie zza oceanu. Ale kiedy poinformowano ich, co się dzieje, tamta strona natychmiast zablokowała Borghese i jego ludzi.

- To chyba istotne - powiedziała z namysłem Kat - że po kilku nieudanych próbach przewrotu we Włoszech ktoś wskazał na CIA jako winowajczynię.

- To chyba oczywiste. Gdyby nie mogli zrzucić winy na CIA, obciążaliby obcych i latające talerze. Kat spojrzała na nią.

- Sama mówiłaś, że CIA infiltrowała Gladio - przypomniała. Wskazała ekran. - Poza tym ci ludzie nie są szaleńcami. To senatorzy, dziennikarze śledczy, nawet szefowie agencji wywiadowczych.

Holly podeszła i zaczęła czytać ponad jej ramieniem.

- Powiedzmy zatem, że to prawda. Wierzymy w demokrację. Więc?

- *Cui bono* - powiedziała wolno Kat.

- To znaczy?

- To znaczy: kto na tym skorzystał? Popatrz: zakładaliśmy, że to włoski rząd w Rzymie nie chce dopuścić do oderwania Wenecji Euganejskiej od reszty kraju. Ale w regionie działa też inny gracz geopolityczny, prawda? Stany Zjednoczone. Twój rząd nie chciałby rozpadu Włoch tak samo jak ten w Rzymie.

- Ponieważ?

- Ile amerykańskich instalacji znajduje się w Veneto? Ile silosów amerykańskich pocisków jądrowych? Ile placówek nasłuchowych? Ile stacji radarowych i hangarów dronów? Co się z nimi stanie, jeśli Ve-neto uzyska niepodległość? Gdyby decyzja zależała od tutejszych wyborców, zniknęłyby wszystkie w ciągu roku. Łatwiej może pozbyć się Tignellego i w ten sposób uniemożliwić mu realizację tych planów.

Holly milczała. Kat stuknęła palcem w nazwę na mapach Google.

- Baza lotnicza USA w Aviano - powiedziała. - Siedemdziesiąt kilometrów na północ od Wenecji. Helikopter dotarłby do La Grazii w piętnaście minut. I gdyby wysadził oddział szturmowy nad laguną, nikt by niczego nie widział. Camp Ederle w Vicenzy to mniej więcej ta sama odległość, tak samo Camp Del Din. Gdyby CIA chciała powstrzymać Tignellego, to nie brak w pobliżu sił specjalnych do pomocy.

- Nie działamy w ten sposób - oświadczył Holly. - A w każdym razie nie we Włoszech.

W głębi serca jednak wiedziała, że to, o czym mówi Kat, jest prawdopodobne. Kto mógłby zaprzeczyć - po niezliczonych atakach dronów na całym świecie - że Ameryka nie cofnie się przed zabójstwem, by osiągnąć swoje cele? Kto mógłby twierdzić - po porwaniu Abu Umara i innych - że jej kraj szanuje prawa i instytucje swoich sojuszników? Przecież o tym właśnie cały czas próbowała przekonać Kat: że Ameryka potajemnie wpływa na sprawy wewnętrzne Włoch od czasów jej ojca i jeszcze wcześniej.

- Myślę, że Tignelli, podobnie jak przed nim Sogno i Borghese, był dawnym „gladiatorem”, który poczuł się zbyt ważny - mówiła Kat. - „Gladiatorem”, jak wielu innych wykorzystującym struktury masonskie, żeby się ukryć, kiedy ujawniono istnienie Gladio. Jednak zamiast szerzyć chaos i terror, Tignelli uznał... z powodu chciwości, przekonań politycznych czy jednego i drugiego razem... że będzie tym, który przyniesie stabilizację. Wydaje się, że był mądrzejszy od wcześniejszych spiskowców. Nie popełnił ich błędu i nie prosił CIA o błogosławieństwo. Jednak przez Cassandrego Amerykanie i tak się dowiedzieli. I tak jak wcześniej postanowili powstrzymać przewrót.

- A dowody? - spytała po namyśle Holly.

- Na razie nie mam. Ale jednego jestem całkiem pewna: to, co cały czas powtarzałaś, to prawda. Wszystko, co spotkało twojego ojca, co spotkało Daniele, co spotkało Tignellego, Cassandrego i Flavia, co czeka nas wszystkich, jeśli Daniele nie zniszczy Carnivii... wszystko się ze sobą łączy.

Nadejdzie czas, by opłakiwać Flavia - i będzie go opłakiwać. Ale najpierw musi dopilnować, by jego śmierć nie poszła na marne.

- Muszę z kimś porozmawiać - oświadczyła. - Myślę, że może mi powiedzieć coś więcej o tym, co się dzieje. Jadę do kostnicy.

## Pięćdziesiąt osiem

Daniele siedział cierpliwie w niewielkim pokoiku. Przyjechał tu prosto z gabinetu ojca Uriela, a osoba, z którą chciał się spotkać, kazała mu czekać.

Odruchowo policzył cegły w ścianie naprzeciwko. Dwa tysiące sto piętnaście, jeśli założyć, że średnia szczelina z zaprawą ma dziesięć milimetrów grubości.

Przypomniał sobie znaną anegdotę o matematyku G.H. Hardy, który zjawił się z wizytą u innego matematyka, Srinivasy Ramanujana. Hardy wspomniał, że przyjechał taksówką o numerze 1729, co jest raczej nieciekawą liczbą.

- Nie - odparł Ramanujan. - To bardzo interesująca liczba. Najmniejsza, którą da się na dwa sposoby przedstawić jako sumę dwóch sześciątów.

Tak wyglądają pogawędki matematyków.

Właśnie się zastanawiał, jakie ciekawe właściwości ma 2115, kiedy wprowadzono Carole Tataro. Nie wstał. Ona przez dłuższą chwilę nie siadała.

- Nie wiem, czy mam się do ciebie zwracać Carole czy Maria - powiedział w końcu.

- Jeśli wolisz, możesz mnie nazywać milion osiemset pięćdziesiąt tysięcy sześćset dwa - odparła, siadając naprzeciwko.

Zauważył, że odsunęła krzesło tak daleko, jak tylko było to możliwe w małym pokoiku.

- To miło mieć własną liczbę?

Spojrzała na niego ostro, ale przekonała się, że nie drwi.

- Człowiek się przyzwyczaja. - Skinęła na ściany. - Pewnie już je policzyłeś?

- W dużym przybliżeniu. Dwa tysiące sto piętnaście.

- Dwa tysiące sto osiemdziesiąt siedem - poprawiła. - Murarze oszczędzali na zaprawie, a drzwi mają niestandardowe wymiary.

- To interesujące - zauważył. Chodziło mu o liczbę, nie o powód. - Trzy do siódmej potęgi.

- Pamiętasz, co mi kiedyś powiedziałeś? - spytała z zaciekawieniem. - „Każda liczba jest nieskończona”. Chodziło ci o to, jak sądzę, że każda jest interesująca, ale ująłeś to w niezwykle sposób.

Pokręcił głową.

- Miałem amnezję. Nie pamiętałem prawie nic z tego, co się zdarzyło w czasie porwania. Dopiero teraz zaczynam sobie przypominać różne rzeczy.

- Takie jak...? - spytała ostrożnie.

- Przypomniałem sobie, co mi zrobiłaś - oświadczył cichym głosem. - To ty obcięłaś mi uszy i nos,

a potem wysłałaś je rodzicom.

Milczała długo.

- Podam ci jeszcze jedną liczbę - odezwała się w końcu. - Dwadzieścia cztery. Tyle lat spędziłam już tutaj za to, że byłam taką osobą jak wtedy.

- Chcę tylko wiedzieć, dlaczego to zrobiłaś. Chyba się domyślam, czemu chciałaś zrzucić winę na Paola. Żeby tak postąpić, w dodatku wobec dziecka... Włoski system więziennictwa nie traktuje takich ludzi łagodnie.

- Uważasz mnie za potwora.

- A nie jesteś nim?

Westchnęła.

- Może. Ale nie z tego powodu powtarzałam wszystkim, że to Paolo.

- Więc dlaczego?

- Rozkazano mi tak mówić, gdyby ktoś dociekał.

- Kto ci rozkazał?

- Mój... prowadzący, tak to chyba trzeba określić. Nie znałam jego nazwiska.

- Możesz go opisać? - poprosił Daniele.

- Wysoki. Niebieskie oczy. Dobrze zbudowany, ale w takim smukłym amerykańskim stylu. Po włosku mówił doskonale, chociaż miał silny wenecki akcent, z czego chyba nie zawsze zdawał sobie sprawę.

Daniele kiwnął głową.

- Nazywa się Ian Gilroy.

- Skoro tak twierdzisz... - Wzruszyła ramionami.

- A jak cię przekonał, żeby okaleczyć małe i bezbronne dziecko, które ci ufało?

- Wmówił mi, że to jedyny sposób, by ocalić ci życie. - Spojrzała na niego. - Wiem, że brzmi to bezsensownie. Ale tłumaczył mi, że władze zaczynają panikować. Nie zbliżyły się do wykrycia nas, a jednocześnie nalegały, żeby rodzice nie płacili okupu. Bał się, że Claudio albo Paolo się przestraszą i zabiją cię, żeby zatrzeć ślady. Albo że gdy tylko Włosi nas znajdą, pospiesznie wyślą grupę uderzeniową i wszyscy zginiemy. Uważał, że jedyny sposób, by cię ocalić, to zrobić coś, co przełamie impas, da rodzicom powód, by nalegać na wpłacenie okupu.

- Przez ten czas tłumaczył moim rodzicom, żeby nie płacili, że muszą być silni, a wszystko dobrze się skończy - powiedział z goryczą Daniele. - To cały Gilroy. Splata swoje historie tak, żeby każdy usłyszał to, na czym mu zależy.

- Wtedy zależało mi na tobie, Daniele. I rozumiałam... zdawało mi się, że rozumiem... sens tego, o czym mówił. Paolo i Claudio skakali sobie do gardeł. Częściowo z mojej winy...

- To pewnie Gilroy cię skłonił, żebyś sypiała z nimi oboma?

- Wy tłumaczył mi, że to ważne, by zbliżyć się do nich obu, to prawda. Żeby uzyskać na nich wpływ. Przypuszczam, że mnie też ogarniała wtedy panika. Zrobiłabym wszystko, żeby wydostać cię stamtąd żywego, wszystko...

Patrzył na nią bez słowa. Milczenie trwało. Wreszcie Tataro znów zaczęła mówić.

- Nie ma dnia, żebym nie myślała o tym, co zrobiłam. W snach wciąż słyszę twój krzyk. Ale tłumaczyłam sobie, że to nie uszy i nos uczyniły cię tym, kim jesteś. To twój umysł. Byłeś tak inteligentny, tak błyskotliwy... Tę część ciebie starałam się ocalić.

- Jak się okazało, mój umysł też na tym ucierpiał - zauważył oschle.

- Wiem. Przez te wszystkie lata czytałam o tobie, Daniele. Każdy artykuł, każdą wypowiedź, jaka mi wpadła w ręce... - Urwała. - Wiem, że słowo „przepraszam” nie pasuje do tej sytuacji. Żadne nie pasuje. Ale powiem je mimo wszystko. Tak bardzo cię przepraszam...

- A jak w ogóle zostałaś kontaktem Gilroya? - zapytał nagle Daniele.

- Po prostu któregoś dnia podszedł do mnie na ulicy. Powiedział, że wie, kim jestem, i że ma dla mnie propozycję. W owym czasie krążyły tylko pogłoski o Historycznym Kompromisie między komunistami i socjalistami. Gilroy potwierdził, że to prawda. Byliśmy przeciwni, naturalnie. To by oznaczało koniec rewolucyjnej walki, nasi ludzie dzieliliby władzę z tymi, którymi najbardziej pogardzaliśmy. Powiedział, że oni też są przeciwni, że rządy stabilnej i umiarkowanej koalicji nie leżą w interesie żadnej ze stron. Nasze cele chwilowo się pokrywały.

- Chociaż raz myślę, że nie kłamał - zgodził się Daniele. - Chaos we Włoszech odpowiadał i Waszyngtonowi, i Moskwie.

Przytaknęła.

- Organizował dla nas materiały wybuchowe, broń, informacje o możliwych celach... Zauważyłam jednak, że operacje, których nie przeprowadzaliśmy, często także nam są przypisywane. Czasami dlatego, jak się okazywało, że używaliśmy tych samych materiałów wybuchowych.

- W spierał terrorystów z lewicowej i prawicowej ekstremy równocześnie. Miał kontakty po obu stronach. Nie po to, żeby postawić przestępców przed sądem, ale żeby koordynować akty terroru. A gdyby ktoś zaczął się domyślać, co się dzieje, miał wygodny parawan, za którym mógł się schować. Gladio. Siatka NATO, która wyrwała się spod kontroli. Żadnych związków z CIA.

Ponownie wzruszyła ramionami.

- Pewnie tak.

- Ale jednego ciągle nie rozumiem. Czemu tu jesteś? Byłaś cennym nabytkiem... Nie mogłaś wytargować sobie wolności?

Tataro zaśmiała się głucho.

- Wtedy może i cennym. Ale nie po załamaniu Historycznego Kompromisu: wykonałam już swoje zadanie. Poza tym wielu moich dawnych towarzyszy stało się *pentito*. Amerykanom nie zależało na tym, żebym zniknęła gdzieś w ramach programu ochrony świadków i zaczęła sypać. Tutaj mogą mi od czasu do czasu dyskretnie przypominać, że ciągle mają mnie na oku.

- Jeśli są tacy niebezpieczni, to czemu mi to wszystko mówisz?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Ponieważ zawsze sobie to obiecywałam, jeśli kiedyś się tutaj zjawisz. Jesteś jedyną osobą, która zasługuje na to, żeby poznać prawdę.

## Pięćdziesiąt dziewięć

Ojciec Uriel odprowadził pacjenta do drzwi gabinetu i usiadł, by uzupełnić notatki. Miał dwadzieścia minut do wizyty następnego - rzadka chwila oddechu w środku dnia.

Pacjent, katolicki ksiądz z Belgii, wreszcie zaczął robić postępy. Przez ponad miesiąc mówił tylko o grzechu, pokucie i wybaczeniu. Cierpiał na dwusocjatywny narcyzm; głębokie przekonanie o własnej duchowości pozwoliło mu w przerażający sposób wykorzystywać dziewięcioletnią dziewczynkę. „Bóg sprowadził ją do mnie”, powtarzał, albo „Bóg przysłał mi ją, by mnie ukoić”. Po kilku tygodniach terapii zmienił to na „Bóg przysłał ją do mnie, by mnie kusiła” albo „Bóg chciał, bym poznał naturę grzechu”. Kiedy jakieś pytanie było dla niego za trudne albo niekorzystnie o nim świadczyło, zaczynał się modlić. Ojciec Uriel leczył go, stosując terapię awatarową, podobną do tej, której użył u Daniele. Pozwolił księdzu odgrywać seksualny kontakt ze skrzywdzoną dziewczynką, ale kiedy wchodził w rolę, odtwarzał mu nagranie audio, w którym ofiara opisywała całe zajście ze swojego punktu widzenia. W końcu mężczyzna się rozplakał - pierwsze łzy, które uronił nie nad sobą.

Po zakończeniu dzisiejszej sesji nie pomodlił się, jak to zwykle czynił. Chociaż nie było to dziwne po przełomie. Wielu pacjentów traciło wiarę w chwili, kiedy odkrywali zło we własnej naturze. Ojciec Uriel nie przejmował się tym specjalnie. Zawsze uważał, że lepiej ocalić czyjąś duszę niż wiarę.

Kiedy zakończył robić notatki, przez chwilę wyglądał przez okno na ogrody instytutu. Potem z westchnieniem sięgnął po telefon.

- Jakiś czas temu prowadziliśmy rozmowę - powiedział, kiedy jego rozmówca odebrał połączenie.

- O pańskim podopiecznym.

- Istotnie. Pamiętam ją dobrze.

- Mówił pan, że gdyby w jakikolwiek sposób mógł pomóc w jego powrocie do zdrowia... Był pan również łaskaw dokonać szczodrej darowizny na rzecz naszych badań.

- Które, jak pan wie, uważam za niezwykle wartościowa. Nawiasem mówiąc, od tego czasu posłałem też do was innych sponsorów.

- Zdaję sobie z tego sprawę. I jestem wdzięczny.

- A jaki jest stan Daniele?

- Moim zdaniem poprawia się. Inaczej mówiąc, przypomniał sobie pewne fakty dotyczące porwania. - Ojciec Uriel się zawahał.

- W szczególności, który z porywaczy go okaleczył.

Rozmówca zamilkł na moment.

- Czy może to być... konfabulacja, tak zdaje się brzmie medyczne określenie? Fałszywe wspomnienie?

- Nie sądzę, by to było możliwe. Raczej nie. W każdym razie pojechał odwiedzić tę kobietę w

więzieniu, żeby to potwierdzić. Pomyślałem, że jako jego opiekun powinien pan wiedzieć. Może być zaniepokojony albo wzburzony tym, co odkrył.

- Bardzo dziękuję.

- Może byłoby lepiej, gdyby nie wspominał mu pan o naszej rozmowie. Formalnie, jako pacjent...

- Oczywiście, że nie. Zostań z Bogiem, przyjacielu. A gdyby kiedyś potrzebował pan czegoś w związku ze swoją pracą, czegokolwiek, proszę koniecznie dać znać.

- Dziękuję.

Usłyszał pstryknięcie i rozmowa dobiegła końca.

## Sześćdziesiąt

Kat naciskała guzik dzwonka, aż doktor Hapaldi jej otworzył. Zielony plastikowy fartuch i czas, jakiego potrzebował, żeby dotrzeć do drzwi, świadczyły o tym, że mimo późnej pory wciąż pracuje.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam - powiedziała. - Ale to ważne.

Nie okazał zdziwienia.

- Niech pani wejdzie.

Zaprowadził ją do gabinetu. Przez szklaną ścianę widziała, jak jego asystent usuwa z ciała wątrobę i śledzionę, po czym układa je na szalce wagi.

- Są pewne rzeczy, o których mi ludzie nie mówili - oświadczyła, odwracając się do lekarza. - Od samego początku. I wydaje mi się, że jest pan w tę sprawę wmieszany mocniej, niż pan przyznaje. Był pan pierwszym masonem na miejscu zbrodni, kiedy wezwano pana do zwłok Cassandrego. To pan musiał zadzwonić do Saita.

- Rozmawiałem z generałem Saitem, owszem - przyznał cichym głosem. - Już kiedy zobaczyłem zwłoki, stało się dla mnie jasne, że zabójstwo ma związek z wolnomularstwem. A także to, że odpowiedzialna jest z pewnością czarna loża Tignellego. Wszyscy wiedzieliśmy, co zamierza; przecież bez poparcia karabinierów w żaden sposób nie mógłby ogłosić stanu wyjątkowego. Od miesiący badał grunt i sprawdzał, którzy z masonów mogą poprzeć jego plany. Oferował łapówki albo stanowiska w nowej administracji.

- Wtedy Saito natychmiast zadzwonił do mnie.

- Uznał, że dochodzenie powinien poprowadzić ktoś, kto nie wie, co się dzieje... ktoś, kto nie jest masonem. Ale także oficer, który nie odkryje za dużo.

- Wielkie dzięki.

Wzruszył ramionami.

- Generał Saito uważał, że nie jest pani popularna wśród *carabinieri*, że wkurzyła pani wielu ludzi i nie będą mieli problemów, żeby z panią nie rozmawiać. Powiedział, że w żaden sposób nie dotrze pani do sedna tej sprawy. Nie wiem, czy to wiele warte, ale tłumaczyłem mu, że się myli. Widziałem panią przy pracy. Uważałem, że próby utrudniania dochodzenia tylko zwiększą pani determinację.

- Dlatego Saito dodał mi swoją siostrzenicę, żeby miała na mnie oko. Porozmawiał z innymi masonami, którzy pracowali nad tą sprawą, i też ich ostrzegł. Domyślałem się, że był wśród nich Giuseppe Maili, nasz informatyk.

Hapaldi przytaknął.

- Zanim Maili przekazał pani listę członków czarnej loży, którą znalazł na komputerze Cassandrego, usunął z niej wszystkie nazwiska oficerów karabinierów w czynnej służbie. Mieliśmy nadzieję, że to wystarczy, by powstrzymać Tignellego, a przy tym nie wciągać do sprawy naszych ludzi.

- A jednak to pan mnie skierował do ojca Calergiego. A ojciec Calergi podsunął mi myśl, że Tignelli ma polityczne plany.



- Ci z nas, którzy są lojalnymi katolikami, zawsze niepokoił się planami Tignellego - wyjaśnił cicho Hapaldi. - Niepodległość to może dobry pomysł dla Veneto, ale jakie byłyby skutki dla reszty kraju? A w szczególności dla Watykanu? Gdyby Włochy się rozpadły, Watykan mógłby zbankrutować. Tignelli nie dbał o to. Chciał tylko władzy dla siebie.

- To był też motyw Cassandrego, jak podejrzewam - powiedziała.

- Miał na biurku swoje zdjęcie z papieżem Benedyktem... Chciał ratować skórę, to jasne, ale kiedy w końcu musiał się opowiedzieć po jednej ze stron, wybrał Rzym, nie Tignellego. Tylko kto powiedział o tym Amerykanom? Kto zdecydował, że nie mogę sama powstrzymać Tignellego?

Oczy lekarza niczego nie zdradzały.

- Dlaczego pani sądzi, że ktoś to zrobił?

- Kiedy zginął Tignelli, nie od razu zadałam sobie istotne pytanie: jak to się stało, że zabito go właśnie tej nocy, kiedy Flavio i ja dyskutowaliśmy, czy wystawić nakaz aresztowania. Później, kiedy o tym myślałam, uznałam, że mieli przeciek w AISI, zwłaszcza że pułkownik Grimaldo powiedział mi o podsłuchu założonym na nasze telefony. Tylko że Tignelli już nie żył, kiedy Flavio mnie zawiadomił, że podpisał nakaz. Czyli to nie AISI. Pozostają zatem tylko Amerykanie. Musieli założyć podsłuch w moim mieszkaniu. Ale dlaczego? Kto im powiedział, że jesteśmy blisko?

- Wydaje mi się, że ojciec Calergi od dawna ma kontakty po tamtej stronie - przyznał niechętnie Hapaldi. - Ale to i tak niemożliwe, by Amerykanie nie dowiedzieli się wcześniej czy później. Wiedzą wszystko, co się dzieje w tym kraju. Zawsze wiedzieli. Za każdym razem kiedy używa pani laptopa, kiedy wyszukuje pani coś przez Google, kiedy pani gdzieś dzwoni... wszystko to jest dla nich dostępne.

- Ale skoro tak, czemu nie załatwili tego lepiej? jak to możliwe, że umieli powstrzymać Tignellego i jego czarną lożę, ale nie hakera?

Hapaldi wzruszył ramionami.

- W tym nie mogę pani pomóc. Może jest dla nich za sprytny?

- Nie - odparła. - Haker może i jest technicznym geniuszem, ale żaden z niego strateg polityczny.

Tutaj chodzi o coś więcej. Coś. czego jeszcze nie dostrzegam.

## Sześćdziesiąt jeden

Holly odebrała SMS od Daniele. Treść była krótka: *To była Carole. Wszystko, co ci mówił Gilroy, to kłamstwo.*

Nie chciała w to wierzyć. Już wcześniej, kiedy mnożyły się poszlaki przeciwko Gilroyowi, wbrew rozsądkowi miała nadzieję, że to jednak pomyłka.

Człowiek, któremu ufała. Człowiek, który pod wieloma względami stał się w jej życiu substytutem ojca. Człowiek, który - jak się okazało - miał na rękach tyle krwi, że cała woda Wenecji by jej nie zmyła.

Jej ojciec... Daniele... A to byli tylko ci jej najbliżsi. Ilu jeszcze było majorów Bolandów? Ilu Daniele Barbów? Ilu Boccardów i innych niewinnych ofiar, zabitych rzekomo przez terrorystów przyznających się do takiej czy innej ideologii, ginących od strzałów lub bomb, w tak zwanych wypadkach drogowych czy w pozorowanych samobójstwach, albo którzy po prostu zniknęli bez śladu?

Może setki, myślała. Może tysiące. W wielkim planie mocarstwowej gry Ameryki była to liczba znikoma, właściwie bez znaczenia. Ale każda jednostka w tej liczbie oznaczała życie zabrane w wojnie, której ofiary właściwie nie wiedziały nawet, że toczy się wokół nich.

Cała jej osobowość, całe poczucie tożsamości opierało się na fałszu, na kłamstwie, że obecność Amerykanów we Włoszech jest dobroczynna. Że można być równocześnie podporucznik Bolami, analitykiem amerykańskiego wywiadu, i signoriną Holly z Pizy.

Rzeczywistość, którą jak sądziła, zna, rozpadła się nagle, a na jej miejscu pozostało tylko proste przekonanie, które streściła Kat. Wszystko się ze sobą łączy.

Sięgnęła po kluczyki do samochodu.

## Sześćdziesiąt dwa

Carole Tataro długo siedziała zamyślona na swojej pryczy. Potem podeszła do drzwi celi i tukała w nie pięścią tak długo, aż przysłała strażniczkę.

- Czego chcesz?
- Żądam przeniesienia do izolatki dla mojego bezpieczeństwa.

Strażniczka przyglądała się jej pogardliwie.

- Przekażę prośbę.
- Żądam przeniesienia teraz.

Strażniczka nie zniżyła się do odpowiedzi i zatrzasnęła kłapkę judasza.

Później, przy kolacji, Tataro znalazła pod talerzem złożoną na pół kartkę. Wewnątrz była żyletka i słowa: *Możesz załatwić to łatwo albo trudniej. Masz czas do 10 wieczorem.*

Znowu zaczęła dobijać się do drzwi. Kiedy przysłała strażniczkę, pokazała jej liścik.

- Nadal uważasz, że sobie to wymyśliłam? Żądam widzenia z naczelnikiem.

Strażniczka ledwie spojrzała na kartkę.

- Naczelnik poszedł do domu. Możesz się z nim spotkać rano.

Carole Tataro usiadła na pryczy. Po kilku minutach zauważyła, że jedna z kobiet w jej celi, Sophia, wstaje i daje znak drugiej, Fatmie.

Fatma była większa. To ona przytrzymała Carole Tataro, kiedy Sophia używała żyletki, którą także dostarczono jej z kolacją.

## Sześćdziesiąt trzy

Holly pojechała do bazy. Nad asfaltem niosło się dudnienie rockowej muzyki - u Joego Dugana, w największym z barów na terenie bazy, odbywała się właśnie impreza. Pewnie żołnierze wracający z jakiejś dalekiej misji świętowali jej zakończenie.

- Przyjemnego wieczoru, ma'am - powiedział wartownik przy bramie, wyraźnie zakładając, że bar jest również jej celem.

Przejechała po Main Street i skręciła w lewo.

O tej porze w zbrojowni było ciemno. Holly otworzyła drzwi, a potem przeszła w głąb, na strzelnicę. Jako oficer miała prawo ćwiczyć o dowolnej porze dnia i nocy.

Podeszła do szafki, wprowadziła kod i wyjęła karabinek M4 z celownikiem kolimatorowym M68 - standardową broń długą armii amerykańskiej, z teleskopową kolbą i skróconą lufą do walki na bliskich dystansach. Amunicja wystarczała, by przebijać kamizelki kuloodporne.

Ułożyła broń na podłodze i sięgnęła do szafki po magazynek i naboje. Głębiej, na tylnej ścianie, wisiał pistolet w wytartej skórzanej kaburze, Sig Sauer P226 z lat osiemdziesiątych kaliber dziewięć milimetrów na amunicję parabellum - z łacińskiego motto *Si vis pacem, para bellum* - Jeśli pragniesz pokoju, gotuj się do wojny.

Holly Boland gotowała się do wojny.

Wyjęta z kieszeni worek na pranie, rozwinęła go i wcisnęła do środka M4. Siga ojca przypięła pod mundurem, by nie był widoczny.

Wróciła do biurka i zarejestrowała się w książce wejść na strzelnicę. W rubryce „Cel pobytu” wpisała „Ćwiczenia strzeleckie”.

A potem odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

## Sześćdziesiąt cztery

Daniele Barbo usiadł przy komputerze i zalogował się do Carnivii.

Czuł się dziwnie, ale pod pewnymi względami nie był to stan całkiem nieprzyjemny. Po sesji z ojcem Urielem i rozmowie z Carole Tataro miał wrażenie, że rozwiła się mgła spowijająca wcześniej jego umysł.

Wędrował po ulicach swojego tworu i przyglądał się budynkom po obu stronach, podziwiając ich złożoną stylistykę. Jednak osoba, która tak obsesyjnie budowała je piksel po pikselu, nie była już nim. W jakiś sposób impet odwzorowywania świata przeminął razem z amnezją.

Mimo to odczuwał głęboki smutek, że coś tak niezwykłego, tak niesamowitego, musi ulec zniszczeniu.

Nic, co budujemy, nie trwa wiecznie, przypomniał sam sobie. Wszystko musi upaść. Dlaczego Carnivia miałyby być inna?

Napisał program, który wykasuje cały portal. Stworzenie kodu zajęło mu ledwie kilka minut. Nawet funkcja pozwalająca sięgnąć do komputerów użytkowników i także je wykasować była tylko czymś w rodzaju odnośnika. Każdy przecież przyznawał serwisowi stały dostęp do swoich danych, niezbędny do anonimowego porozumiewania się z kontaktami i przyjaciółmi, do czytania i wpisywania plotek. To była opcja, ale praktycznie każdy z niej korzystał.

Zastanawiał się, jak zostanie przyjęta taka akcja, kiedy już będzie po wszystkim. Ludzie powiedzą, że z pewnością planował to od początku, że Carnivia była najbardziej skomplikowanym hakingiem w historii internetu.

To ironiczne, że właśnie on, a nie ten nieznany cyberterrorysta, zapamiętany będzie jako czarny charakter tej historii.

Spojrzał na zegar swojego komputera. Pozostały jeszcze dwie godziny do północy, kiedy nastąpi aktywacja botnetu. Teraz, kiedy kod programu kasowania był gotowy, równie dobrze mógł pozostały czas przeznaczyć na szukanie innego rozwiązania. Może kiedy wiele lat temu tworzył system szyfrowania Carnivii, coś jednak przeoczył, pozostawił jakąś szczelinę czy słaby punkt, który teraz uda się wykorzystać, by zhakować własny portal.

## Sześćdziesiąt pięć

Kat przeskakiwała ze strony na stronę, podążając krętym szlakiem po zakamarkach internetu. Najczęściej trafiała na bzdury, na wariatki bełkot wielbicieli teorii spiskowych. Ale zdarzały się też artykuły naukowców, dziennikarzy śledczych, a nawet byłych agentów Gladio - i wszyscy potwierdzali jedno: że przez ostatnie siedemdziesiąt lat, od początków zimnej wojny, CIA regularnie ingerowała w wewnętrzne sprawy włoskiego państwa. Na początku interwencje były czysto polityczne, mające nie dopuścić, by kraj wpadł w ręce komunistów, ale z latami agencja posuwała się o wiele dalej.

Znalazła zapis złożonego pod przysięgą zeznania generała Malettiego, dowódcy włoskiego kontrwywiadu wojskowego w latach 1971-1975, który twierdził, że CIA wcześniej wiedziała o atakach terrorystycznych organizacji prawicowych i przynajmniej w jednym przypadku dostarczyła materiały wybuchowe weneckiej komórce Gladio.

Odkryła, że amerykański arcybiskup, przez osiemnaście lat kierujący Bankiem Watykańskim, wykorzystywał swój watykański paszport, by blokować procedury ekstradycji w związku z finansowaniem terrorystów' przez CIA.

Znalazła artykuły zawierające dowody na współpracę CIA z mafią w celu złamania związków zawodowych; współpracę CIA z amerykańskimi korporacjami w celu przejęcia włoskich rynków; na zamieszczanie w prasie określonych treści za pośrednictwem przekupionych dziennikarzy albo zwyczajne wykupywanie tytułów.

Znalazła cytowane słowa byłego członka Propaganda Due, czarnej loży masońskiej w Rzymie, który stwierdził, że wstąpienie do niej było „jedynym sposobem, by uzyskać dużą akceptację w instytucjach brytyjsko-amerykańskich”.

Odkryła, że to pochodzące z Włoch kłamliwe raporty wywiadowcze były podstawą fałszywego twierdzenia, że Saddam Husajn dysponuje bronią masowej zagłady, co stało się dla Stanów Zjednoczonych pretekstem do rozpoczęcia drugiej wojny w Iraku.

Pamiętała też o własnych wcześniejszych dochodzeniach. W jednym odkryła, że amerykański kompleks militarno-przemysłowy potajemnie angażował się w wojnę domową w Bośni i Chorwacji. W drugim wyszło na jaw, że amerykański oficer wykorzystywał Włochy jako miejsce przetrzymywania nielegalnych więźniów z Afganistanu.

Trafiała też na twierdzenia, że Włochy zostały specjalnie wybrane przez CIA na bazę wywiadu elektronicznego; umieszczono tu więcej tajnych stacji nasłuchowych niż w jakimkolwiek innym kraju. Z Włoch Ameryka mogła śledzić cały ruch internetowy w Europie, północnej Afryce i na Bliskim

Wschodzie.

VIGILANCE, przeczytała, Virtual Intelligence Gathering Alliance, była amerykańską odpowiedzią na rewelacje Snowdena. Zamiast w tajemnicy szpiegować zaprzyjaźnione państwa, Ameryka zapraszała je teraz do udziału w potężnej Złotej Tarczy, pokrywającej cały świat Zachodu. Jak dotąd, przyłączyła się tylko Wielka Brytania.

I w końcu zrozumiała, jakie skutki będzie miał ten cyberatak, który zapoczątkował Tignelli, i dlaczego USA nie spieszyły się, by go powstrzymać.

Tak jak w najbardziej mrocznych czasach zimnej wojny, terror we Włoszech miał być lekcją dla reszty świata: patrzcie, co może się zdarzyć bez naszej ochrony. Przemoc, sprzyjająca politycznym planom Ameryki, nie była zwalczana, ale dyskretnie wspierana.

Właśnie dlatego Tignelli zginął wtedy, kiedy zginął, dlatego uciszono Flavia, dlatego ktoś ostrzegł hakera. To była prymitywna, realizowana z zimną krwią Realpolitik.

Zadzwoiła do Daniele.

- Chodzi o te ataki z wnętrza Carnivii - powiedziała. - Moim zdaniem Ameryka chce, żebyś to ty był odpowiedzialny. Wina spadnie nie tylko na dżihadystów, również na takie serwisy jak twój i na samą ideę wolnego internetu. Z ich punktu widzenia wygrają niezależnie od wyniku: albo sam zlikwidujesz Carnivię, albo zostanie całkowicie zdyskredytowana. Tak czy inaczej, dostaną to, na czym im zależy.

Przez dłuższy czas Daniele milczał.

- Pracuję nad tym - zapewnił w końcu. - Zostaw to mnie.

I się rozłączył.

## Sześćdziesiąt sześć

Holly wróciła do mieszkania i zapakowała inne rzeczy, których miała potrzebować. W szczególności wyjęła spod zlewu nieduże kartonowe pudełko.

Potem zadzwoniła do domu. Czekaając, aż matka odbierze, wyszła na balkon. Noc była ciepła, choć w tej okolicy zawsze wiała lekka bryza. Spojrzała ponad dachami domów w stronę wzgórz na południe od Vicenzy.

- Cześć, mamó. Co słychać?  
- Witaj, Holly. - W głosie matki zabrzmiała ciekawość. - Która godzina jest u ciebie? Chyba już późno.

- Nie aż tak późno. Jak się czujesz?

Rozmawiały przez chwilę, zanim powiedziała:

- Daj tatę do telefonu, dobrze?

- Oczywiście. Przystawię mu telefon do ucha, żeby cię słyszał. Okej?

- Cześć, tato. - Jak zawsze odczekała chwilę, czy nie odpowie, zanim znów się odezwała: - Wiesz, odkryłam, kto ci to zrobił. Znalazłam też te zapisy z Autodinu, choć nie udało mi się jeszcze ich odczytać. Nie wiem dokładnie, co chciałeś z nimi zrobić. Ale napisałeś już jeden raport, który trafił do kosza, prawda? Więc tak sobie myślę, że cokolwiek planowałeś, było to coś takiego, czego nie będą mogli ignorować.

Czy tylko sobie wyobrażała, czy rzeczywiście jego oddech trochę przyspieszył? Czy przynajmniej potrafił rozpoznać, kto do niego mówi?

- Miałeś dostęp do wszystkich tajnych depech, prawda? - podjęła łamiącym się głosem. - O każdej brudnej operacji planowanej przez CIA, każdej wypłaconej łapówce, każdej informacji... Wszystko przechodziło przez Autodin w drodze do Waszyngtonu. Myślę, że chciałeś to ujawnić, tato. Że chciałeś zdemaskować całe to skorumpowane bagno.

Czekała i słuchała. Nie: jego oddech był tak regularny, tak spokojny, jak śpiącego dziecka.

- Skończę tę sprawę za ciebie, tato - szepnęła. - Dopilnuję, żeby się udało.

*Per il miglior papa del mondo.*



## Sześćdziesiąt siedem

Spróbował wszystkich oczywistych podejść, wszystkich narzędzi nowoczesnego kryptografa - kryptoanaliza różnicowa, XSL sandwich at-tack, mod- $n$ ... Ale tak jak się spodziewał, nic nie poskutkowało. Kiodv tworzył Carnivię, postarał się, by była odporna na takie metody

Jedynym sposobem złamania asymetrycznego szyfrowania Carnivii był proces rozkładu złożonych liczb naturalnych - rozbijanie bardzo wielkich liczb na mniejsze, łatwiejsze do pracy czynniki. Ale nikt nie opracował skutecznej metody szukania takiego rozkładu. Tylko jeden matematyk, Peter Shor, nieco zbliżył się do rozwiązania problemu, ale jego algorytm był tak skomplikowany, że wymagał wyobrażenia sobie całkiem nowego typu superkomputera, zwanego komputerem kwantowym.

Problem sprowadzał się do starej zagadki, czy  $P=NP$ : można szybko sprawdzić, czy rozwiązanie jest poprawne, ale nie można tego procesu odwrócić, by to rozwiązanie wskazać.

Mimo to Daniele próbował. Wypisywał wzory, aplikował twierdzenia, sprawdzał wariacje metody Shora, ale bez skutku. Problem tkwił w samej naturze liczb.

W pamięci wypłynęło zdanie, o którym przypomniała mu Carole Tataro: „Każda liczba jest nieskończona...”.

W pewnym sensie była to prawda: każda liczba reprezentowała pewną skończoną wielkość, ale miała też inne właściwości. Istniały liczby pierwsze, liczby Gaussa, liczby przestępne, liczby Fibonacciego, liczby Pella... lista była długa. W dodatku, jak zauważył Ramanujan w rozmowie z Hardym, nawet te kilka liczb, które na pozór nie mają żadnych interesujących własności, pojawiają się tak rzadko, że same w sobie stają się ciekawe.

Przypuśćmy, że zamiast 1, 2, 3, 4, napiszemy... co?

Jeden to jedyna liczba, która jest własnym kwadratem i własnym sześcianiem.

Dwa to jedyna parzysta liczba pierwsza.

Trzy to jedyna liczba pierwsza równocześnie Fermata i Mersenne'a.

Cztery to najmniejszy kwadrat liczby pierwszej.

I tak dalej... Każda liczba określona nie przez to, czym jest, ale przez to, co zawiera. To było jak rozbijanie atomu na cząstki elementarne albo sekwencjonowanie DNA komórki.

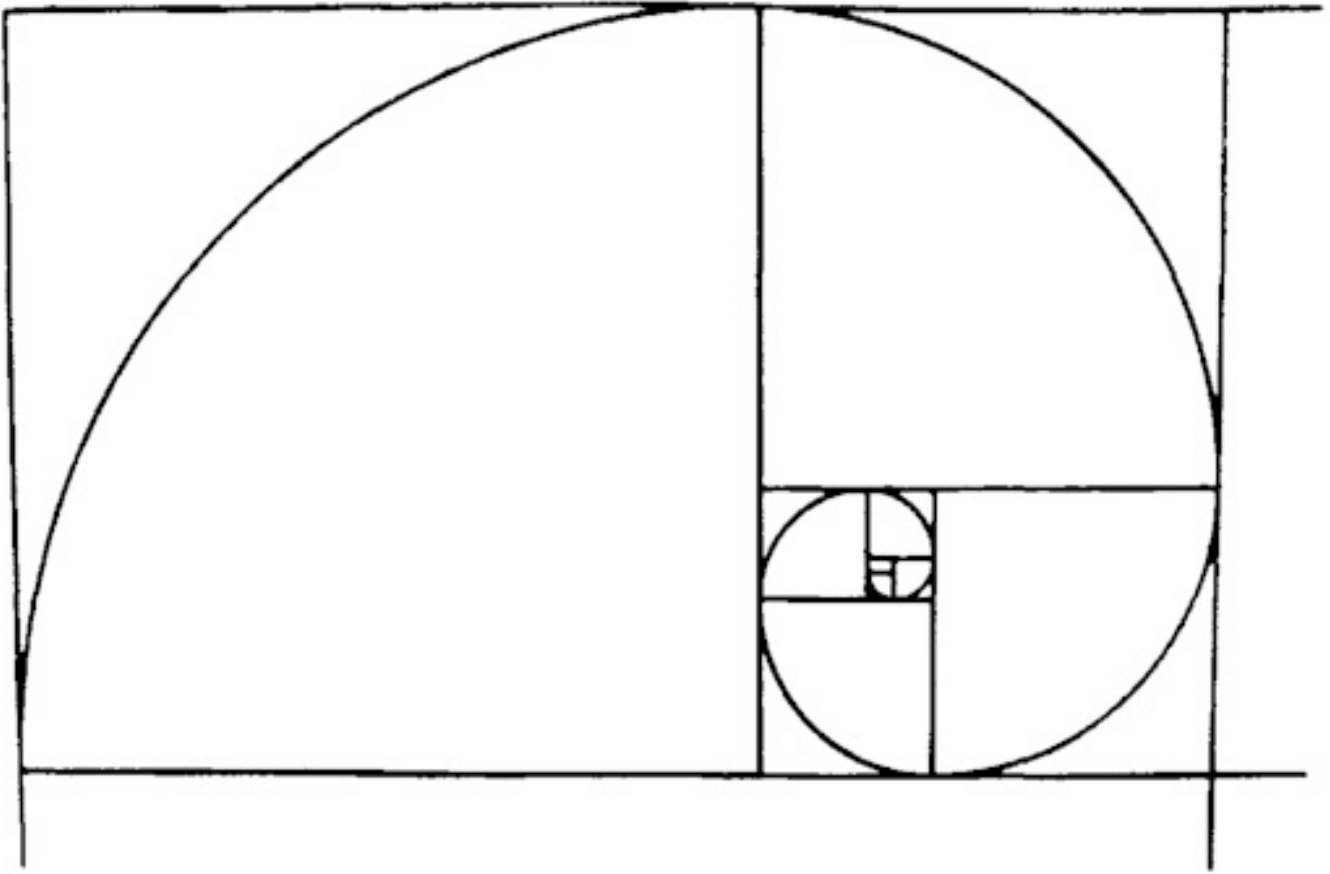
*DNA.*

Pomyślał o helisie DNA. I spojrzął na ścianę.

Wiele lat temu ojciec zawiesił w pokojach obrazy nowoczesnych malarzy ze swojej kolekcji. Wprawdzie Fundacja Barbo większość przekazała do magazynów, jednak kilka zostało. Daniele bawił się, zaklejając je samoprzylepnymi karteczkami ze swoimi ulubionymi wzorami matematycznymi. Dla niego równania były równie piękne i bardziej świadczyły o geniuszu niż dzieła sztuki pod spodem.

Niedaleko komputera wisiał portret kobiety pędzla Modiglianie-go. Jego jedyną wartością, zdaniem

Daniele, było to, że artysta najwyraźniej rozumiał, jak symetria ludzkiej twarzy determinowana jest przez prawa złotego podziału, czyli  $\phi$ . Dlatego przykleił kobiecie na twarzy karteczkę przedstawiającą wyrażaną przez  $\phi$  proporcję.



Einsteina czy prawem grawitacji Newtona, jeden moment twórczej intuicji rozjaśnił wszystko, a natchnienie wdarło się do umysłu nieproszone.

Teraz jednak nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać. Wziął się do pracy, by zmienić swoje odkrycie w algorytm, który zerwie maski milionom użytkowników Carnivii.

## Sześćdziesiąt osiem

Molly jechała wśród ciemnych pól Veneto w stronę willi, gdzie mieszkał Ian Gilroy. Kiedyś rodzina Barbo spędzała tu lato, z dala od smrodu i wilgoci Wenecji. W jakiś sposób jednak, kiedy ojciec Daniele przekazał fundacji swoją kolekcję sztuki, willa również tam trafiła.

Zastanawiała się, czy to także było zaplanowane, czy nastąpiło tylko szczęśliwym przypadkiem. Wątpiła, by w życiu Gilroy a często zdarzały się przypadki.

Zostawiła samochód przed wielką bramą z kutego żelaza, zarzuciła sobie worek na ramię i ruszyła przez trawnik w stronę domu. Po raz pierwszy zdziwiła się pozornym brakiem zabezpieczeń. Czy były, ale ukryte? Czy może Gilroy należał do tego rodzaju szpiegów, którzy od alarmów i potykaczy wolą kryps i odwracanie uwagi?

Przyszło jej do głowy, jak dobrze do niego pasowało, że właśnie Wenecję wybrał na swoją siedzibę: kraina mgieł i falujących odbić, zmiennych powierzchni i zwodniczych migotliwych fasad. Wieloznaczne, niemożliwe miasto, które wyśniło się do istnienia wbrew wszelkiemu rozsądkowi i logice.

Nie tylko Daniele stworzył własną wersję rzeczywistości. Gilroy też to zrobił.

Dwadzieścia metrów od budynku wyjęła z worka M4. w biła magazynek i przeładowała, wprowadzając do komory pierwszy nabój. Kaburę z pistoletem zapięła w pasie.

Sprawdziła drzwi. Nie były zaryglowane.

Siedział w głębi wielkiego holu, na antycznym drewnianym krześle które wyglądało jak tron jakiegoś doży albo księcia. Patrzył na nią spod przymkniętych powiek. Jedną dłoń podpierała podbródek, druga, lewa, leżała swobodnie na kolanach. Po obu stronach, z malowanych paneli na ścianach, nimfy i figlarne fauny *trompe l'oeil* spoglądały na nią lubieżnie.

Uniosła karabinek.

- Pokaż drugą rękę.

Podniósł lewą rękę i pomachał nią ironicznie. Nie miał broni.

- Czyli spodziewał się pan mnie...

- Och, Holly - powiedział głosem, w którym brzmiało coś dziwnie podobnego do ulgi. - Od wielu, bardzo wielu lat czekałem na tę chwilę

## Sześćdziesiąt dziewięć

- Chyba mi się udało - powiedział Daniele do Kat. - Ale jest pewien problem.

Napisał algorytm i przesłał go do Carnivii. A potem patrzył przerażony, jak na ekranie pojawiają się wybrane cele hakera. Elektrownie zwykle i wodne, szpitale, systemy kontroli lotów... Winda w najwyższym budynku Mediolanu, która runęłaby na ziemię, zabijając wszystkich pasażerów. Wentylator chłodzenia w rozdzielni elektrycznej systemu metra, która stanęłaby w ogniu. Luka w oprogramowaniu włoskiej giełdy, która uruchomiłaby polecenia automatycznej sprzedaży. Sieć tramwajowa w Rzymie... Zdumiało go odkrycie, jak łatwo przyszło hakerowi przygotować tak wiele równoczesnych aktów zniszczenia.

Jego kod po kolei usuwał z zainfekowanych komputerów instrukcje botmastera, jakby wrywał chwasty z korzeniami.

Daniele wdział też, jakich użytkowników ma Carnivia. Zobaczył odartych z anonimowości pornografów i konsumentów pornografii; handlarzy narkotyków i narkomanów; plotkarzy, trolli i dręczycieli. Ale znalazł też siatkę homoseksualistów w Arabii Saudyjskiej, dzielących się informacjami, które - gdyby robili to otwarcie - groziły karą trzech lat więzienia i pięciuset batów; znalazł podziemny ruch demokratyczny w Egipcie i zagrożone chrześcijańskie kongregacje w Iraku. Widział demaskatorów, używających Carnivii, by ujawniać korupcję i nadużycia władzy na całym świecie; celebrytów uciekających przed brzemieniem sławy; ludzi po prostu nieśmiałych, którzy tutaj nie bali się przemówić, i tych obciążonych tajemnicami, które chcieli wyznać.

- Czyli rozwiązałeś sprawę? - upewniła się Kat.

- Niezupełnie. Szukałem głównego komputera, źródła infekcji. I chyba go znalazłem. Ale nie mam dostępu.

- To znaczy co, tak dokładnie?

- To znaczy, że chodzi prawdopodobnie o własny komputer hakera. Z jakiegoś powodu jeden cel jest tak ważny, że postanowił zająć się nim osobiście. Co sugeruje, że mamy do czynienia z czymś bardzo złożonym, czym trzeba kierować w czasie rzeczywistym, a nie tylko przekreślić kilka przełączników.

- Masz pomysł, co to może być?

- Na przykład samolot. Gdyby był wewnątrz i znalazł sposób, żeby zhakować pokładową elektronikę, mógłby zablokować wszelkie próby kapitana, by rozwiązać problem. Ale od jedenastego września samoloty mają dodatkowe zabezpieczenia, by do tego nie dopuścić.

- A może statek? - spytała powoli.

- Czemu tak myślisz?

- Męczyło mnie, po co haker zapisał się do tego college'u, skoro ewidentnie lepiej się znał na komputerach niż wszyscy pozostali studenci razem wzięci. Kiedy zniknął, założyliśmy, że uciekł z Sycylii podejmując pracę na statku wycieczkowym. A jeśli przyleciał na Sycylię właśnie po to, żeby dostać się

na pokład takiego statku? - Urwała na moment . - A jeśli znalazł jakiś sposób, żeby go porwać?

## Siedemdziesiąt

Minęła trzecia nad ranem, kiedy Kat zadzwoniła do Aldo Pioli. Poprosiła, żeby obudził generała Saita i prokuratora Marcella i ściągnął ich obu do Campo San Zaccaria.

- Czego jeszcze potrzebujesz?  
- Kilkunastu karabinierów i dużą salę operacyjną. Eksperta od techniki, który zna się na statkach i materiałach wybuchowych. Ale najważniejsze to dwóch młodych i inteligentnych oficerów, którzy pomogą mi zidentyfikować statek, na którym ukrywa się haker.

- Kogo byś chciała?  
- Panicuccio i Bagnasco - odparła bez namysłu. Kiedy wymieniła drugie nazwisko, na linii zapadła cisza. - Nie lubię jej, ale jest dobra - wyjaśniła Kat. - I dokładna. Nie straci głowy.  
- W porządku. Porozmawiam z generałem Saitem i z Marcellem.

\* \* \*

Ekspert od materiałów wybuchowych, major Tasso, dotarł do Campo San Zaccaria równocześnie z Kat.

- Czy to, co sugeruję, jest wykonalne? - spytała go. - Czy jeden człowiek może porwać statek?  
- To zależy, jakie ma techniczne umiejętności - odpowiedział ostrożnie. - Ale zakładając, że znalazł metodę ominięcia systemów bezpieczeństwa statku, z pewnością możliwe. Tak jest.

- A wtedy co? Zagrozi, że go zatopi? Uderzy w ląd? Wysadzi?  
- Znowu zależy to od wielu czynników, na przykład od rodzaju paliwa. Niektóre z nowoczesnych statków wycieczkowych spalają olej gazowy, bardziej przyjazny dla środowiska od zwykłego oleju napędowego. Ma tę wadę, że jest bardziej wybuchowy.

- Jak wybuchowy?  
- Proszę sobie przypomnieć jedenasty wTześnia, World Trade Center - powiedział cicho. - Pamięta pani, jak wyglądało siedemdziesiąt ton paliwa lotniczego, które eksplodowało w drapaczu chmur? A teraz proszę sobie uświadomić, że w pełnych zbiornikach taki wycieczko-wiec może mieć dwa tysiące ton równie łatwopalnego paliwa. Jeśli wybuchnie, to nie będzie kwestia pożaru czy zatopienia. Sam statek: jego kadłub, burty, pokłady; staną się jak te gwoździe w domowych bombach terrorystów. Raczej wzmocnią działanie wybuchu, niż je ograniczą.

- Chwileczkę... - Przeliczyła w pamięci. - Chce pan powiedzieć, że eksplozja statku pasażerskiego może być trzydzieści razy silniejsza od tych, które zburzyły wieże WTC?

Kiwnął głową.

- A gdyby jakimś cudem pasażer przeżył wybuch, tego rodzaju eksplozja wytwarza próżnię termobaryczną. Efektywnie mamy tu bombę paliwowo-powietrzną, która rozsadzi płuca każdemu, kto znajdzie się w jej zasięgu. Jaki będzie ten zasięg, trudno powiedzieć, ale z pewnością mówimy tu o setkach metrów, nawet na otwartym morzu.

- *Porco Dio...* - Pomyślała o tych behemotach, jakie codziennie oglądała wpływające do Wenecji i z niej wypływające. Protestujący martwili się o szkody dla środowiska, ale czemu nikt nie pomyślał o zagrożeniu zamachem?

Nagły dreszcz przebiegł jej po karku.

- A co by się stało - spytała wolno - gdyby eksplozja nie nastąpiła na otwartym morzu? Gdyby statek wybuchł w bardziej ograniczonej przestrzeni? - Gestem wskazała oddalone może o pięćdziesiąt metrów nabrzeże. - Na przykład w Bacino di San Marco?

Wzruszył ramionami.

- Powiedzmy tyle: wątpię, by któreś z nas stało tu jeszcze.

Podążała drogą logicznych wnioskowań, ale ciągle nie mogła uwierzyć, dokąd ta droga ją prowadzi. Grimaldi mówił, że Tignelli zamierzał przedstawić siebie jako zbawcę Wenecji. A Tignelli sam wspominał - za pierwszym razem, kiedy popłynęła na La Grazie - jak wielkie szkody wyrządzają statki wycieczkowe jego hodowli węgorzy. Trudno by znaleźć temat, budzący u weneccjan większe emocje czy taki, jaki lepiej symbolizuje konieczność zmian.

Zjawili się Panicucci i Bagnasco. Kat w kilku zdaniach wyjaśniła im sytuację.

- Macie sprawdzić, czy któryś ze statków wycieczkowych będących w tej chwili na Adriatyku używa oleju gazowego. Szukajcie informacji pod „zielony” albo „przyjazny środowisku” na ich stronach w sieci. Potem przejrzyjcie plany rejsów i sprawdźcie, czy któryś ma jako następny port wpisaną Wenecję.

Zwróciła się do majora Passa.

- Wspomniał pan jedenastego września, majorze. Całkiem możliwe, że ten człowiek chce nie tylko porwać statek czy nawet go wysadzić. Uważam... - Zawahała się, jakby nie chciała nawet głośno o tym mówić. - Uważam, że chce go użyć, żeby uderzyć w samą Wenecję.

## Siedemdziesiąt jeden

- Może usiądziesz, Holly?

- Wolę stać.

Wciąż mierzyła do niego z karabinu.

- Wyłumaczysz mi, co rzekomo zrobiłem?

- Naprawdę? - zdumiała się. - Naprawdę pan nie pamięta? Czy tylko się pan zastanawia, co wiem, a czego nie?

Przyglądał się jej spokojnie.

- Nie będę cię okłamywał, Holly. W służbie mojego kraju podejmowałem czasem trudne decyzje.

Taka praca.

- Nakazał pan okaleczyć dziecko, by trafiło to na pierwsze strony gazet i zdemonizowało Czerwone Brygady. Kazał pan zamordować premiera, żeby nie dopuścić do koalicji i podziału władzy z partią komunistyczną. Organizował pan zamachy tak, jak specjaliści od reklamy akcję marketingową książki. Nawet ostatnio kazał pan zabić Tignellego i podłożyć ładunek, który rozerwał na strzępy chłopaka Kat, na jej oczach, kiedy za bardzo się zbliżył do wyjaśnienia sprawy.

- Tak - przyznał. - Tak, wydałem takie rozkazy. Może nie dokładnie w tych słowach, ale takie były moje życzenia i zostały zrealizowane.

- Postarał się pan, żeby mojemu ojcu podano środek rozrzedzający krew, w nadziei że to go zabije.

- Nie. - Uniósł dłoń. - Nie, Holly. Ironia całej sytuacji polega na tym, że nigdy tego nie zlecałem.

Wziąłem jego raport, obiecałem, że go przekażę, i to wszystko. Nie zabijamy Amerykanów.

Wtedy zrozumiała, na czym polega jego plan: przyznawać się do wszystkiego, czego jest pewna, ale zaprzeczać jedynej rzeczy, która skłoniłaby ją do pociągnięcia za spust.

Słowa, zawsze słowa. Używał ich jak muzyk nut albo iluzjonista talii kart. Nigdy nie zrobił jednego: nie powiedział jej prawdy.

- Nie ma czegoś takiego jak historia, Holly - oświadczył, jakby czytając jej w myślach. - Są tylko konkurujące punkty widzenia. Może więc przedstawię ci własny? Potem, jeśli zechcesz, możesz mnie zastrzelić.

Znowu słowa. Bała się ich, bała się jego zdolności, słowami mógł ją oszołomić albo oczarować. Ale głęboko w jej naturze tkwiło przekonanie, że należy wysłuchać, co oskarżony ma do powiedzenia.

Skinęła lufą karabinu.

- Niech pan mówi.

- Jak wiesz, w latach siedemdziesiątych stało przed nami bardzo poważne zadanie: nie dopuścić komunistów do rządów - zaczął. - Nawet gdyby mieli być tylko mniejszościowym partnerem rządowej koalicji. Gdyby tylko wyborcy w innych krajach zobaczyli, że Włochy odniosły sukces z eurokomunizmem, dokąd by to doprowadziło? Włoski półwysep jako satelita Rosji, zaraza przenosząca się do Hiszpanii i Francji... Dlatego realizowaliśmy podwójną strategię. Po pierwsze: zwrócić ludzi



przeciwko komunistom. Po drugie: zadbać o to, żeby Włochy nie były sukcesem.

- To znaczy powodować rozlew krwi po obu stronach. Z Gladio jako wygodnym narzędziem. Ale to nie sami „gladiatorzy” inicjowali te akcje. To był pan. Władca marionetek. Napuszczający Puncha na Judy i Judy na Puncha.

- Trochę przesadzasz - zauważył spokojnie. - Prawda jest taka, że nikt w pełni nie kontrolował sytuacji. Ale owszem, przez pewien czas ja i moi koledzy trzymaliśmy tygrysa za ogon i całkiem dobrze nam się udawało dopilnować, żeby gryzł tych drugich, nie nas. - Wzruszył ramionami. - Chyba byliśmy skuteczni. W końcu to my wygraliśmy zimną wojnę.

- Ale nie wycofaliście się wtedy. To byłby całkiem logiczny moment, żeby przestać. Ale przez ten czas zdążyliście się uzależnić.

- Czy też, ujmując to mniej historycznie, zyskaliśmy bardzo efektywny, kosztowny atut: cały kraj w środku Europy, będący we wszystkich swych przejawach prócz nazwy państwem klienckim Stanów Zjednoczonych. Rzecz jasna zawsze pilnowaliśmy, by zachować pozory, że Włochy nadal są normalną, funkcjonującą demokracją. Ale w praktyce istniał cały ukryty, równoległy system rządów. Mieliśmy naszą radę nadzorczą, nasze komitety robocze, ciała wykonawcze, nasz bank centralny, policję, służbę cywilną i urzędników. Świat widział to jako organizacje dobroczynne, rodziny mafijne, loże masońskie i prywatne instytucje finansowe. Ale w rzeczywistości wszystko to były nasze narzędzia, dzięki którym sprawowaliśmy kontrolę. Nie zapominaj też, że naszpikowaliśmy kraj bazami wojskowymi. Kiedy już stało się jasne, że koniec zimnej wojny nie jest początkiem jakiegoś wspaniałego *pax Americana*, wciąż potrzebowaliśmy baz w basenie Morza Śródziemnego. Stąd mogliśmy oddziaływać militarnie na Azję, na Afrykę... Na Europę także, gdyby pojawiła się konieczność. Rola światowego policjanta oznacza, że można wysłać żołnierzy w dowolny punkt świata.

- Ale nie jesteście policjantem świata - odparła z goryczą. - Policja przestrzega prawa. Policjanci aresztują winnych, nie mordują. Jesteście raczej dozorcą świata i działacie wyłącznie we własnym interesie.

- Możliwe. Ale co dobre dla Stanów Zjednoczonych, zwykle było też całkiem dobre dla tych małych europejskich państweczek. Weź na przykład takiego Tignellego.

- Przypuszczam, że powstrzymanie go to także pana dzieło?

Przytaknął.

- To nic, czego byśmy nie robili już wcześniej. Od czasu do czasu naszymi „gladiatorami” sukces uderza do głowy i któryś zaczyna wierzyć, że będzie lekarstwem na ten chaos, jaki pomógł nam wywołać. Tignelli miał środki, by zorganizować całą czarną lożę, która wspierała jego plany. Ale Ameryka bardzo by nie chciała, by Włochy się rozpadły. To by mogło poważnie utrudnić swobodne ruchy naszych wojsk.

Chwilę trwało, nim zrozumiała, że nie żartuje.

- Szybko jednak zrozumieliśmy, że udaremnienie planów Tignellego daje bardzo użyteczne instrumenty nacisku - ciągnął Gilroy. - We Włoszech oprócz Stanów Zjednoczonych jest tylko jeden gracz, a ten ostatnio nie zachowuje się najlepiej. Obecny papież jest dość krytyczny wobec wojny z terrorem. W tym kontekście cały ten podejrzany interes, jaki zrobił z Cassandrem Bank Watykański, żeby pozbyć się toksycznych aktywów, to prawdziwa żyła złota. W odpowiednim czasie dyskretne słówko dotrze do odpowiednich uszu i polityka papieża znowu skieruje się na właściwe tory. Tak to działa.

- A ten atak, który Kat i Daniele próbują uniemożliwić? Też tak to działa?

Wzruszył ramionami.

- Jak wiesz, Europa ostatnio strasznie się żali na zakres naszej elektronicznej inwigilacji. Przyda jej się delikatne przypomnienie, jak niebezpieczny może stać się świat pozbawiony naszej ochrony. Po czymś takim każdy rząd w Europie będzie błagał, żeby przystąpić do VIGILANCE. - W zadumie pokiwał głową. - Prawdę mówiąc, to naprawdę sprytny system, Ktoś zauważył, że aktywność terrorystyczna w Europie sporo się zmniejszyła, kiedy Snowden ujawnił zakres naszych szpiegowskich działań. Z początku

myśleliśmy, że złoczyńcy nauczyli się ukrywać. Ale potem zrozumieliśmy: przekonanie, że jesteś obserwowana, powoduje, że zaczynasz się zachowywać lepiej. Był taki filozof, Jeremy Bentham, który odkrył tę zasadę jeszcze w osiemnastym wieku. Wykorzystał ją do projektu samonadzorującego się więzienia, gdzie każdy osadzony wierzy, że jest potajemnie obserwowany przez strażników. Nazwał je Panopticon, Wszystkowidzące. VIGILANCE to nasz Panopticon, Holly. A już niedługo cała Europa wejdzie do niego z własnej woli.

- Jakim kosztem? - spytała wstrząśnięta.

- No cóż... - zastanowił się. - Wenecja spłonie, jak sądzę. Ale czy to takie straszne? I tak się zapada. Nie martw się, pomożemy ją odbudować. Tyle że tym razem postawimy ją trzy metry nad wodą, z porządną kanalizacją, wyjściami ewakuacyjnymi, drogami dojazdowymi... Po raz pierwszy od dziesięciu stuleci może naprawdę zacznie funkcjonować.

- Zmienicie ją w Disneyland. W Vegas-na-morzu.

- Disneyland to bardzo dobrze prowadzony biznes. Mogliby trafić gorzej. - Westchnął. - Owszem, zginą ludzie. W panice, w ogniu... Oceniam, że kilka tysięcy. Jeśli rozejrzysz się po świecie, spojrzysz na Syrię, Liban czy praktycznie dowolny kraj afrykański, w porównaniu z nimi to naprawdę niewielka liczba. Co prawda ten wielki pożar będzie wiadomością dnia każdej agencji informacyjnej na świecie, przez co wyda się o wiele ważniejszy. Nie bronię tego, Holly. Decyzja, by nie przekazywać Włochom dokładniejszych informacji o ataku, moim zdaniem była błędem. To jedna z kilku rzeczy, które przekonały mnie, że czas się wycofać. To znaczy naprawdę wycofać tym razem, a nie tylko zrezygnować z oficjalnego stanowiska.

- Pan jest Cezarem, prawda? Człowiekiem na miejscu, który kieruje akcjami Ameryki.

Przytaknął.

- Czysto honorowy tytuł - wyjaśnił. - Mój poprzednik, Bob Garland, był pierwszym Cezarem, ja drugim. W ostatnich siedemdziesięciu latach Włochy miały sześćdziesiąt dwa oficjalne rządy, ale tylko dwóch prawdziwych władców. Ty będziesz trzecim.

- Ja?! - wykrzyknęła zdumiona. - Skąd pomysł, że chcę mieć z tym cokolwiek wspólnego?

- A dlaczego sądzisz, że ja chciałem? - odparł. - Sprowadziłem cię tutaj, Holly, głównie z powodu twojego ojca, tak jak ci mówiłem. Ale im częściej z tobą rozmawiałem, tym lepiej rozumiałem, że właśnie kogoś takiego ten kraj potrzebuje. Niektórzy sądzą, że skaziło cię dorastanie tutaj. Ale kiedy na ciebie patrzę, widzę dzielną amerykańską patriotkę, logicznie myślącą, która ma na uwadze interesy własnego kraju, ale kocha ten śmieszny naród dostatecznie, by ratować go przed samym sobą. Mam rację?

Nie odpowiedziała.

- Chodzi o to, że te trudne decyzje będą teraz należeć do ciebie. Byliśmy zbyt brutalni? Powinniśmy pozwolić takim ludziom jak Flavio Li Fionti ujawnić nasze tajemnice, jeśli ceną za to będzie ogólnoświatowa nienawiść do Stanów Zjednoczonych i ich polityki? Co jest ważniejsze, życie paru włoskich awanturników czy bezpieczeństwo naszych żołnierzy na świecie? - Pochylił się. - Chcesz czynić dobro, Holly? Proponuję ci władzę, by czynić nieograniczone dobro. Bądź moim sumieniem, moim doradcą, jakkolwiek zechcesz to nazwać. A potem, kiedy już ci pokażę, jak wszystko działa, wycofam się, a ty przejmiesz prowadzenie.

- Tak po prostu... - mruknęła.

Wzruszył ramionami.

- Albo możesz mnie zastrzelić. Nie jestem pewien, czy mi jeszcze zależy. Jeśli tak postanowisz, nie będę próbował cię odwozić.

- Żebym miała jasność co do wyboru... Są jeszcze inne możliwości?

- Oczywiście. Jeśli zdecydujesz, żeby mnie nie zabijać, ale nie chcesz przyjąć stanowiska, jakie ci proponuję, możesz po prostu wyjść, bez żadnych konsekwencji. Prawdopodobnie uda mi się

zorganizować ci możliwość czynienia dobra gdzie indziej. Na co masz ochotę. Holly? Akcje humanitarne w Sierra Leone? Misja pokojowa w Darfurze? Zapobieganie ludobójstwu w Iraku? Jeśli masz za słabe nerwy na brutalną rzeczywistość amerykańskiej władzy, to ma ona też drugą stronę: praca dla dobra ludzi, którą dzięki tej władzy możemy wykonywać

na całym świecie. Jeśli bardziej ci to odpowiada, wystarczy, że powiesz.

- Jest też czwarta możliwość - stwierdziła.

Uniósł brwi.

- To znaczy?

Zdjęła worek z ramienia i nie spuszczać wzroku z Gilroya, sięgnęła do środka. Wyjęła przedmioty, które zabrała z kuchni: pudełko trucizny na szczury i ostry nóż.

- Czwarta możliwość polega na tym, że zmuszę pana do połknięcia zawartości tego pudełka. To warfaryna, ten sam środek rozrzedzający krew, jaki przypuszczalnie podano mojemu ojcu. A potem utnę panu uszy i nos, tak jak na pańskie polecenie postąpiła Carole Tataro z Daniele. Wstrząs może doprowadzić do wylewu, jak u mojego ojca, chociaż nie musi. Ale tak czy tak, środek przeciwzakrzepowy zapewne sprawi, że wykrwawi się pan na śmierć.

Przyglądała mu się uważnie, ale błękitne oczy nawet nie drgnęły.

- Tak - przyznał spokojnie. - Rzeczywiście, taka możliwość też istnieje. A zatem, Holly, co wybierzesz?

## Siedemdziesiąt dwa

Helikopter *carabinieri* leciał szybko i nisko nad powierzchnią morza. Wkrótce włoskie wybrzeże stało się tylko plamami migoczących punktów.

Bagnasco i Panicucci potrzebowali jedynie paru minut, by znaleźć najbardziej prawdopodobny statek. „Serenity of the Seas” był jednostką nie tylko ogromną - zabierał do trzech tysięcy siedmiuset pięćdziesięciu pasażerów i tysiąc trzysta ludzi załogi - ale też napędzaną olejem gazowym, a Wenecja miała być jego następnym portem. Za ostateczny argument uznali zaawansowanie techniczne, jakim reklamował go armator: od darmowego Wi-Fi za pośrednictwem specjalnego satelity po systemy rozpoznawania twarzy, śledzenie miejsc pobytu osób na pokładzie i specjalne bransoletki RFID - identyfikujące właścicieli radiowo - które zastąpiły konwencjonalne systemy bezpieczeństwa.

Prokurator Marcello nie był jednak przekonany, zwłaszcza kiedy Kat zażądała, by zamknąć Wenecję dla wszystkich jednostek i natychmiast rozpocząć ewakuację.

- Zamknąć Wenecję? - powtórzył zaszokowany. - Ma pani pojęcie, *capitano*, ile statków wycieczkowych odwiedza miasto każdego dnia? I jak wielu gości przywożą?

- Dwadzieścia tysięcy turystów, mniej więcej czwartą część ogólnej liczby - odparła niecierpliwie.

- Ale naszym priorytetem powinno być teraz bezpieczeństwo pozostałych trzech czwartych, nie wspominając już o mieszkańcach Wenecji i jej budynkach.

- Trzeba zachować rozsądną równowagę między troską o bezpieczeństwo i prawem ludzi do prowadzenia normalnego życia. Nie możemy wpadać w panikę po każdej urojonej sugestii. - Marcello się wyprostował. Obca dotąd rola obrońcy osobistej wolności wyraźnie mu się spodobała. - Odmawiam.

- Chwileczkę - wtrącił Saito. - Statek, o który nam chodzi, znajduje się obecnie na wodach międzynarodowych. Jeśli kapitan się zgodzi, nie potrzebujemy włoskiego nakazu. Nie do pana należy zgoda albo odmowa, *avvocato*. - Spojrzał na Kat. - Uchylam decyzję prokuratora. Na mój rozkaz proszę wziąć dwóch oficerów i przeszukać jednostkę. Jeśli coś pani znajdzie, kapitanie, cokolwiek, zastanowimy się, co robić dalej.

- Dziękuję, panie generale.

Wybiegła za drzwi, zanim zdążył zmienić zdanie.

\* \* \*

„Serenity of the Seas” płynął wzdłuż wybrzeża Chorwacji. O świcie ci, którzy będą mieli szczęście znaleźć się na pokładzie, na własne oczy zobaczą malownicze zatoczki Losinj, ale nawet ci w kabinach będą mogli patrzeć, jak przesuwiają się za „wirtualnymi bulajami”, okrągłymi ekranami monitorów nad kojami.

Około południa „Serenity” zmieni kurs na północno-wschodni i przetnie Adriatyk. Przy odrobinie szczęścia przedwieczorne słońce zaleje Wenecję magicznym blaskiem, kiedy wpłyną na Baccino di San

Marco i dalej, przez Giudecca Canal w stronę terminala na Tronchetto. Pasażerowie mogą wtedy zejść z pokładu na kolację albo dołączyć do którejś z proponowanych przez statek pieszych wycieczek.

W praktyce jednak większość zje kolację w Qsine albo którejś z pozostałych restauracji na pokładzie. Jednak samo podejście przez Bocca di Lido do laguny wywabi z kabin wszystkich trzy tysiące siedmiuset pięćdziesięciu pasażerów. Będą się tłoczyli przy relingach z aparatami fotograficznymi, gdy statek wzniesie się ponad Piazza di San Marco, Pałac Dożów i bazylikę.

- Tam jest! - krzyknął przez ramię pilot helikoptera, wyciągając rękę.

Kat spojrzała. W dole zobaczyła trzy czy cztery wyspy, z ledwie widocznymi w mroku światełkami. Jedna z nich wydawała się szczególnie wysoka. I dopiero po chwili zrozumiała, że to nie wyspa, ale statek.

Widowała już supertankowce i zawsze się dziwiła ich wielkości; kwatery załogi i mostek były tylko niewielką konstrukcją na nieskończonym pustym pokładzie. „Serenity” wcale ich nie przypominał - wprowadził niemal tak długi jak supertankowiec, miał nad głównym pokładem siedem poziomów wypełnionych kajutami, atriami, kortami tenisowymi, ściankami wspinaczkowymi, wodnymi zjeżdżalniami... Sam mostek wyglądał jak przyłbica hełmu: szklana szczelina, maleńka w stosunku do reszty, biegnąca przez całą szerokość statku i nawet wystająca trochę po obu stronach.

To nie jest pływający drapacz chmur, pomyślała, kiedy helikopter zawisł nad lądowiskiem. To pływające miasto.

Sprawdziła broń i zauważyła, że Panicucci i Bagnasco robią to samo.

\* \* \*

Dwaj oficerowie powitali ich na pokładzie i szybko zaprowadzili na mostek. Był większy, niż się wydawało z powietrza: galeria wysoka na dwa piętra i szeroka na czterdzieści metrów. Kat znalazła niewiele tego, co na małych łodziach służyło za przyrządy nawigacyjne. Zobaczyła jakby wnętrze kabiny jumbo jeta: dwa fotele otoczone rzędami ekranów i konsoli. Trzymane przez marynarza koło sterowe było nie większe niż na motorówkach. Aż dziw, że taki potwór dawał sobą kierować czemuś tak maleńkiemu.

- Jestem kapitan Lozano, a to mój pierwszy oficer Daryl Valasco - przedstawił się kapitan, wstając z fotela. - W czym mogę pomóc?

- Szukamy terrorysty, który prawdopodobnie ukrywa się wśród pańskich techników komputerowych - odparła Kat.

- Zaraz ich wezwę. - Dał znak pierwszemu oficerowi, który szybko podszedł do telefonu. - Czy mojemu statkowi coś zagraża?

- Nie wiem - przyznała szczerze. - A zauważył pan coś po wypłynięciu z Sycylii? Zwłaszcza jakieś dziwne zachowania systemów komputerowych?

Pokręcił głową.

- Absolutnie nic. To był bardzo spokojny rejs.

- Dla ostrożności sugeruję wyłączenie całego sprzętu mającego dostęp do internetu.

Kapitan zmarszczył czoło.

- To nie takie proste. Z tej samej sieci korzysta biometryczny system identyfikacji pasażerów. Ale każę komuś przeprowadzić kontrolę.

Czekali, aż się zjawia wezwani technicy. Kat przyglądała się Bagnasco i przypomniała sobie, że *sottotenente* cierpiała ostatnio na chorobę morską.

- Jak się pani czuje? - spytała cicho.

- Och... - Bagnasco zdziwiła się wyraźnie. - Całkiem dobrze. Chyba się przyzwyczajam.

To już coś, uznała Kat.

Po chwili na mostek weszło ośmiu mężczyzn; wciąż przecierali zaspane oczy.

- Jesteście wszyscy? - spytał kapitan.

Jeden z nich spojrział wzdłuż szeregu.

- Wszyscy oprócz Mustakima. Ma dziś nocną wachtę.
- Gdzie jest?

Mężczyzna podszedł do zamontowanej przy drzwiach konsoli komputera i wpisał coś. Na ekranie pojawił się plan statku. Mały niebieski punkcik migotał na pokładzie trzecim.

Kat zauważyła, że każdy z członków załogi nosi kolorową bransoletkę. To pewnie te radiowe identyfikatory, o których czytała Bagnasco.

- Jest w centrum gier - oznajmił mężczyzna.
- Panie Valasco, zechce go pan przyprowadzić?
- Ja też pójdę - wtrąciła Kat. - Pozostali niech zaczekają tutaj, dobrze? Moi ludzie sprawdzą ich tożsamość.

Ruszyła za pierwszym oficerem do szklanej windy. Zjechali do atrium wysokości trzech pięter, ze sklepami na całym obwodzie.

- Proszę za mną - powiedział Valasco.

Poprowadził ją przez salę do drzwi przeciwpożarowych. Napis informował, że to Casino Royale, największe pokładowe kasyno na wodach europejskich. Wewnątrz ze wszystkich stron popiskiwały automaty. I chociaż była noc, zebrały się tu tłumy.

Valasco otworzył kolejne drzwi przeciwpożarowe i przeszli do drugiej, pozbawionej okien sali. Tutaj błyskały i brzęczały automaty do gier zręcznościowych, a klientelę stanowiła głównie młodzież.

Oficer wyjął tablet i sprawdził jeszcze raz. Migający niebieski punkt był o parę metrów od nich.

- Tam - powiedział i pociągnął ją do maty tanecznej.

Wyginająca się na niej nastolatka nawet na nich nie spojrzała. Skupiony wzrok wbijała w ekran.

- Proszę zdobyć mi zdjęcie tego Mustakima - rzekła Kat. - Jak najszybciej. I muszę porozmawiać z kapitanem.

\* \* \*

- Musimy przeszukać statek - poinformowała.
- Proszę bardzo. Ale nie można niepokoić pasażerów. O tej porze śpią.
- Trzeba ich obudzić i sprawdzić każdą kajutę, - oświadczyła Kat stanowczo. - Ten człowiek jest niebezpieczny.

Kapitan zmarszczył brwi.

- Proszę wybaczyć, *capitano*, ale co prowadzi panią do takich wniosków? To tylko jeden człowiek. Maszynownia jest strzeżona. Jak dotąd nic nie zrobił, nie próbował niczego zakazanego. Czy nie jest możliwe, że użył swoich technicznych umiejętności, by ukryć fakt, że poszedł się przespać, choć powinien dyżurować?

- O to właśnie chodzi. Jest hakerem. A tym statkiem sterują komputery. - Kat szerokim gestem wskazała naszpikowany elektroniką mostek. - Może planować absolutnie wszystko.

Kapitan wydawał się nieco rozbawiony.

- Ale dostępna dla pasażerów sieć bezprzewodowa nie ma połączenia z systemami kontrolnymi statku. Wszystkie te maszyny rozmawiają wyłącznie z satelitą naszego armatora.

- Więc to jest pański słaby punkt, kapitanie. Jeśli do przejęcia statku trzeba zhakować satelitę, to niech mi pan wierzy, właśnie to zrobił.

- Ale nie kieruje moim statkiem - oświadczył kapitan. - ja nim kieruję. Zaraz pani pokażę. - Zwrócił się do marynarza przy sterze. - Proszę zmienić kurs o trzy stopnie na lewą burtę.

- Tak jest, sir.

Kapitan odwrócił się do Kat. Czekali. Kat widziała, jak pewność siebie kapitana znika, zastąpiona najpierw zwątpieniem, a potem niepokojem. Zwrócił się do sternika.

- Jakiś problem? - zapytał ostro.

- Nie wiem, sir. - Sternik wciskał pospiesznie jakieś klawisze. - Wszystko działa normalnie. Ale

statek nie reaguje.

Kat poczuła pod stopami delikatną wibrację, kiedy silniki zwiększyły obroty.

- Zareagował na zmianę prędkości - zauważył rozsądnie kapitan.

- Nie zmieniałem prędkości, sir.

Kapitan milczał przez chwilę.

- Zmniejszyć prędkość do siedmiu węzłów - polecił.

- Tak jest, sir. - I w chwilę potem dodał: - Silniki nie reagują, sir.

- Przeszukać statek - powtórzyła Kat. - Każdą kajutę. On tu gdzieś się ukrywa ze swoim laptopem i

wszystkim steruje.

## Siedemdziesiąt trzy

Podzielili załogę „Serenity” na grupy poszukiwawcze. Kiedy zeszli na pierwszy pokład, nagle pogasły światła.

Natychmiast zadziałało oświetlenie awaryjne - słabe LED-owe lampki, mające pokazywać pasażerom drogę w razie katastrofy. Statek nagle przestał przypominać pływający czterogwiazdkowy hotel, a stał się podobny do napakowanego ludźmi ogromnego, ale kruchego kontenera.

Nawet na mostku Kat słyszała krzyki przerażenia.

- Chyba trzeba rozważyć opuszczenie statku - poradziła kapitanowi, kiedy nikt ich nie słyszał. - Powinniśmy ewakuować tylu ludzi, ilu zdążymy.

Pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie ma takiej możliwości. Nasze szalupy są zbudowane tak, że trzeba je opuszczać, kiedy statek stoi w miejscu. Powyżej pięciu węzłów kilwater je zaleje. - Zerknął na ekran.

- W tej chwili nasza prędkość to czternaście węzłów i ciągle rośnie.

Kat dopiero teraz zaczynała zdawać sobie sprawę z pełnej grozy sytuacji.

- Ile czasu do osiągnięcia Wenecji?

- Przy tej prędkości jakieś cztery i pół godziny.

- A możemy określić, dokąd dokładnie płyniemy?

- Nawigator informuje mnie, że współrzędne GPS odpowiadają położeniu Campanile di San Marco - odparł cicho.

Campanile... Słynna wieża dzwonnicy na środku placu św. Marka, prawie dokładnie w połowie drogi między Pałacem Dożów i bazyliką, ponad sto metrów od brzegu.

- Wydaje się, że chce z pełną prędkością doprowadzić do zderzenia z *piazzetta* - powiedział kapitan. - Nie mamy pewności, co się wtedy stanie. Ale przy pełnych zbiornikach statek prawdopodobnie eksploduje.

- Może pan wylać to paliwo do morza?

Pokręcił głową.

- Nie ma takiego mechanizmu.

To pływająca bomba, pomyślała Kat.

Statek był teraz ogromnym morskim pociskiem, wymierzonym w samo serce Wenecji. Wyobraziła sobie zdjęcia na pierwszych stronach jutrzejszych gazet... Dzwonnica runie, bliźniacze kolumny św. Marka i św. Teodora rozsypią się w gruzy, zginą na zawsze kamienne lwy, na których bawiły się dzieci i goście pozowali do zdjęć. Sam plac, gdzie pokolenia jej przodków spacerowały, plotkowały, kupowały napoje od ukrytych w podcieniach budynków handlarzy win, stanie się sceną zniszczenia, znowu zalaną przez morze - drugim Ground Zero.

Ale nie tylko to. Słynny Pałac Dożów miał drewniany dach; został skonstruowany przez szkutników Arsenale jako coś w rodzaju odwróconego kadłuba okrętu, z użyciem tych samych technik, które uczyniły



wenecką flotę obiektem zazdrości całego świata. Pięć złotych kopuł bazyliki - zaprojektowanych w trzynastym wieku tak, żeby symbol weneckiej potęgi dał się zobaczyć z morza - także wykonano z drewna. Pożary od dawna były zagrożeniem, które najbardziej niepokoiło wszystkie władze - do tego stopnia, że jeszcze dzisiaj restauracje musiały się starać o specjalne pozwolenia, by zainstalować piece do pizzy. Ogień błyskawicznie przeskoczy nad wąskimi szlakami wodnymi, pochłaniając zarówno zatłoczone domy, jak i wspaniałe *palazzi*. Jeżeli „Serenity” wybuchnie na placu św. Marka, jak daleko sięgnie zniszczenie? Na pewno obejmie praktycznie cały dystrykt św. Marka, może też Cannaregio i Castello...

Ogarnęła ją zimna wściekłość, którą z trudem hamowała. Zadzwoiła do Pioli, żeby przekazać najnowsze wieści.

- A czy ty możesz jeszcze opuścić statek? - spytał.
- Nie sądzę. Pilot twierdzi, że przy tej prędkości nie może wystartować. Zresztą i tak nie mogę zostawić pasażerów.
- Jeśli go znajdziesz - powiedział cicho - i będziesz miała szansę, zastrzel go. Obiecuj mi, Kat. Nie zastanawiaj się dwa razy.
- Obiecuję. - Zawahała się. - Zaczęli już ewakuację miasta? Na wypadek gdyby nam się nie udało?
- Kłóćmy się o to przez całą noc. - Westchnął - Nikt we władzach nie chce być tym, który podejmie decyzję. Wiesz, jak wygląda Ponte della Libertà nawet w najlepszych godzinach. Nawet gdybyśmy mieli środki, by przeprowadzić powszechną ewakuację, jak sobie wyobrażasz przepchnięcie trzystu tysięcy turystów przez jeden wąski most w ciągu kilku godzin? Wybuchnie panika.
- Mimo to musimy próbować.
- Pracuję nad tym. Ale Kat, miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. On musi być gdzieś na tym statku. Wciąż jest czas, żeby go znaleźć.

\* \* \*

Noc zmieniła się w dzień, kiedy Daniele skończył usuwać wirusa z ostatnich komputerów swoich użytkowników. Było kilka, do których nie dotarł na czas. W miastach w całych Włoszech zawodziła sygnalizacja drogowa i poranne korki były jeszcze gorsze niż zwykle. Setki samochodów łączących się z internetem - tych, które używały technologii SYNC Forda, ConnectedDrive BMW, Connect Audi i COMAND Mercedesa - powodowały spadki, zwiększając ogólny chaos, a u niektórych kierowców po prostu nie otworzyły się drzwi do garażu. W kilku budynkach rządowych bez żadnego powodu zaczęły działać zraszacze przeciwpożarowe, a serwery trzech największych włoskich banków nagle ujawniły w internecie dane wszystkich klientów.

Jak dotąd, o ile wiedział, żaden z ataków nie doprowadził do ofiar śmiertelnych. O dziesiątej rano pozostał mu tylko własny komputer hakera.

O wpół do jedenastej serwisy informacyjne w całych Włoszech donosiły o tej dziwacznej sytuacji. Niektóre sugerowały nawet, że chodzi o cyberatak.

Daniele zastanawiał się przez chwilę, po czym na stronie logowania Carnivii umieścił wiadomość.

*Drodzy carnivianie!*

*W czasie ostatnich kilku tygodni Carnivia stała się celem ataku. Hakerowi udało się rozpowszechnić wśród użytkowników groźnego wirusa. Jego celem było wywołanie chaosu - wirus powodował, że setki tysięcy, może nawet miliony połączonych z internetem urządzeń równocześnie przestałyby poprawnie funkcjonować.*

*Jedynym sposobem zapobieżenia tym atakom było dla mnie usunięcie szyfrowania Carni i dezynfekcja serwisu. Szyfrowanie będzie wkrótce przywrócone, ale tymczasem powinniście pamiętać, że nic, co robicie albo mówicie w Carnivii, nie korzysta ze zwykłego poziomu anonimowości.*

*W tych okolicznościach dzisiejsze wybory zostały zawieszona na dwadzieścia cztery godziny.*

*Daniele Barbo*

Wcisnął „Prześlij” i odsunął się. Nie miał wątpliwości, że rozlegną się protesty, nawet oskarżenia, że oszukał swoich użytkowników, zapewniając, iż nikt, nawet on, nie może złamać systemu szyfrowania. Inni wykorzystają okazję, by przekonywać, że w ogóle nie powinien pozwalać użytkownikom na anonimowość. Ale w tej chwili miał ważniejsze sprawy do przemyślenia i ważniejsze decyzje do podjęcia.

## Siedemdziesiąt cztery

Okolo południa grupy poszukiwawcze sprawdziły wszystkie tysiąc sześćset pięćdziesiąt kajut. Zbadały Aqua Park, Colonial Club, wirtualne pole golfowe, trzy restauracje i dyskotekę. Przeczesaly Balinese Spa i solarium w stylu radzów, Hawaiian Palm Court i kawiarnię Latte-tudes. Przeszukały każdy z pokładów pasażerskich, a potem zeszyły do dźwięczących, pustych korytarzy w dole, do kwater załogi i do maszynowni.

Nie trafiły na żaden ślad hakera.

Licząc na jakąkolwiek wskazówkę, Kat osobiście kierowała przeszukaniem jego kajuty. Znaleźli sczytany Koran, dwa telefony komórkowe i trzy paszporty z tą samą fotografią. Najstarszy był libijski, wystawiony na Tarika Fakruma. Chłopak miał dwadzieścia lat.

- Nie ma laptopa - stwierdziła. - Na pewno go używa. - Zwróciła się do kapitana. - Gdyby chciał wejść do sieci komputerowej, gdzie jest najlepsze miejsce?

Mężczyzna wzruszył ramionami i spojrział na oficera nadzorującego elektronikę statku.

Nikt z nas naprawdę nie wie, jak to wszystko działa, pomyślała Kat. Wydaje nam się, że mamy kontrolę, bo możemy tego używać, ale tak naprawdę to dla nas tajemnica.

- Prawdopodobnie serwerownia - odparł oficer. - Ale już ją sprawdzaliśmy.

- Proszę mnie tam zaprowadzić.

Serwerownia znajdowała się na niższych poziomach, w samych trzewiach statku: gorące, ciasne pomieszczenie wypełnione sprzętem. Grube wiązki kabli docierały tu otworami w stropie, a poniżej migotały bezgłośnie lampki komputerów.

- Czy można jakoś wyłączyć te elementy, z których on korzysta? - spytała.

- Próbowaliśmy - zapewnił oficer. - Ale to nic nie daje. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że on całkiem ominął naszą sieć i stworzył własny szkieletowy program, który kieruje statkiem.

Kat nie знаła się na komputerach, ale znała się na statkach.

- Nadal potrzebuje GPS-u, żeby utrzymać namiar celu. Gdyby chciał włamać się do satelity w miejscu powyżej całej elektroniki, gdzie mógłby to zrobić?

Tym razem odpowiedział kapitan.

- Na samym szczycie jest przedział antenowy. Da się tam dotrzeć tylko po drabince na wieży radarowej.

\* \* \*

Zabrała ze sobą Panicucciego i Bagnasco; razem przebiegali po schodach służbowych z pokładu na pokład. Wreszcie stanęli pod wieżyczką radaru i pozostała im tylko metalowa drabinka.

Kat wspinała się w'olno, szczebel po szczeblu; odbijające się od metalu promienie słońca świeciły jej prosto w oczy. Spojrzała w dół - od powierzchni morza dzieliło ją przynajmniej siedemdziesiąt

merów.

Szczeble drabinki znikwały w podłodze czegoś, co wyglądało jak małeńki pokład widokowy, najwyższy punkt statku. Ostrożnie wsunęła głowę przez otwór i rozejrzała się.

Smagły młody człowiek siedział ze skrzyżowanymi nogami pod anteną radarową, z laptopem między kolanami. Miał na sobie jakby pikowaną kurtkę bez rękawów, ale natychmiast zauważyła wystające przez szwy przewody.

Kamizelka samobójcy.

Spojrzał jej w oczy i wsunął rękę do kieszeni.

- Stój! - krzyknęła i sięgnęła po pistolet.

Nie posłuchał. Kiedy wyrwał z kieszeni detonator, strzeliła mu prosto w twarz. Nie było czasu na zastanowienie, na nic tak świadomego jak decyzja. Dopiero po strzale dotarło do niej, że od początku planowała tak postąpić - od chwili kiedy Piola powiedział jej, by się nie wahała. Głowa chłopaka eksplodowała, krew zachlapała konstrukcję wieży, komputer spadł mu z kolan, gdy ciało najpierw szarpnęło się, a potem osunęło na bok; ciemne włosy rozsmarowały plamę krwi na metalu. Odrzut ją także pchnął w tył, tak że zatoczyła się na drabince. Lewa ręka gwałtownie ścisnęła szczebel, gdy Kat rozpaczliwie starała się odzyskać równowagę.

A potem wskoczyła na małą platformę. Chłopak żył jeszcze, drgania wstrząsały ciałem... i nagle przestały. Odchyliła mu głowę i przytknęła usta do strzaskanej twarzy, by zastosować sztuczne oddychanie - równie instynktownie, jak kilka sekund wcześniej pociągnęła za spust.

Panicucci i Bagnasco bez słowa przykucnęli za nią. Dopiero kiedy zauważyła rosnącą kałużę krwi wokół swoich butów, zrozumiała, że to beznadziejne.

- Weźcie laptopa - poleciła, wstając.

Spojrzała w stronę, w którą płynęli. Lśniące drzazga przyzywała ich na horyzoncie; złociste iglice i kopuły jaśniały w blasku słońca, a dziób statku celował w nie jak strzała.

Wenecja.

Zabrali laptopa na mostek i oddali specjalistom.

- Każda instrukcja jest chroniona hasłem - powiedział w końcu oficer. - Nie mamy nawet pojęcia, co robi.

- Więc go wyłączcie - powiedziała Kat. - Przynajmniej będzie pewność, że nie kieruje już statkiem.

Oficer odwrócił laptopa i odpiął baterię. W głębinach statku coś skrzypnęło głośno i szum silników pod nogami zmienił ton. Kat poczuła, że jej ciało odchyła się odruchowo, gdy statek przyspiesza.

- Przełącznik martwej ręki - stwierdził cicho oficer. - Musiał tak wszystko ustawić, że rozłączenie uruchamia komendę „cała naprzód”.

- Ile mamy czasu do Wenecji?

Pierwszy oficer spojrzał na ekran.

- Przy tej prędkości poniżej trzydziestu minut.

Chwyciła telefon.

- Daniele - powiedziała. - Potrzebuję pomocy.

W kilku zdaniach przedstawiła mu sytuację.

- Chcę wiedzieć - zakończyła - czy potrafisz się włamać do firmowego satelity i zmienić współrzędne GPS.

Zastanowił się.

- Tak i nie. Prawdopodobnie mógłbym zerwać połączenie z satelitą. Ale sam statek dalej będzie trzymał namiar na poprzednie współrzędne. Jeśli nie wymyślicie jakiegoś sposobu, żeby to zmienić, będzie płynął dawnym kursem, dopóki się z czymś nie zderzy albo dopóki nie skończy się paliwo. Nie macie żadnej możliwości sterowania? Nie da się ominąć elektroniki?

Obejrzała się przez ramię na grupę dyskutujących oficerów.

- Pracują nad tym. Ale Daniele, chyba nie powinniśmy na nich liczyć. Statek jest po prostu za wielki i za skomplikowany.

- Łódź to łódź. Musi być jakiś sposób zmiany kursu.

Pewna myśl pojawiła się w jej głowie...

\* \* \*

- Pomyśli pan, że to szaleństwo - powiedziała kapitanowi. - Ale płynam na łodziach od dzieciństwa i wiem, że tak naprawdę te wielkie są całkiem podobne do małych.

Kapitan ostrożnie kiwnął głową.

- Jeśli weźmiemy tę wybuchową kamizelkę hakera i wybijemy nią otwór w lewej burcie na dziobie, poniżej linii wodnej? Statek się przechyli i opór go przekreśli. - Wskazała mapę. - Zaczniemy tonąć, oczywiście, ale tymczasem kurs odchyli się na lewo od Bocca di Lido. A jeśli nie trafimy w przejście do laguny, przynajmniej Wenecja będzie bezpieczna. O ile będziemy mieli szczęście, osiądziemy na mieliźnie, piaski wyhamują nas powoli i zbiorniki nie wybuchną.

- Skąd pani wie, że ta kamizelka wyrwie mały otwór, a nie wielki?

- Nie wiem. Ale nie wydaje mi się, żeby tracił czas na większy ładunek niż trzeba. Założę się, że bomba zawiera tyle materiału wybuchowego, żeby rozerwać jego, laptop i tego, kto po niego przyszedł.

- Modłę się, żeby pani miała rację - powiedział słabym głosem kapitan. - Bo ja nie mam żadnego innego pomysłu.

\* \* \*

Pochyleni nad planami statku zastanawiali się, gdzie najlepiej umieścić ładunek. Kat wiedziała jednak, że cokolwiek się zdarzy, czas na myślenie praktycznie minął. Za długą linią Lido całkiem wyraźnie widzieli już panoramę miasta. Rozróżniała pojedyncze budynki: odkryty bar na dachu hotelu Stucky, błyszczące dachy św. Marka, białą kopułę Santa Maria della Salute.

Nagle powróciła wizja ciemnej styczniowej nocy: *acqua alta* zalewająca stopnie La Salute i ciało przyniesione falą z laguny... Jej pierwsza sprawa z Aldo Piolą. Miała wrażenie, że to już bardzo dawno temu...

- Zdetonuję ją tutaj - oświadczyła, przerywając dyskusję. Wskazała miejsce w połowie wysokości dziobu.

- To kwatery załogi. Zaprowadzę panią - odpowiedział natychmiast pierwszy oficer.

- Proszę zebrać pasażerów na pokładzie i przygotować do opuszczenia statku - polecił któremuś z ludzi kapitan. Do Kat i pierwszego oficera rzucił tylko krótkie: - Powodzenia.

Inny oficer zamocował długi przewód zapalnika. Kat ostrożnie niosła kamizelkę długimi korytarzami i miała wrażenie, że otwór nie będzie zbyt wielki, ale wręcz przeciwnie. Czy kilka pakietów materiału wybuchowego potrafi wyrwać dziurę w kadłubie tak grubym jak w „Serenity”?

Była zadowolona, że poszedł z nią Valasco: poniżej linii wodnej łatwo mogłaby się zgubić wśród identycznych korytarzy. Wibracja potężnych silników też była tu wyraźniej odczuwalna: kilka razy Kat obijała się od metalowych ścian, pilnując tylko, żeby nie zaczepić o coś kamizelką.

W końcu oficer otworzył jakieś drzwi.

- To tutaj.

Nie było specjalnych przygotowań. Ułożyli kamizelkę na koi, żeby skierować wybuch na zewnątrz, a potem, rozwijając przewód zapalnika, wycofali się na korytarz. Kat przykucnęła, by uruchomić czasowy detonator, a pierwszy oficer czekał obok, gotowy, by jej pomóc.

Biegli już, kiedy za nimi zabrzmiał trzask i huk eksplozji.

Za szybko, pomyślała; wybuch nastąpił za szybko.

Przez moment miała wrażenie, że znowu jest w swoim mieszkaniu i przez okno ogląda zamach na Flavia. Drgnęła i potknęła się. ale pierwszy oficer chwycił ją za ramię i na wpół ciągnął, na wpół popychał korytarzem. Marynarze zamykali za nimi kolejne grodzie. Za plecami wyczuła kolejny, słabszy

wstrząs, kiedy morze - dzikie i wściekle - wdarło się do wnętrza, by odzyskać przestrzeń na krótko wydartą mu przez człowieka.

\* \* \*

Milczący pasażerowie w kamizelkach ratunkowych stali wzdłuż burt. Na mostku Kat i Valasco znaleźli grupę oficerów spoglądających niespokojnie w stronę dziobu.

- Coś się dzieje? - spytała.

Któryś z nich obejrzał się i pokręcił głową.

Zadzwoił Daniele.

- Zablokowałem telemetrię i namiar z satelity - powiedział.

- To znaczy? - spytała niecierpliwie.

- Że chwilowo jest wyłączony z akcji. Co słyszeć po waszej stronie?

- Nie jestem pewna.

Ale gdy to mówiła, poczuła, że pokład pod nogami przechylił się odrobinę na lewą burtę. Wstrzymała oddech.

Do brzegu zostało im najwyżej kilkaset metrów; dziób, niczym gigantyczny taran, wskazywał prosto na szczelinę w Lido. Ale kiedy pokład wychylał się coraz bardziej w lewo, statek także skręcał, jak deskorolka, kiedy jadący przeniesie ciężar na jedną stronę. Nie o wiele - ale dziób wyraźnie odsunął się od przesmyku w stronę samej wyspy. Kat widziała bogatą fasadę Hotel des Bains i rzędy niebiesko-białych *capanne* - miejsce, gdzie wszystko się zaczęło. Widziała letników stłoczonych za policyjną taśmą, niedopuszczającą ich do plaży. I widziała miękkie żółte piaski, czekające już, by objąć „Serenity of the Seas”. Czuła, jak głaszczą dno statku.

„Serenity” zwolnił, szarpnął i nagle przechylił się na prawą burtę, tym razem o wiele mocniej.

Przechylił pchnął Kat na grupę oficerów na końcu mostka, teraz znajdującego się trzy metry niżej niż drugi. Próbowwała zahamować, wykonała idealny krok taneczny i wirując, wpadła w ramiona Panicucciiego - a w następnym momencie oboje runęli na podłogę, która nachyleniem przypominała teraz dziecięcą zjeżdżalnię.

Z gwałtownym wstrząsem pływający olbrzym znieruchomiał na mieliźnie, wyrastając pod obłąkanym kątem ponad pustymi leżakami, jakby postanowił wysypać na nie pasażerów i mieć wreszcie spokój.

## Siedemdziesiąt pięć

Daniele Barbo czekał w spokojnym zakątku baru niedaleko Rialta. Barman i większość klientów nosili maski, jednak byli też inni, z odsłoniętymi twarzami. Dla wielu z tych, którzy uczestniczyli w Demaskacji, jak określano teraz to wydarzenie, punktem honoru stało się nieukrywanie własnej tożsamości. Daniele wprowadził więc z serwisie nową funkcję: użytkownik mógł wybierać, czy chce, czy nie chce zachować incognito.

*Cześć, Daniele.*

Awatar, który zajął miejsce obok niego, należał do tych bez masek, ale Daniele i tak by go poznał.

*Witaj. Max. Gratulacje.*

*Tak, w końcu wszystko dobrze się ułożyło, prawda?*

W następstwie Demaskacji powierzenie bezpieczeństwa Carnivii administratorowi - i to nie dowolnemu administratorowi, ale temu, który pomógł Daniele zidentyfikować i zneutralizować wirusa - wydawało się jedyną rozsądną możliwością. Kiedy doszło do wyborów, Max wygrał z gigantyczną przewagą.

*Prawdę mówiąc, o tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Ta moja decyzja, żeby zrezygnować... Ponownie ją rozważam.*

Długa chwila milczenia.

*Tak? A dlaczego?*

*W części z powodu twojego sukcesu, odparł Daniele.*

*Nie rozumiem.*

*Kiedy myślałem o tym, co zrobił ten haker, kilka spraw wciąż mnie niepokoiło. Na przykład, jak mu się udało tak wiele osiągnąć samodzielnie. Więc gdy Carnivia była odszyfrowana, dokładniej się przyjrzałem jego historii. Okazuje się, że ktoś mu pomagał... inny haker, który na forach występował jako Dżibran. To właśnie Dżibran mu zasugerował, żeby wziąć na cel internet rzeczy. A także, że dobrze będzie zabrać się do tego za pośrednictwem Carnivii.*

*Czyli sprytny gość, ocenił Max.*

*Owszem. Chociaż, co dziwne, to właśnie Dżibran ujawnił nagranie wideo z ataku na tunel Fre'jus. Gdybyś nie zwrócił mi na nie uwagi, Tarik Fakrum mógłby osiągnąć swój cel. Jak myślisz, czemu Dżibran to zrobił, skoro jest taki sprytny?*

*Może nie mógł wytrzymać, żeby się nie pochwalić.*

*Niewykluczone. Ale zaczęłem się zastanawiać, czy jest w tym coś więcej. Dlatego przyjrzałem się dokładniej również administratorom Carnivii.*

*I? Co znalazłeś?*

*Wszystko to miało sens, odpisał ze smutkiem Daniele. Gdyby tylko istniał lepszy sposób wyrażenia*

uczuć niż dodanie jakiegoś głupiego emotikonu... To kolejna rzecz, którą powinien dodać, po zdjęciu masek awatary powinny śmiać się, płakać, okazywać gniew albo rozczarowanie... *Fakt, że tak ci zależało na wyborze. Ze dawni i nowi użytkownicy byli napuszczani na siebie. Zagrożenia bezpieczeństwa, na które jedyną możliwą odpowiedzią byłyby wciąż wyższe poziomy nadzoru...*

*Nie wiem, o czym mówisz.*

*Czym jesteś, Max? Czy powinienem nazywać cię Dżibranem? Pracujesz dla USCYBERCOM? Dla sekcji kryptologicznej? Dla Tailored Access Operations? Czy dla jakiejś innej grupy wewnątrz NSA, tak tajnej, że jeszcze o niej nie słyszeliśmy? Może nawet nie jesteś już pojedynczą osobą... Może to, co nazywam Maxem, jest w rzeczywistości zespołem pracującym na zmiany w jakimś anonimowym budynku w Fort Meade albo w Palo Alto...*

*To jakiś obłąd.*

*Kiedy cię zwerbowali, Max? I jak? Chodziło o pieniądze? Kobiety? Czy po prostu szansę, żeby zostać kimś ważnym: człowiekiem, który pomógł armii Stanów Zjednoczonych przejąć kontrolę nad Carnivą?*

Znowu długa chwila milczenia. Wreszcie Max odpowiedział:

*To ty stałeś się potworem, Barbo, nie ja. Nie chciałeś zrozumieć, dokąd to wszystko zmierza. Że internet to już nie jest luzacka zabawka, w której małolaty robią sobie dowcipy, a nikt nie wie, kim są naprawdę. Teraz to już prawdziwy świat. A w prawdziwym świecie żyją zli ludzie, którzy nie cofną się przed niczym, by zniszczyć to, co ważne.*

*Rzeczywiście są tacy. Max. I wiesz co? Ty jesteś jednym z nich...*

Awatar Maxa nagle zniknął.

*Żegnaj, przyjacielu, napisał Daniele w pustkę. Mam nadzieję, że było warto.*

\* \* \*

Odsunął się od ekranu i odwrócił, by spojrzeć na Holly. Siedziała przy drugim komputerze i przenosiła zawartość dyskietek Autodinu na pendrive'a. Kiedy Daniele odczytał już dane ze starych nośników, bez oporu ujawniły swoje sekrety.

Wiedziała już wtedy, czego mniej więcej powinna się spodziewać. Mimo to jednak sama liczba zebranych przez ojca obciążających dokumentów zapierała dech w piersi. Gilroy używał eufemizmów, kiedy wysyłał tajne depesze do Waszyngtonu - nie wiedziała, czy w ten sposób zamierzał chronić siebie, czy swoich zwierzchników. Chciałaby wierzyć, że był samotnym wilkiem, któremu pozwolono rządzić swoją domeną tak, jak mu się podobało. Jednak trudno przyjąć, że dowództwo CIA zupełnie nie było świadome krwi ściekającej z rąk ich głównego reprezentanta we Włoszech. Zresztą, eufemizmy czy nie, przez porównanie dat depech z rzeczywistymi wydarzeniami, nietrudno było odkryć, które z mrocznych epizodów historii Włoch były przez niego wywołane. Na dyskietchkach znalazła ponad dwa tysiące plików i każdy z nich był oskarżeniem.

Daniele nie pytał, w jakim stanie zostawiła lana Gilroya, a ona mu nie powiedziała. Ale z jej skupienia i pośpiechu wnioskował, że z tego czy innego powodu nie zostało jej wiele czasu.

- To już wszystko - oświadczyła. - Co teraz?

Pokazał jej, jak wewnątrz Carnivii umieścić dokument w miejscu publicznie dostępnym, gdzie każdy mógł go przeczytać, ale skąd nikt nie zdołałby go usunąć.

- Jesteś pewna? - zapytał, kiedy kopiowała pliki. - To będzie nieodwracalne. Kiedy już się tam znajdą...

- Wiem, co robię. - Wydawała się blada, a poniżej jej ucha pulsowała niebieska żyłka. - I wiem, co ze mną zrobią - dodała cicho. - Jestem na to gotowa.

Kiwnął głową.

- Wciśnij „Enter” i załatwione.

Wcisnęła bez wahania, a on patrzył, jak jego szczęście odlatuje w eter, by nigdy już nie wrócić.



- Mogę skorzystać z twojego telefonu? - spytała.

Podał jej.

- Kat? - odezwała się, gdy już wybrała numer. - Wyślij ekipę techniczną do willi Iana Gilroya, a potem przyjedź mnie zabrać z Ca' Bar-bo. - Słuchała przez chwilę. - Nie, nic mi nie jest. Ale poślij też do willi kogoś z medycyny sądowej. Gilroy nie żyje.

Siedzieli potem i czekali na karabinierów.

- Wiesz, co mi powiedział, zanim umarł? - spytała zamyślona.

Daniele pokręcił głową.

- Powiedział: „Kocham cię, Holly. Kochałem cię jak własną córkę od czasu tego grilla, kiedy bawiliśmy się tak, że stanęłaś na moich stopach i maszerowaliśmy dookoła ogrodu. Może gdybym cię tak nie kochał, powstrzymałbym ich przed próbą zabicia twojego ojca. Ale on miał wszystko, a ja nic”.

- Ostatnie rozpaczliwe kłamstwo, żeby zyskać twoją sympatię.

- Może. Ale wolę wierzyć, że była w nim jednak odrobina człowieczeństwa.

Nie potrafiła jednak powtórzyć Daniele naprawdę ostatnich słów Gilroya; jego głos był zaledwie szeptem, gdy zamknął oczy i czekał na koniec.

- *Ego te absolvo a peccatis tuis.*

Mówił do niej czy do siebie? A może to tylko automatyczna reakcja katolika wobec śmierci?

*I ja odpuszczam tobie grzechy...*

Niezależnie od powodów ogarnęło ją dziwne ukojenie, jakby dwie strony jej natury wreszcie się splotyły. I - co jeszcze dziwniejsze - miała nadzieję, że w jakimś sensie Gilroy też doznał ukojenia.

Spojrzała na Daniele.

- Wiesz, że kiedy się dowiedział o ataku, próbował cię skłonić do opuszczenia Wenecji? Napisał do ciebie, że Ca' Barbo się wali i musisz się wyprowadzić. Jak rozumiem, nie odpowiedziałeś.

Daniele parsknął niechętnie.

- Nie przypisywałbym temu wielkiego znaczenia. Pewnie chciał mnie usunąć z drogi.

Milczała przez chwilę.

- Co masz zamiar zrobić ze swoim algorytmem? - spytała wreszcie.

- Zatrzymasz dla siebie czy opublikujesz?

- Już poszedł w świat. - Skinął w stronę okna. - Dosłownie. Podarłem wszystko na kawałki i wyrzuciłem do *rio*.

- Dlaczego?

- Doprowadziłby do świata bez tajemnic - odparł powoli. - Świata, w którym wszystko, co niezwykle, złożone czy kreatywne, można by zreplikować kawałkiem softu. Uznałem, że jednak nie chciałbym żyć w takim świecie.

- Byłyby też zalety - zauważyła. - Krócej by się czekało w Disney World.

Uśmiechnął się. I zapytał:

- Jak to zrobiłaś?

- Z Gilroyem? Zastrzeliłam go z pistoletu ojca. Uznałam, że to najbardziej odpowiednie. Jedna kula za całe lata ołowiu. Nigdy nie stanąłby przed sądem za wszystko, co zrobił. Jego pracodawcy by o to zadbali.

W jej głosie nie było wyrzutów sumienia, jedynie przerażająca, żelazna determinacja.

Kiwnął głową.

- Postąpiłaś słusznie.

Zza okna dobiegły jakieś odgłosy. Daniele wstał i wyjrzał na zewnątrz.

- Kat już jest, z pułkownikiem Piolą. Przesłałaś wszystkie pliki?

\* \* \*

Kat otworzyła drzwi do sali koncertowej. Zobaczyła oboje swoich przyjaciół pochylonych razem nad

komputerem. Cofnęła się na moment, by na nich popatrzeć, zanim przekroczy próg.

- Holly... powiedziała. - Och, Holly...

- Może ja to zrobię - odezwał się cicho stojący za nią Piola.

Pokręciła głową.

- To powinnam być ja. - Nabrała tchu. - Podporucznik Boland, aresztuję panią pod zarzutem zabójstwa, szpiegostwa, nieautoryzowanego dostępu do tajnych informacji...

Wtedy wezbrały łzy; popłynęły jej po policzkach, a żal ścisnął krtań - pierwsze łzy, jakie uroniła od śmierci Flavia. Płakała po swojej przyjaciółce i po swoim kochanku; płakała, bo Wenecja została ocalona, ale była skazana. I płakała, bo Włochy nie będą lepsze po śmierci Gilroya, niż były za jego życia. Płakała po tym chłopcu, którego zabiła, i dlatego, że Daniele miał stracić jedyną osobę, która naprawdę go rozumiała. Płakała, ponieważ wiedziała, że Amerykanie - ze swoją zagorzałą nienawiścią do demaskatorów - nie cofną się przed niczym, by wyrzucić zemstę. Ale najbardziej płakała dlatego, że prawdą było to, co powiedział jej Flavio w tej prawie ostatniej rozmowie, a jednak ta prawda była zbyt słaba, zbyt krucha, by uzasadnić niesprawiedliwość, jaką właśnie miała popełnić.

Mamy tylko prawo... to wszystko, co nam pozostało.

I wypowiadała oficjalną formułę aresztowania tak starannie, jakby modliła się przez łzy. Jakby to była modlitwa o bezpieczeństwo i o duszę Holly Boland.

KONIEC

## Nota historyczna

*Rozgrzeszenie*, podobnie jak pozostałe tomy trylogii Carnivii, jest fikcją literacką. Jednak odwołuje się do pewnych rzeczywistych wydarzeń historycznych.

Na przykład wiele faktów dotyczących operacji Gladio jest obecnie ustalonych w sposób pewny. Premier Giulio Andreotti w roku 1990 rzeczywiście ujawnił włoskiemu parlamentowi, że NATO od czterdziestu lat kieruje tajną paramilitarną siatką złożoną z cywilów wyznających ekstremalnie prawicowe poglądy, która w zamierzeniach miała stawiać zbrojny opór w przypadku komunistycznej inwazji. Siatka ta była przez NATO szkolona i zaopatrywana. Wkrótce potem zaczęły pojawiać się dowody, że niektórzy z „gladiatorów” wykorzystywali swoje przeszkolenie i dostarczane przez NATO materiały wybuchowe, by dokonywać zamachów bombowych i zabójstw, stanowiących element zaplanowanej „strategii budowania napięcia”. Ich zdaniem miało to skłonić rząd do wzmocnienia środków bezpieczeństwa. Pewna liczba „gladiatorów” została potem skazana za te zbrodnie przez włoskie sądy.

Wielu komentatorów uważa, że te zamachy przeprowadzono za cichym przyzwoleniem, jeśli wręcz nie na zlecenie CIA. By podać tylko jeden przykład: generał Gianadelio Maletti, były dowódca kontrwywiadu wojskowego, zeznał pod przysięgą, że „Amerykanie posunęli się poza infiltrację i monitoring grup ekstremistycznych, aż do inicjowania aktów przemocy”. Stwierdzenie to CIA uznała za „śmieszne”.

Wiadomo również, że NATO - a w szczególności brytyjskie i amerykańskie służby wywiadowcze - robiły, co mogły, by nie pozwolić Aldo Moro, przywódcy Chrześcijańskiej Demokracji, na doprowadzenie do Historycznego Kompromisu z partią komunistyczną, posuwając się nawet to rozważania „bezkrwawego przewrotu”, gdyby taka koalicja rzeczywiście powstała. Sam Moro, jak wspomina wdowa po nim, podczas wizyty w Waszyngtonie został ostrzeżony przez Henry’ego Kissingera przed „groźnymi konsekwencjami” dla niego osobiście, jeśli nie zrezygnuje ze swoich planów.

Układy z komunistami zostały w końcu zerwane, kiedy ultralewicowe Czerwone Brygady porwały Moro, a potem go zamordowały. Kiedy później parlamentarna komisja śledcza zapytała Stany Zjednoczone o możliwą infiltrację Czerwonych Brygad przez CIA, uzyskała odpowiedź, że CIA nie może „ani potwierdzić, ani zaprzeczyć istnieniu dokumentacji odnoszącej się do tego zapytania”. Czytelnicy, którzy chcieliby dowiedzieć się czegoś więcej na temat mętnej polityki tego okresu, powinni sięgnąć po książkę Daniele Gensera *NATO's Secret Armies: Operation Gladio and Terrorism in Western Europe*.

Stosunkowo niedawna amerykańska operacja porwania z ulic Mediolanu muzułmańskiego duchownego Abu Umara i późniejsze wysiłki zdeterminowanego włoskiego prokuratora, by postawić odpowiedzialnych agentów przed obliczem sprawiedliwości, została opisana w książce Steve’a Hendricksa *A Kidnapping in Milan: The CIA on Trial*.

Propaganda Due, o której w *Rozgrzeszeniu* wspomina Kat Tapo, była „czarną” - to znaczy bez afiliacji - lożą masonską, istniejącą w Rzymie mniej więcej od roku 1950 do 1980. Nazywano ją „rządem w rządzie” Włoch. Wielki mistrz Licio Gelli uciekł za granicę, by uniknąć aresztowania; został później skazany *in absentia* za spisek przeciwko państwu. Innym członkiem loży był Roberto Calvi, „bankier Pana Boga”, którego w 1982 roku znaleziono powieszzonego pod mostem Blackfriars w Londynie. Od tego czasu we Włoszech działało kilka innych loży masonskich, wykorzystywanych jako przykrywką dla

kryminalnych i politycznych spisków.

Informacje o amerykańskich programach wywiadu elektronicznego, takich jak BULLRUN, PRISM, MUSCULAR, TURBINE i tak dalej, starałem się przedstawić w miarę dokładnie. Jednak VIGI LANCE jest fikcją - próbowałem połączyć w jedno wszystkie te oddzielne operacje. Opisy słabych punktów oprogramowania w internecie rzeczy także były - moim zdaniem - poprawne w chwili, kiedy o nich pisałem. Nie mam oczywiście żadnych dowodów na to, że te słabości dotyczą również systemów' informatycznych na statkach.

Ian Gilroy to postać złożona, inspirowana kilkoma istniejącymi realnie. Jedną z nich był Hung Fendwich, oficjalnie inżynier w Selenia Aerospace and Defence Company w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, a w rzeczywistości jeden z najlepszych amerykańskich analityków spraw włoskich. Inny to kapitan David Carrett z US Navy, skazany później przez sąd w Mediolanie za terroryzm.

Ruch niepodległościowy w Veneto - Wenecji Euganejskiej - cieszy się poparciem większości mieszkańców. W badaniu opinii publicznej z 2014 roku wypowiedziały się dwa miliony osób, z czego prawie dziewięćdziesiąt procent było zwolennikami oderwania regionu od reszty kraju. Lokalny parlament przegłosował organizację wiążącego referendum. Jak dotąd, rząd krajowy w Rzymie nie udzielił żadnej odpowiedzi.

Wielokrotnie pojawiały się inicjatywy usunięcia z Wenecji wielkich statków wycieczkowych. Kilka z nich nawet przegłosowano, ale zostały obalone w apelacji. W chwili kiedy pisałem tę książkę, kwestia pozostawała nierozstrzygnięta, a największe wycieczkowce wciąż przepływają o kilkadziesiąt metrów od placu św. Marka.

\* \* \*

Linki do dalszych lektur i informacje o innych książkach z trylogii Carnivii czytelnik znajdzie na stronie [www.carnivia.com](http://www.carnivia.com).